

Szczególnie polecamy:

- Anna M. Musz – esej o poezji W. Zawistowskiego
- Listy Witolda Wirpszy do Marii Kureckiej
- Arkusz Poetycki – Katarzyna Krenz
- Boris Nosik – esej

- Katarzyna Bereta – Pierwsza fotografia
- Rozmowa z Kennethem Whitem
- Grzegorz Musiał – Wiersz manuskrypt
- Mirosława Michalska-Suchanek o książce J. Niesiobędzkiego

Migotania

gazeta literacka

FUNDACJA

światło literatury

*Poezja jest wieczną
uciekinierką z obozu...
retoryczności.*
(Grzegorz Kociuba)

Nr 4 (45) 2014 kwartalnik
cena 15 złotych (w tym VAT 8%)



Ryc. Zbigniew Ikona-Kresowaty: Marta Fox

Marta Fox

Nie bój się

Nie bój się pustego domu
fotela bez oddechu
matowych luster
jeszcze niedawno
okna się pyszniły kot się przeciągał
ręka sięgała po książkę

Nie bój się cichego domu
pustych kielichów
wieszaka bez ubrań
jeszcze niedawno
słowa się tuliły czajnik świstał
herbata parowała z filiżanki

Każdy kąt przechowuje
co było i minęło
tylko bezradność rozkłada ręce
tylko pamięć szczypie
tylko cisza się uśmiecha

W numerze rysuje Jacek Krenz, fotografuje Kaja Świętochowska

Gazeta literacka ISSN 2083-2494 Fundacja Światło Literatury Gdańsk 2014

Marek Wawrzkiwicz

MOJE UBOGIE ŻYCIE WEWNĘTRZNE

Po części sam jestem winien swojemu ubóstwu, po części zaś zawdzięczam to losowi. Ponieważ zawsze łatwiej zważyć winę na kogoś innego, zacznę od losu.

Dawno, dawno temu, kiedy jeszcze wolno było palić w pociągach i restauracjach, pracowałem za granicą naszego kraju i dlatego nie przyłączyłem się do narodowych uniesień związanych z przeżyciami niewolnicy Isaura. W czasie krótkich pobytów w Polsce nic nie rozumiałem: o losach tej – jakoby – piękności mówiło się w zaciszach domowych, w kawiarniach, na placach i ulicach, w wielkich miastach i siólach. Wierzyłem wprawdzie, że wszystko się dobrze skończy, ale po raz pierwszy czułem się wykluczony.

Być może to spowodowało moją alergię na seriale. Wędruję pilotem po kontynentach programów telewizyjnych i już po pięciu sekundach rozpoznaję serial niezależnie od jego zagranicznego czy krajowego pochodzenia. Pięć sekund to naprawdę niewiele, ale i ta dawka emisji wywołuje piękną wysypkę pod kolanami, na łokciach oraz w miejscach niecenzuralnych; jakich maści i tabletek nie stosowałem, jakich specjalistów nie odwiedzałem, jakich terapii nie próbowałem – nic nie pomaga.

Co więcej: usłyszałem jak dwie panie opowiadają sobie z wielkim zaangażowaniem pewną historię. Byłem pewien, że chodzi o ich życie rodzinne, ale poczułem znane swędzenie pod pachami: tak, one sobie wspominały treść ostatniego odcinka „I jak debilizm”. Mój przyjaciel nazywa te utwory celnie i po prostu: szekspiry.

Najchętniej spędzam krótkie urlopy na Suwalszczyźnie. Tam, nad pięknym i czystym jeziorem Pomorze przysłuchiwałem się zasłonięty gazetą ożywionemu dyskursowi trzech dorodnych pań. Jego przedmiotem było dociekanie, czy aktor O współżyje z aktorką B i co na to jego żona. Ponieważ żadna z pań nie znała ani jednej osoby z wyżej wymienionego trójkąta, zapytałem nieśmiało o powody tego zainteresowania. Zostałem zgromiony wzrokiem i słowem, i natychmiast sam zrozumiałem niestosowność pytania: chodziło przecież o ciekawość zupełnie bezinteresowną, wyrosłą na żyznej glebie jakiegoś kolorowego pisma. Jest ich tak wiele, że w oczach się mieni, a każde z nich inspiruje głębokie rozważania.

Przywilejem wieku podeszłego jest pogodna rezygnacja. Osiągnąłem ten wiek i już nie boli mnie fakt, że nie nadają się do przebywania w kulturalnym towarzystwie. Powodów jest

wiele, ale jeden góruje nad wszystkimi: nie wiem jak wygląda i jak śpiewa Doda. Nie będę się wpychał do salonów, w których wszyscy są bogaci w tę wiedzę. Z purpurowym rumieńcem wyznaję, że wolę coś przeczytać.

Że tak się wyrażę: à propos. Rozmawiałem z młodym i zdolnym (naprawdę!) poetą. Ponieważ dowiedział się, że rekomendowałem w pewnym wydawnictwie jego debiutancki tomik, przyszedł do mnie z podziękowaniem i tomikiem. Postanowiłem dowiedzieć się, skąd on jest: z jakich upodobań, lektur, poetyk i w rozmowie wtrąciłem nazwisko Jastrun. Poeta powiedział, że owszem, zna i czyta Tomasza. Wyjaśniłem, że chodzi mi o Mieczysława. – A, to nie słyszałem – odpowiedział. I to jest w porządku: Przyboś, Jastrun, Bursa, Grochowiak, Harasymowicz, Międzyrzecki byli rówieśnikami Słowackiego i nie ma powodów, żeby czytać takie starocie. A Podsiadło i Świetlicki to zramolali starcy. I dobrze im tak.

Kłaniam się znad grobu –

Marek Wawrzkiwicz

Ryc. Jacek Krenz



Piotr Gajda

Sfrustrowany poeta w dryfie

Zgierz, impreza literacka „Stachura pozostałym”, trzy lub cztery lata temu. Na słynnej tramwajowej pętli, uwiecznionej przez Edwarda Stachurę w zapiskach rozproszonych („[...] gdzie się szukać, to znaczy jak doprowadzić do tego, żeby stanęli naprzeciw siebie; wtedy już by się można, myślę, rozpoznać łatwo, ale doprowadzić tych ludzi do jednego miejsca, o jednym czasie, ludzi sobie nieznajomych, ale tej samej konstelacji, i myślę sobie paląc papierosa i siedząc na ławce na pętli tramwaju nr 45 w Zgierzu, myślę sobie, że to miejsce to by mogło być jednym z takich miejsc zbiorczych [...]”), trwa performance, który w zamysle organizatorów stanowi jej uroczyste otwarcie. Całość zaciekawia stojąca nieopodal grupę zgierskich pijaczków na tyle, że jeden z nich zbiera się na odwagę, by publicznie wystąpić i dać przy tym świadectwo obycia i knajackiej erudycji: „Tak, ten Stachurski już kiedyś w Zgierzu śpiewał...”. Czy nie-lotna myśl owego zula, która tym razem w mojej pamięci zatacza właśnie koło, nie jest idealną metaforą miejsca poety we współczesnej rzeczywistości? A ten jest jak dzwon – jeszcze bije, tylko nie wiadomo, w którym kościele. Natomiast, w zgodzie z technokratycznym punktem widzenia, przypomina syrenkę na torze na jałowym biegu (a może nawet i na wstecnym?) wobec pełnych trybun zainteresowanych wyłącznie Formułą 1.

W czasie mojej dotychczasowej „kariery” poetyckiej (i tu uważa: wystukując to zdanie na klawiaturze, zaśmiewam się z siebie do rozpuku), napisałem trzy wiersze o pisaniu wierszy. Nie ma bardziej jałowego zajęcia, ale prawdopodobnie uznałem, że także i tę poal literackiej flauty warto eksplorować, uprawiając swoisty rodzaj kanibalizmu czy też wytwarzając zapobiegliwie we własnej podświadomości prowiant, składający się z samych konserw, gdy nikt (łącznie z weną) akurat w danej chwili nie chciał zafundować mi nieograniczonego dostępu do najlepszego sushi w mieście. Płynąłem więc, a w zasadzie dryfowałem, od frazy do frazy, od wersu do wersu – które były dla mnie zalany wodą morską dziennikiem pokładowym w świecie szybkiego netu – i rozglądałem się za bezpieczną przystanią, gdzie mógłbym przybić po dokonaniu następującego zapisu: „Jądro jest głębiej, głębiej”.

I właściwie od tego autocytału chciałbym wszystko raz jeszcze rozpocząć: od dojmującego uczucia towarzyszącego żeglarszowi (poecie) podczas samotnego rejsu dookoła świata (poezji) przez Morze Sargassowe (mediów). Czyżby rosnące wyobcowanie ludzkości, którego symbolem jest pilot w rękę i „skakanie” po telewizyjnych kanałach niczym po szpaltach tabloidów (przypominające halsowanie po Kanale Sueskim w samym środku zbrojnego konfliktu), było symbolem bezkresnej oceanicznej pustki z malutkim punkcikiem na powierzchni fali – kapitanem

Ahabeem próbującym zaczerpnąć ostatni łyk powietrza, kiedy do oczu i ust cisną mu się śmieci i drzazgi z rozbitego pokładu, a pod powiekami przesuwają się kolorowa reklama pasty do zębów: wówczas w ostatnim odruchu chwytają się szczoteczki (jakie to żałosne, że nie może chwycić brzytwy!), jak gdyby z kipieli mógł go wyratować dentysta?

The Dream Is Over – zbudź się, Katatończyku! Raz na zawsze grzecznie podziękuj mediom za ich pozorne dary, albowiem nie mogą zaoferować ci niczego, ponieważ dawno już porzuciły ambicje, aby rozumieć świat. Są jak Krzysztof Kolumb u rzekomych wybrzeży Indii. Kreślą dla ciebie mapy kontynentów i chętnie poprowadzą w głąb każdego z nich, choć nie znają drogi. Wcześniej nakarmiła papką do syta, aż staniesz się ociężały jak konsument (konkwistador) w galerii Nowego Świata, który szybko i bez zbędnych pytań o płaconą cenę ma skonsumentować (strawić) wszystko, co mu zaserwowano w tym informacyjnym fast foodzie. A ty, poeto, któremu w suchym doku własnych pragnień marzą się oceany, zawsze chciałeś być Posejdonem z trójzębem, a jesteś rozpuszczającym się w pierwszych promieniach słońca bałwanem z wyszczerbioną miotłą wbity w bok.

Bodaj zamiast przez otwarte akwenty, przeprowalbyś się przez brudną kałużę we własnym bucie – trzeba dalej płynąć – skoro „milszy jest ci pantofelek od tych...”

Piotr Gajda

SPIS TREŚCI

Marek Wawrzkiwicz – Moje ubogie życie wewnętrzne / FELIETON	2
Piotr Gajda – Sfrustrowany poeta w dryfie / FELIETON	2
Anna Łozowska-Patynowska – Stanisław Barańczak 1946–2014	3
Anna Maria Musz – „Taka jest wielka echolalia zdarzeń”. O człowieku, jego świecie i czasie w poezji Władysława Zawistowskiego / ESEJ	4
Marta Fox – POEZJA	6
Listy Witolda Wirpszy do Marii Kureckiej	7
Cezary Sikorski – Doktor Faustus – traktat o miłości. W podzięce dla Marii Kureckiej i Witolda Wirpszy / ESEJ	8
Karolina Grządziel – POEZJA	10
Maciej Melecki – Gdzieniedzie – PROZA	11
Karol Maliszewski – POEZJA	13
Katarzyna Bereta – Filozofia grabarza / ESEJ	14
Boris Nosik – Tajemnicza śmierć w Cannes	16
Marta Klubowicz – POEZJA	19
Maria Jentys-Borełowska – Zaklinanie myśli. O poezji Anny Bernat / ESEJ	20
Anna Bernat – POEZJA	21
Grzegorz Kociuba – Księga przebudzeń / PROZA	22
Adam Majewski – POEZJA	25
Anna Czyrska – Nauka pływania / PROZA	26
Beata Patrycja Klary – POEZJA	28
Katarzyna Bereta – Pierwsza fotografia, czyli opowieść o domu / ESEJ	30
Sławomir Majewski – Lotem ćmy, bezszelestnie / PROZA	31
Beata Zdziarska – Ave Maria / PROZA	31
Mirosław Słapik – Wierszyna / REPORTAŻ	32
Grzegorz Musiał – POEZJA / STRONA Z MANUSKRYPTEM	35
Poznać „kości ziemi”. ROZMOWA z Kennethem Whitem	36
Kazimierz Brakoniecki – POEZJA	37
Monika Tomassi – Przejście podziemne / PROZA	38
Zbyszek Ikona-Kresowaty – Powrót z czyścica / ESEJ	40
Romuald Karaś – Teczki księdza Staszica / SCENARIUSZ	42
Mirosława Michalska-Suchanek – Poprzez pryzmat teatru / SZTUKA INTERPRETACJI	45
Adam Majewski – Epoka literackich narcyzów / MARE INCOGNITUM	32
Jacek Krenz – Szkicowanie: zobaczyc wiecej / SZTUKA ...	54
Leszek Szaruga – Wyprasowanie (13) / FELIETON	56
Jacek Geisler – Trzecie poszczekadła (2)	56
RECENZJE:	
Grzegorz Kociuba – Gorzki smak świata 48, Monika Tomassi – Prawo do różnorodności 48, Beata Zdziarska – O poszukiwaniu prawdy. O książce Ludmiły Ulickiej <i>Daniel Stein, tłumacz</i> 49, Piotr Gajda – Zakaz kipieli 50, Jerzy Cyngot – Jestem z tobą. Opowieść Sołki 50, Marta Fox – Najbardziej sensacyjna biografia minionego stulecia 51, Zbyszek Ikona-Kresowaty – Na transcendentnej hustawce 51, Marta Fox – Zło 52, ks. Janusz A. Kobiński – Uwaga poeta! 52, Piotr Goszczycki – Poetycki nokaut błyskawicy 53.	

Stanisław Barańczak

1946–2014



Fot. Elia Lempp

Stanisław Barańczak odszedł. Ale to, co po sobie pozostawił, nazwać można bogato zapisaną księgą dokumentującą różnorodność języka. Barańczak tworzył w czasie, w którym wartości były rozchwiane a przyszłość bliżej nieokreślona. Jego poszczególne zbiory poetyckie powstawały przez trzydzieści kolejnych lat, rozpoczynając od „Korekty twarzy” (1968), a na „Chirurgicznej precyzji” (1998) kończąc. Nie przypadkiem poszukiwał w poezji ratunku. Bo tylko poezja, według niego, była w stanie utrwalić granice niektórych pojęć, jak dobro i zło, prawda i fałsz. Barańczak był wytrawnym poetą odwołującym się do wzorców poezji lingwistycznej. Jako należący do pokolenia Nowej Fali, ukazał nowoczesny sposób tworzenia liryki i jej interpretacji. Równocześnie był bardzo pilnym uczniem słowa, wiecznym studentem tekstu, w którym poszukiwał ukrytych sensów. Poezję Barańczaka można nazwać uniwersalną, mówiącą o sytuacjach mogących spotkać każdego człowieka, bo ich trafność Barańczak testował na samym sobie.

Poeta był szczególnie wyczulony na precyzyjne posługiwanie się słowem. Jako lingwista odnalazł swoje przeznaczenie w biegłym władaniu językiem. Barańczak zakochał się w nim. Udało mu się dostrzec to, co ukrywają liczne jego rozgałęzienia. W książce „Pegaz zdębiał” zbudował nową kategorię języka z licznymi „tunelami semantycznymi” wydrążonymi pod kodem leksykalnym.

Światopogląd tego twórcy pełen był wiary w ocalenie, jakie przynosi nam rzeczywistość literacka. Literatura ratuje człowieka poprzez samą swoją obecność. Jest ona świadectwem tego, że nawet w obecnej człowiekowi rzeczywistości, którą opisał Barańczak znakomicie już w swoich kilku pierwszych tomikach poetyckich (takich jak „Jednym Tchem” czy „Dziennik poranny”), nie musimy się czuć bezgranicznie samotni. Poza tym jako historyk literatury rzetelnie i niezwykle trafnie interpretował utwory znanych polskich twórców. Pozostawił po sobie kilka monografii, m.in. o poezji Mirona Białoszewskiego czy Zbigniewa Herberta. Ale jego sercu, jak wiele na to wskazuje, najbliższa była liryka.

Wspominany poeta był także świetnym autorem satyrycznym („Geografioly”, „Biografioly”), twórcą pamfletów i szkiców krytycznoliterackich a przede wszystkim obserwatorem paradoksów świata, dostrzegającym nieusuwalne dysproporcje między tym, co w środku i tym, co na zewnątrz, między ‘publicznym’ a ‘prywatnym’. Jako krytyk literacki mówił w sposób bardzo bezpośredni, czego świadectwem jest zbiór jego tekstów pt. „Książki najgorsze”. Można powiedzieć, że Barańczak był człowiekiem bardzo odważnym. Jego utwory powstawały w celu odnalezienia prawdy. Był także świadomy ryzyka, że poszczególne ścieżki znaczeniowe tekstu należy poznawać równocześnie. W sposób zamierzony podjął wyzwanie szukania nowych dróg do opowiadania prawdy o świecie.

Wybór działalności literackiej przez Barańczaka nie był przypadkowy. Jako tłumacz uczył nas, a najpierw siebie, zarówno metod odkrywania tekstów dawnych, jak i współczesnych. Tłumaczenia, głównie utworów angielskich (lecz nie tylko), interesowały Barańczaka szczególnie. Nie koncentrował się na jednej epoce. Równocześnie tłumaczył poetów średniowiecznych i twórców dnia dzisiejszego, np. Philipa Larkina czy Jamesa Merrilla, z jednej strony sięgał po wiersze Emily Dickinson, z drugiej po utwory Osipa Mendelsztama czy dzieła hiszpańskich mistyków. Świadczy to o jego szerokich kompetencjach (gruntownej znajomości wielu tradycji i ówczesnego języka), szerokich umiejętnościach interpretacyjnych, ale i wrażliwości oraz wyjątkowej intuicji poetyckiej. Barańczak uczestniczył w długotrwałym procesie budowy ogromnego świata tekstu, w którym bariery czasowe i językowe przestają istnieć, a tradycja literacka, idąc za myślą Janusza Sławińskiego, „dzieje się” równocześnie.

Sztuka przekładu interesowała go szczególnie dlatego, że Barańczak poszukiwał tam ukrytych sposobów poetyckiej kreacji i związanego z nim znaczenia tekstu. Poeta zajmował się więc istotą niewyraźności, nieprzekładalności tekstu. Zdawał sobie sprawę, że pomimo długotrwałych starań, tłumaczenie zawsze będzie nosiło ze sobą niedobór znaczenia w stosunku do tekstu pierwotnego. W książce „Ocalenie w tłumaczeniu” dał tego najlepszy wyraz. Przypada nam, że przeciętnego czytelnika zadziwia nie tylko liczba przetłumaczonych przez niego tekstów, ale i bardzo głębokie poddawanie ich wielokrotnej lekturze. Bowiem tekst wymaga od translatora nie tylko przekładu na inny język, ale i zamknięcia pod płaszczem „innego” języka co najmniej podobnego stopnia nasycenia emocjami.

Zaangażowania w „działalność lingwistyczną” Barańczaka nie rozumieją nigdy ci, którzy niczego w życiu nie poszukują a przyjmują wszystko biernie i bezapelacyjnie. Na jego „studia wyższe” nie zostaną rekrutowane także osoby, które zgadzają się bezmyślnie na wszystko, uważając, że nigdy nie będą miały racji, więc wolą nie błędzić. Tacy ludzie nie wyrażają zgody na siebie samych. Dlatego swoje utwory, z każdej uprawianej przez niego subdyscypliny humanistycznej, adresował Barańczak do człowieka, otwierającego się na nowy świat, potrafiącego ujrzeć w sobie braki i ufającego w to, że być może kiedyś uda mu się je zapełnić.

Anna Łozowska-Patynowska

Niniejszy tekst jest zapowiedzią większego eseju, który autorka przygotowuje dla „Migotań”, do numeru 1/2015.



Anna Maria Musz

Poeta Zawistowski
ktokolwiek nim będzie
musi przyjść
jeszcze raz pod mój dom
łagodnie

Poeta Zawistowski
każdy z was o każdej porze nocy
każdy z was udający niewinnego
każdy z was żyjących jeszcze

Tymi słowami ks. Jan Sochoń opisuje Władysława Zawistowskiego w wierszu *Poeta Zawistowski*, stanowiącym prolog zbioru *Ciemna niedziela*. Osobliwy (bo poetycki) wstęp do książki Zawistowskiego wydobywa z wierszy gdańskiego poety ich najważniejszy element: uniwersalność podmiotu lirycznego. Bohater tej poezji to everyman: ukrywający się ściśle za opisywanymi obrazami, wrażliwy w swoich obserwacjach, ale jednocześnie niezwykle oszczędny i dyskretny, gdy ma mówić wyłącznie o sobie (od tej osobistej dyskrekcji i milczenia zdarzają się oczywiście pojedyncze odstępstwa – jak we wspomnieniowym poemacie *Geografia*, zadedykowanym rodzicom poety). „zawistowski, czyli ja albo ktokolwiek inny/ opętany balonem jesieni unoszącym się/ coraz wyżej i wyżej od ciepłego środka/ ziemi (...)” – będzie prowokował poeta w *Czyli ja* – jednym z wczesnych wierszy z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Bohaterowie poezji tego okresu będą krążyć po historii, spotykać się na kartach Odcinkowej Księgi Rodzaju, po dwóch stronach lustra, ale też we współczesnej scenerii z roku 1962.

Można jednak zauważyć, że podmiot liryczny wierszy Władysława Zawistowskiego ujawnia się jako poeta, twórca. W wielu tekstach wprost nawiązuje do motywów autotematycznych, a poezja niewątpliwie jest dla niego ważna. W niemal „programowym” utworze poświęconym zagadnieniu istnienia twórcy w poezji pisze:

Jest mnie tyle ile siebie powiem.

Obmawiam więc siebie co słowo
rozmawiam sobą co język
przemawiam sobie od siebie
wmawiam sobie siebie wymawiam
zmawiam się z sobą na siebie
odmawiam sobie siebie zamawiam.

Jestem wielkim niedomówieniem.

(*Ars poetica*)

Wiersz jest zatem rozmową z sobą o sobie. Poezja – to więcej niż dzieło; to język. Język – to z kolei tworzywo, z którego powstaje człowiek jako jednostka. W innym wierszu z tego okresu (*Sonet dla siebie*), Zawistowski przewrotnie rozdzielił twórcę na tego, który czyta i tego który pisze. Co ciekawe – ten, który pisze, może być nawet ślepcem (co doskonale podkreśla tezę, że akt twórczy jest spojrzeniem w siebie, we własne wnętrze). Za to ten, który czyta, czerwonym okiem/ patrzy w przestrzeń kartek aż do bólu krwi. Pisanie wiersza jest działaniem mozolnym, a sama scena rozgrywa się w obcym, obojętnym świecie, w mieście z tysiącem domów.

We wczesnych wierszach Władysława Zawistowskiego jednostka funkcjonuje w takim właśnie świecie: spokojnym, kameralnym, wyciszonym, oderwanym (zgodnie z założeniami Nowej Prywatności, którą poeta reprezentował) od bieżącej polityki i spraw społecznych. Towarzyszy jej za to historia – świadomość ciągłości i przemienności pokoleń.

ci którzy przyszli przeszli i minęli
są w czasie przeszłym równie niedostępni
jak ci na drżącej dłoni wyciągnięcie
bliscy Co przyjdą w czasie zawsze przyszłym...

– powie podmiot w wierszu *Dłonie nad czasem*. Człowiek żyjący „tu i teraz” ustawia się tutaj w roli pokoleniowego łącznika; chciałby on wyciągniętymi dłońmi połączyć przeszłość i przyszłość, choć sam jest w tę przeszłość spychany. Pojawia się w tej poezji także nieprzywoływany z imienia „on” - wieczny trójkąt patrzący na nas z góry („Ty ja i on: kaganek w ciemniejszej ciszy”). Jest wreszcie precyzyjnie i starannie skonstruowany świat, w którym człowiek stanowi jedynie drobny element, ale za to element precyzyjnie połączony z pozostałymi. Podmiot liryczny zanurzony w owym złożonym świecie charakteryzuje go najlepiej w kilku wersach utworu *Na krańcach skóry*, gdy mówi:

słyszę gładkie frazy
wierszy, wieczorne rozmowy, kwiaty otwierające się
jak ludzie z zakrzepłą różą serca (To wszystko jest.
Trwa, porusza się bezustannie, wprawiając w drżenie
moje dłonie. W ogniku papierosa zapalają się na
moment nieskończone przestrzenie);
słyszę wieczorne rozmowy, ciche szepty, obietnice,
pierwsze nocne tramwaje, nietoperza.
Miłość, co zbyt zdawkowa, aby mogła zabić.

O człowieku, jego świecie i czasie w poezji Władysława Zawistowskiego

Wyrażone w tych wersach intuicyjne odczuwanie rzeczywistości i świadomość niepełnej wiedzy o świecie stanowią swego rodzaju credo podmiotu lirycznego. Zastany świat przyjmuje on ze spokojem – zamiast poznawać to, co niepoznawalne, uważnie obserwuje siebie. Medytujący jogini w ramach ćwiczeń uczą się rejestrować wszystkie sygnały z otoczenia – od wyraźniejszych dźwięków, po te najmniej słyszalne, zatem podświadomie odrzucane. Tu mamy do czynienia z podobnym zabiegiem: podmiot liryczny wychwytuje dziesiątki sygnałów, dźwięków, zjawisk i kwituje je słowami: „To wszystko jest./ Trwa, porusza się bezustannie”.

Opisy świata u Władysława Zawistowskiego są zresztą zawsze takie właśnie: polifoniczne, przekraczające granice, a może po prostu istniejące w płynnych granicach i przenikające się. Dobrą ilustracją dla tak opisywanej rzeczywistości (w której – dodajmy – wyobraźnia i motywy oniryczne łączą się ze światem realnym) może być początek *Glosy do nie zapisanej kartki*:

ruchu
w sobie

nie mogę znać końca
poezja jest szukaniem końca
znakowaniem granic
inaczej
na nic

Zatem bieg przez kolejne wersy i strofy nie jest z góry zaplanowaną „strategią” liryczną. Wręcz przeciwnie: w myśl tej teorii wiersz nie służy opisywaniu rzeczywistości a posteriori, ale jej badaniu i poznawaniu. Co więcej: dzieło może przytłoczyć, zniszczyć, zwyciężyć twórcę:

i nie uniesiesz ręk
i nie
i nie uniesiesz głowy
z pożogi czasu
który sam napiszesz

w południowej ciszy rozgranego ogrodu,
u fontanny, gdzie ptaki przylatują pić ze źródła,
przy stoliku nakrytym białym płótnem,
w wiklinowych fotelach,
w których siedzimy wygodnie – ja i mój jedyny uczeń
Sebastian von Swissau z Lipawy, dziesięcioletni,
który zmarł w moim pokoju na gruźlicę w roku 1911,
do końca nic ze swego losu nie zrozumiałszy (...)

W *Sztandarze z ortalionu* przeszłość nieustannie podlega ocenie. „Dziś” ma wyraźny wpływ na to, jak ocenia się „wczoraj”, jest także perspektywą, z której patrzy się w przyszłość. Lata młodości jawią się jako czas spokoju, może także pewnej naiwności czy raczej: pogodnej nieświadomości. Rzeczy niegdyś wielkie – stają się małe. Wielu ludzi już nie ma (a niektórzy z przyszłości jeszcze się nie narodzili). Jeśli podmiot liryczny z wczesnych wierszy poety był everymanem, ten z utworów najnowszych jest już człowiekiem, który chętnie zagłębia się w siebie – i równie chętnie opowiada o sobie, swojej rodzinie i dawnych oraz obecnych znajomych. Opisuje spotkania po latach i osoby, które dawno zniknęły z jego życia.

Należy jednak podkreślić, że ów dojrzały spokój w opisie świata, przesyconie ironią, ale i swoistą pogodą; to „godzenie się ze światem” – ma w sobie coś z powrotu do spokoju wczesnych wierszy poety, pisanych po debiucie. Teraz jednak uporządko

„TAKA JEST WIELKA ECHOLALIA ZDARZEŃ”

A co

A co jeszcze

co jeszcze poza tą
poza tą nie zapisaną
nie zapisaną kartką:

otwiera się stół
potem otwiera się przestrzeń
po otwarte horyzonty pokoju

za którym być może
być może toczy się wojna
za którym być może wszystko

(co nie mieści się nawet w najdoskonalszym zapisie; zmęczenie słów, afazja liter, omdlenie natchnionych mówców: na trzydziestu trzech piętrach mego zmęczonego domu).

Ten spokojny, zróżnicowany, ale ściśle wewnętrznie połączony świat trwa w wierszach poety mniej więcej do końca lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Wydarzenia roku 1980 i burzliwa rzeczywistość tuż przed politycznym przewrotem w pewnej chwili docierają jednak i tutaj – przynosząc ironię, bardzo mocno zarysowaną np. w poemacie *Dwanaście wierszy o kobiecie dwumetrowej*, ale także zauważalny niepokój, pesymizm, ciemność (nawiązując symbolicznie do czasu stanu wojennego). Nagle na drogach, które wcześniej prowadziły do nieokreślonego celu, pojawiają się rozstaje i krzyże, a bohaterowie kroczą przez niezrozumiały kontynent, nie do przebycia. W kontekście tej zmiany nastrojów, w obliczu tych pęknięć, pojawiających się w – dotychczas harmonijnej – codzienności, niemal proroczy wydaje się wiersz *Spis treści*, w którym podmiot ironicznie przewiduje, że: kiedyś też wreszcie trzeba/ będzie policzyć wszystko/ ułożyć w równych rzędach/ pod poprzeczną linią – i konstatuje, że taki spis obejmie całą treść, także żołądkową, aż po ostatni kamień.

Nie oddaje to jednak całego spektrum motywów i nie charakteryzują w pełni języka poezji Władysława Zawistowskiego. Oto bowiem w tomie *Ciemna niedziela* odnajdujemy także trzecią wersję poematu *Ptak w sieci dalekopisu*. Utwór – podzielony na 68 numerowanych części – to brawurowy zapis zmagania z pracą twórczą. Można odnieść wrażenie, że poeta odnotowuje tu nie tyle otaczający świat, ile myśli, pytania, rozterki, które pojawiają się w wyniku procesu twórczego, choć ostatecznie nie przenikają do wierszy. *Ptak w sieci dalekopisu* to zanurzenie się w strumieniu świadomości i notowanie „na gorąco” całej różnorodności obrazów, słów, zdań i obserwacji, przepływających przez umysł twórcy. Ten osobliwy tekst został zresztą określony przez samego Zawistowskiego mianem palimpsestu, ale jest to palimpsest odwrócony: (...) w jakimś — istotnym — sensie ten poemat być może w ogóle nie istnieje. Mogłoby to zaświadczać o słuszności przekonania, podzielanego czasem przez autora: iż książki nie są po to, by je czytać, lecz po to, by je pisać. Czy zatem ów rozgorączkowany, odrealniony, oniryczny zapis traktowany jest przez autora jako kolejna forma poetyckiej rozmowy z sobą samym?

W *Ptaku w sieci dalekopisu* niemal natrętnie powraca kilka motywów: wiersz (lub: słowo), list i bieg. Te trzy (cztery) określenia bądź – mówiąc szerzej – zjawiska, są kluczowe dla odbioru całości. Podmiot liryczny stwierdza wręcz:

nie mam celu
mieć cel to znać koniec
dążyć do bezruchu
do zatrzymania

Zwróćmy uwagę na ten fakt. Poezja nie unieśmiertelnia – a spala. W takiej wizji relacji łączących twórcę z dziełem nie ma miejsca na autorską dumę czy chwałę. Wręcz przeciwnie: słowo, tekst, forma jawią się jako żywioł, któremu twórca się poddaje.

W miarę upływu czasu poezja Władysława Zawistowskiego zmieniała się, język stawał się bardziej uporządkowany, a styl opisu – narracyjny. Wydany w 2004 roku *Sztandar z ortalionu*, gromadzący utwory napisane od roku 2000, jest tomem wspomnieniowym, mocno ukierunkowanym na przeszłość. Podmiot liryczny wraca do lat 70. i 80.: ówczesnych podróży, lat studenckiej beztroski, kawiarnianych obrazów z „Literackiej” – lokalu, w którym spotykali się poeci Związku Literatów Polskich. Nad wszystkimi tymi obrazami unosi się wrażenie, że rzeczywistość doświadczana przez kolejne pokolenia jest niczym pułapka przechodni (*Kaluża przechodnia*). Wkrótce ta retrospektywna opowieść rozszerza się i na inne dekady: sięga dzieciństwa poety, a nawet dociera do początku wieku XX, choć czyni to nieraz w sposób tak przewrotny, jak w wierszu *Sebastian von Swissau czyli śmierć w Sopocie*:

Powtarzam to wszystko jeszcze raz, smakując,
na końcu języka gorzyc i słodycz każdego słowa,

wany świat domaga się równie uporządkowanego i jasnego języka – tworzącego strofy i spostrzeżenia takie, jak w wierszu *W dwadzieścia lat później*:

(...)
A ja siedzę tu z Ludwiką i Magdą,
jest dwadzieścia lat później.
Zawsze jest dwadzieścia lat
później, a może nawet za późno.

I choć wszystko jest inaczej,
to i tak nie żałuję,
że jest właśnie tak.

Anna Maria Musz

Bibliografia:

1. Władysław Zawistowski, *Ciemna niedziela*. Wyd. Oficyna Literacka, Kraków 1993.
2. Władysław Zawistowski, *Sztandar z ortalionu*. Wyd. Tower Press, Gdańsk 2004.



Ryc. Jacek Krenz

Marta Fox

Dom pełen spojrzeń

Był to dom pełen spojrzeń
Okno kuchenne patrzyło w las
jakby pragnęło zazielenić garnki i słoje

W salonie pękało z dumy
czasem prężyło się jak struna
z nadzieją, że życie nie wycieknie
przez szpary w murach

Okno w sypialni pilnowało samotności
by dom mógł wspominać zmarłych
których teraz było więcej niż żywych
Czasami tylko podglądało przez rolety
i skrzypiało kiedy miłość rodziła miłość

Świątecznie

Choinka się zieleni
ryba złoci
wanilia pachnie

Złota kadzidła mirry życzę Ci

Świerk gubi igły
ryba dzieli się łuską
ciasto się pyszni

Kadzidła mirry i złota życzę Wam

Dotykam stołu
słyszę głosy domu
tęsknię do zapachu
Mirry złota kadzidła życzę sobie

Isadora

Dla Jesienina Isadora gotowa była
zatańczyć nie tylko rewolucję ale i krzesło
żadnych dźwięków prócz odgłosu
bosych stóp po drewnianej podłodze

Dla Jesienina Isadora gotowa była
stać się ptakiem w rozpędzonym bugatti
omotać szyję najdłuższym szalem
uwierzyć że dwie proste równoległe
spotkają się w przestrzeni by skrzyżować
ręce i splątać nogi

Rozmyślania o poranku

Pamięć robi ze mną co chce
daty szaleją każda w innym kolorze
wyobraźnia tańczy tango

Nie wiem co jeszcze mogę sobie dać
może toast za metaforę
może jesień i niewiarę w kres

Może rozhulam kram
i dzień bez bólu sobie dam

Testament

posprzątać biurko spalić notatki
przetrzebić komputer wyrzucać
wyrzucać wyrzucać
by nie pozostawić śmietnika
jeszcze w liście do córek dopisać:
róbcie swoje dziewczynki
róbcie swoje
sukces to najbardziej niesprawiedliwe słowo
ważna jest dobroć i jeden wiersz dziennie
nie trzeba go napisać wystarczy przeczytać



Listy Witolda Wirpszy do Marii Kureckiej

Prezentowane tu listy Witolda Wirpszy do przyszłej żony – Marii Kureckiej napisane zostały pod koniec roku 1944 w oflagu II D Gross-Born (obecnie Kłomino na Pomorzu Zachodnim). Stanowią fragment korespondencji, która rozpoczęła się pod koniec roku 1942 i trwała do chwili likwidacji obozu w styczniu 1945 roku. Niestety listy Marii Kureckiej zginęły podczas ewakuacji obozu.

Listy – wraz z archiwum Witolda Wirpszy – zostały przekazane do Książnicy Pomorskiej przez syna Wirpszy i Kureckiej – Aleksandra Wirpszę (Leszka Szarugę). Dzięki jego uprzejmości, oraz za zezwoleniem dyrekcji Książnicy Pomorskiej, ukażą się w przyszłym roku – wraz z listami do ojca poety – staraniem Zaułka Wydawniczego Pomyłka, z postawieniem prof. Dariusza Pawelca oraz przedmową Leszka Szarugi.

Kolejny fragment tej korespondencji ukaże się w numerze 1/2015 „Migotań”.

17.12. [19]44.

Absender: podch. Witold Wirpsza
Gefangenennummer: 9662/ St.II A
Bl.I, Bar. E/2
Deutschland (Allemande)

An
JWielmożna Pani
Maria Kurecka
Empfangsort: Tscheustochau
Strasse: Orlicz – Dreszera 48
Kreis: Zund holz fabrik
Landesteil: Generalgouvernement

1.12. [19]44.

Już miesiąc minął, psy się uśpiły... a ja ciągle jeszcze listu od Ciebie nie dostałem. Piszę jednak, bo mimo wszystko chcę, abyś na 8-go parę słów ode mnie odebrała – tym bardziej, że z dniem tym łączę wiele, wiele nadziei. Ale nie uprzedzajmy faktów, zobaczysz sama, co się będzie działo, jeżeli tylko... Staruszek, tyle chciałbym Ci życzeń przesłać i tyle napisać – cóż, kiedy wszelka gadanina w gruncie rzeczy nie ma sensu, a Ty przecież tyle, tyle wiesz. W związku z tymi życzeniami przychodzi mi pewna rzecz na myśl: czy mogą na odległość istnieć i trwać uczucia, których istnienie, na rozum wzięwszy, wymagać winno realnej wzajemnej obecności dwojga ludzi. Na przekór wszelkiej logice, wydaje mi się często – że tak. Sądzę, że jest to może kwestja działania na odległość czegoś w rodzaju fal elektro-magnetycznych – jednym słowem „Człowiek, istota nieznaną”. A z drugiej strony dowodem, że te uczucia są – jest po prostu to, że są. Widzisz, piszę te rzeczy dlatego, że czasem mam pewne wątpliwości co do rzeczywistości moich przeżyć; ale gdy otrzymuję Twój list, gdy patrzę na Twoją fotografię – wątpliwości wszystkie się rozwiewają – i wtedy dopiero jest mi naprawdę dobrze – mimo żeśmy przecież tyle lat na oczy się nie widzieli. Ale zdążymy to chyba odrobić! Od feralnej trzydziestki dzieli nas jeszcze kupa czasu! -Czuje, że za tydzień, gdy siądę wieczorem przed Twoją fotografią, będę fantastycznie rozkrochmalony i – napewno zabiorę się do pisania listu. Chyba już do tego czasu będę mógł – odpisać! 4xM, -Marylko po prostu w dniu Twoich Imienin życzę Ci wszystkiego najlepszego. Całuję.

W.

Dzisiaj dopiero otrzymałem Twój list z 22.11. Postanowiłem mimo wszystko adresować na Częstochowę ze względu na możliwość zmian. Kartkę taką, jaką wysłałem w tym tygodniu otrzymasz przy każdej zmianie adresu, tak że listy możesz śmiało „zużywać”. W tym tygodniu otrzymałem drugą Twoją paczkę i aż się za głowę złapałem, nie wiedząc, jak Ci nawymyślać! Wobec tego rezygnuję na razie z wymyślania, obiecując sobie po powrocie użyć na Tobie, ile wlezie i to na milcząco; będę się znęcał w straszliwy sposób!!!! Na obcięcie włosów trudno nie mruzczyć – przecież nie są konieczne, bo można się cesać gładko, albo zgoła zapuścić warkocz! Oj Ty, Ty, żebyś dotąd jeszcze nie wiedziała, jak mi zrobić przyjemność! – Ciekaw jestem, czy się spotkała ze Staruszką 8-mego. Jeśli się jeszcze z nim zobaczysz, to zróbcie koniecznie dla mnie wspólne zdjęcie. – Należy Ci się rewanż i wobec tego – patrz – oto tak wygląda mój dzień: 1/2 8 wstaję, toaleta, śniadanie. 8-15 apel. Po apelu do 1/2 11 wykłady (3-ci rok prawa). Po wykładach spacer do południa. Obiad i drzemka 2-giej. 2-3 lekcja angielskiego. Następnie podwieczorek, kawiarnia, wzgl. teatr, koncert itp. Wieczorami – lektura, pogawranki i tak aż do. Acha – od czasu do czasu – czynność „urzędowa”. Jestem „za maszynistkę” w referacie sportowym i przynajmniej 2 x w tygodniu tłukę w maszynę do pisania, do której nabyłem należytego wstrętu. – Ot i wszystko. I tak wkrótce aż do znudzenia. – A czy myślisz, że u nas niema Kobiet? Są – w teatrze oczywiście, gatunek *virgo artifex*: peruki, nawet rude, biusty najróżniejszego kalibru i – nawet – autentyczne suknie balowe. Taki to już czas ersatzów! -A teraz zadam Ci śmieszne pytanie (egoizm męski nie ma granic) : ciekaw jestem, czy i ilu masz adoratorów na miejscu i co z nimi porabiasz? Przyznam się, że chciałbym nawet, byś ich miała, boć przecież... (och, vanitas, vanitas).

Vale et me ama W.

18.12. [19]44.

Dostałem tak dziwnego napadu szału, że postanowiłem sobie, ucieszony, że nareszcie poczta między nami znowu obraca, na każdy Twój list odpowiadać dwoma; nie wiem tylko, jak długo w tym tempie potrafię wytrzymać. Swoją drogą, tak bardzo chciałbym móc napisać porządny list na 8 – 16 stron i wyjęzyczyć się z tym wszystkim, co leży na wątrobie i... sercu. Bo głowa na razie się nie liczy – zwłaszcza, iż pewna, nieznaną mi bliżej osobistość zgadza się być szyją. -Ale na jedno się nie zgadzam: co ty mi wypisujesz o prozie i o patosie? Proza – to moim zdaniem coś nudnego, a pathos – po grecku znaczy cierpienie. Wniosek: czasy, w których żyjemy, raczej są właśnie patetyczne i namiętne, a z prozą mało mają wspólnego. Dante, aby opisać piekło – sięgnął do mowy związanej; może tylko tamto piekło jest nieco rozumniejsze – ale to nie zmienia postaci rzeczy: jakiś element poezji w tym wszystkim musi być. A nasz wzajemny stosunek – to też poezja, tylko, że nałożona (polifonicznie) na tamtą. A że nazywałeś ją „życiem samym”, to dobrze, to bardzo dobrze – we wszystkim bowiem należy szukać afirmacji życia. A swoją drogą – to ja w obecnym okresie tylko dzięki Tobie trzymam się kupy – i właściwie myśląc o urzędzeniu sobie przyszłości, myślę, jakby ją Tobie urządzić (a może nie tylko Tobie...). Pisałem właśnie niedawno do Ojca (ze Staruszką bywamy b. szczerzy), który się w pewnym liście obrażał, dlaczego nie wierzę w możliwość oparcia się o niego, że pewna Marylka da mi tego rodzaju oparcie moralne, którego nawet ojciec synowi dać nie może. – A poza tym? Tęskno mi do Ciebie. Tęskno mi do pierwszego wieczoru, który spędzimy razem, tęskno mi do Twojej duszy, którą pragnę poznać, do Twojego ciała – które chcę uwielbiać, do Twojego serca, któremu obiecałem służbę i do Twoich rąk, które będą dla mnie dobre. Oj, Ty, Ty, Marylko – Narzeczona moja sprzed dwudziestu lat!

W.

23.12. [19]44

Słuchaj no, co się właściwie z Tobą dzieje? Ja tu piszę i piszę, ręka mnie boli, a od Ciebie ani. To przecież tak na dłuższą skalę nie może być... Byłem dzisiaj na koncercie kameralnym i słyszałem „Guinten – Gnarnelt” Haydna i dużo myślałem o Tobie. Ciekawe, że muzyka Mozarta i Haydna nastraja mnie w o wiele wyższym stopniu na nutę erotyczną, niż muzyka romantyków, która raczej wyzwała we mnie bezprzedmiotowe marzenia, czego, nawiasem mówiąc, nie bardzo lubię. Jedynie słuchając Bacha zadawał mi się samą tylko muzyką – zdarza się to również i przy niektórych kompozytorach współczesnych – i dlatego go za tę pełnię właśnie, najbardziej lubię. Ale wracajmy do Haydna. Ci wiedeńscy, to naprawdę coś marylkowego: wyrażają całą ową subtelność i delikatność (to nie znaczy niezdecydowanie czy brak stanowczości!), którą chciałbym Tobie okazać. Nie wiem, czy dużo we mnie zostało z dziecinnej wybuchowości, którą Ty pamiętasz – zarówno życie mnie oszlifowało, jak i świadomie staram się opanować. Czasami jedynie zdarzają się wybuchy gniewu, o wile gwałtowne, o tyle nie pozwalające dłużej się temu uczuciu krzewić (maleńkie ostrzeżenie...). W innych sprawach – które w okresie początkowym będą chyba szczególnie aktualne – sądzą, że należy się trzymać pewnej wewnętrznej linii estetycznej, która dopiero pozwoli na pełnię przeżycia. Oczywiście, nie myślę o eliminacji impulsów – to byłby nonsens! – a o nie usuwaniu czynników kontrolujących. Właśnie Haydn! – A teraz posłuchaj: biorę łagodnie Twoją głowę w obie ręce, tulę ją do piersi, nachylam się i całuję długo, długo w usta

W.

24.12. [19]44.

Ten list – dla odmiany – przeznaczony będzie sprawom prozycznym. Dla kontrastu muzyce – pragnę Ci napisać, jaki jest mój stosunek do pieniędzy. Nie mam wcale zamiaru twierdzić, że nie przywiązuję do nich uwagi – i owszem, z tym tylko zastrzeżeniem, że uważam, że pieniądze mają służyć mnie, a nie ja pieniądзом. Cele, którymi pieniądze winny służyć, wytyczyłem sobie tak: uzyskanie pewnego stopnia niezależności, zdobycie odpowiednich wygód, zaspokojenie potrzeb kulturalnych i urządzenie domu. I na to ostatnie kładę największy nacisk; dlatego może, że domu zaznałem w życiu serdecznie mało. Zdaję sobie oczywiście sprawę z tego, że o domu decyduje w pierwszym rzędzie panująca w nim atmosfera, ale wiem również, że samo np. urządzenie mieszkania jest w pewnym stosunku do atmosfery, posiada na nią wpływ. A co to jest dom? Dla mnie jest on gniazdem, z którego można wylatywać na dłuższe nawet wycieczki, ale do którego się wraca; jest on dla człowieka materialnym punktem oparcia w przestrzeni, tak jak naturalnym punktem oparcia jest drugi człowiek. Chodzi oczywiście o to, aby te dwa czynniki ze sobą zsynchronizować. Reasumując: mam pewną sumę potrzeb, dla zaspokojenia których potrzebne są pieniądze; po zaspokojeniu ich dalsze zasoby pieniężne nie przedstawiają dla mnie większej wartości; pęd do tożsamości jest mi najzupełniej obcy – wartość krańcowa środków płatniczych ma tendencję malejącą. A o co mi chodzi przede wszystkim: o to, aby Kogoś uczynić szczęśliwym i aby to Twoje szczęście mnie się udzielało.

W.



Cezary Sikorski

1.

Uniwersalizm to ważny wektor ewolucyjnych zmian każdej kultury. Można go mierzyć w rozmaity sposób: poszanowaniem tekstów klasycznych, uległością wobec archetypów, przywiązaniem do symboli. Nie dającą się zlekceważyć miarą uniwersalizacji jest również akceptacja powszechnie zrozumiałej krytyki. Ważną rolę odgrywa także rozumienie tekstów powstałych w odmiennej tradycji, dostępnych z racji własności języka rodzimego tylko w innym języku, w kręgu odmiennych rudymenarnych znaczeń, w obszarze sylogizmów konstruowanych na różnych przesłankach.

Na szczęście ten rys uniwersalizmu znajdujemy również w polskiej tradycji literackiej, w której kongenialne przyswojenia dotychczas niekiedy obszarów absolutnej odmienności pojęć, obrazów czy wręcz podkorowowych nawyków. Czy translacja zmysłowej powszedniości świata obrazu Marcela Prousta przez Boya-Żeleńskiego nie jest tego arcyważnym przykładem? Nikt przecież nie potrafił wcześniej podporządkować przyzwyczajeniom naszego oglądu oraz schematom naszej zmysłowości obrazów z definicji tak gruntownie obcych, powstałych w tak odległej, jakiejś *franco-zmysłowej* krainie, z którą do dziś w kulturze polskiej wręcz trudne są istotnie-zmysłowe skojarzenia.

Czyż nie podobną drogą musiał iść Ryszard Krynicki, który w dialogu z poezją Paula Celana wciąż zmagając się z niezrozumiałym przyzwyczajeniem polskiej mowy do gminnej prostoty, do logicznej niefrasobliwości, która pozwala utożsamiać podwójne przeczenie z negacją, czy z głupia frant zaprzeczyc istnieniu niebytu?

2.

Do porządku przyswajania, który pomaga uniwersalizować kulturę polską, należy także dzieło Marii Kureckiej i Witolda Wirpszy – spolszczenie *Doktora Faustusa* Tomasza Manna. Jest to powieść ważna. Być może najważniejsza z napisanych w dwudziestym stuleciu. Wielowątkowa, nasycona eseistyką z pogranicza historii, filozofii, muzykologii, estetyki... Na wskroś nowoczesna, czerpiąca u źródeł wiedzę o dodekafonii, o teorii muzyki Teodora W. Adorno. Trzeba o tym pamiętać, bo gdy Kurecka i Wirpsza tłumaczyli *Doktora Faustusa* znajomość ogólnych założeń Szkoły Frankfurckiej w Polsce była raczej powierzchowna, zaś o wysublimowanych analizach *filozofii nowej muzyki* porozmawiać mogło tylko kilka osób. Tymczasem spolszczenie historii Adiana Leverkühna wymagało głębokich studiów oraz pełnego zrozumienia rzeczywistej rewolucji, która dokonała się w połowie XX stulecia w sztuce, w jej teoretycznych artykułacjach, w całej filozoficznej otoczce realnych przemian.

Dodatkową trudnością, którą bez wątpienia napotkała para tłumaczy była wieloznaczność każdego prowadzonego wątku, każdej opisywanej przez Tomasza Manna postaci, włącznie z narratorem powieści – mannowskim *alter ego* – Serenusem Zeitblomem oraz jej głównym bohaterem, którego autor nazywał nie kompozytorem, lecz – korzystając ze starego niemieckiego terminu *Tonsetzerem* – *Mistrzem Tonu*, czyli tym, który swoim tonem innym ton nadaje. Tę wieloznaczność dodatkowo zwielokrotniała – tak mocno podkreślana przez samego Wirpszę – ironia Mannowskiej narracji, owa *maszyna ironizacyjna* Tomasza Manna, która w tym *dziele funkcjonuje ze szczególną precyzją*. Jakiej to nowatorskiej ekwilibrystyki należało użyć, by w mowie przynależnej do romantycznego patosu wyrazić tę ironiczną oraz autoironiczną wieloznaczność klasycznej wręcz tragedii, która była udziałem wszystkich bohaterów towarzyszących poczynaniom *Tonsetzer'a*?

Z tego zadania para tłumaczy wywiązała się nadzwyczajnie. Udało im się w języku dalekim od źródła klarownie wyłożyć skomplikowane kwestie dotyczące do dziś tajemnych zasad dodekafonii, przyswoić porywające analizy ostatnich kwartetów Beethovena, bachowskiej polifonii, czy... frazy Chopina. A z innej sfery... Spotykamy tu niezwykle połączenie języka polskiego baroku z mową staropolską, które świetnie oddaje luteraniską niemczyzną Leverkühna. Nieco na marginesie spotykamy śmiały, nieadekwatny do oryginału, lecz spójny z polską całością, sposób tłumaczenia ważnych kwestii wypowiedzianych w milczącej ciszy przez Panią Schweigestill. Ta skomplikowana

chłopka mówiła przecież w oryginale niemczyzną ograniczoną silnym bawarskim dialektem. Prawdopodobnie ludyczność jej wypowiedzi w polskim tłumaczeniu (z uwagi na całkiem odmienną w oryginale – nie katolicką, lecz protestancką! – recepcję ludyczności) obniżyłaby jej wymowność. Więc może dlatego w kwestiach rozstrzygających Kurecka i Wirpsza zrezygnowali z gwary góralskiej bądź stylizacji à la Wyspiański, by stara kobieta mogła powiedzieć w sposób zrozumiały i do nas, i do widzów przypatrujących się tragedii *Tonsetzer'a* z ostatnich rządów: *Nie macie wyrozumienia na takie sprawy, wy, miejscy ludzie, a tu wyrozumienie potrzebne! (...) prawdziwe ludzkie wyrozumienie, wierzcie mi, starczy na wszystko!*

W książce *Diabelne tarapaty*, poświęconej prawie w całości trudnościom w tłumaczeniu *Doktora Faustusa*, podawała Maria Kurecka ogromną ilość przykładów nieprzekładalności tej opowieści na język polski. Bez mała wszystkie one wynikały z ogromnego bogactwa i historycznego i strukturalnego języka niemieckiego, w którym napisano najważniejsze dzieła filozoficzne, wypracowano najistotniejsze kategorie nauk społecznych, który

Doktor Faustus – traktat o miłości. W podzięcie dla Marii Kureckiej i Witolda Wirpszy



towarzyszył konceptualizacji prawie całej muzyki europejskiej, a także poezji, i który w dodatku (w odróżnieniu choćby od języka polskiego, który mimo starań za tym wszystkim nie nadążał) był i jest w posiadaniu kilkunastu przynajmniej żywych dialektów. Tomasz Mann był świadom tego, że jego książka jest *dziełem mowy*, w którym perspektywy językowe szesnastego i siedemnastego wieku, luteranizm i kontrreformacja, mistycyzm i religijne sekciarstwo, mieszają się z oświeceniową frazą Zeitbloma, z elementami *Hochdeutsch* czy *schweizerdeutsch* w paplaninie Nepomuka, z dialektami północnoniemieckimi... W tej językowej polifonii narrator nie tylko prezentuje historie łączące bohaterów dramatu, nie tylko opowiada o muzyce, lecz również powołuje ją – niczym kompozytor – do życia. Posługuje się przy tym językiem niczym muzyczną frazą, subtelną przez wielowarstwowość i bezdenność znaczeń. Z konfrontacji z tymi tarapatami sztuki translatorskiej Kureckiej i Wirpszy wyszedł na tyle zwycięsko, iż zaryzykować można twierdzenie, że polska wersja *Doktora Faustusa* jest dziełem kongenialnym.

3.

Doktor Faustus jest powieścią na wskroś niemiecką. Niemiecki jest nie tylko mit, z którego korzysta. Do Niemiec przynależy cały historyczny kontekst powieści, który sprawia, że jest ona – szczególnie w recepcji wewnątrzniemieckiej – traktowana niczym wielka metafora szaleństwa i upadku nazizmu. Do takiej redukcji przyczynił się bez wątpienia sam Tomasz Mann, który w *Posłowie* utożsamiał kontrakt zawarty przez *Leverkühna* z *układem*, którego (Niemcy) zamierzały dotrzymać, a który podpisały własną krwią. Czy to nie dlatego Serenus Zeitblom bezradnie składa ręce i mówi: „*Bóg niechaj się zlituje nad waszą biedną duszą, mój przyjacielu, moja ojczyzno!*”

Lecz ironia Tomasza Manna, która zwielokrotnia każdą dwuznaczność tej opowieści, pozwala odczytywać i całość i jej części nieco odmiennie. No bo jak to było chociażby z chorobą Leverkühna? Czy było to szczególnie wyrafinowane intelektualnie, demoniczne szaleństwo, czy też może tylko zaawansowany przypadek syfilisu? Lub jak to było z humanitarnie ukształconą, na wskroś umiarkowaną, naturą Serenusa Zeitbloma? Czy była przypadłością zanurzonych w klasycznej tradycji teorii czy może również spolegliwością, lub wręcz uległością mas wykształconych bez sensu i na darmo? I jeszcze jedno istotne pytanie: na czym polegało owo zło, którego doświadczył Leverkühn? Czy w jego kontrakcie z diabłem zawarta była cena kompozytorskiego sukcesu? Przymus czynienia zła? Postępowanie lekceważące wszystko, co godziwe, co dobre? Wiemy jak zgrzeszył naród niemiecki. Lecz grzech Leverkühna pozostaje niejawnym i niejednoznaczny. Dzieje się przecież w sferze wysublimowanego cierpienia, które towarzyszy działaniu destrukcyjnej dialektyki miłości. Dlatego właśnie opisane przez Tomasza Manna rozmaite stadia i studia jej niespełnienia czynią z *Doktora Faustusa* traktat nade wszystko miłości poświęcony.

Znajdujemy się blisko sedna... Oto niektóre nakładające się na siebie wątki miłosnej degradacji. Na pierwszym planie śledzimy homoerotyczny związek narratora z głównym bohaterem. Tego pierwszego bolesne umiłowanie geniusza, który spogląda na wysiłki Zeitbloma bez jakiegokolwiek wzajemności i zrozumienia i traktuje go z taką nonszalancją jak Wielkie Niemcy Tomasza Manna. Kolejna dwuznaczność? Na pewno. Ale jakże piękny jest ten szkic niespełnienia męskiej i narodowej fascynacji.

Inny wątek z pierwszego planu. Ukryta przed wszystkimi miłość *Tonsetzer'a* do prostytutki, owej Hetery Esmeraldy, która przyciągając go do zatrutego łona, pozwoliła Leverkühnowi – poprzez definicję własnego upodlenia – zrozumieć, jak trywialne zło i zmysłowy upadek łączyć się mogą z wybawieniem, z uduchowioną ofiarą, z przeżywaniem zbliżonym do świętości. O tej iście heglowskiej potępięcej drodze ku zbawieniu wspominał narrator: Nigdy bez religijnego wstrząsu nie mogłem myśleć o tym uścisku, w którym jedna strona zatrafiła zbawienie, druga zaś je odnalazła. Tomasz Mann drążył ten temat, uczynił go centralnym w powieści, bo domyślał się, że nasza seksualność przyjmuje nie tylko formy perwersyjne, że w równym stopniu jest obszarem przeżyć mistycznych, o których powiedzieć można: *czelustcie rozkoszy...* Na ich dnie pojawia się ów zmysłowy trójką, w którym dłoń Esmeraldy na policzku Adriana – w zupełnie innym czasie i w odmiennie przestrzeni – przenika na wskroś dalekie od uniesień surowe oblicze Serenusa Zeitbloma.

Jakże dwuznaczne z tego punktu widzenia wydają się inne pierwszoplanowe przykłady tej dialektyki miłości. Choćby ten kolejny miłosny trójką, stworzony przez Leverkühna oraz jego (nie tylko muzycznego) adoratora – Rudiego Schwerdtfegera z bliską obojgu, choć miłą także innym – Marią Godeau. Poczucie lęku i niemocy skutkujące perwersyjnym zastępstwem kochającego przez kochanka. Wielostronne napięcie, które tej grze towarzyszyło, rozładowane w dramatyczny sposób przez wzgardzoną bohaterkę drugiego planu – Inez Instoris. Zabójstwo z miłości, mściwość wzgardzonej seksualności. Zmysłowa rozpacz, której destrukcja nie zna granic. Nic z tego nie umknęło narratorowi, który antycypując zbrodnię popełnioną przez Inez zmuszony był wyznać: *byłem zdecydowanie dumny, że w upodleniu swoim znalazła jeszcze siłę i dźwięk energii, aby dokonać tego czynu.*

Upiory miłosnych klęsk i upadków otaczają Leverkühna zewsząd. Dotyczy to również drugiego planu opowieści. We wspomnieniach Elsy Schweigestill pojawia się córka sędziego z Bayreuth, która w ukryciu donasza ciężę, owoc megalomanii z szoferem ojca. Nawet ta trywialna historia uzyskuje formę dramatu, w którym położnica – niczym w greckiej tragedii – umiera *według swej woli i chęci*. Podobną rolę odgrywa siostra Ines – Klaryssa Rodde, która samobójstwem okupuje chwilową uległość własnej zmysłowości. Na każdym kroku powieści zwierzęca strona człowieczej egzystencji prowadzi do coraz to wymyślniejszych katastrof. Tomasz Mann powiela je w nieskończoność, wykazując w tej mierze niespotykaną inwencję. Nic dziwnego, że w ostateczności wielostronnie doświadczona miłość Leverkühna wystawiona zostaje na najwyższą, wysublimowaną – oraz odłączoną od magicznego kręgu żądź – próbę, którą stanowiła śmierć ukochanego siostrzeńca, symbolicznego dziecka, pięcioletniego Nepomuka. Dopiero w konfrontacji z tą właśnie – zawsze absurdalną, bo przedwczesną – śmiercią,

świat Doktora Faustusa ostatecznie rozpada się, traci podstawy, które dotąd nadawały mu ludzki charakter. To wówczas Leverkühn stanął świadomie „po drugiej stronie”, o czym niezwłocznie zawiadomił był Zeitbloma:

- To być nie może.
- Co, Adrianie, być nie może?
- To, co dobre i szlachetne – odparł – to, co nazywa się ludzkim, mimo że dobre jest i szlachetne.

4.

Theatrum *Doktora Faustusa* to świat zdegradowanej miłości. Umiłowanie prowadzi do samozaprzeczenia. Zdesperowana afektywność niszczy własną przedmiotowość. Empatia dowodzi jedynie powszechności emocjonalnego solipsizmu. Leverkühn ogniskuje te doświadczenia. Dlatego opowieść o nim to traktat o deficycie miłości we współczesnym świecie, rozprawa która w swej odrębności daleko wykracza poza metaforę historii Niemiec. Opowieść o destrukcyjnej dialektyce miłości jest uniwersalna, tj. aktualna poza doświadczeniem nazizmu, ważna w każdej kulturowej niszy, w której przypadkowy stosunek płciowy przekształca się w gatunkowe uniesienie, w doktrynę *lebensraum*, w reprodukcję cierpienia i niespełnienia...

To nie przypadek, że w niemal tym samym czasie, co *Doktor Faustus*, w opozycji do innego – stalinowskiego – totalitaryzmu, napisana została opowieść paralelna: *Mistrz i Małgorzata* Michała Bułhakowa. Podobieństwo dotyczy przede wszystkim głównego przesłania obu dzieł: to nie demony, to nie skryte, czyniące zło siły, lecz to my, wyłącznie nasze pragnienia, nasze żądze przyczyniają się bezpośrednio do zdemolowania relacji międzyludzkich. Jeśli nawet diabeł i cała jego świta zjawiają się, to na gotowe, by przyspieszyć to, co nieuchronne i ukazać pełne spektrum korozji stosunków społecznych. Nikogo nie powinien zmylić ironiczny ton narracji Bułhakowa. Wszystkie osoby dramatu uczestniczą w tej samej autodestrukcyjnej grze. Dialog Piłata z Jezusą Ha-Nocri nigdy nie zostanie dokończony. Podobnie miłość Mistrza i Małgorzaty nie jest możliwa w naszym świecie. Kontrakt, który z diabłem zawiera Małgorzata realizuje się w jakiejś innej, nierealnej przestrzeni, do której przepustkę stanowi śmierć. Tam i tylko tam kochankowie znajdują spełnienie, a ofiary wybaczą swoimi oprawcom.

Czy to nie symptomatyczne, że dwie – napisane całkiem niezależnie od siebie – najważniejsze książki opisujące powszednią degrengoladę dwudziestowiecznego totalitaryzmu to traktaty o miłości, a dokładniej o jej przenicowaniu i niemożliwości? Obydwa pisane były na bieżąco, w bezpośredniej konfrontacji z rzeczywistością, w której zbiorowej pandemii było równie przerażające jak groza wewnętrznej pustki każdej osoby z osobna. Opis tej właśnie pustki, jałowej ziemi, która zasiedlana była przez niekontrolowane niczym odruchy i nieweryfikowalne idee, okazał się bardziej poruszający niżeli statystyka masowej zagłady. Dlatego bohaterowie obu powieści są wyjątkowi. Skazani przez swoich twórców na poniewierkę i upokorzenia, są jednocześnie obiektami ich adoracji, bo w świecie zdegradowanej miłości pełnią rolę klasycznego antidotum. Wręcz zgodnie ze średniowieczną formułą odtrutki, którą upowszechnił Goethe w *Fauście*, pisząc o postaci z ciemności: *jam jest tej siły cząstką drobną, co pragnąc zła, wciąż czyni dobro...* Czy nie inaczej myślał Tomasz Mann o Adrianie, gdy tak oto wspominał centralną postać *Doktora Faustusa*: *nigdy tak nie kochałem żadnego z moich fikcyjnych bohaterów (...) jak właśnie jego. Podzielałem uczucia, jakie żywił dlań poczciwy Serenus, z troską i niepokojem byłem w nim zakochany...*

5.

Książka Bułhakowa powstała w Rosji Radzieckiej, w latach trzydziestych dwudziestego stulecia, w najczarniejszym okresie głodu i masowej eksterminacji. Ostatnie poprawki miały miejsce na krótko przed śmiercią autora, w lutym 1940 roku, gdy prawie cała Europa podzielona została pomiędzy, tylko z pozoru bliskie sobie, autorytarne szaleństwa.

Doktor Faustus został napisany w latach 1943–1947. Tomasz Mann z premedytacją rozpoczął pisać (lub może tylko „notować”?) opowieść narratora, w tym samym dniu, który za początek swej opowieści – z woli Tomasza Manna – ogłosił sam Serenus Zeitblom. We wspomnieniach wyznał, że ten formalny zabieg był charakterystyczny dla całej książki (...) jej tylko właściwej prawdziwości. To dlatego kłęski wirtuozów niemieckiej muzyki dwudziestego stulecia jako żywo pokrywają się w *Doktorze Faustusie* z wydarzeniami spod Stalingradu, Kurska i Normandii...

W roku 1942 Witold Wirpsza skończył dwadzieścia cztery lata, ze stopniem podchorążego przebywał w niemieckim obozie jenieckim, w Oflagu II D Gross-Born, dziś Klomino, niedaleko Bornego-Sulinowa. Dzięki towarzyszywi obozowej niedoli, podporucznikowi Teodorowi Dembińskiemu, Marii Kurecka, którą Wirpsza poznał był już w roku 1929, otrzymała jego aktualny „adres”. On miał wówczas lat dwanaście, ona dziesięć. W jednym z pierwszych listów z oflagu Wirpsza wspomina *flirt salonowy*, jaki z Paną Marylką prowadził był wówczas oraz niezręczną sytuację *gdyśmy po kolacji poszli do swojego pokoju i w żaden sposób nie mogłem Pani nakłonić do rozmowy...*

O tym, co pisze Maria Kurecka, domyśliłyśmy się tylko z wątków omawianych przez Witolda Wirpszę. Pierwsze listy wydają się stanowić jedynie kontynuację dziecięcego flirtu, lecz niezadługo staje się oczywiste, że oboje noszą w sobie potrzebę miłości dorosłej. Wiele miejsca poświęcają swoim lekturom, muzyce, którą oboje fascynują się, dzielą się także własnymi próbami poetyckimi, lecz głównym tematem pozostają życiowe drogowskazy, podstawowe zasady, którym są wierni i których treść uzgadniają między sobą.



A czynią to, by dowiedzieć się, jak bardzo mogą sobie stać się bliscy. W marcu roku 1944 Wirpsza czyni zestawienie wcześniej omówionych pryncypiów i zdobywa się na ryzykowne życzenie: Co do spraw poważnych. Mój Boże! Prostoty wiary dotychczas nie osiągnąłem. Miłość – tak samo jak Ty – uważam, za motor wszystkiego, co się dzieje, ale nie jest to we mnie tak bardzo znowu chrześcijańskie. Trochę tam i Grecy się w to wmieszali, trochę jest i szumu litewskich lasów. A Epikur – toć to przecież utwierdzenie wartości życia! (Nie mieszając z hedonizmem!). Etyka zaś z tego wszystkiego taka się zrobiła: negatywnie – nie wolno krzywdzić żadnego człowieka; pozytywnie – żyj tak, abyś miał radości życia, miłości, sumienia – i – co najtrudniejsze – bliźnich. Na życie zaś pośmiertne zapatruję się tak, jak Sokrates w Krytonie. – Zaś co do urody życia – uważam, że tworzy ją wszelakie Piękno, które nie sprzeciwia się Dobru – tzn., nie krzywdzi żadnego człowieka. Tak trochę Petronjusz, tylko pogłębiony pewnym chrześcijańskim nalotem. – Na zakończenie wyjawię Ci pewne życzenie: chciałbym Cię mocno pocałować w usta. Tylko nie zrozum mnie źle – tak się całuje słoneczny promień poezji. A Ty jesteś nią dla mnie.

Z listów z końca roku 1944 dowiadujemy się, że Wirpsza i Kurecka są sobie zaręczeni. Potwierdza ten fakt Teodor Dembiński, w liście do Kureckiej, który zachował się w korespondencji Witolda Wirpszy: *Kochana Pani Marylo, W ub. niedziele (...) Witold (...) zawiadomił nas o waszych zaręczynach, wesoło i zaznaczając że pewnego stycznia ja jestem sprawcą tego, gdyż ode mnie otrzymał swego czasu adres Pani. Nie potrzebuję zapewniać jak bardzo się tej wiadomości ucieszyłem, że „zabawy w narzeczeństwo” u waszych dzieciennych lat się ziściły, bo przez te dwa i pół lata wspólnie spędzone na różnych spacerach i dyskusjach dobrze poznałem i szczerze polubiłem Witolda. Tu (...) zawsze się cieszyłem, jaki żywy ma umysł i pogodnie usposobienie a serce jego najlepiej poznałem, gdy się niepokoił losami Pani w ostatnich czasach i jak się ucieszył, gdy pierwsze przyszły wiadomości. Przykro mi tylko, że ten najładniejszy okres życia musicie spędzać...*

Kurecka i Wirpsza pobrali się w roku 1945. Rok później urodził się ich syn – Aleksander. Wspólne życie zaowocowało wieloma przedsięwzięciami realizowanymi osobno i razem. Wśród tych drugih, poza wspólnymi tłumaczeniami Hessego, Huizingi czy... współczesnej poezji wietnamskiej, najważniejsze miejsce zajmuje spolszczenie *Doktora Faustusa*. Nieprzypadkowo tej książce poświęcili znaczne fragmenty własnej eseistyki (wspomniane *Diabelne tarapaty* Kureckiej, wydane w 1970, czy cytowany wyżej szkic poświęcony opowieści o Tonsetzerze w wirpszowej *Grze znaczeń* - 1965), to o jej autorze powstała jeszcze w latach 60-tych książka Marii Kureckiej *Czarodziej. Rzecz o Tomaszu Mannie*.

6.

Historia Wirpszy i Kureckiej jest jak najbardziej realna, lecz jednocześnie kreuje swe literackie, a nawet kulturowe, warianty. Cóż to oznacza? Że z jednej strony jest to zmysłowy epizod rozgrywający się pomiędzy niszczycielskimi żywiołami nazizmu i stalinizmu. I że zarazem ich znajomość jest wyłotem w niszczycielskim systemie, ponieważ rozgrywa się w jakiejś nader przyjaznej dla odmienności enklawie wolności. Jest więc także zdarzeniem symbolicznym i przez to tak ważnym dla nas nadal. Wypadałoby rozwinąć tę myśl.

Wirpsza żył oczywiście w realnym uwięzieniu, w reżimie podległym logice niszczenia. Kurecka egzystowała w strukturze powszechnej przemocy. Wszystkie ich listy pochodzą – jak by określił Tomasz Mann – *aus tiefer Nacht*, lecz przecież nie prowadzą potencjalnych kochanków do nocy najgłębszej, nie wymagają od nich tej ofiary, której dopełnić muszą zarówno literackie postaci Bułhakowa i Manna, jak i realni bohaterowie narodowych dramatów Rosji i Niemiec. Skąd wzięła się ich zdolność do wysublimowanych uniesień, czemuż to oboje nie ulegli tej redukcji, którą tak dobitnie opisywali Solżenicyn i Borowski? Dlaczego owi kapłani miłości z dramatów Bułhakowa i Manna nie mogą kochać ludzi z krwi i kości, choć wiedzą wszystko o tym, jak i kogo należy kochać, dlaczego wymykają się złu i stają się predysponowani do miłości wyłącznie przez śmierć, gdy tymczasem para szeregowych wyznawców magii miłości, pomimo realnego zniewolenia, mogła, na przekór całej strukturze wszechpanującej nienawiści, przekształcić ją w coś namacalnego i bliskiego?

Czy nie dlatego, że oboje wytworzyli w sobie samych ów obszar samostanowienia, który pozwala oderwać się od reżimu nienawiści oraz psychologii oprawcy? Bo przecież wolność uzyskuje się nie z dekretów i nie z nadań, lecz wyłącznie od wewnątrz,

dzięki woli, poprzez siłę własnego samostanowienia. Przynajmniej w sferze realnej. A jak to jest w wymiarze symbolicznym, w dziedzinie, w której porozrzucane i nielogiczne zdarzenia podporządkowane są ogólnym tendencjom? W kulturze europejskiej istnieje tradycja, w której miłość – podobnie jak wzajemne uznanie, wyrażające się w powszechnym wyrozumieniu, w odczuciu równości – ma status równoprawny wolności. Wariantem tej idei jest przekonanie, iż miłość jest bezpośrednią emanacją wolności. Wprawdzie nigdy nie jest dana, lecz jest możliwa. Trzeba się o nią spierać, czasem walczyć, niekiedy w jej imieniu ginąć, bo wolność jest wartością samoistną. To przekonanie wiodło ludzi na barykady, nakazywało im burzyć więzienia i zakazy.

Lecz przecież w kulturze Europy wolność była i wciąż jest pojmowana całkiem odmiennie. Przede wszystkim niesamodzielnie. Bo jako taka niczego sama w sobie nie daje, może tylko służyć innym celom. Co za tym idzie – traktowana jest instrumentalnie. Oto skrajne przykłady: u Bierdiajewa wolność człowieka służyła zbliżeniu do Boga, gdy na drugim biegunie, u Nietzschego pomagała w jego uśmierceniu. U obu przejście od naszej wolności do umiłowania bytów pod każdym względem nam równych i wyrozumiałych – w zasadzie nie jest możliwe. Bo ten sposób pojmowania wolności wiąże nas nie z nami, lecz z ideami lub z negacjami tych idei, którym wydajemy się być podporządkowani i ulegli. Alternatywą dla tego podporządkowania bywa z reguły eskapizm, jedyny, choć w ostateczności pozorny, sposób przewycięzania alienacji. Z pozycji oświeceniowej racjonalności dostrzegał tę sprzeczność Serenus Zeitblom: *czyż była to „wolna” muzyka (...)?* – pytał o istotę kreacji Adrian Leverkühna. *Nie. Była to muzyka nigdy nie dokonanej ucieczki.* To ta „ucieczka” sprawiła, że dla Tonsetzera namacalne wydawały się byty wyobcowane, gdy tymczasem to, co ludzkie stało się nieosiągalne, niszczące, wrogie.

7.

Jako istoty wolne możemy pokochać wszystko. Także byty abstrakcyjne, niekiedy obce i zimne, czasami tak dalekie, iż trudno nam sobie przypomnieć, że tylko naszym bywają wytworem. W ten sposób wolność tworzy z miłością najbardziej perwersyjnej figury, które przymuszają do miłowania i w ostatniej instancji sprzyjają... zniewoleniu.

Należy ufać, że nie do tej tradycji należała miłość Wirpszy i Kureckiej. W liście z maja 1944 Wirpsza dzieli się z Kurecką swym wyobrażeniem o Charitas, wyjaśniając, że ma na myśli nie miłosierdzie, lecz miłość w sensie nader szerokim. A więc i tę zmysłową, i tę bliską religijnemu uniesieniu. Lecz w tych jakże różnych i odmiennych formach miłosnego uniesienia najistotniejsze jest samo miłosne napięcie, a nie jego przedmiot: *Jednakie, mojem zdaniem – pisał z Gross-Born – może dać jednostce szczęście dziecko, poczęte w miłości, jak i Bóg w miłości wyobrażony. Istotą jest – siła miłosnego napięcia, a nie jej kierunek. Nie co, ale jak.*

Tyle, że między tymi dwoma światami miłości i niespełnienia nigdy nie było nieprzekraczalnej granicy. Świat, w którym wolność prowadziła do perwersyjnego zniewolenia i ten, w którym wolność dawała przynajmniej iluzoryczność nadziei, zawsze przenikały się, choć operowały innymi wyobrażeniami i mówiły różnymi językami. Spolszczenie *Doktora Faustusa* ukazało się w roku 1960, trzynastą lat po jego pierwszym, niemieckim wydaniu. Wspominając o *diabelnych tarapatach* towarzyszących tłumaczeniu tego dzieła, Kurecka dostrzegła owo ukryte znaczenie pracy tłumacza, który pośredniczy nie tylko między tekstami, nie tylko między odmiennymi językami, ale także penetruje sprzeczności obu połączonych translacji kultur, bowiem *próby transpozycji konkretnego tekstu artystycznego na inny język są w istocie niustannym, uporczywym zadawaniem pytań samej mowie (...). I to zarówno rodzimej, jak i obcej.* Pytanie zasadnicze dotyczy niezbędnego dystansu, jaki należy uzyskać zarówno wobec obcej, jak i własnej, wręcz rodzimej, dialektyki wolności i zniewolenia po to, by wyrazić wszystkie możliwe sploty tej sprzeczności. Prawdopodobnie oboje – Wirpsza i Kurecka – przebyli drogę, na której końcu dostrzec można wzajemne uzależnienie dobra i zła, wolności i jej braku, miłości i jej niespełnienia. Ta droga to – będąc ich właśnie udziałem – przeżycie swobody w warunkach upokarzającego uwięzienia.

Cezary Sikorski

Karolina Grzędziel

Anestezja

Krzyk niechętnie rozstaje się z ustami chorego
porzuca salę na której dotąd panował
Sztuka pozbywa się apodyktycznego aktora
serce przestaje gonić za właścicielem

Ciało nieustępliwe dotąd poddaje się
by mógł przemierzać kolejne przedziały
Jego ruch nakazuje krwi wychodzić z koryt
zapadają się trakty ścięgien

Uczniowie zastygają w koronkach cieni
spomiędzy okopconych ścian przebijają szkliste spojrzenia
jak w sztuce z szekspirowskiego dramatu
lub sztychów Rembrandta
Snu milczenie rzeźbi przybyłych
Gdy obraz dopełnia się w ciszy krzepnącej na
przedmiotach

i trwa tak aż do przebudzenia
na zawsze

Poezja w wersji pop

Jest popołudniowy zachód
lub popółnocny wschód
Między budynkami zawisł sen
Parki parują pod nagim niebem
Samochody tną horyzont

Znikamy pośród wielu odbić
Miasto zapada się i śni o sobie
Pierwszy raz od dawna nadchodzi lato
Pochłania je słoneczny wir
Toniemy ze skurczem nagłego wzruszenia

Jest popołudniowy zachód
lub popółnocny wschód
Nikt stąd nie broni odejść
Nikt nie zachęca by tu żyć

Jest popołudniowy zachód
lub popółnocny wschód

Reichstein

Płyną ogrody przecina je jasna pręga wody
przez źrenicę szklarni wpadają mdłe słońca
dzień się starzeje

Płyną ogrody powietrze otacza je przeźroczystą folią
Ogrodnikowi mętnieją oczy wieczór wschodzi
Linijki listów snują się jak pijacy w delirium
długa drogą zapada w sen cytrynowa trawa

Płyną ogrody otacza je czułość melodii
unoszą się warstwą mgły ponad sadami kościelnych wież
gdy dzbaneczники jak Aztekowie składają ofiary

W aromacie kawy płyną ogrody tętnią minione poranki
dzikie rośliny znają słowo wolność we wszystkich językach
dlatego przygarniał i pielęgnował każdą niczym córkę

Zanim urosła rozkwitła i zmarła
wyrwana spod serca

Genetyczni

niesiemy pamięć pasieki smak miodu
krew królów i ich skazy
szalony śmiech z obłąkanej twierdzy kaftanów

niesiemy reumatyczne stawy babek
niespokojne sny wietnamskich mamek
i dymy Oświęcimia

opłakujemy łamiące się włosy
nienapisane wiersze straceńców poetów
kochanki zawsze piękniejsze po odejściu
i ręce niepewne przy chwycie

niesiemy podmuch wiatru od morza
które kipi pod spojrzeniem dziecka

gdy rodzą się w nas nowotwory fantazje i sny

Opłakujemy siebie

Niosą nas do dołu na papierowe ścinki
Skórzane pokrowce
Do dołu nad którym pochylają się cisy Sylvi Plath
Szalone kochanki Bukowskiego i zmory Baudelaire,a

W nocy nas niosą
żeby za dnia nie razila biel czaszek
szpaler żeber salutujących przy muzyce Armstronga
Niosą nas na barkach przyjaciele po bezdrożach i manowcach
żeby nie zakłócać ruchu
nie przedłużać międzylądowań

Niosą jak najdalej od zgiełku
którego staliśmy się udziałowcami
realizatorami weksli na metafory i epitety

Aż do dołu nas niosą
gdzie grudki ziemi osuwają się na usta i oczy

Wnętrze

To co ważne kryje się we wnętrzu
dlatego zrywa płaszcz pod którym się chowa
Widzi przęsła mięśni na szkielecie
Machina ma swoje wzloty i upadki
uwodzi malarzy i pozuje poetom

Przecina by wydobyć światło którym się karmi
którym napędza tryby w którym odkłada lata
W zupełnej ciszy i na mocy prawa jest jej zdobywcą

Zanim przyjdą mikroskopy kleszcze i lancety
a kamery zaczną nagrywać dusze i sny przewiną jak taśmę
wyjmie z jej zaciśniętych ust kamyk oddechu
W niemieckim mieście u stóp chłodnego morza
otworzą się jego oczy na wiele odpowiedzi

Moi profesorowie

Milkną we wrzasku tramwajów i jazgocie autobusów
zbyt głośnym radiu lub martwym świetle monitorów
wołają rozkładać namioty chmur zwiedzać cmentarze pulsarów
snuć przedzę zodiaków
z alchemii wilgoci wypuszczać wypławki

Ożywają w mrugnięciach diod w meszkach paprotek
Osieroceni ze skrzypiących krzesel auli i białych czaszek
Zagubieni pośród map i kodów do skanowania

Odnajdują się w zwierciadłach Alicji i kotach zwiastujących
nieszczęścia
Szukają algorytmów przetrwania zwiastunów geniuszu
Rzeźbią w poetach furtki tajemne
po czym odchodzą niespiesznie

mistrzowie otwartych puent
opiekunowie ciszy



Maciej Melecki

Gdzieniegdzie

(Zapiski) – Fragment

* * *

Tu i ówdzie, od dawien dawna słyszy się, że na kulturę nie ma pieniędzy, że Państwo traktuje ją po macoszemu, spychając na szary koniec, jeśli chodzi o przydział z budżetowej puli dofinansowania. Czyżby? Na pewno wydatki Państwa skierowane na kulturę są zdecydowanie niższe niż na inne, wymienniejsze dziedziny życia, aczkolwiek, tak mi się wydaje, należałoby to precyzyjnie sprawdzić, ażeby nie powiełać obiegowych sztanc. W każdym razie samych pieniędzy przeznaczonych w tym zbożnym celu wcale nie jest aż tak mało, albowiem są to kwoty milionowe, na tyle wielkie, że z pewnością można by za nie robić rzeczy wielkie. I niekiedy, istotnie, takowe powstają w tej naszej kulturze, ale, zazwyczaj, są to rzeczy posiadające albo mikrą dotację albo żadnej. I tu, bodaj, jest pies pogrzebany. Na samym końcu tego pokarmowego łańcucha jest literatura. Każda inna dziedzina życia kulturowego, z racji swej formy, jest dziedziną wymagająca ogromnych dotacji: film, opera, teatr, nawet malarstwo. Sumy, jakie płyną z państwowej kiesy na owe dziedziny są gigantyczne, przynajmniej w skali ogólnej dystrybucji. Jeden kiepski film dotowany z państwowych funduszy zaspokoiłby wydanie około tysiąca książek. Budżety oper czy teatrów będących na państwowym garnuszku, są też niewiele mniejsze. O ile jeszcze teatr w tym kraju nie upadł doszczętnie, a momentami jawi się wręcz arcyciekawie, to rodzime produkcje filmowe zięją zgrozą. Wczoraj zainaugurowano kolejny canneński festiwal filmowy, na którym swe filmy ma pokazywać prawie cała Europa, z nestorami takimi jak Godard na czele. Polskie kino ma być reprezentowane przez dwie etiudy filmowe studentów szkół reżyserskich. Ten przykry fakt uzmysławia, na jakim beznadziejnie niskim poziomie jest to nasze lichutkie polskie kino. A zdecydowana większość ponad dwudziestu filmów produkowanych rok rocznie w tym kraju, jest przez ten kraj suto dotowana. Z kiesy państwowej jedno wydawnictwo może otrzymać maksymalnie dotację na cztery książki, dodajmy na książki niekomercyjnie, aczkolwiek i ta granica staje się już płynna – vide książki niejakich Michaśków czy Kuczoków. W sumie są to kwoty – summa summarum – zazwyczaj nieprzekraczające stu tysięcy zł. Nie są to na pewno książkowe arcydzieła, ale na pewno zdecydowanie dobre książki – jakkolwiek na nie patrzeć. I na tym kończy się niemal

mecenat państwa, jeśli chodzi o literaturę, z nielicznymi wyjątkami, w postaci opłacania tłumaczy czy zapraszania do Polskich Instytutów nieco rozsianych po świecie. Z resztą musi ona dać sobie radę sama. Nawet, gdyby przyszło jej kiedyś zagościć w Cannes.

* * *

Kim jesteś wobec nieustannej zgrozy istnienia? Ruchliwą kupką pyłu, podatną na najmniejszy podmuch, marginesem jawy, która cię okala, a która ulepiona jest z innych ruchomych kupek, nakierowujących za pomocą odruchów, resztek woli i codziennych wygibasów uwagę na siebie. W tym kokonie trzeba wynajdywać nieustannie prześwity, mogące dawać jeszcze jakąś nadzieję na inną przestrzeń – ale na samym dawaniu jej zazwyczaj to się kończy. Doczołgać się do krawędzi, by potem spaść w dół. Innej drogi nie ma.

* * *

Patrzę na zdjęcie Ojca, z którego on patrzy na mnie. Kiedy mu je robiłem cztery lata temu, chciałem je po prostu zrobić, by zaraz mu je pokazać. Jest na nim całkowicie zwrócony do obiektywu, lekko podnoszący się na łokciach, na oparciu fotela, za którym stoi, ucięty w pół w kadrze, jego wózek, nad nim uchylone lekko okno, nieco falująca firanka. Uchwyciłem więc Ojca w jego najważniejszym od trzydziestu lat miejscu: na jego fotelu, obok stolika z gazetami, telefonem i lampą. To z niego odbierał cały swój świat. Rzadko je opuszczał. W nim koncentrował swą kosmiczną energię na życie w zamknięciu. Porowata przeszłość. Wytynkowana, biała, do połowy okafelkowana klatka ostatnich, trzech dni jego życia, w mojej pamięci. Amok dnia jego śmierci, i dni do pogrzebu. Odrętwienie i zdrewnienie w dniu pogrzebu. Ścięcie dniami następnymi. Wyrwa do dzisiaj.

* * *

Tylko to, co ulotne, okazuje się najtrwalsze. A więc tylko chwila, rozpięty w niej moment, jest jedyną trwałością, i tym samym, wartością samą w sobie. Mięsz i żwir. Kręty tor zaniku. Wszystko inne to fatamorgana, podstępna sztuczka losu.

* * *

Zawsze, kiedy gaszę światło w głównym pokoju, i wchodzę do

spialni, migocze w niej zepsuta żarówka. W ciemnym pokoju jawi się to jak błady, rwany sygnał wysyłany spod sufitu.

* * *

W otwartym oknie kamienicy stoi laptop tyłem do biegnącej pod oknem ulicy i kamienicy naprzeciwko. Zza ekranu dostrzegam nieruchomy kontur głowy, najwyraźniej tępo wpatrzonej w sterczącą kłapę. Oto współczesny człowiek, który wypatruje rzeczywistości już nie w otwartym oknie, ale w wstawionym w niego oknie ekranu.

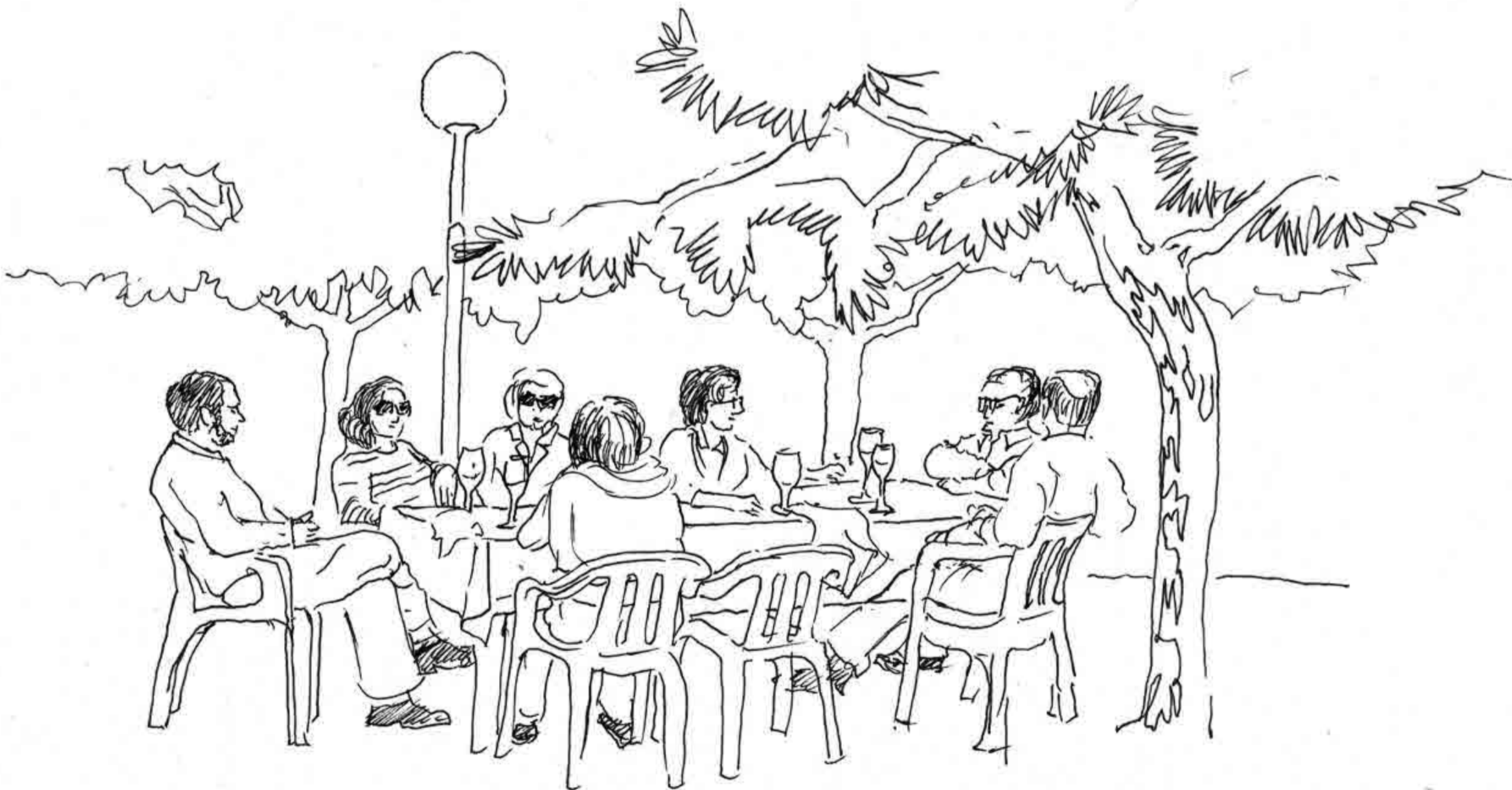
* * *

Podchodzę do pierwszej taksówki na postoju w Mikołowie. Przed nią stoi starszy jegomość, który właśnie co odpałił papierosa. Można – pytam się kurtuazyjnie. – Ja nie jest od stania, tylko od jeżdżenia – odpowiada, i siada za kierownicą. Poproszę pod Żabkę, na Żwirki i Wigury – utrzymuję ton. Nie lepiej to w domu siedzieć – nieco gorzkim tonem stwierdza taksówkarz. Wiem pan – staram się zripostować – w domu różne dziwne rzeczy się dzieją. – No, fakt – przytakuje. Kiedy dojeżdżamy, nagle się pyta – A co tam się dzieje w Instytucie? – Wakacje się kończą, jak wszędzie, nic nowego. A co? Pan wie, gdzie jest Instytut – nieco zaskoczony odpowiadam pytaniem. Panie, ja wszystkich tu znam – pewnie wyjaśnia. A Targiela Pan znał? – zaciekawiam się. Jasne, i Dejasa, i Wojaczka. – Wojaczka Pan znał? – zaferowany zaczynam się dopytywać. – Największy pijak w mieście, panie, i gdyby mu Szymborska nie pomogła, i tych wierszy nie napisała, to by nikt go nie znał – wali mnie obuchem objawionej prawdy. Jestem przez chwilę prawie że porażony tym, co mi wyjawiał, łapię więc oddech, po czym, odruchowo, zdumiony wciąż tą sensacyjną informacją, przechodzę do kontrataku – Szymborska napisała mu wiersze? Pierwsze słyszę. – Panie, tak słyszałem, napisała mu i nimi debiutował – nie zbity z tropu, utwierdza mnie w tej swojej wiedzy. – A Andrzeja Wojaczka też pan znał? Staram się jakoś odciągnąć go o tej upiornej myśli, z którą był raczyć podzielić się ze mną. – Nie, jego nie. Ale wiem, że chyba aktorem był.

* * *

Kuriozalni poeci polscy! Tegoż rodzaju określenie ciśnię mi się zawsze na usta, kiedy widzę, czytam lub słyszę kogoś takiego, jak niejaki Tadeusz Dąbrowski. Wciąż młody poeta, robiący

→
cd. str. 12



Ale wie, że przychodzi za wcześnie, że nikt jeszcze nie jest gotów na przyjęcie tej oto prawdy. Tak więc między nią a Bogiem nie ma nic, ponieważ są to rzeczy wciąż martwe.

* * *

Kręgle są bodaj najbardziej egzystencjalną grą. Kształt kręgla odpowiada wszak ludzkemu, jest pomniejszonym jego fantomem. Rozstawienie ich w polu, będącym końcem toru dla kuli, wzmacnia w rzucającym podniecenie. Ma strącić jak najwięcej kręgli za jednym zamachem. Kręglami jesteśmy my – sztywno wstawieni z góry, w odpowiednim szeregu, wystawieni na cios zmierzającej ku nam kuli. Za nami jest czarna przepaść, kulą jest ślepy los. Wszystko zależy od precyzji rzutu. Im bardziej dokładny, tym większa szansa na zmieszenie jak największej ilości kręgli. Być może właśnie dlatego gra w kręgle jest tak rozpowszechniona – najczęściej kręgielnie usytuowane są w kompleksach rozrywkowych lub wypoczynkowych. Ludzie uwielbiają dostarczać sobie wypoczynku lub rozrywki poprzez strącanie swoich fantomów – jakby podświadomie odreagowywali swoje nieustanne zagrożenie tym, że mogą nagle rozbić jak największą ilość siebie.

* * *

Niczego nie rozumiemy bardziej od samych siebie? Gdyby istotnie tak było, wiedzielibyśmy dokładnie dokąd to wszystko zmierza. Wiemy przeto niewiele. Coś wypowiadamy, kłecimy nieporadne zbitki zdań, komunikujemy się z innymi jakby byli za murem. Niesie nas echo. Nie rozumiemy nawet tego. Cieszymy się więc z wolnego dnia – słonecznego, ciepłego, w którym można pójść na spacer i zobaczyć jak nieliczni zostali zagnani do pracy.

* * *

Nie ma takiej możliwości, zasadności ani też konieczności, ażeby żyć w podległym układzie wobec wymogów nakładanych jak kryza przez drugiego człowieka. Do końca jest się pojedynczym. Od początku było się pojedynczym – i być może właśnie ta oczywistość, dość zarazem przygnębiająca, jeśli chodzi o wydanie na pastwę osobnej obecności, znamienuje nas na tyle mocno, że nie jesteśmy w stanie – mimo podejmowanych prób – przekroczyć, nieprzekraczalnego w istocie, progu samego siebie i belki innego. Jeśli u innego nie ma tego elementarnego wcięcia, które pozwala na przyjmowanie drugiego, akceptując go tym samym, podług woli i potrzeby przyjęcia takim, jakim się jawi w całej, dostępczej swej rozpiętości, wówczas, prędzej czy później, z uwagi na jakiś nieprzyjmowany aspekt w nim tkwiący, rażący o tyle, że może się on zdawać emanacją jego ego, nastąpi całkowity odrzut, dezawuuujący tym samym całą resztę. Taka to jest aporia drugiego.

* * *

Świat bez podstaw – oto odpowiedź na pytanie, jakim on jest. Jeśli ktokolwiek byłby jeszcze w stanie dowodzić, że posiada on – czyli świat – jakieś konstytuujące go podstawy, to szybko musiałby popaść w samosprzeczność, co byłoby zarazem kolejną odpowiedzią na to, czym on jest. Albowiem, jak pisze Bataille: Życie jest snem, z którego budzimy się umierając.

Maciej Melecki



Ryc. Jacek Krenz

– jak na warunki polskie – zawrotną karierę poetycką zagranicą, w postaci rozlicznej bytności na międzynarodowych festiwalach, wydający tamże swoje książki poetyckie, wreszcie, nie może lansujący się w kraju jako bohater wywiadów w poczytnej prasie codziennej lub kolorowej. Wielkie aj waj splywa na czytelników niektórych portali kulturowy, kiedy to – co rusz – podawane są informacje o opublikowaniu przez niego wiersza w New York Times'ie lub o spotkaniu autorskim tegoż np. w Tel Avivie. Dąbrowski, dzięki takiej socjotechnice, wyteżonej pracy na rzecz auto lansowania się gdzie bądź, dla przeciętnego odbiorcy, ale i nawet dla zawodowego znawcy literatury urasta do rangi istotnego wydarzenia literackiego, stając się zjawiskowym ambasadorem współczesnej młodej poezji. Dlaczego akurat on? – mógłby ktoś zadać sobie pytanie. Wszak – mógłby sobie odpowiedzieć – jest jednym z wielu podobnych do siebie poetów: piszącym bardzo przeciętne wiersze, łatwe, komunikatywne, niesproblematyzowane, odnoszące się do uniwersalnej, prosto ujętej sekwencyjności przytaczanych zdarzeń. Wiersze idące trop w trop za wierszami jego wielkiego guru – Adama Zagajewskiego. Być może w tym mieści się sedno tak przyjętej, wyrachowanej strategii Dąbrowskiego – być drugim Adamem Z. Poczytność poezji spod znaku Zagajewskiego jest w Polsce zdecydowanie większa niż poezji spod znaku – powiedzmy – Wirpsy. Stacjonowanie w dokach takiego wydawnictwa jak a5, niewątpliwie zbliża Dąbrowskiego do wielkich mistrzów prostoty poetyckiej. Połączone to z wrodzoną zaradnością, kunktatorskim sprytem, niezwykłym animuszem w pojawianiu się w medialnej breji, zapewnia mu stale rosnącą uwagę, którą skupia tworzenie tzw. wydarzenia medialnego z elementarnego faktu – np. opublikowania gdzieś za granicą wiersza w przekładzie na j. angielski czy niemiecki (nie znam innego poety, który dbałby tak pilnie o informowaniu o swoich publikacjach literackich w prasie zachodniej – a poetów tam publikujących swoje przekłady wierszy jest w Polsce sporo). Dąbrowski jakby całkowicie uwierzył w swoją nadprzeciętną wielkość, uwierzył dzięki nieustannemu wmawianiu każdemu, kto czyta literackie portale albo gazety np. (Wyborcza, Polityka), czy czasopisma literackie (Zeszyty Literackie, Topos), że każdy jego ruch literacki jest odnotowywany lub odbierany jako szybko rozprzesztrzeniające się zdarzenie o doniosłej dla literatury polskiej randze. Niby na ten haczyk rzadko kto się nabiera, niby. Ale jednakowoż jego obecność w zgiełku medialnego chowu jest stale wyodrębniana. Właśnie dzisiaj rano widziałem w telewizji reklamę nowego programu pt. Kreatywni. pl, w której, pierwszym, młodym kreatywnym był nie kto inny – przemykający w zapowiadającej migawce, siedzący za biurkiem – jak właśnie on: autor pamiętnego tomu wierszy pt. *Te deum*.

* * *

Śmierć od ucha do ucha.

* * *

Kiedy się Pan urodził? – Jutro.

* * *

Od tego słuchania zaschło mi w gardle. Od tego mówienia skwierczy mi w uszach.

* * *

Zawsze, kiedy słyszę o świetle w tunelu, nieodparcie przypomina mi się sformułowanie Slavoj Žižka – będące tego semantyczną parafrazą – że są to światła nadjeżdżającego pociągu. Być może jest to więc adekwatna metafora, ukazująca to gdzie jesteśmy, jako poeci lub wydawcy. Będąc naprzeciw słońcu ku nas masie, która za chwilę zrobi z nas miązgę, nie mając już możliwości większego manewru, musimy tę resztkę czasu, która nam pozostała, jakoś wykorzystać. Energia tego końca byłaby więc najbardziej widoczna – tak myślę – w samych wierszach, i w wydawanych tomach, czym bez mała zajmuję się od piętnastu lat, pracując w Instytucie Mikołowskim, którego patronem jest – chyba najradzykalniejszy w myśli, mowie i uczynku poeta polski – Rafał Wojaczek. A wydawanie od 2005 r. edycji dzieł Witolda Wirpsy dość mocno uradykalnia tę postawę. Wydatkowanie tej energii – w znaczeniu Batailla – jako kanalizowania pozostałego nadmiaru, jest ruchem – cokolwiek miałoby

to znaczyć – ocalającym przed medialną pulpą, w której usiłuje się zanurzać poezję, i dość mocno już zmacerowaną przez dyktat komentarza, pokazywać jako mieniący się breloczek.

* * *

Do Instytutu wchodzi śliczna dziewczyna, wita się ze mną, pyta co słyca.

– Nic – odpowiadam.

Przygląda mi się z narastającym niedowierzaniem.

– Nawet ładnie wyglądasz, wyładniałeś – konstatuje.

– Niestety nie mogę ci się odwdziżyć tym samym – odpowiadam.

* * *

Słuchanie muzyki.

Co to jest? – pyta się Mecenas.

Zappa z Lennonem – odpowiadam.

Z jakiego okresu? – dopytuje się Mecenas.

Jak jeszcze żyli – puentuje Anton.

* * *

Sedno błędu. W potocznym rozumowaniu o życiu bądź świecie jako takim, bardzo często pojawia się sformułowanie – będące uniwersalnym wytrychem – które ma wprowadzić moment szczeroci – Między Bogiem a prawdą. Sęk w tym, że jest to bardziej zakłęcie, wywołujące iluzyjny stan, niż przywołanie jakiegoś probierza, miary mogącej ustanowić konkretny wymiar. Są to bowiem dwie rzeczy, których nie ma – jakże więc można cośkolwiek lokować między czymś, co istnieje jako życzenie? Idąc tym tropem, najprawdopodobniej wszelkie pozostałe wytrychy – słowa kluczowe, są jeno kulturowo – religijnymi miazmatami, na fundamentach których wzniesiono tę naszą kulturę, jednocześnie wypaczając wszelkie, proste przesłania religijne. Bóg umarł! – głosi szaleniec, który pojawia się z latarnią na rynku, w słoneczny dzień – Bóg pozostaje umarły! I my go uśmierciliśmy!



Ryc. Jacek Krenz

Dziennik podróży. 7 listopada 2014

Rafałowi Różewiczowi

Nie zdaje sobie sprawy, że właśnie zdaje sprawę. Potem klucze, odznakę, znaczone karty. Ktoś to odbiera i przemycza na dupy stronę. Struga moczu za ścianą na razie ich nie dotyczy. Szyba drży, odbierający szarpie głową w rytm, tik szuka swojego tak. Ktoś, kto nakręca ten zegar, dziwi się słowu „wakat”, w jego stronach nie chodziło. Znaczy, nie dochodziło do użycia. Jeżeli już, to za plecami, wakowało nieznacznie, nie w takich słowach. Nie w takim stanie.

Doprowadzić do stanu i zdać sprawę, jak się doprowadzało na miejsce zbiórki, jak się ćmiło papieroska w cieniu zroszonej morwy; potem nadjeżdżał autobus i wszystko cichło, choć zgodnie były serca uczestników pielgrzymki. Nie zdążyli tak zrobić, żeby była pieszą. I nagle zgrzyt: zatrzymani przez władzę z braku dowodu. Wyrываło się wiele słów na obronę, lecz za każdym razem brzmiały jak atak.

Zrezygnowani opuścili głowy do połowy masztu. Wakat.

Dziennik podróży. XX Konkurs im. Bierzina

Ani Kałuży i pozostałym członkom

Symetrio nieobciążona kosztami, gdzie twoje zwyczajowe O, gdzie łatwe do wyprowadzenia przeciwieństwo, gdzie zasklepiona, niewzruszona reszta, protagoniści czekający na znak, że już;

poruszyciele, gdy Was dotkną, to potem człowieka miele, lepiej nie dotykać, żyć w zgodzie z naturą mechanizmu, ze światłem po przejściach, oddechem purpurowego z piosenki Woźniaka

(śpij, Maćku, spokojnie), który właśnie przyszedł po mnie w nocy, w Łodzi, nomen omen „Polonia” przy Narutowicza, i zastrzelił pytaniami o naturę światła, i nie mogłem go zbyć zwyczajowym

„idź pan do Olgi”,
gdyż czytał jej wszystkie (cytuję)
pozycje i nadał był głodny,
cholerny wampir hotelowy
wołający na puszczy obok węża pepoż;

jury krakowsko-częstochowskie
i tylko jeden chuj wie skąd,
powiedziałyby czule i ad personam
Janusz Rudnicki, ale śpi, bo
młode poetki do późna ciągną

wątki autoteliczne (nie mylić z biograficznymi).
A teraz krótko: światło w hotelu zepsute
jak mleko, pies na korytarzu porzucony szczeko.
Edek nie dojechał. Szary mat o brzasku,
potem długo, długo nic. Wreszcie tęcza.

Na całą szpalte

Omawiano twarz
Siwczyka w gazecie; perpetuum mobile,
ktoś mówi, ten się nakręca
własną urodą, nie musi nic

więcej robić; kto to powiedział:
miej serce, a jak go nie masz,
weź przestań,

to chyba Baczu;
zawsze jakieś centrum się znajdzie.
I tam wstawić doniczkę
z kwiatkiem, coś trzeba w życiu podlewać.

Nasza wysokość

Czasza okazała się pusta,
ale któż by ją miał napęlić światłem,
zresztą czymkolwiek, żeby drgnęła,
wbijając się różowym palcem
w obłoki nad stodołą,
a nawet jeszcze wyżej, nad wesołym
miasteczkiem, domem spokojnej
starości, parkiem i wreszcie grubą
od wczorajszych westchnień rzeką,
rozlazłą niczym niestworzony
płaz; nie nad jętką,
nad sobą rozpaczaj, już zacznij,
nie ma czasu na celebry;
już się robaki pytają o ciebie,
„będzie ci u nas jako w niebie”.

Dziennik podróży. 28 listopada 2014

Wciąż jeszcze wczoraj, niewyklute dziś;
na łyżce coś, w czym kogoś topiono;
o jutrze nie wypada w takim towarzystwie;

powiesił się, lecz wkrótce zejdzie z wieszaka,
napisze bestseller o świetle w szafie,
koncertowo rozwinie płatkę, podniesie
mu się słupek (ogłędalności);

zawieszony tonie, utopiony zwiesza
głowę w domu zamrażniętego,
tak się wszyscy spotkali o świcie,
jak upiory, w samochodowym warsztacie (?);

popatrz, jak wyglądasz (szepczą)
i nie mów, że wychodzisz na jedno,
bo nie wychodzisz.



Wiersz dla Geoga Bataille'a

(i Krzysztofa Matuszewskiego)

Hadesie, czasami jesteś dupkiem,
przepuszczasz jak zużyta dętka,
nabierasz wody; nie głosowałem
za nieszczelnym królestwem,
umowną śmiercią; zresztą,
za niczym nie głosowałem,
nie chodziłem na wybory. Raz
czy dwa robiłem podejście
pod urnę, taki podkop wyobraźni,
ale strażnicy wyprowadzali z cienia
na gorąco ogłupiające
słońce. Mieli w klapach orzełka
albo kanię, coś drapieżnego,
i chyba ważny był kolor,
tak, kolor, a nawet dwa kolory.
To miało mnie określać,
wskazywać miejsce w języku;

i nawet słowo „chuj”
nie wybijało już na niepodległość,
a nie znam drastyczniejszego,
skoro „pizdę” zużyło poprzednie
pokolenie. Tedy wróciliśmy
do źródeł, grzebiemy w gównie,
rozcieramy je na dalsze znaczenia.
Nic tu po nas; nic tu,
nic tam, i jeszcze pośrodku;

kiedyś, Hadesie, wrócimy do przerwane go
teraz jadę do pracy. Wrocław czeka.

W tym zakresie

Zestaw dnia, wykaz obowiązków, karesy
i przemoc. Tak mu się powiedziało
w granicach jednego tchu.
Teraz się przymierza do dalszych słów.
Więc będzie powiedziane.

Kiedyś to przeżyje.

Z dala od oryginału*

A to, psze państwa, daleki diabeł, dal mocna
niczym wódka robiona w leśnym
bunkrze, dal swojska,

a ten, co ją robi, zna najlepiej
zakamarki lasu, i rentę ma z wojska,

nieraz trzyma tabliczki z napisem
„entuzjazm” albo „melancholia”,
bywa więc używany, a nawet poręczny,

gdy nimi tak macha
i na wietrze szeleści folia.

* bardziej z Wirszy niż z Dürera

Katarzyna Bereta

Filozofia grabarza

Poeci się nie mylą w rzeczach ostatecznych
(Tadeusz Łopalewski)

Motto otwierające esej można by sparafrazować następująco: „literaci, szerzej: artyści, nie mylą się w rzeczach ostatecznych”. Twórcy – pozostający na usługach każdej z Muz – stanowią medium pomiędzy widocznym światem wydarzeń, faktów, praw a pozaziemską przestrzenią idei, wiecznego bytu, *logosu*. Niczym dzieci i prorocy zachowują pierwotną wrażliwość na to, co niewyraźalne w kategoriach biologicznych, chemicznych, fizycznych czy ekonomicznych. Nie będąc teologami ani duchownymi żadnej religii, za pośrednictwem słowa, obrazu, kształtu czy dźwięku zbliżają się do Plotyńskiej Jedni, Augustyńskiej Prawdy czy Tomaszowej Pełni, a tym samym zaglądną poza „zasłonę przybytku”, dotykają niedotykalnego, tworzą własną metafizykę i eschatologię. Czasami drwią z samych siebie i swej pewności, że sięgną istoty rzeczy i będą wiedzieli (zob. Zbigniew Herbert, *Objawienie*) lub radzą Spinozie zejść z *drabiny* nadmiernych uniesień i poszukiwać Rzeczy Naprawdę Wielkich w codzienności, a nawet przyziemności (zob. Zbigniew Herbert, *Pan Cogito opowiada o kuszeniu Spinozy*). Mimo świadomości własnych ograniczeń nie przestają poszukiwać szczeliny, poprzez którą mogliby przeniknąć do świata metafizycznego i wykonać na płótnie, kliszy, pięcioliniu czy papierze chociażby nieudolną jego kopię, utrwalić odprysk doświadczenia ponadnaturalnego. Stąd prawdopodobnie tak często przywoływany motyw śmierci, życia po życiu, szeroko rozumianej eschatologii.

Tom poetycki Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego *Piosenka o zależnościach i uzależnieniach* intryguje szczególną atencją autora do nekrologów, nagrobków i zmarłych. Lektura nagrodzonych Nagrodą Nike wierszy wspólnie z powieścią Gustawa

Morcinka *Siedem zegarków kopidoła* Joachima Rybki otwiera przed odbiorcą możliwość eksperymentalnego odczytania poezji Tkaczyszyna-Dyckiego jako swoistej „filozofii grabarza”. Ten ostatni w kontekście powyższych rozważań podobnie jak artysta pełni rolę medium pomiędzy światem widzialnym i niedotykalnym. Jest to ten, który stale przebywa na granicy śmierci i życia, który egzystuje nad otwartym grobem, rozkopaną ziemią, czekającą na kolejne ziarno, mające w niej obumrzeć, by wydać plon obfity (zob. J 12, 24). Biorąc pod uwagę eseistyczny, nie zaś naukowy czy krytyczny, charakter niniejszego tekstu, proponuję podjęcie wspólnej, swobodnej wędrówki po kartach obu wymienionych tytułów w celu odtworzenia interesującej nas filozofii.

Już w pierwszym zdaniu Joachim Rybka wyznaje: „Lubię przesiadywać na cmentarzu”. I właśnie to szczególne zamiłowanie, poczucie, że wśród nagrobków jest mu dobrze, stanowi pierwszą, rudymenarną cechę filozofii kopidoła, nie tylko Morcinkowego. Czym przyciąga go do siebie nekropolia?

Przed wszystkim ciszą, w której rozwiązuje się język. Skoro zaś nie ma komu opowiadać, grabarz pozwala, by nawiedzały go myśli, wspominki i przeżycia. Można powiedzieć, że pociąga go możliwość przeżywania ponownie przeszłości, przeprowadzania retrospekcji, porządkowania pamięci. Równocześnie jednak przed niektórymi doświadczeniami nadal ucieka niczym od niezabliźnionych ran.

Podmiot liryczny poezji Tkaczyszyna-Dyckiego również mówi o temporalnych powrotach, wspomnieniach. W przeciwieństwie do Rybki, który często ocenia dawnych znajomych i spotkanych przypadkiem, poeta o zmarłym pisze z powściągliwością:

(...) nie mnie wyrokować
o jego związkach zrostaniach i licznych
pociechach (...)².

W ten sposób dostrzegamy dwoistość ludzkiej natury: z jednej strony skłonnej do etykietowania, znamionowania, czasami wręcz potępiania innych, z drugiej do ich usprawiedliwiania czy nawet wybielania lub mityzowania. Podmiot liryczny próbuje nas przekonać, że chociaż znamy tych, co odeszli, to jednak nie na tyle, by ferować wyroki o naturze ich psychiki i jakości życia duchowego. Ta sfera pozostanie już na zawsze zakryta przed nami, pochłonięta przez ziemię. Z czasem także kopidoł Rybka dojrzewa do „rozgrzeszania” ludzi z ich słabości i wad, co pokazuje, że przeprowadzana przez grabarza retrospekcja przyczynia się do jego wewnętrznego rozwoju.

W wierszu V poeta zapisał inny powód powracania do zmarłych:

(...) pewnie dlatego
spotykam się z nimi bo bez nich
nie byłoby Dycia (...)³.

Przeszłość nas tworzy, jeżeli przeszłość, to także śmierć, gdyż jest ona aktualną postacią tego, co niegdyś żyło. Któż lepiej o tym może wiedzieć niż ten, który co dzień dotyka leżących na marach? Z kolei podmiot z wiersza IX odkrywa przed nami jakże prostą prawdę, że pamiętać można nie tylko na cmentarzu, nie tylko ze zniczem w rękę i chryzantemą nad grobem, dlatego Tkaczyszyn-Dycki zapisał:

(...) to nie jest tak że zapominam
choć nieczęsto wyprawiam się w przemyskie (...)⁴.

Nie trzeba również powracać do „kraju lat dzieciennych”, aby odbyć podróż sentymentalną, podróż w czasie. Czasami wystarczy posiedzenie z kubkiem dobrej herbaty nad rodzinnym albumem czy młodzieńczą lekturą, aby obrazy zaczęły napływać pod powieki. Nie trzeba jechać „w swoje przemyskie”, by spotkać tych, co odeszli.

Joachim lubi przechodzić cmentarnymi alejkami i siadać niczym Kochanowski pod swoją lipą. Z kolei podmiot liryczny u Tkaczyszyna-Dyckiego nawiedzany jest przez zmarłych w różnych miejscach. Można powiedzieć, że nie tyle on wychodzi im naprzeciw, co oni jemu, dlatego cztery utwory rozpoczynają się od wersów:

przychodzą do mnie ludzie
których dzisiaj już nie ma (...)⁵,

zapisanych w różnych konfiguracjach (zob. IV, V, VI, VIII). Po śmierci stają się oni bardziej mobilni, powiedzielibyśmy językiem współczesnym. Przemieszczają się bez ograniczeń czasoprzestrzennych, dlatego mogą nagle pojawić się w naszej pamięci lub jako złudzenie w tłumie albo refleks w literaturze czy filmie. Ważne jest to, że są oni:

(...) jeszcze bardziej
podobni do siebie niż wtedy gdy byli
na wyciągnięcie ręki (...)⁶.

I na tym polega chyba paradoks śmierci, że chociaż pozornie oddziela nas od bliskich, to w rzeczywistości jednoczy z nimi, gdyż jako zmarli bardziej są obecni w nas, w naszej świadomości i wyobraźni niż podczas ich ziemskiej egzystencji. Wówczas byli poza nami, we własnej powłoce cielesnej. Po śmierci w pewnym sensie zamieszkują w tych, co pozostali na ziemskim padole. Poeta dodaje nawet, że są oni:

(...) jeszcze bardziej piękni aniżeli
Dyccy z tamtych lat (...)⁷.

Dlaczego? Po trosze dlatego, że następuje naturalny proces wybielania, idealizowania, a z czasem zamazywania „portretów pamięciowych”. Dzieje się tak ze względu na kulturowe uwarunkowania, nakazujące nam szacunek, wręcz kult zmarłych, wyrażony chociażby zasadą, że nie mówi się o nich źle. U podłoża mityzacji kładzie się także nasze przywiązanie do bliskich – z miłości i tęsknoty chcemy wspominać ich tylko jako dobrych, szlachetnych, pragniemy zapomnieć wszelkie zło, chociaż nieraz nie jest to wcale łatwe. Wówczas uciekamy przed reminiscencjami, próbując je odgonić od siebie.

Wspomniane w cytacie piękno ma swe źródło również i w tym, że osoby nieżyjące nie mogą już krzywdzić, a zatem są mniej niebezpieczne niż te, z którymi nadal wiemy wspólny żywot. I tutaj odnajdujemy drugi powód, dla którego grabarz Joachim lubi przebywać na cmentarzu. Wie on bowiem, że „(...) bardziej trzeba lękać się ludzi aniżeli duchów (...)”⁸. Ocierając się wielokrotnie o śmierć, wyżył się lęku przed nią, a równocześnie poznał rozmaite oblicza człowieczego zła, dlatego miłsze mu jest towarzystwo spoczywających w grobach. Poza tym w obozie koncentracyjnym umieranie straciło dla niego swój majestat, zaczęło przypominać groteskowego kościotrupa, nie zaś chłodną, dumną i budzącą postrach panią, która prowadzi makabryczny korowód. Wreszcie Rybka traktuje nekropolię jak zwyczajne miejsce, podobne do setek innych. Tutaj, częściowo za radą Seneki i Epikura, postanowił być wielkim samotnikiem





wśród ciżby nieboszczyków. Nie boi się mieszkać przy cmentarzu i spędzać na nim większości dnia, a nawet sporej części nocy, gdyż wyzbył się trwogi przed piekłem oraz zwyczaju skrupulatnego rozliczania się z grzechów, wręcz ich zmyślania. Uważa, że strach ludzi przed ciemnością i grobami ma swoje źródło w ich lęku przed własnymi grzechami.

Refleksje snute nad cudzymi nagrobkami, godziny spędzone w ciszy i zadumie doprowadziły Joachima do przekonania, że istnieją różne czasy. Ten temporalny wątek jest kolejnym rysem filozofii grabarza. Człowiek egzystujący na co dzień na pograniczu dwóch wymiarów nie mógł nie sformułować następującej myśli:

Inny czas jest ten odmierzany zegarkiem, a inny we mnie samym, a jeszcze inny we wspomnieniach (...). Tylko niedowarzeni mędrkowie twierdzą, że jest jeden czas⁹.

Nie sposób nie przyznać racji prostemu kopidołowi, który nie ukończył nawet podstawówki. Wystarczy bowiem porównać minuty spędzone na oczekiwaniu oraz na pracy nad czymś. Te pierwsze zdają się trwać wieki, drugie uciekają niczym piasek pomiędzy palcami. Rybka jest również świadomy bliskich związków własnego zawodu z czasem. Ten ostatni, podobnie jak Joachim, grzebie minione chwile. Obaj zatem są grabarzami! Co więcej, żaden z nich nie płacze – kopidoł za nieboszczykami, a czas za przeszłymi wydarzeniami. Obaj natomiast pobłażliwie się uśmiechają.

Rybka przede wszystkim śmieje się z ludzi okłamujących samych siebie i innych, z udających żal po zmarłych, z napisów na płytach nagrobnych:

Gdy już pogrzebie nieboszczyka i ostatni pogrzebnicy odejdą, siadam na sąsiednim grobie, zapykam sobie fajkę i śmieję się z całego świata (...). Najśmieszniejsze są (...) napisy, gdyż w nich najczęściej filuternego łągarstwa i grubego oszustwa. Ludzie lubią takie łągarstwa i oszustwa. Bez nich byłoby życie ogromnie smutne i głupie¹⁰.

W wierszu XX Tkaczyszyna-Dyckiego podmiot liryczny mówi o podobnym ironicznym epitafium:

(...) „niech Ci się śnią białe łąki w Alpach i zielone na Kaszubach”¹¹.

Tak dzieci miały pożegnać ojca. Formułka trąci brakiem smaku, ale można w niej wyczuć także złośliwość. Być może w owych europejskich górach mężczyzna zdradzał żonę, która nadaremno czekała na jego powrót na kaszubskiej ziemi? Czasami pamięć o zmarłych może być celowo spreparowanym i podtrzymywanym kłamstwem, próbą zamaskowania prawdziwych emocji i relacji, co trafnie zauważa kopidoł Joachim. Ten pobłażliwy śmiech, momentami wręcz drwina, sprawiają, że rozmyślania grabarza pod lipą dalekie są od smutku Kochanowskiego po Urszuli. A zatem owa dendrologiczna aluzja w żadnym wypadku nie czyni z Rybki myśliciela podobnego do autora *Trenów*, ale nawet w pewnym sensie jego odwrotność.

Tkaczyszyn-Dycki powtarza w cytowanym tomiku w różnych konfiguracjach bardzo intrygujący wers:

po śmierci matki zginęły dwie łyżeczki (...)¹².

Do owego tajemniczego zniknięcia doszło w chwili, gdy podmiot liryczny rozmawiał

(...) o wiecznym świetle które towarzyszy zmarłym choć nam opadają ręce (...)¹³.

Śmierć została utożsamiona tutaj lub połączona ze zginieniem srebrnych łyżeczek. Na dodatek owemu „wypadkowi” towarzyszył dyskurs poświęcony *nomen omen* wieczności. Dzięki temu połączeniu możemy dostrzec, że *eternity* pochłania zarówno osoby, jak i przedmioty do nich należące, z nimi kojarzone. Ich deficyt, podobnie jak brak bliskich, często dostrzegamy dopiero po czymś zgonie. Dopiero wtedy rzeczy nabierają wartości rodzinnej pamiątki.

Drugą ważną refleksją w kontekście rozważanej filozofii jest uwaga o świetle, które po stronie śmierci jest jasnością, a po stronie egzystencji – mrokiem. Nasuwa to niewątpliwie skojarzenia z obłokiem z Księgi Wyjścia (zob. Wj 14, 19-20). Ci, którzy pozostają w doczesności, nie są w stanie dogonić odchodzących bliskich, gdyż otacza ich obezwładniająca mgła i ciemność tak, że „ręce im opadają”. W tym należy chyba doszukiwać się wytłumaczenia wyjątkowego znaczenia przedmiotów, które w naszym przekonaniu mają nam pomóc zachować łączność ze zmarłymi i nie postradać zmysłów w chwili najczarniejszej rozpacz.

Podobnie jak Morcinek przyrównał czas do grabarza, tak Tkaczyszyn-Dycki zaproponował postawienie znaku równości pomiędzy tym ostatnim a poetą. Liryka utrwala bowiem pamięć o zmarłych. W tomie *Rzeczywiste i nierzeczywiste staje się jednym ciałem* zapisał:

(...) tyle jest spraw do omówienia i przedstawienia w poezji chociażby śmierć sąsiadki¹⁴. Podobnie jak grabarz także i poeta umiera ostatni: „dlaczego najpierw umierają jedni a potem drudzy na samym końcu zaś odchodzą poeci po których nikt nie płacze (...)”¹⁵.

W tym miejscu objawia się jeszcze jeden wspólny mianownik obydwu – ich samotność. Po pierwszym nikt nie zapłacze, a drugiego być może nie będzie miał kto pochować: „Niezadługo i mnie ktoś zagrzebie w ziemi. Ale kto? (...) Nawet nie wiem, kto mi zamknie oczy, gdy skonom”¹⁶, martwi się Joachim.

I jeszcze jedna myśl budująca ten wyjątkowy „system” filozoficzny. Podmiot liryczny z wiersza XVI z *Piosenki o zależnościach i uzależnieniach* radzi swemu rozmówcy, a pośrednio czytelnikowi:

musisz się z tym pogodzić musisz i to udźwignąć że się pomału wynosimy (...)”¹⁷.

W tym kontekście życie jawi się jako Jedna Wielka Przeprowadzka. Nie sposób w tym miejscu nie zacytować utworu poetyckiego *Jeżeli porcelana, to wyłącznie taka*, którego autorem jest Stanisław Barańczak:

(...) kto ci powiedział, że wolno ci się przyzwyczajać? kto ci powiedział, że cokolwiek jest na zawsze?

czy nikt ci nie powiedział, że nie będziesz nigdy w świecie
czuł się jak u siebie w domu?¹⁸.

I chociaż wieczność pochłania wszystko, także srebrne łyżeczki, to paradoksalnie:

(...) nie daje się stąd niczego zabrać zwłaszcza książek (...)”¹⁹.

Konkluzja niechaj będzie nieco przewrotna. Skoro poeci nie myślą się w rzeczach ostatecznych i są równi w powołaniu grabarzem, to także ci ostatni nie myślą się w kwestiach eschatologicznych. Joachim zbłądził tylko raz, stwierdzając: „Jeżeli (...) święty obraz spadnie ze ściany, przepowiednia to śmierci”²⁰. Gdy umierała moja matka, spadł *nomen omen* zegar! Dokładnie: zniknęła za komodą niczym srebrne łyżeczki Dyckiego. Koniec końców, to jednak kopidoł pracuje w zaświatach, ma zatem prawo do własnej interpretacji znaków. Ponadto Tkaczyszyn-Dycki w tomie *Liber mortuorum* ostrzega zbyt pewnych siebie:

(...) albowiem ta ciemność teraz

i ta ciemność potem jakiej nie próbuj
zawczasu dotknąć to zaiste dwa
przeróżne światy (...)

bo ta ciemność teraz i ta ciemność potem
to są wszystko rzeczy nie do pogodzenia (...)”²¹.

Pozostaje nam zatem tylko milczenie i liryczna niepewność, co nas czeka na drugim brzegu.

Katarzyna Bereta

¹ G. Morcinek: *Siedem zegarków kopidoła Joachima Rybki*. Wyd. 2. Katowice 1982, s. 7.

² E. Tkaczyszyn-Dycki: *XX. W: Piosenka o zależnościach i uzależnieniach*. Wrocław 2009, s. 24.

³ Tenże: *V. W: Tenże: Piosenka...*, s. 9.

⁴ Tenże: *IX. W: Tenże: Piosenka...*, s. 13.

⁵ Tenże: *IV. W: Tenże: Piosenka...*, s. 8.

⁶ Tamże.

⁷ Tamże.

⁸ G. Morcinek: *Siedem...*, s. 10.

⁹ Tamże, s. 44.

¹⁰ Tamże, s. 7.

¹¹ E. Tkaczyszyn-Dycki: *XX. W: Tenże: Piosenka...*, s. 24.

¹² Tenże: *XXXVI. W: Tenże: Piosenka...*, s. 40.

¹³ Tamże.

¹⁴ Cytaty z tomiku *Rzeczywiste i nierzeczywiste staje się jednym ciałem* zaczerpnięte zostały z: E. Tkaczyszyn-Dycki: *CCCLXXVI. W: Tenże: Oddam wiersze w dobre ręce (1988-2010)*. Wrocław 2010, s. 418.

¹⁵ Tenże: *CCCLXXVII. W: Tenże: Oddam...*, s. 419.

¹⁶ G. Morcinek: *Siedem...*, s. 232.

¹⁷ E. Tkaczyszyn-Dycki: *XVI. W: Tenże: Piosenka...*, s. 20.

¹⁸ S. Barańczak: *Jeżeli porcelana, to wyłącznie taka*. W: Tenże: *Wiersze zebrane*. Kraków 2007, s. 218.

¹⁹ E. Tkaczyszyn-Dycki: *XVI. W: Tenże: Piosenka...*, s. 20.

²⁰ G. Morcinek: *Siedem...*, s. 63.

²¹ Cytat z tomiku *Liber mortuorum* zaczerpnięty został z: E. Tkaczyszyn-Dycki: *CXXIV. W: Tenże: Oddam...*, s. 151.

Boris Nosik

Tajemnicza śmierć w Cannes

(Śmierć Sawwy Morozowa, MChAT i bolszewicy)

Kiedy łagodne słońce Riwiery powoli zanurza się w morzu, a na ulicach słynnego kurortu zamierają dźwięki muzyki i cichną rozmowy, wtedy w starych canneńskich willach, w ich pachnących ogrodach i na opustoszałych placach budzą się wspomnienia, a duszę niepokoją dawne tajemnice...

Jedno z takich wspomnień niezmiennie powraca do mnie, gdy wędrując ulicą Południową (Rue du Midi) przechodzę obok byłego już Hotelu Królewskiego (Hotel Royal)... Bo to właśnie tutaj 13 maja 1905 roku zakończył życie – popełnił samobójstwo, lub został zamordowany – Sawwa Timofiejewicz Morozow; znany rosyjski przemysłowiec, bogacz i mecenas; reformator w dziedzinie przemysłu oraz działacz społeczny; przyjaciel Czechowa, Szalapina, Stanisławskiego a także (tak mu się przynajmniej wydawało) Gorkiego. I chociaż niedługo minie sto lat od tamtego tragicznego dnia, to mgła otulająca całe to zdarzenie jeszcze się nie rozwiła. Dużo z tej tajemniczej majowej historii zostało już ujawnione (ale to co ujawnione, jeszcze bardziej przeraża), natomiast w inne, wymyślone przez różne autorytety romantyczne opowieści uwierzyć jest coraz trudniej.

A zatem Sawwa Timofiejewicz Morozow...

Godny kontynuator wspaniałej dynastii, potomek sławnego Sawwy Wasiljewicza Morozowa, który porzuciwszy ojcowski handel rybami, próbował pracy w różnych zawodach, by na koniec stworzyć tkalnię w podmoskiewskim Oriechowo-Zujewo. Wzbogacił się dzięki pracowitości, talentowi i uczciwości, wykupił z poddaństwa synów, sprowadził do siebie „Niemca”, który pomógł mu wyposażyć Nikolską Manufakturę w nowoczesne angielskie maszyny i umarł w 1862 roku, w wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat, jako dobry staroobrzędowiec (z jedyną grzeszną słabością – zamiłowaniem do tabaki). Jego syn, Timofiej Sawwicz, łączył w sobie tradycyjną religijność staroobrzędowców z talentem handlowca. Zmarł nagle w 1889 roku w swoim krymskim letniskowym domu; umarł na klęczkach, w trakcie odmawiania modlitwy. Wdowa po nim, Maria Fiodorowna, żarliwy obrońca „starej wiary” i szczodry mecenas, na cele charytatywne ofiarowała setki tysięcy rubli, finansując nie tylko Wyższą Szkołę Techniczną w Moskwie (teraz MWTU), teatr dla robotników, czy przytułek dla starców, ale także odbudowę zniszczonej w pożarze synagogi w małym białoruskim miasteczku.

Sawwa Timofiejewicz, przedstawiciel trzeciego już oświeconego pokolenia Morozowych wstąpił na uniwersytet¹, ukończył nauki przyrodnicze na Wydziale Fizyko-Matematycznym Uniwersytetu Moskiewskiego, następnie wyjechał na studia do Cambridge, uczył się tkactwa w Manchesterze, a po powrocie do domu, do podmoskiewskiego Oriechowo-Zujewo, został dyrektorem Nikolskiej Manufaktury na miejsce zmarłego ojca. Był zwolennikiem wszelkich reform, zarówno w prowadzeniu gospodarstwa, jak i polityce, a także, już tradycyjnie, jak to u staroobrzędowców, szczerym mecenasem. Tutaj zaznaczyć należy, że hojnie wspierał nie tylko biednych, czy tak zwaną „sztukę wysoką”, ale także najrozmaitsze partie polityczne, wśród nich i te, których celem było naruszenie podstaw reżimu (niestety, jak każdy reżim także i ten nie był doskonały). Trzeba pamiętać, że w Rosji nawet na początku dwudziestego wieku staroobrzędowcy jako wyznaniowa mniejszość byli prześladowani².

Mój paryski znajomy, profesor Léon Poliakov, w jednej ze swoich ostatnich książek, pisał o podobieństwie (cech i losów) staroobrzędowców i Żydów. Jego zdaniem jednych i drugich cechowała; taka sama aktywność zawodowa, taka sama umiejętność w prowadzeniu interesów, podobna skłonność do filantropii, podobny opór wobec nie przychylnych im władzy, oraz podobna „niecierpliwość serca” i zaangażowanie w ruchy rewolucyjne. Nie trzeba chyba nawet wspominać, że za tę ostatnią skłonność i ci i tamci, byli później ostro sądzeni; kto mieczem wojuje... ten od miecza zginie!

Sawwa Morozow finansował Partię Socjaldemokratyczną, finansował zwłaszcza leninowskich „bolszewików” i łatwo można przyjąć założenie, że finansując raczej nie wnikał ani w konkretne zamiary Lenina, ani w zauważalne przy bliższych kontaktach, przerażające cechy charakteru Iljicza – przyszłego dyktatora. Morozow był ponad to, od tego miał kobietę, ale „kobieta była od Iljicza”. Tutaj przydałaby się maksyma nieufnych Francuzów; „kobiety sam sobie szukaj”. Kobieta była aktorką. W ostatnich latach życia Sawwa Morozow, wrażliwa, artystyczna dusza, był ogromnie rozmiłowany w Moskiewskim Teatrze Artystycznym (MChAT). Wcześniej także interesował się teatrem, więc to, że z taką siłą podzielał na niego idee kupieckiego syna, Kosti Aleksiejewa (to właśnie „ten” Konstantin Siergiejewicz Stanisławski), marzącego o nowym, na wysokim poziomie artystycznym i na dodatek ogólnie dostępnym teatrze³, nie było niczym szczególnym. Sawwa zaczął szczerze dawać pieniądze na nowy teatr, w istocie był jednym z jego założycieli, więc nie przez przypadek jego popiersie przetrwało wszystkie te straszne lata pod dachem słynnego Teatru im. Stanisławskiego. Syn kupca, Kostia Aleksiejew (to wciąż ten sam Konstantin S. Stanisławski) tak wspominał S. T. Morozowa.

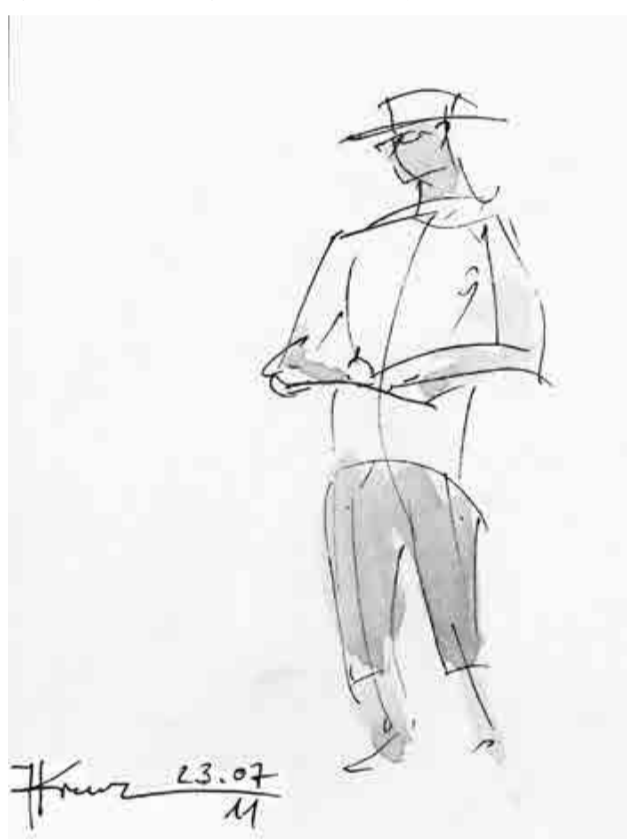
Ten niezwykle człowiek odegrał w naszym teatrze piękną i szczególną rolę, rolę mecenasa, nie tylko wspierał nas materialnie, ale potrafił także z całym oddaniem służyć sztuce, wyzbywszy się egoizmu, bez fałszywych ambicji i prywatnych korzyści...

Morozow finansował teatr i wzięwszy na siebie całą działalność gospodarczą wnikał we wszystkie szczegóły, całkowicie oddając temu zajęciu swój wolny czas... Wzruszające było u Sawwy Timofiejewicza to absolutne oddanie sztuce...

O teatralnej pasji Morozowa pisał także Niemirowicz-Danczenko: „Pasjonując się, oddawał swoją silną wolę pod zarząd temu, co było, lub kto był, podmiotem jego pasji...”

Właśnie pod dachem ukochanego teatru znalazł swoją *femme fatale* o imieniu Maria. Maria Fiodorowna Andriejewa, żona senatora Andrieja A. Żelabużskiego. Ale cóż w ogóle może znaczyć słowo żona, gdy mówimy o kobiecie pięknej, na dodatek aktorce, która już w 1908 roku jeździła do USA w charakterze „cywilnej żony” Gorkiego (co wywołało dużą konsternację u bardzo moralnych Amerykanów), na dodatek, w jakimś stopniu była także żoną Morozowa, co z kolei zdecydowanie zaważyło na jego stosunkach z prawowitą małżonką, Zinaidą Grigorjewną, a także całym klanem Mrozowych.

Co wiemy o kobiecie, która stanęła na drodze (doprowadzając do śmierci) kochliwego, czulego na niewieście wdzięku Sawwy? Jeżeli zawierzysz słowom Wsiewołoda Meyerholda (także znawcy kobiecej urody), była zjawiskowo piękna. Pod wrażeniem pierwszego spotkania Meyerhold pisze wiersz, w którym zachwyca się delikatną, dyskretną bielą jej ubrań, przeciwstawiając wulgarnym strojom obecnych tam pań, opisuje błękit oczu, niewin-



nych i „lazurowych jak morze”, podczas gdy oczy pozostałych dam „płoną grzesznym blaskiem”. Więc jeżeli Andriejowej udało się wprowadzić w błąd takiego znawcę kobiet, tak wyjątkowego aktora i „superkomedianta”, jak Meyerhold, to czego można się spodziewać po zakochanym Morozowie; jemu wydawała się osobą naiwną, szlachetną i święcie bezinteresowną, która rozdawszy wszystko potrzebującym, sama umrze w biedzie. Nie poddając w wątpliwość ani piękna oczu tajemniczej aktorki, ani „dobrego smaku” w doborze ubrań, łatwo można się przekonać, jak bardzo mylił się i jakiemu uległ zaślepieniu, gdyż pragmatyczne, niezwykle oszczędne listy M. F. Andriejowej wskazują na wszystko, ale nie na naiwność. Maria Fiodorowna w tamtym czasie była już agentem Lenina, a on w podziwie dla jej zasług tytułował ją „towarzysz fenomen”. Partyjni autorzy nazywali ją po prostu „finansowym agentem Lenina”, lub „emisariuszem partii”. Słowo „finansowy” absolutnie nie umniejszało konspiracyjnego statusu agenta, gdyż zdobywaniu pieniędzy (dla celów partii, a także prywatnych) Lenin przywiązywał szczególne znaczenie. Dla ich uzyskiwania nie uznawał żadnych moralnych przeszkód, zupełnie jawnie sankcjonując morderstwa, rozboje (eksy), drukowanie fałszywych oraz kombinacje matrymonialne, wyraźnie pachnące sutenerstwem (sam tak je nazywał). W realizacji tajnych układow Lenina ze zwykłymi bandytami w rodzaju Kamo⁴ (mówił o nim, „ten kaukaski bandyta”) pomagał „niezwykły Gruzin” (Stalin), natomiast subtelniejszymi ekspropriacjami zajmował się najprzebieglejszy z jego ludzi, Leonid Borisowicz (lub Lew Borisowicz) Krasin⁵ (pseudonim konspiracyjny Nikitycz), oficjalnie przedstawiany jako technik, specjalista do spraw finansowych lub „przewoźnik” (oczywiście przewoźnik pieniędzy, czyli specjalista od kontrabandy). Piękna Andriejewa bardzo szybko zaczęła pracować pod bezpośrednim zwierzchnictwem Krasina i to on przygotował całą strategię zawłaszczenia majątku; nie tylko Sawwy Morozowa, ale i skoligaconego z nim Schmidta. Wiedząc już o konspiracyjnej działalności Andriejowej, jej listy z tamtego

okresu należy czytać ze szczególną ostrożnością, by zrozumieć w jakim celu „agent finansowy” przekazuje te lub inne informacje: i tak czytamy, że kontaktu z przemysłowcem zaczęła szukać już w 1899 roku („...bywał u mnie często, szybko się zaprzyjaźniliśmy, poznał moich przyjaciół – marksistów”). W rezultacie od Morozowa zaczęły napływać „datki” na rzecz rewolucji (na razie nie trzymano tego w tajemnicy), a od 1904 roku pieniądze przekazywane były regularnie. Wcześniej, w 1903 roku, Morozow pieniądze na rzecz partii przekazywał przez Andriejewą i Gorkiego, któremu „szczególnie zależało na tym, by jak najmocniej związać Sawwę... z partią” (informacja ta pochodzi od „technika” Krasina). Na prośbę aktorki, skierowaną przez Morozowa do zarządu fabryki jej protegowany – Krasin – powołany zostaje na stanowisko kierownika elektrowni w Nikolskiej Manufakturze. To stanowisko pomogło „technikowi i finansistom” (razem z nielegalnie już tam przebywającym Babuszkinem) rozwijać działalność rewolucyjną wśród pracujących robotników, a przy okazji urzeczywistnić plan kontroli także nad samym Sawwą. W efekcie, w 1904 roku, ku niemiłemu zaskoczeniu Morozowa, właśnie w Nikolskiej Manufakturze (gdzie położenie robotników, nie było gorsze, a wręcz lepsze niż w innych fabrykach i wynagrodzenie wyższe średnio o 20 procent) wybuchają „spontaniczne” i bardzo agresywne (L. B. Krasin należał do ostrych graczy) strajki. Początkowo Morozowowi prawie udało się dogadać z przedstawicielami robotników, ale później ci sami robotnicy, uzbrojeni w rewolwery zaatakowali idące ochraniać zbiorniki z ropą oddziały wojskowe. Na początku marca ci, którzy zdecydowali się stanąć przy warsztatach (prawie półtora tysiąca ludzi) w czasie przerwy obiadowej zostali zaatakowani i dotkliwie pobici.

W połowie lutego Krasin przestraszony aresztowaniami wśród moskiewskich członków Komitetu Centralnego nagle pojawił się w mieszkaniu Morozowa i zażądał wysłania go poza Moskwę. Ale czego jeszcze, poza delegacją, chciał wtedy Krasin od Morozowa, który już zaczął się orientować „jak poczynają sobie anarchiści i dokąd prowadzą nieszczęsnych ludzi” (właśnie dokładnie tak – według wspomnień przyjaciół – mówił wtedy Sawwa), tego nie wiemy... Jego żona zapamiętała nie zapowiedzianą wizytę Krasina: „Sawwuszka przyjął Lwa Borisowicza chłodno. Rozmowa się nie kleiła...”. Natomiast po wizycie Krasin pisał o „tchórzostwie Sawwy” (choć potrzebna delegacja, o którą tak zabiegał, otrzymał). Niektórzy tłumaczą takie zachowanie przemysłowca zmianą nastawienia; zrozumiał wreszcie taktykę bolszewików i postanowił nie dawać więcej pieniędzy. Takie przemiany, ostre zwroty od bezgranicznej, żarliwej miłości do trzeźwego osądu, zauważali wszyscy, kto znał Sawwę. By właściwie ocenić sytuację należałoby dokładniej przyrzeć się sprawie, gdyż podobnie mógł wyglądać jego stosunek do tajnej organizacji bolszewickiej (przecież rezultaty jej działalności mógł ocenić także w swojej manufakturze).

W lutym 1905 roku Morozow przekazał dziesięć tysięcy rubli na oswobodzenie spod straży aresztowanego Gorkiego⁶ (później pisarz nie zechciał oddać tych pieniędzy wdowie) i dodatkowe dziesięć tysięcy na zwolnienie Andriejewa⁷. Już wcześniej duże sumy pieniędzy udawało się Marii Andriejowej wyłudzić od niego szantażem o co robił jej wymówki Konstantin Stanisławski w liście z 1902 roku.

Sawwa Timofiejewicz ma do Pani szczególny stosunek. Ale czy Pani jest świadoma do jakiego posuwa się świętokradztwa?... publicznie rozgłaszając, wobec postronnych osób, że przerażliwie, boleśnie zazdrosna o Panią Zinaidę Grigorjewną, właśnie poprzez Panią chce uzyskać wpływ na męża? A Pani, z aktorskiej próżności, odpowiada wszędzie, że pod Pani wpływem Sawwa Timofiejewicz oddaje cały swój kapitał dla ratowania... kogoś.

Na początku 1905 roku po Moskwie zaczynają krążyć pogłoski, jakoby Sawwa Morozow tracił rozum. Bardzo możliwe, że powodem była nieprzyjemna rozmowa jaką w tym czasie miał z Krasinem. Szukając źródeł tamtych plotek, badacze najczęściej dochodzili do wniosku, że rozpowszechniała je Andriejewa. Chociaż niewątpliwie, nie ona sama wymyśliła ten sprytny sposób, tutaj widać kryminalną strategię Krasina, który właśnie przygotowywał swoją pierwszą operację (ogólnie szanowany „agent finansowy” – Maksim Gorki, pisze w tym czasie w jednym z listów, że „podobno wariat Sawwa jest już za kratkami”). Jednak wszystko można bardzo łatwo sprawdzić w dokumentach, z których jasno wynika, że „wariat Sawwa” wariatem nie był i właśnie dokładnie wtedy, nie patrząc na nieprzyjemności i rozczarowania, prowadzi bardzo aktywne życie, rozwija zawodową i społeczną działalność. Przygotowuje „Uwagi programowe” dla Komitetu Ministrów w których przedstawia plan, jak nie uszczuplając interesów pracujących robotników, spowodować rozwój przemysłu broniąc zarazem interesów przedsiębiorców. Morozow, zwolennik związków zawodowych w zachodnim, angielskim stylu, podobnie, jak inni przedsiębiorcy i politycy ówczesnej Rosji, był typowym anglomanem. Nadzwyczaj towarzyski i absolutnie poczytalny, właśnie wtedy pojawia się wraz z żoną na przyjęciach, bierze udział w dużych towarzyskich spotkaniach, sam przyjmuje gości na Spiridonowce (wśród nich Fiodora Szalapina). W połowie marca podczas zebrania udziałowców

Nikolskiej Manufaktury zostaje wybrany na stanowisko zastępcy dyrektora do spraw administracyjnych, tak więc pogłoski rozpowszechniane przez Gorkiego z pewnością mają to samo źródło, co plotki rozgłaszane przez Andriejewą. W kwietniu niespodziewanie do domu na Spiridonowce przyjeżdża Gorki. Być może Krasin zdecydował, że tak wpływowy „agent finansowy”, jak Maksim Gorki, zdoła w pokojowy sposób wydobyc od kapitalisty większą sumę pieniędzy. Spróbować zawsze można! Zdaniem domowników „pomiędzy Sawwą Timofiejewiczem, a Aleksiejem Maksimowiczem doszło do ostrego sporu, który zakończył się kłótnią”. Potwierdza to w tajnym raporcie gubernator Moskwy, hrabia Szuwałow; „Tuż przed wyjazdem z Moskwy, Sawwa Morozow pokłócił się z Gorkim”.

W tym czasie Morozow poddaje się leczeniu z powodu rozstroju nerwowego. Niezrównoważenie emocjonalne i „dziwactwa” były typowe dla trzeciego pokolenia Morozowych. Cioteczny wnuk S.T. Morozowa, Kirył Kriwoszejn tak pisał o tym (w biografii swego znakomitego ojca-ministra): „Trzecie pokolenie w zupełności przejęło kulturę europejską, ale przy żelaznym zdrowiu fizycznym zaczęło pojawiać się widoczne osłabienie ducha i częste dziwactwa (tak zwane „Morozowowskie dziwactwa”), depresje, neurastenia, ciągle wątpliwości, męczące niezdecydowanie przy podejmowaniu dowolnych decyzji, na przykład: pójść lub nie pójść na spacer, urojeni wrogowie: a wszystko to przy dużych możliwościach intelektualnych, wrodzonej szlachetności i wyrafinowanych manierach, które w pewnym stopniu łagodziły ich męczące dla otoczenia trudne charaktery.

Sądząc jednak po tym jak przebiegały ostatnie spotkania z impertynentem Krasinem lub „finansowym agentem” Gorkim, Sawwa Morozow potrafił przezwycięzać owe „męczące wahania”. W tym czasie zdecydowanie czuje się lepiej i zdaniem lekarzy panaceum na wszelkie kłopoty będzie wyjazd za granicę. A być może, za jednym zamachem uda się także uciec od niechcianych „naciągaczy” znających drogę na Spiridonowkę. Tuż przed samym wyjazdem małżonkowie znaleźli się wśród licznych gości zebranych na przyjęciu w willi księcia P. D. Dołgorukiego. A później pociąg powiózł ich przez Berlin i Paryż do kurortu Vichy. Zdrowie Sawwy Morozowa zdecydowanie się poprawiło, ale nadzieja, że pozbędą się szczególnie zainteresowania bolszewickich szpiegów (Zinaida Grigorjewna nazywała ich jednoznacznie „łajdakami” lub „hołotą”) zawiodła. Włóczyli się pod oknami hoteli: i w Berlinie, i w Paryżu, i w Vichy. A w Vichy wkrótce pojawił się także sam „reżyser” – Krasin. Później z nonszalancją opisywał bardzo dobrze obliczoną samowolną wizytę; otóż przechodząc obok... wpadł na chwilę, bez uprzedzenia (prawie w taki sam sposób dwadzieścia pięć lat później będzie „wpadał na chwilę” do domków letniskowych pisarzy w Pieredielnikinie Jakow Agranow, pomocnik Jagody)⁸.

W 1905 roku wracając z londyńskiego zjazdu podjechałem do Vichy, do Sawwy Timofiejewicza, wyglądał na bardzo przygnębionego, było to tuż przed jego wyjazdem na Riwierę.

„Hołota” nie bez powodu włóczyła się pod oknami. Krasin był dokładnie informowany, toteż wiedząc o planowanym wyjeździe Morozowa na Riwierę, pospieszył do Vichy. Jednak zamierzonego celu nie osiągnął. Związku pomiędzy „złym samopoczuciem”

swjej ofiary, a niezbyt przyjacielską wizytą jaką złożył, Krasin jak gdyby się nie domyślał. W Cannes Morozow od razu poczuł się lepiej. Cannes w maju to: morze, wiatr i południowe gwiazdy...

Zresztą i tutaj „hołota” wkrótce pojawiła się pod oknami, a jej śladem (za szyfrowanymi doniesieniami) po tygodniu, w canneńskim Hotel-Royal pojawił się ponownie nieproszonego Krasin. Na temat tej wizyty istnieją dwie wersje. Pierwsza; „Sawwa nie wyraził zgody na rozmowę”, druga; zgodnie z rodzinnym przekazem, Sawwa Morozow (informacja pochodzi z 1990 roku i zapisał ją na taśmie magnetofonowej amerykański historyk Jurij Felsztyński, w obecności moskiewskiego historyka Natalii Pirumovej) zażyczył sobie by „zapoznano go ze sprawą”.

A następnie, gdy już raz zetknął się (być może), ze wszystkimi przejawami terroryzmu, i bardzo możliwe, zaczął zadawać zbyt dużo pytań: „dlaczego?”, „po co?” – przypuszczalnie na tym właśnie się potknął.

Nie zgadzają się także wersje zabójstwa (lub samobójstwa). Tych mamy kilka. Krasin zapewnia w swoich pamiętnikach, że odwiedził Morozowa tylko jeden raz. Ale sam sobie przecząc informuje, że „ostatnią wpłatę na partię” otrzymał od przemysłowca na dwa dni przed jego śmiercią. To by znaczyło, że jednak był w Cannes. A zatem, Krasin nie jeden raz widział się z Morozowem – pomknął także za nim do Cannes i odszukał...

Według wersji podanej w „bardzo poprawnej” rosyjskiej książce wnuka Sawwy T. Morozowa, w momencie zabójstwa Zinaidy Grigorjewny nie było w hotelu. Wróciwszy, zobaczyła męża leżącego na podłodze. Obok leżał browning. Ale co później stało się z bronią? Co udało się wyjaśnić francuskiej policji? Prawdopodobnie, zgodnie z panującą do dzisiaj tradycją, starała się jak najdalej trzymać od cudzych tajemnic. Do jej obowiązków należało wysłanie ciała do ojczyzny, włożywszy uprzednio w trzy trumny. Cioteczna wnuczka Sawwy Morozowa, w wywiadzie udzielonym Felsztyńskiemu, opierając się zresztą na świadectwach policji i zapewnieniach swojego kuzyna Gienadija Karpowa, który pojechał wtedy do Cannes, powiedziała: „... Giena, mój kuzyn, powiedział mi; „To nie było tak, on nie został zabity w domu. Jego po prostu tam położono... to z pewnością było zainscenizowane. Wezwani policjanci oświadczyli, że kula, którą wydobyto z ciała, nie pochodziła z leżącego obok rewolweru”.

Wersja bliskiej przyjaciółki wdowy po Morozowie, którą po wielu dziesięcioleciach zapisał amerykański historyk, wygląda inaczej:

Dobrze pamiętam Zinaidę Grigorjewnę. To była piękna, reprezentacyjna kobieta. Wielokrotnie uczestniczyłam w rozmowach Zinaidy Grigorjewny z moją matką lub ciotką. Pewnego razu opowiedziała nam o tragicznym wydarzeniu w Cannes, w maju 1905 roku. Była jedynym świadkiem śmierci swego męża i zapewniała, że Sawwa Morozow został zastrzelony. Będąc w pokoju obok usłyszała wystrzał. Na moment sparaliżował ją strach, ale już po chwili wbiegła do pokoju i przez otwarte okno zobaczyła uciekającego mężczyznę.

Zgodnie z tą wersją, na jej krzyk „do pokoju wszedł również doktor N. N. Seliwanowski. Spostrzegł, że S. T. Morozow leży na plecach z zamkniętymi oczami i zapytał: «Czy to pani zamknęła mu oczy?». Zinaida Grigorjewna przecząco pokręciła głową”.

Między dokumentami jakie zostały przesłane przez francuską policję do Rosji, znajdował się skrawek kartonu z tekstem: „O moją śmierć proszę nikogo nie obwiniać”. Ekspert, która niedawno porównywała tamto pismo z listami zmarłego, stwierdziła podobieństwo stylu, zaznaczając jednak, że w notatce pozostawionej przez Morozowa mamy wariant stylu „uproszczony”. Uważam, że takiemu specjallicie, jak Krasin, który miał dostęp do całej kolekcji listów Morozowa; tych do Gorkiego i tych do Andriejewej, stworzyć „uproszczony wariant” pisma kandydata na nieboszczyka, nie było szczególnie trudno. Zakładając, że Morozow nie zacznie pisać długich pożegnalnych listów do żony, kochanki lub do Gorkiego...

Oficjalną wersją śmierci Morozowa, podaną przez policję (i bolszewików) było samobójstwo, lecz łatwo domyślić się, że tak dla francuskiej, jak i rosyjskiej policji była to wersja najwygodniejsza. Wygodną okazała się także dla byłego premiera, Siergieja Wittego, a także jego przyjaciela, ministra spraw wewnętrznych. W. F. Dżunkowskiego, którzy włączyli ją do swoich pamiętników, napisanych już po rewolucji październikowej. „Wpadł na czymś w Moskwie i żeby nie doszło do skandalu władze policyjne zaproponowały mu wyjazd za granicę, a tam już ostatecznie wpadł w sieci rewolucjonistów i zakończył sprawę samobójstwem”. Wielce prawdopodobna wydaje się ta wersja, dbającego zawsze o swoje interesy, ministra Wittego i wiele może z niej wynikać... A druga, ta z „notatek” Dżunkowskiego, jest jeszcze bardziej jednoznaczna – „S. T. Morozow, najpierw dał dużą sumę pieniędzy rewolucjonistom, a gdy już ostatecznie wpadł w ich łapy, popełnił samobójstwo”. Żadna z nich jednak nie budzi do końca zaufania. Bardziej prawdopodobne, że właśnie Sawwa Morozow

nie zgodził się dać tej dużej sumy na którą liczyli Lenin i Krasin, gdyż wydarzenia ostatnich miesięcy podkopały zaufanie i do bolszewików, i do ich „finansistów”. Morozow pokłócił się z Gorkim i z Krasinem. Jak widać skomplikowały się także stosunki z „bezinteresowną” Andriejewą. Na dodatek wyjazd Morozowych z Moskwy zbiegł się z pojawieniem imperatorskiego dekretu „O umocnieniu tolerancji religijnej”⁹, w którym już na początku czytamy, że nie podlega prześladowaniu odejście od wiary prawosławnej do innych wyznań chrześcijańskich, a także nie podlegają prześladowaniom wyznania i zasady wiary... Było to nie małą nowością i zaskoczeniem dla wszystkich starobródowców...

W sekretnym doniesieniu do Departamentu policji, po pogrzebie Morozowa, hrabia P. A. Szuwałow informował: „... według otrzymanych z całkowicie pewnego źródła informacji, Sawwa Morozow jeszcze przed śmiercią był w bliskich stosunkach z Maksimem Gorkim, który wykorzystywał majątek przemysłowca do rewolucyjnych celów. Tuż przed wyjazdem z Moskwy Morozow pokłócił się z pisarzem, a po przyjeździe Morozowa do Cannes, z poręczenia Gorkiego odwiedził go tam jeden z moskiewskich działaczy, przyjeżdżali także rewolucjonści z Genewy, którzy szantażowali już wyraźnie chorego w tym czasie przemysłowca. Pod wpływem zaistniałej sytuacji oraz gróźb u Morozowa wystąpiło nasilenie nerwicy, w rezultacie czego zastrzelili się. Zostały podjęte właściwe środki w celu wyjaśnienia kto przyjeżdżał z Moskwy, by spotkać się w Cannes z Morozowem.”

Jak widać, hrabia Szuwałow nie był wystarczająco dobrze poinformowany, ale podana wersja zadowoliła policję (także Wittego i Dżunkowskiego, ale chyba nie Gorkiego). Czym można było szantażować Morozowa, policja także nie wiedziała (natomiast „środki zostały podjęte” – można więc spokojnie zająć się swoimi sprawami), ale sugestia szantażu miała uzasadnienie i brzmiała wiarygodnie. Natomiast czym jeszcze Sawwie mogli grozić bolszewicy, poza tym, że grozili browningiem i dalszym działaniem na i tak już rozstrojone nerwy? Czym mu jeszcze grożono, zostało bardzo szybko wyjaśnione, ale w tym czasie policja zajęta była już innymi sprawami. Tak więc teraz my będziemy musieli trochę przypuszczenia, już bez pomocy hrabiego Szuwałowa i nawiasem mówiąc, nie my pierwsi. Jak prawdziwi amatorzy, idąc za radą komisarza Maigreta: poszukajmy, komu na rękę mogło być zabicie Morozowa. Bez trudu dojdziemy, że właśnie Krasinowi (w zмовie z którym był humanista – Gorki). Skoro Morozow nie zgadza się „odpalic grubszej forsy” na leninowskie interesy i paryskie, swobodne od materialnych trosk życie wodza „po dobroci”, trzeba będzie puścić w ruch „polisę ubezpieczeniową”. Okazuje się, że taką polisę ubezpieczeniową na okaziciela – na której życie Sawwy Morozowa wyceniono na 100 000 rubli – miała Andriejewna (oto i mamy tę – „grubszą forszę”). A Sawwie pozostało jedynie umrzeć. W jaki sposób dokument ten znalazł w rękach „bezinteresownej”; czy nie był on wykradziony lub sfalszowany, dlaczego Sawwa podpisał na siebie wyrok; i czy to on podpisał – na te pytania nie odpowiem. Wiadomo, to była zła miłość (nic bardziej wyszukanego nie przychodzi mi do głowy w związku z tą brudną historią). Powszechnie wiadomo, że bolszewicy mieli swój udział w produkowaniu fałszywych pieniędzy (więc po co im jakieś polisy?), ale Krasin to profesjonalista w kwestii „mokrej roboty” i nie pomijał żadnej okazji. Zgodnie z zapisem (nie potwierdzonym notarialnie) po śmierci Morozowa majątek dziedziczy wdowa, Zinaida Grigorjewna oraz czwórka ich dzieci, tak więc operacja Krasina w celu przejęcia pieniędzy zamordowanego, jeszcze nie dobiegła końca. Znana z „altruizmu” aktorka (która w tym czasie mieszka już z Gorkim, a być może nie tylko z nim) procesowała się z wdową i czwórką sierot. Procesu sądowego z przebiegłymi bolszewikami i Krasinem, Zinaida Grigorjewna nie miała szans wygrać. Proces został przegrany, a pieniądze poprzez Krasina (Andriejewna napisała – „pieniądze oddać L. B. Karsinowi”) popłynęły do Włodzimierza Iljicza, który zawsze uważał, że powinien leczyć się jedynie u lekarzy sław, mieszkać w prestiżowej części Paryża i kilka razy do roku wypoczywać, ale tylko w kurortach szwajcarskich. Trudno uwierzyć by w trakcie procesu rodzina Morozowych nie przedstawiała swoich racji oraz konkretnych dowodów. Niewątpliwie przedstawiano dowody także i na to, że został zamordowany, o czym przekonany był cały klan Morozowych. Kriwoszejn we wspomnianej już wcześniej książce ostrożnie zaznacza, że „S. T. Morozow zmarł gwałtowną śmiercią, w zagadkowych okolicznościach, w 1905 roku na Francuskiej Riwierze...” Oczywiście, możliwość powołania się na materiały śledztwa pomogłaby umocnić którąś z wersji zagadkowej śmierci w Cannes, ale bolszewicy zatroszczyli się o to, by wszystkie materiały znajdujące się w archiwum usunąć (tej sprawie nawet nie musiał być nadany specjalny tryb, jak było to przy wykluczeniu dokumentów o „niemieckich pieniądzech” Lenina).

Być może mieszkający w tym czasie w Italii „agent finansowy” Gorki nic nie wiedział o wycofaniu dokumentów i pisząc (agenta Andriejewą zastąpiła już przy nim agent GPU Maria Budberg – bo „zwiastun burzy” kochał damy ze skazą i być może właśnie stąd czerpał natchnienie... był prawdziwym artystą!) esej o Morozowie dał wyraz swym gwałtownym uczuciom. Tam jednak co słowo – to kłamstwo (historycy w tym kłamliwym szkicu przeanalizowali każdy fragment). Mieszkający w tym czasie u Gorkiego (1922 rok) Władisław Chodasiewicz, tłumaczył wszystkim, że „cała życiowa działalność” proletariackiego pisarza „przepojona była sentymentalną miłością do wszelkiego rodzaju kłamstwa, a co za tym idzie, zdecydowanym brakiem miłości do prawdy”. Stąd ani szkic Gorkiego o Sawwie Morozowie, ani wspinały szkic o Leninie, nie są dobrym przykładem



Ryc. Jacek Krenz

na obalenie twierdzenia Chodasiewicza. Dziwne jedynie, że Chodasiewicz nie wspominał o podejrzanej słabości Gorkiego i członków jego rodziny, do bolszewickiej tajnej policji, a także wszelkiego rodzaju „agentów”. Później, gdy Gorki jawnie zaczął występować przeciwko niewinnym ofiarom tej policji, stając po stronie oprawców, ulubieni „agenci” przychodzili z wizytą do „jaśniepańskiego” podmoskiewskiego domu (tego, który zabrano wdowie po S. T. Morozowie); pili bruderszaft z jego synem – czekistą, sypiali z synową, a na koniec; wcześniej zabiwszy syna, zabili także samego „zwiastuna burzy”.

Powróćmy jednak do naszego amatorskiego śledztwa. Ponieważ nie mamy możliwości sprawdzenia charakteru pisma w notatkach i listach, zajmiemy się samym morderstwem, które było pierwszym ogniwem łańcucha operacji L. B. Krasina dla przejęcia „milionów Morozowa”. I tak od ognia – do ognia styl pracy nie ulega zmianie i sprawdza się także w drugiej fazie.

Pamiętamy, że M. F. Andriejewa poczuła się do łez urażona rzucanymi na nią podejrzeniami. (Ale nie tylko ona jedna. Wykupiony z więzienia przez Morozowa L. Andriejew, pisał w liście do Gorkiego, w związku z zamieszczonym w prasie artykułem, w którym znalazła się oficjalna wersja samobójczej śmierci: „jest mi szczególnie przykro, z powodu Marii Fiodorownej”) Było mu przykro, ponieważ gazety rozpisywały się o „skradzionych przez nią milionach”. A przecież było to tylko sto tysięcy. Natomiast dla L. B. Krasina, wysokość sumy była kwestią profesjonalizmu i honoru.

Włodzimierz Iljicz zawsze dbał o to by mieć duże sumy „w rezerwie”. Więc tuż po śmierci Morozowa, bolszewicy biorą się za jego siostrzeńca, młodego N. Schmidta. Nikołaj Schmidt także dawał pieniądze bolszewikom (jak również innym partiom). Po wydarzeniach 1905 roku Schmidt został aresztowany. Bardzo możliwe, że w więzieniu zaczął łałowac swoich niebezpiecznych kontaktów. Niestety, dalej wszystko potoczyło się według znanego już scenariusza i Schmidt zakończył swoje młode życie w więziennej celi „w niewyjaśnionych okolicznościach”, a bolszewicy obwieścili, że popełnił samobójstwo. Bratu Schmidta i jego adwokatowi, bandyta Taratuta (w obecności drugiego bandyty, Lenina) oświadczył; „kto nam będzie blokował dopływ pieniędzy tego usuniemy”. Zrozumiawszy, że bolszewicy nie żartują, brat, powiadomił przez adwokata, iż zrzeka się przypadających mu pieniędzy na rzecz swoich sióstr (nie odważył się „blokować”). Spadkobiercami Schmidta zostały jego dwie młodsze siostry. Szybko podstawiono dwóch terrorystów-bolszewików, których zadaniem było na tyle zawrócić dziewczynom w głowach, by uzyskać ich zgodę na ślub. Ale i tutaj wyniknęły dodatkowe komplikacje; jedna z dziewcząt okazała się niepełnoletnia, a z kolei jeden z narzeczonych pod nadzorem policji i bez dokumentów. Trzeba było skorzystać z trzeciego podstawionego narzeczonego – bolszewika (który także był agentem Krasina i należał do jego grupy bojowej), w rezultacie doprowadzono do fikcyjnego ślubu. Były spory z mienszewikami (z powodu tychże pieniędzy) i przesłuchania

z udziałem Clary Zetkin – ale wszystko potoczyło się zgodnie z oczekiwaniami. Nie na tym jednak koniec. Jednemu z „bolszewików – nowożeńców” (Nikołajowi Andrikanisowi), który wyjechał z żoną do Paryża, przyszła (być może pod wpływem tamtejszego bogatego i wesołego życia) do głowy myśl, że może wypadaloby spadkobierczynie, czyli jego żonie, zostawić chociaż część należącego do niej majątku i nie oddawać wszystkich pieniędzy Leninowi. Usłyszawszy o tym nieśmiałym pragnieniu, drugi pan młody (towarzysz Taratuta) oznajmił temu pierwszemu (czyli towarzyszowi Andrikanisowi), że zatłucze jak psa, a przy okazji i obydwie, niepotrzebne już teraz siostry. Towarzysz Andrikanis poszedł więc na skargę, „z powodu szantażu i gróźb”, do leninowskiego CK, gdzie wyjaśniono mu, że towarzysz Taratuta działa na polecenie samego Iljicza, za jego więc zgodą z pewnością „zatłuką jak psa”, gdyż mają na to wszelkie pełnomocnictwa. W ten sposób „duże pieniądze” rodziny Schmidta znalazły się na prywatnym koncie Iljicza, w banku Credit Lyonnais, niedaleko mieszkania Lenina (przy rue Marie Rose). Mam nadzieję, że wszyscy już zauważyli, iż indywidualny styl pracy Lwa Borisowicza Krasina, nie zmieniał się, od jednego ognia łańcucha „wywłaszczenia”, do drugiego!

Samobójstwo Sawwy Morozowa było tematem powieści emigracyjnego pisarza Marka Ałdanowa. Rzecz w tym, że ten płodny artysta w czasie, gdy pisał książkę posiadał już pewną wiedzę na temat bandyckiej działalności bolszewików... „No, ale przecież nie do takiego stopnia!... – wahał się idealista i mason – Mark Ałdanow – czegoś takiego być nie może... przecież niemożliwe, żeby osobiście Lenin... albo osobiście Gorki...!” Tak więc biedaczysko Ałdanow stworzył wersję oficjalną, o nieodpornym Sawwie; z bajronicznym wątkiem samobójczym, który miał uczynić ją jeszcze bardziej wiarygodną. O szczegółach całej operacji Lwa B. Krasina, który potem zostanie honorowym radzieckim ambasadorem, pisarz Ałdanow z pewnością nie słyszał. Ale i tak nie pasowałoby to do jego literackiej koncepcji. Współczując, temu w gruncie rzeczy sympatycznemu pisarzowi, wykreśliłem numer telefonu, który otrzymałem od artystki Kseni Kriwoszejnej (brat Sawwy T. Morozowa, Siergiej, był mężem Olgi Wasiljewny, siostry ministra Aleksandra Kriwoszejnej, w rezultacie czego Kriwoszejnowie mieli bliskie rodzinne powiązania z rodziną Morozowych). Do telefonu podeszła zamieszkała w Paryżu, Maria Nikołajewa Nienarokowa (panieńskie nazwisko – Karpowa). Siostra Sawwy Morozowa wyszła za mąż, wbrew woli rodziców, za młodego uczonego Gienadija Fiodorowicza Karpowa. Ich syn, Aleksandr Gienadijewicz Karpow został wysłany przez rodzinę w maju 1905 roku do Cannes, na pomoc zrozpaczonej wdowie. I to on wziął na siebie wszystkie canneńskie sprawy, a także przywiózł do Moskwy trumnę z ciałem. Więc jeżeli ktoś żył w atmosferze tamtych canneńskich dni, to niewątpliwie Karpowowie... „Kto zdaniem Gienadija Karpowa zamordował Morozowa?” – zapytałem Marię Nikołajewą, jego siostrzenicę. Atak był frontalny, lecz ja dzwoniłem ze swojego domu w Szampanii, a rozmowy międzymiastowe

w socjalistycznej Francji są bolesne finansowo. Ale Maria Nikołajewa także nie próbowała krążyć wokół tematu i nie owijała w bawełnę (did not beat around the bushes).

– Wujek Sasza – mamy brat, mówił, że zamordował go Krasin – uprzejmie oświadczyła Maria Nikołajewa.

Wujek Sasza, czyli Aleksandr Gienadijewicz Karpow, ten sam, który jeździł do Cannes w maju 1905 roku, gdy ślady morderstwa były jeszcze całkiem świeże. Niewątpliwie z francuskimi policjantami także rozmawiał otwarcie...

– A co wujek Sasza mówił na wersję o samobójstwie? – próbowałem dowiedzieć się, już nie tyle z szacunku dla Gorkiego, czy Wittego, ile dla kolegi po piórze, Marka Ałdanowa.

– Ale, co też Pan mówi? Czy to możliwe, by babcia, Maria Fiodorowna, zgodziła się pochować samobójcę na Rogowskim cmentarzu? Gdy chodziło o obrzędy, była twarda... To nie byłoby możliwe?

Wtedy przypomniałem sobie, że Kirill Karpowicz nazywał wdowę po „Timofiejju Sawwiczu” „niewzruszoną ostoją starej wiary” i zgodziłem się z Marią Nikołajewą, że to nie było możliwe. Porozmawialiśmy jeszcze pięć minut ku radości czyściciela portfeli – „France Telekom”. Następnie pożegnałem się z nią i znowu zostałem sam w swoim cichym wiejskim domku, na Francuskiej Riwierze, razem ze strasznymi tajemnicami z 1905 roku...

No ale jak można oprzeć się wspomnieniom tutaj, w Cannes, na ulicy Południowej (Rue du Midi), w pobliżu byłego już – Hotel-Royal?

Tłumaczenie: Krystyna Śmiechowicz

¹ Imperatorski Uniwersytet Moskiewski. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.)

² Za rządów cara Mikołaja I staroobrzędowcy (starowiercy) zostali zaliczeni do sekt pozostających pod stałym nadzorem policyjnym.

³ Moskiewski Teatr Artystyczny początkowo nosił nazwę Teatr Ogólnie Dostępny.

⁴ Siemion Ter-Petrosjan ps. Kamo, gruziński bolszewik, specjalista od zbrojnych napadów.

⁵ W przyszłości ambasador w Wielkiej Brytanii.

⁶ Maksima Gorkiego oskarżono o „zdradę stanu” za napisanie odezwy nawołującej do obalenia istniejącego w Rosji ustroju i aresztowano w styczniu 1905 roku. Pod koniec lutego zwolniony za kaucją dziesięć tysięcy rubli.

⁷ Leonid Andrzejew został aresztowany w lutym 1905 roku, po szesnastu dniach zwolniony za kaucją.

⁸ Gienrich Grigorjewicz Jagoda, stał na czele NKWD, po zabójstwie S. Kirowa z rozkazu Stalina rozpoczął wielką czystkę.

⁹ W 1905 roku car Mikołaj II ogłosił „Dekret o tolerancji religijnej” i wszelkie ograniczenia wobec staroobrzędowców zostały ostatecznie zniesione.



Ryc. Jacek Krenz

Marta Klubowicz

MAKULATURA

najpierw był wyciąg z aktu urodzenia
skrócony bardzo
wolno zbierały się zdjęcia świadectwa
pamiątniki zeszyty laurki dyplomy
listy notatki i wycinki z gazet
kalendarze polisy notarialne akty
legitymacje paszporty bilety
świadectwa ślubów rozwodów i zgonów
maszynopisy wierszy rękopisy szkice
niedokończone jakieś strzępy myśli z których
miały wyrosnąć poetyckie drzewa
wypełniały kartony wychodziły z szuflad
puchły od nich komody biurka i pawlacze
traciły ważność żółtki ale są
jednak przeżyły tyle przeprowadzek
i nie spłonęły w tym jednym pożarze

martwe papiery przetrwają mnie ciebie
bo nie ważyłam się ich podrzeć spalić
aż je ktoś wreszcie wyrzuci na śmietnik
i się nikomu nie zatrzyma ręka
na pierwszym szkolnym zeszycie z obrazkiem
na którym mama z czerwonym uśmiechem
stoi w sukience wydartej z papieru
i trzyma w ręce siatkę na zakupy
w której przyniosła dla mnie na śniadanie
świeżutką bułkę i butelkę mleka

TAŃCZĄCA NA LODZIE

Smotri - djewoczka!
zadziwił się Wania
Schau mal - ein Mädchen!
I zdziwił się Hans
Wszystko mi jedno – myślała dziewczyna
Możecie strzelać nie boję się kul
do siebie do mnie i rzucić tu bombę
niech świat się skończy załamię się lód
Już się nie boję już tańczę przed wami
na lśniącej tafli w wiosennym już słońcu
i niech się stanie wszystko albo nic
- Wot sumaszedza! – zadziwił się Wania
- Eine verrückte! - dziwił jej się Hans
I usłyszeli niemy dźwięk muzyki
I obie armie patrzyły na taniec
na taniec śmierci albo taniec życia
na środku wojny
na środku jeziora
i nikt nie strzelił
i bitwa ucichła
I tylko ona wygrała tę wojnę

Łeba, wrzesień 2013

*w marcu 1945, na zamrzniętym jeziorze Gardno,
między ostrzeliwującymi się armiami,
młoda Niemka tańczyła na lodzie.



Fot. Kamila Trojak

ORCHIDEE

Jankowi M.

dopiero dzisiaj więdną orchidee
wydawały się wieczne
przedłużałam im życie obcinając ogonki
zmieniałam wodę w plastikowych lodyżkach
nie miały ciała
mimo to trwały
z otwartymi ustami
całe osiemnaście dni

po osiemnastu dniach
zwiędły orchidee
dopiero wtedy poczułam że pachną
ziemią zielenią
wydawały się wieczne
to dużo czy mało
kiedy głowa sterczy z plastikowej rurki
kiedy z głowy sterczą plastikowe rurki

REPORTAŻ ZE SPACERU

dzielnica nazywa się Szczęśliwice
usiedliśmy na ławce na szczycie wzniesienia
usypanego z gruzów Warszawy
po wojnie

szczęśliwy dziadek z wnuczką na rękę
słoneczko zachodzi zaraz pójdzie spać
to trzeba mu kopa dać
kopa dziadku dać

w drugim kierunku
tysiąc pięćset kilometrów od Szczęśliwic
toczyła się wojna

krew błoto łzy popiół i kupa gruzu
na której powstanie park
gdzie jakiś chłopczyk zechce uderzyć z kopa nawet
słońce

zaszło na czerwono

05. 09. 2014



Ryc. Jacek Krenz

**Maria
Jentys-Borełowska**

Zaklinanie myśli

O poezji Anny Bernat

Jest znana szeroko jako autorka tekstu kolędy *Maleńka przyszła miłość*, jednej z najpiękniejszych współczesnych polskich pieśni bożonarodzeniowych, spopularyzowanej przez Eleni i mającej już swoje stałe miejsce w kolędowym kanonie. Nie małą popularnością cieszy się także jako układowca piosenek, w tym dla dzieci, bo i w tej dziedzinie wyróżnia się oryginalnością i pomysłowością, a kompozytorzy (m.in. Leszek Bogdanowicz, Zbigniew Ciecchan, Renata Danel, Jerzy Milian, Edward Pałłasz, Jerzy Wasowski) i wokaliści (m.in. Krystyna Prońko, Łucja Prus, Sława Przybylska, Irena Santor) chętnie sięgają (bądź sięgali) po jej teksty. Poezja Anny Bernat natomiast - poezja ze wszech miar godna uwagi - jest prawie nieznaną, choć każdy z jej wydanych dotąd tomików spotykał się z aprobowującym (nie bezkrytycznie) przyjęciem. Jednak nie było ich wiele, zaledwie trzy, i to w wieloletnich odstępach, na przestrzeni trzydziestu pięciu lat.

Anna Bernat, urodzona 3 grudnia 1946, zadebiutowała jako poetka w roku 1970: zaprezentowała wówczas swoje wiersze w konkursie Forum Poetów Hybrydy i zdobyła wyróżnienie. Kolejne lata przynosiły jej kolejne sukcesy: rok 1971 - wyróżnienie w Łódzkiej Wiośnie Poetów i debiut radiowy, rok 1973 - III nagrodę w konkursie Polskiego Radia i miesięcznika „Poezja” za poemat *Niewidomi* oraz wyróżnienie w Łódzkiej Wiośnie Poetów, rok 1975 - wyróżnienie w teście Łódzkiej Wiośnie oraz w V Warszawskiej Jesieni Poezji za poemat *Gdy wszyscy wzięli wzięci*. Następne lata to czas jej triumfów piosenkowych: w 1975 - I nagroda w konkursie Polskiego radia i telewizji za piosenkę *A radości będzie tyle*, w 1976 - III nagroda w konkursie tegoż Radia i Telewizji za piosenkę *Tu dobrze mi*, w 1977 - wyróżnienie na Poznańskiej Wiośnie Estradowej za *Śmiechu warte, a nie łez*. W roku 1990 otrzymała wyróżnienie w konkursie Programu III PR i MKiDN za słuchowisko *Działo się w listopadzie*.

Pierwszy zbiorek wierszy Anny Bernat, *Biała wyspa*, ukazał się w roku 1978, nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej. Liczył sto siedem stron - sporo, jak na tomik debiutancki - i zawierał około sześćdziesięciu wierszy, ujętych w trzy cykle: *Ptaki z Białej Wyspy*, *Niewidomi i ślepi* oraz *Nauczyciel śpiewu*. Jej poetyckie myślenie o sobie i świecie - ściślej: o sobie w świecie - znalazło tu wyraz naiwny jeszcze nieco i niekiedy po debiutancku nieporadny, ale już bardzo wyraźnie naznaczony charakterystycznym dla jej poezji - tej wczesnej i tej późniejszej, dojrzalszej i całkiem dojrzałej - pięknem obrazu poetyckiego i rozległością przestrzeni lirycznej. Co ważniejsze, w *Ptakach z Białej Wyspy* położyła podwaliny pod jedyny w swoim rodzaju Dom Duszy, zakreśliła kontury własnego, osobnego i nieporównanego z żadnym innym, świata poetyckiego. Nie ma ten jej wewnętrzny świat żadnych bezpośrednich odniesień do świata zewnętrznego, do realiów i konkretów, z których zbudowana jest dookólna rzeczywistość. Autorka *Białej Wyspy* ulepiła swój jedyny i niepowtarzalny świat z gliny słów-symboli, słów-obrazów, słów-metafor o szczególnej, chciałoby się rzec, magicznej mocy. Słów takich jak: tytułowa „biała wyspa”, biel, kamienie, „rozebrane z kory drzewa”, „podcięte gałęzie”, a nade wszystko - ptaki. Ptaaków w *Białej wyspie* jest pełno. Są przeważnie bez piór, bez gniazd, odarte, okaleczone, pozbawione możliwości lotu, skazane na zaturę. Te piękne,

lotne i podniebne, lecz płochliwe i kruche stworzenia to u Anny Bernat symbole przyrodzonego każdej istocie, w tym ludzkiej, niepokoju egzystencjalnego, niepewności, choć także wysokich wzlotów myśli i wyobraźni, niezaspokojonych pragnień i tęsknot. Symboliką białej ptasiej wyspy opowiada początkująca, bardzo jeszcze niedoświadczona poetka o swojej ówczesnej sytuacji egzystencjalnej: o płochliwym i trzepotliwym zalęknieniu życiem i światem, o ptasiej samotności i obcości w świecie, o fundamentalnym braku - braku miłości. Oto wiersz, w którym *Ptak opuszcza klatkę*:

Idę głębiej w dzień w upał
tu włosy tam stopy
piasek przenika do krwi

Komu Biała Wyspa komu
cmentarz - uzdrowisko
dla skrzydlatych

Jestem lepszy o śmierć
wychodzę z ciemnego powietrza
aby przestraszyć pajęczyną w dłoniach
nikt mnie nie widzi
kiedy przed światem
jak przed obrazem diabła
klękam

Biała Wyspa stygnie

Do ważnych dla młodej poetki symboli, za pomocą których „zaklinała” swoje poetyckie myślenie o świecie, należały też wówczas: widzenie-niewidzenie, niewidzenie-nadwidzenie-jasnowidzenie.

Drugi tomik wierszy Anny Bernat, *Niepokoje starej nocy*, ukazał się w roku 1984, nakładem Państwowego Wydawnictwa „Iskry”. Liczył dziewięćdziesiąt cztery strony i zawierał sześć poematów (*Ćmy*, *Zniebożstąpienie*, *Owocobranie*, *Człowiek ziemi*, *Pamiętnik*, *Noc zaduszna*) oraz dwadzieścia dwa wiersze, ujęte w cykl *Psalmy i tanga*. Recenzent „Życia Literackiego”, opiniując - bez nadmiernego entuzjazmu, za to z małodusznym wytykaniem niedostatków - ten tomik (Wiesław Zieliński: *Młodzi w Iskrach*, „Życie Literackie” 1985 nr 10), zachwyił się poematem *Owocobranie*:

[...] jest to niewątpliwie rzecz znakomita literacko - napisał. - Niezwykle oryginalna próba psychicznego i fizycznego oddania stanu kobiety spodziewającej się dziecka. Macierzyństwo, poprzedzone oczekiwaniem na szczęśliwy poród, przedstawione zostało nieszablono wymiennie językiem metaforycznej poezji, która zawiera jednocześnie realistyczne elementy kobiecej radości oczekiwania i niepokoju. [...] Bernat tchnie radością macierzyństwa z realnego i świadomego wyboru. Tęgo typu uczucie staje się ... słowotwórcze, gdy za sprawą narratorki poznajemy stan określony mianem „świętej choroby”.

Zaiste, nie sposób oprzeć się zachwytowi, gdy czyta się ujmującą prostotą, szczerością, czystością i czułością wiersze *Owocobrania*: „teraz kiedy raczej mam brzuch/ niż głowę do miłości/ co mi od ciebie/ nad owoc [...] nie chce się wierzyć/ że kiedykolwiek zniknie ta ociążałość/ a głowa znów wejdzie między drzewa/ jasna młoda/ jakby to ona urodziła/ owoc [...] słyszę cię/ a to dosyć/ żeby radość pochwyć w ręce/ dlatego proszę przyjdź/ ja na to owocobranie/ przygotuję nowiutki koszyk/ a w nim zawiniątko:/ serce”. Ale i niepodobna nie pochylić się z trwogą nad wieszczą mądrością wersów: „jesteś moją córką/ na jedno życie odmarznięty ptak/ na jeden przelot”.

Pomieszczone na czwartej stronie okładki *Niepokoje starej nocy* rekomendacje autorstwa wybitnych znawców poezji, Piotra Kuncewicza i Krzysztofa Mętraka, potraktowały drugą książkę poetycką Anny Bernat z nieporównanie większym zrozumieniem i z mądrą wielkodusznością. Krzysztof Mętrak napisał:

Anna Bernat zaznaczyła się już na mapie młodej poezji swoim debiutanckim tomikiem, a jej drugi zbiór jest lepszy, bardziej czytelny, bardziej świadomy. Wydaje się, iż mamy do czynienia z osobnym, tchnącym autentycznością, światem wewnętrznym; światem kobiety, która wszelkie doświadczenia podporządkowuje obronie swojej prawdy przed naporem zewnętrznego. Jest to obrona niekiedy pełna pokory, niekiedy determinacji; tkliwość przeplata się tu z rezygnacją i rozgoryczeniem. Ten świat ma jednak jasno zarysowane kontury poetyckie i nie mogą oprzeć się wrażeniu, że ten, kto nie potrafi tego dostrzec, zbyt wielką wagę przywiązuje w poezji do czysto formalnych wartości, do egzystencji słownej. Poezja Anny Bernat należy do tych światów poetyckich, które można przyjąć w całości, zaakceptować i wtedy mniej udane szczegóły, a nawet potknięcia - po prostu mniej się już liczą [...].

Trzecim tomikiem - trzecim, jeśli pominąć psychodramat *Czarna msza* z 1990 roku oraz zbiór wierszy dla dzieci *Liściasty modlitewnik* z 1991 - Anna Bernat potwierdza, że jest poetką z krwi i kości, z ducha i ciała, a świat jej poezji to w pełni autonomiczny, integralny, jedyny i niepowtarzalny świat wewnętrzny kobiety z „niepowszednimi” sprawami „dnia powszedniego”, „nocy bez rozgłosu gwiazd” oraz „tajemniczych ogrodów” umysłów starych ludzi, ogrodów, w które zapuszcza się, by szóstym zmysłem - czy też trzecim okiem - nadwrażliwością i nadczułością przeniknąć tajemnicę życia i śmierci w momencie granicznym. Oto w jaki sposób zaklina w słowa ów niewysłowiony moment:

Susan Susan
od wschodu do zachodu
echo powtarza
moje imię

pamiętam
po obu stronach drogi
fioletowe morza
fioletowe fale
wrzosowiska kończące się
gdzieś na horyzoncie

i wiatr pamiętam
o zapachu wrzosów
i dzikie przeciągłe gwizdy
niewiadomego

dobrze pamiętam
te kwitnące wrzosy
i wiem
że na pewno kwitną tam dalej
jak wtedy
gdy po raz pierwszy świat
naadał mi imię
Susan

Ten trzeci tom poetycki Anny Bernat jest wyborem z całego jej dorobku i nosi tytuł *Wiersze na dzień powszedni*. Został opracowany przez córkę poetki Malwinę Ciecchan i wydany nakładem Warszawskiej Firmy Wydawniczej w roku 2012. Liczy sto dwadzieścia sześć stron, zawiera sto pięćnaście wierszy bez tytułów, za to ujętych w dwa opatrzone tytułami cykle: *Wiersze na dzień powszedni* oraz *Tajemnicze ogrody*. Jest dedykowany „Mamie, Krystynie Bernat, na 87. urodziny”. I wydaje się skarbnicą „wiedzy tajemnej”, dla której Anna Bernat, istota obdarzona nie tylko oryginalną wyobraźnią poetycką, ale i czymś na kształt daru nadwidzenia (jasnowidzenia, nadświadomości), potrafiła znaleźć sugestywny język.

Maria Jentys-Borełowska

Anna Bernat

* * *

To moja wiara
to moja wiedza tajemna
tylko tej reguły się trzymam
wolno coraz wolniej
przed siebie
nie zatrzymując się
nie oglądając
poprzez to złudne czyścicowe trwanie

chcesz to chodź za mną
porzuć co masz

jeszcze nie możesz
jeszcze ci żal

ziemia jak popielniczka
ciało na popiół dusza na dym
chcesz to mnie kochaj
nie?
mniejsza z tym

* * *

Serce coraz bardziej płochliwe
schodzi z gór
ledwie ledwie dorównuje myślom
słońce dyskretnie zachodzi

tak wraca się ze szczytu lat
i choć zmęczenie tą szklaną wspinaczką coraz większe
chciałoby się jeszcze wyżej
wyżej
choćby na drugą stronę nieba

a nie tak na chybił trafił
w obiecaną ziemię

* * *

Brakuje mi tylko rok do pięćdziesiątki –

powoli
idę do miejsca
w którym zawsze chciałem być
na ostatni five o'clock
na filiżankę
mocnej angielskiej herbaty
i maślane ciasteczko

mówią o mnie Johnnie Walker

idę
przez tajemnicze ogrody starości
by wreszcie usiąść w fotelu bujanym

naprawdę
macie mi czego zazdrościć

* * *

Bezsenna noc
widać splatające się komety
odległych rąk

ludzie którzy nie śpią
żyją inaczej

chodząc po dachach szczęśliwych domów
wyobrażają sobie sny ptaków
obejmujących się
żeby przycupnąć we wszechbycie

gdy nie usypia się naprawdę
nic a nic nie można uwierzyć
we własne zorze poranne

* * *

Czasem pozostaje wziąć głęboki oddech
i patrząc w okno
długo przyglądać się niebu

ptaki wracają z końca świata
a my nie mamy im nic do powiedzenia

ptaki bólu
fotografie pamiątki listy
wspomnienia bez skrzydeł

co dzień szukamy tego bólu
mając nadzieję
że go nie znajdziemy
i tyle

przelotne ptaki
świat zatrzymują
na chwilę

* * *

Czemu jesteś dziś taka jasna
może coś cię boli?

pokazujesz mi życie
a to miasto jak płomyk dogasa

do starości przyklekaj powoli
coraz wolniej módl się za siebie
coraz chętniej

dobrze jest w odpowiednim momencie
w kalendarzu na rok występny
jak liść topoli
zasuszyć swoje serce

mówię głosem ścisłym
na słowach mucha drzemie

* * *

Życie komórki
życie jak kot przeganiane
z komórki do piwnicy

nie ma takich myśli
które opuszczając ciało
nie wypuściłyby kropli krwi

kłębowisko tajemnic
spragniona pustynia
oto cena
jednego czyścicowego życia

* * *

Przysiadłem na twoim palcu
jak motyl
nie odczułaś

chodzę za tobą
mogłabyś nawet przytulić się do mnie
ale skąd możesz wiedzieć
że umarli żyją
tylko trochę inaczej

jestem jak i ty jesteś
dlaczego?
nie mogę powiedzieć
nie mogę powiedzieć

nie szukaj mnie gorliwie
jak się szuka drugiej rękawiczki

i tak odnajdziemy się
i tak
bo odnajdują się dusze ptaków

a tymczasem uwierz mi
umarłem po grób
ale nie dalej

* * *

Im dłużej żyję
tym mniej mam do powiedzenia
patrzę słucham

nie zadaję pytań
bo wiem
że odpowiedzi zawarte są
w braku odpowiedzi
gdybyście chcieli ze mną pogadać
ot tak o niczym
przy filiżance herbaty
spotkacie mnie u mnie

ja nigdzie nie chodzę
nikogo nie odwiedzam

opowiadacie mi coraz gorsze
zdarzenia ze swojego życia
nie znajduję dla was sensownej rady

jest we mnie droga
nieskończonego trwania
już niczego nie muszę

to zgoda na ciało
i duszę



Fot. Kaja Świętochowska

Grzegorz Kociuba

KSIĘGA PRZEBUDZEŃ

Łeżakując na działce, obserwowałem mrówki, które obsiadły logryzek gruszeki. Niezawodne ruchy, niewzruszony automatyzm działania. W każdej chwili swego życia są bez reszty tym, czym są, gdyż nie mają świadomości siebie. To świadomość siebie godzi w witalność i pewność bycia jako takiego. Owoc poznania, jaki by nie był, zawsze działa jak trucizna.

Obserwując mrówki, poczułem własną nędzę. Chwilowość i przygodność kogoś, kto wie, że jest momentalny, przypadkowy, bez trwałego oparcia w czymkolwiek. Świadomość siebie czyni mnie zarazem więzieniem i uwięzionym. To sprawia, że wyzwolenie staje się niemożliwe. I ten wstyd wobec mrówek, że niby jestem kimś więcej a jednak jakby mniej.

* * *

Ledwie otworzyłem oczy i zacząłem wstawać, a już potknąłem się o siebie.

* * *

Cywilizacje giną od tego, co je stworzyło. Grecki racjonalizm kończy sofistyką, rzymska wola działania i podboju wyradza się w obsesję władzy oraz obyczajową perwersję, chrześcijaństwo, głoszące miłosierdzie i tolerancję, jest zatrutowane i rozkładane przez rozmaite anomalie i dewiacje, które, a jakże, domagają się praw i poszanowania w imię miłosierdzia i tolerancji. Nie mówiąc już o tym, że obce żywioły wpływają w chrześcijańskie społeczeństwa i skutecznie przerabiają je na własną modłę. Ale skoro powiedziało się „nie ma niewolnika i wolnego, Rzymianina i Greka...” to trzeba obcych u siebie akceptować w imię demokratycznych wartości, ukrywając przy tym dwa kłamstwa założycielskie demokracji.

Pierwsze z nich głosi, że wszyscy ludzie są równi, drugie, że są wolni. Codzienna egzystencja zadaje kłam tym mitom, bo ludzie ani nie są równi, ani wolni. Nierówność wynika już choćby z biologicznego i egzystencjalnego uposażenia każdego z nas, z kolei brak wolności bierze się stąd, że istniejemy osieciowani przeróżnymi ograniczeniami. Wygląda więc na to, że „równość” i „wolność” to istnienia czysto nominalne.

prześwietlanie ludzi, zjawisk, procesów. Celem działania takiego rentgena jest pokazanie układu kostnego ale też tkanek miękkich rzeczywistości. Idzie tu o obraz, który możliwie najszczelniej przylega do rzeczy, a nie o ocenę czy interpretację. Stąd zapewne pochodzi chłód znamionujący tego rodzaju inteligencje. Żyją one w dystansie, w oddaleniu od innych, na pustyni. Nic więc dziwnego, że wobec konkretnych ludzi odczuwają zakłopotanie pomieszane z niedowierzaniem. Wygląda to tak, jakby nagle stanął im przed oczyma ktoś, kto nie miał prawa tu się zjawić.

* * *

Właśnie siedzę przy laptopie i zapisuję „parę myśli co nie nowe”. W pobliskim kościele odzywa się dzwon. Jego dźwięk nie wywołuje we mnie żadnych obrazów ani skojarzeń. Czy to dowód na to, że definitywnie umarł we mnie – człowiek religijny?

* * *

Nie za często ale jednak zdarza mi się czasem z kimś spotkać i porozmawiać. I zawsze znajduję w sobie szczere uznanie dla tego kogoś, wyrażające się w zdziwieniu; więc i jemu czy też jej udaje się wciąż znosić siebie. A może moja ocena bliźnich jest mocno przesadzona? W końcu trud znoszenia siebie doskwiera głównie w dwóch przypadkach; gdy cierpi świadomość oraz boli ciało.

* * *

Co w kulturze masowej jest najgroźniejsze? Wcale nie jej powierzchowność, schematyzm, parcie na kasę czy popularność. Najgroźniejszy jest infantylny obraz człowieka, jaki masowa kultura fabrykuje i propaguje. Odbiorcy, zwłaszcza młodemu, wciąż się powtarza; baw się i korzystaj, bo życie to zabawa, przyjemność, kolekcjonowanie wrażeń. Uwierz nam, właśnie taka jest recepta na szczęście. Sukces i zdrowie stają się w kulturze masowej towarami nieustannie reklamowanym i sprzedawanym. Ale wiadomo skądinąd, że nie można ciągle być zdrowym i nieustannie odnosić sukcesy. Infantylizm w kulturze masowej przyjmuje więc postać jednostronności, jednowymiarowości, jednokierunkowości, pozwalających ukryć szare i nędzne, a więc realne, aspekty naszego życia.



* * *

Coraz częściej łapię się na tym, że ilekroć zaczynam czytać książkę z zakresu humanistyki (historia literatury, filozofia, historia idei, socjologia, antropologia kultury,...) to po paru stronach ogarnia mnie znużenie i zniechęcenie. Mam nieodparte poczucie, że obcuje ze słomą po wielokroć młóconą, którą znów się młóci. Kolejne interpretacje interpretacji, komentarze do komentarzy! Już niepodobna dotrzeć do rzeczy, bo ona-już-zawsze-zjawia-się-jako-interpretacja. I w ten sposób produkcja interpretacji trwa w najlepsze, a istotne znaczenie rzednie i wyparowuje. Swoją drogą, niełatwo pogodzić się z tym, że „koło hermeneutyczne” było, pewnie od zawsze, „błędny kołem”.

* * *

Istnieją inteligencje, których jedyną racją istnienia jest...

* * *

Gdy, pisząc, masz przed oczyma innych pisarzy, wielkie dzieła przeszłości, czytelników, to, w pewnym sensie, pisać jeszcze nie zacząłeś. Pisanie właściwe zaczyna się wtedy, gdy przed oczyma masz... NIC. Tego NIC się boisz, drżysz na samą myśl o nim, próbujesz od niego uciec a zarazem jasno widzisz, że jeśli z owym NIC nie zmierzysz się, twoja kłeska będzie pełna i definitywna. Bo też pisanie właściwe jest powoływaniem świata z nicości, ale też wypełnianiem nicości opowieściami.

* * *

Blisko rzeczywistości jesteśmy dopóty, dopóki czujemy smród drugiego człowieka. Ale wielkoduszność rodzi się w nas dopiero wówczas, gdy nasza ręka przeciska się przez ten smród, by nieść bliźniemu konkretną pomoc.

* * *

Najlepszym dowodem na upadek pisarstwa jest rosnąca liczba festiwali literackich. Pisarz, poeta, artysta godzien tego miana żyje w samotności i nie jest w stanie przebywać dłużej w towarzystwie kogoś o podobnym profilu. Kto więc zaludnia literackie festiwale? Zdaje mi się, że chłopcy i dziewczynki, które przyjechały pobawić się w piaskownicy.

* * *

Niewiele o sobie wiemy, zanim nie przegalopuje przez nas wielka namiętność.

* * *

Pojechałem do Tarnowca, żeby pomóc bratu w kopaniu ziemniaków. Gdy stanąłem na polu i rozejrzałem się wokół, pojąłem, że nigdy stąd nie odszedłem. Niczego nie wspominałem, nie uprawiałem sentymentalnych podróży do czasu straconego. Po prostu uchwyciłem tamtego siebie jako młodzieńca, który był intensywnym przeżywaniem siebie w konkretnym miejscu; o tyle był, o ile przeżywał. Potem, niestety, zaczęło się myślenie i pisanie, czyli rozbrat ze sobą, ziemią, pejzażem. Zaczął wyrażać i... to go zgubiło.

* * *

Wielkie pisarstwo to ma do siebie, że wrażliwemu czytelnikowi otwiera oczy na niego samego, człowieka, świat. Tak otwartych oczu nie można już zamknąć, gdyż istnieją przebudzenia, po których nie sposób już zasnąć.

* * *

Ilekroć ogarnia mnie intensywne poczucie daremności i przygodności wszystkiego, mówię do siebie - przecież powinno być raczej NIC niż COŚ, maszynaria bycia w ogóle nie powinna zaistnieć i zostać wprawiona w ruch!

* * *

Być może jedynie mówienie do siebie jeszcze coś dla mnie znaczy, bo słowa kierowane do kogoś, zdają mi się od razu puste. Czyżbym nie wierzył już w możliwość spotkania?

* * *

U podłoża każdej międzyludzkiej relacji można odnaleźć rodzaj zwierzęcej czujności gotowej do ataku albo ucieczki.

* * *

U młodzieży z którą pracuję niepokoją mnie trzy rzeczy: lęk przed ciszą, niechęć do słuchania drugiego człowieka, rozrost własnego ego. Nieumiejętność przebywania w ciszy i bycia ciszą prowadzi do erozji duchowości. Niechęć do słuchania drugiego, uniemożliwia tworzenie wspólnotowych więzi. Hipertrofia ego definiuje świat przede wszystkim jako przestrzeń walki, rywalizacji. Nie wróży to najlepiej społecznościom/społeczeństwom stworzonym przez takich ludzi.

* * *

Coraz częściej łapię się na tym, że moja myśl, zanim zabierze się do myślenia, traci zapal i chęć do tej roboty.

* * *

Porzucać siebie tak, żeby odnajdywanie siebie miało świeżość i lekkość... rewelacji! Czyż to nie jedno z najpospolitszych złudzeń ludzi i kultur?

* * *

Egzystencjalne rozpoznania i odkrycia istotne dokonują się w... żywiocie odwagi. Kto nie ryzykuje sobą, może co najwyżej cytować innych, ba!, sam staje się cytatem i przypisem; najczęściej nawet nie wiedząc, kogo cytuje i do czego jest przypisem.

* * *

Przyglądaj się temu sobie, jakiego widzisz zaraz po przebudzeniu; być może jest to właśnie twoja twarz, którą, za chwilę, zamienisz na maski.

* * *

Czasem... widzę! I zaraz potem zdaje mi się, że całkiem zgrabnie obmyśliłem to... widzę!

* * *

Przez wiele lat wydawało mi się, że pewne przeczucia, przeżycia, przemyślenia, ale też sytuacje i spotkania stanowiły zapowiedź czegoś więcej. Po jakimś czasie zdałem sobie sprawę, że są one dokładnie tym, czym są. Niczego nie zapowiadały ani do niczego nie odsyłały. Po prostu przytrafiały się; pojawiały się jako przytrafiające i w taki też sposób dokonywały swego żywota.

* * *

Dlaczego człowiekowi nieustannie wymyka się jego własna realność? Bo wspomina i projektuje, czyli nieustannie zdradza siebie jako... teraz!

* * *

Lata lecą, a ja od lat, kiedy patrzę na siebie trzecim okiem, wciąż widzę młodzieńca!

* * *

Świat – coś, co ciągle czegoś ode mnie chce.

* * *

Poezja jest wieczną uciekinierką z obozu... retoryczności.

* * *

Czy wiecie, co zabija miłość? Powiem wam – powtarzalność!

* * *

Jeśli nie możesz znieść drugiego człowieka, wygląda na to, że masz dość... samego siebie.

* * *

Żeby naprawdę zobaczyć, trzeba doprowadzić siebie do stanu, w którym... już nic nie widzę. Jeśli po tym... oślepieniu, wrócę do widzenia, to być może... coś wiem. I to wiem o tyle jest wiem, o ile potrafię o tym sobą zaświadczyć.

* * *

„Czuję się dziś okropnie” – mówi niejeden / niejedna z nas. Może nawet, ten czy ta nie przeczuwają, że formułują mocny... dowód ontologiczny / egzystencjalny. Skoro bowiem „czuję się okropnie”, to jednak ciągle istnieję.

* * *

Wątpliwość fundamentalna:

Być może nigdy nie byłem Poetą! Być może, żyjąc, Nie-Byłem, bo do tego doszło, w obrębie mojego świata, że nie można już – Być Sobą i Po Swojemu!

* * *

Czyż życie nie jest przypadkiem zrakowaciałą tkanką na zdrowym organizmie... nicości?

* * *

Minęło dwa tysiące lat od czasu, gdy Jezus po tej ziemi chodził, głosił, cierpiał i umarł, a my wciąż nie potrafimy pojąć, że aby zmieniać ten świat, trzeba być choć trochę... nie z tego świata.

* * *

Śniło mi się, że nie istnieję. Niestety, przebudziłem się!

* * *

Odkąd postawiłem na pisanie, tkwię w takim oto potrzasku; dzień bez choćby kilku napisanych linijek wydaje mi się stracony i pusty, ale też dzień, w którym pisałem bez mała od świtu do nocy, także wydaje mi się stracony i pusty.

* * *

Nie daję mi spokoju niepokój, co do którego nawet nie wiem, cóż go tak niepokoi.

* * *

Formuła dzisiejszej niezależności; nie odpowiadaj na propozycje tych, którzy chcą cię skonsumować, a być może uda ci się ocalić swą suwerenność.

* * *

Gdy pozostaję sam ze sobą mam wrażenie, że istnieję autentycznie, uczciwie, na właściwym sobie poziomie. Gdy jednak wchodzę w relacje, od razu przyłącza się do mnie diabeł teatru. Mam świadomość, co to za kompan i jak postępuje, a jednak moja nieufność wobec bliźnich jest na tyle wielka, że pozwalam mu działać.

* * *

Na tym świecie, żebyśmy nie wiem jak go uczłowiczali, nigdy nie będzie nam dobrze, bowiem z ziemi wygnania nie można uczynić ojczyzny. Z tego też względu człowiek zawsze pozostanie zwierzęciem religijnym.

* * *

Ilekcją dopada mnie intensywne myślenie, świat w jego materialnej postaci wydaje mi się całkowicie zbyteczny i pozbawiony znaczenia. Istnieje jedynie moja myśl o świecie, która w zupełności sobie wystarcza.

* * *

Ludzi zakłamanych bardzo łatwo rozpoznać. Otóż każdego, kto uczciwie mówi im jak jest, nazywają... cynikiem.

* * *

Znakomitą większość ludzi trawi tylko jedna pasja... namiętność pozoru. Żeby w aurze pozoru pozostać, zdradzą i zamęczą każdego, kto z otwierania im oczu uczynił swe powołanie.

* * *

Współczesny Zachód szczydzi się tym, że nie jest już społeczeństwem produkcji lecz konsumpcji. I czym się tu szczydzić, skoro takie cnoty jak: pracowitość, sumienność, oszczędność, poświęcenie zostały zastąpione przez: pazerność, hedonizm, bez troskę, nieodpowiedzialność! Czyż okres rozpasanej konsumpcji nie poprzedzał ostatecznego upadku niejednej cywilizacji?

* * *

Jak określić człowieka, który jest produktem cywilizacji konsumpcji? Może tak; znużone, przemęczone, wydrążone, zewnętrznie zwierzę.

* * *

Samotność jest niezbędna do tego, aby odkryć i uprawiać swą duszę. Kto definiuje dziś siebie nade wszystko poprzez społeczeństwo i zachowania stadne, niech się pożegna z duchowością.

* * *

Dlaczego wiedza i jej produkt czyli nauka są niebezpieczne? Ponieważ stanowią wytwór intelektu, a ten nie tylko pragnie poznawać ale także władać i manipulować. Inaczej z mądrością, która pochodzi z duszy. Jest ona przeciwieństwem panowania, albowiem chce nade wszystko współodczuć i współżyć. Czyż to nie znaczące, że z mędrców emanuje siła afirmacji a z naukowców pretensja uzurpacji?

* * *

Ilekcją przestawałem wsłuchiwać się w swe ciało, zwykle zaczynałem chorować.

* * *

„Nieprzypadkowo wszędzie tam, gdzie kultura masowa dochodzi do głosu, będzie ona stawiać na powiązanie trywialności z efektami specjalnymi”. (Peter Sloterdijk, Pogarda mas, przeł. B. Baran, Wydawnictwo Aletheia, Warszawa 2012, s. 71.). I nie może być inaczej, gdyż charakter kultury masowej jest tego rodzaju, że może oferować wyłącznie przeciętność. Obliczona jest bowiem nie na wymagania stawiane odbiorcy, ale schlebienie mu. Trywialność to synonim przeciętności, pospolitości, miernoty. Rzecz jednak w tym, że kultura masowa nie może otwartym tekstem powiadomić odbiorcy, że jest uosobieniem przeciętności, że jest... nieodróżnialny od innych egzemplarzy wchodzących w skład masy i tworzących masę. Potrzebuje więc atrakcyjnego kostiumu, opakowania, gdyż to właśnie opakowanie osłabia trywialność tego, co opakowano, co oferuje się odbiorcy. Im opakowanie atrakcyjniejsze, im mocniejszy fajerwerk efektu specjalnego, tym skuteczniej zasłonięty zostaje przedmiot, który się opakowuje. W ostatecznym rozrachunku kulturze masowej idzie o to, by na placu boju pozostał wyłącznie efekt specjalny, by tenże efekt stał się jedyną rzeczywistością, jaka istnieje. Oczywiście mass medialny dyskurs będzie nieustannie podkreślał, że efekty specjalne nie są celem, a tylko sposobem mocniejszego artykułowania spraw istotnych. Ale nie oszukujmy się, w kulturach mass medialnego dyskursu nikt już nie wierzy w sprawy naprawdę istotne! Cóż niby miałyby to być, skoro wszystko jest do siebie podobne, więcej, takie same. Jedynie efekty specjalne zapewnają krótkotrwałą różnicę. I w tym sensie kulturę masową daje się pomyśleć i opisać jako historię efektów specjalnych. W świecie kultury masowej widowisko, show, staje się opium dla mas!

* * *

„Średniowieczna kultura była multicharyzmatyczna – tak jak współczesna jest multiroszczeniowa.” (Peter Sloterdijk, Pogarda mas, przeł. B. Baran, Wydawnictwo Aletheia, Warszawa 2012, s. 147.) Charyzmat jest różnicą, która nie pochodzi ode mnie, której sam nie ustanawiam, wskazuje więc on zawsze na zewnętrzny, transcendentny twórca i dysponenta różnic. Kultura współczesna musi być roszczeniowa, gdyż ufundowana została na aksjomacie równości wszystkich, którzy składają się na społeczną masę. Nawet jeśli czegoś nie wiem albo w czymś niedomagam, to mogę się tego nauczyć czy też to coś wyćwiczyć. A skoro tak, to każdy nosi buławę w plecaku. Dlatego rości pretensje. Czy w średniowieczu kmieć, przy zdrowych zmysłach, rościł pretensję, aby zostać królem?

* * *

Ilekcją wypowiadam na głos własne imię i nazwisko, doznaję obcości tej sygnatury! Jakby niczego ona o mnie nie mówiła, jakby zupełnie nie przystawała do tego dziania się na wszystkie strony, jakim w każdej chwili jestem. Słyszę brzmienie imienia i nazwiska, widzę jego graficzną postać, i nie wierzę, że to ja. Może dlatego, że sygnatury tego rodzaju zawsze ujmują mnie od zewnątrz! Nie wybierałem ich, lecz zostałem w nie wrzucony, napiętnowany nimi. One mnie przypisują i przywiązują do miejsca, języka, społeczeństwa, i na tym ich rola się kończy. W niczym nie są w stanie mi pomóc, gdyż stanowią jedynie użyteczny społecznie liczman. Można by rzec, iż tracę siebie bezpowrotnie, jeśli nie występuję przeciwko swemu imieniu, jeśli godzę się na jego stygmatyzującą władzę. Imiona i nazwiska tylko na pozór nas wyróżniają i odróżniają, w istocie stanowią narzędzie unifikacji, bowiem lokują nas w granicach systemu, z którego uwalnia śmierć. A i to nie bardzo, bowiem nasze imiona i nazwiska długo jeszcze błąkają się w... rozmaitych szpargałach, gdy o nas nie pamiętają już nawet wnętrzości robaków, przez które przeszliśmy. Zdumiewające więc jest to pragnienie nas wszystkich, aby zapisać swe imiona w annałach. Chciałoby się – cytując „klasyka” – zawołać: „Nie wiedzą, co czynią”. A nie wiedzą, gdyż za wszelką cenę chcą „ocalić swe życie”. A skoro tyle zachodu czynią, aby je ocalić, niechybnie je tracą!

* * *

Im mocniej przywiązuję się do siebie, tym konsekwentniej odwracam wzrok od... otwartego życia, które nieustannie się wydarza i trwa. Stąd właśnie pochodzą moje lęki, pretensje, ambicje, urazy, ... cały ten wór „bebeczów”, który jeszcze bardziej



Fot. Kaja Świętochowska

przywiązuję mnie do mnie. I taki ociężały i obładowany włokę się przez życie! Ilekcją jednak udaje mi się poluzować związki z sobą, zaczynam mieć udział w otwartym życiu, a wtedy odczuwam lekkość, żywotność, moc.

* * *

Nie ma pisania bez... r o z e d r g a n i a! Dlatego, gdy stan naturalnego rozedrgania kończy się, a kiedyś skończyć się musi, ratują się pisarze wspomagaczami. Skutki tych działań bywają literacko rozmaite, życiowo zaś najczęściej oplakane. Choć, na dobrą sprawę, i literacko nie wygląda to najlepiej, gdyż uczciwemu wobec siebie autorowi trudno uciec przed poczuciem, że oszukuje za jednym zamachem: siebie, rzeczywistość, czytelnika.

* * *

„Wszyscy więc ciałem i w sprawach naszych podlegamy diabłu i gościmy na świecie, którego on jest panem i bogiem. Dlatego pod jego władzą jest chleb, który jemy, napój, który pijemy, ubranie, które nosimy, nawet powietrze, i wszystko, czym żyjemy.” (Martin Luther, Komentarz go Galatów)

Rozumowanie Luthra, osadzone w chrześcijańskim dualizmie, ocala człowieka w jego wymiarze duchowym. Co prawda, tak czy owak, służymy szatanowi ciałem, ale wymykamy się mu przez furtkę tego, co duchowe (boskie). Luther dotyka tu zresztą gnostyckiej tradycji chrześcijaństwa, wszak nie kto inny jak właśnie gnostycy utrzymywali, że świat, ze wszystkimi jego nędzami, nie może być dziełem Boga, którego objawił Jezus, a skoro tak, jest więc dziełem demiurga, księcia tego świata, który jest ułomny, a zatem wszystko, co powołuje do istnienia, też kalekie.

Kłopot w tym, że księżę tego świata też nie zasypał gruszek w popiele, i od czasów Luthra również czegoś się nauczył. Czego? Tego głównie, że skoro człowiek wymyka się mu przez furtkę duchowości, tedy trzeba to przejście konieczne zneutralizować, a najlepiej zlikwidować. Jak? Choćby promując, piórami wpływowych intelektualistów, pisarzy, moralistów, naukowców ideę, że wszelka duchowość osadzona jest na fundamencie cielesności i od tejże zależy. Jeżeli masy wszystkich ras, kontynentów, ustrojów zostaną do tej idei przekonane, mało tego, uczynią tę ideę podstawą swego „nowoczesnego” i „postępowego” światopoglądu, to już ich ma w garści! Już się mu nie wymkną, bo niby ku czemu, i w którą stronę, skoro nie ma innej rzeczywistości jak tylko ten świat, to życie, ta postać rzeczywistości, która na ciele i jego potrzebach ufundowana. Nic więc dziwnego, że dzisiaj władca tego świata inwestuje pełnymi garściami w: konsumpcję, media, politykę. Są to jego kluczowe agendy, przy pomocy których konsekwentnie unicestwia duchowość; furtkę, przez którą człowiek minionych wieków wciąż mu się wymykał.

* * *

Wyrażaj, póki jest jeszcze co wyrażać, bo obszar godzien wyrażania, dramatycznie się kurczy! Takie są konsekwencje... demokracji czyli dyktatury pospolitości. Nie powiesz mi, że



nie natrafiasz w sobie na taką mantrę: po co... skoro i tak... I, jak to z mantrą bywa, nie jest to zaśpiew okazjonalny, ale raczej narastający.

* * *

Odsłanianie i zasłanianie okien w pokojach, które zamieszkuje cisza.

* * *

Cóż za naiwność utrzymywać, że pisanie służy do wyrażania, opowiadania rzeczywistości! Ono właśnie rzeczywistość oddala, unieważnia, anihiluje. Zaczynając pisać, porzucam realność, zdradzam ją, przyznaję, że jest mi ona właściwie niepotrzebna, gdyż właśnie zabrałem się do ustanawiania innej rzeczywistości. Tamta mnie nie obchodzi, skoro pochłonięty jestem tą. I póki jestem nią pochłonięty nie interesują mnie związki pomiędzy jedną a drugą. Owo zainteresowanie pojawia się dopiero wówczas, gdy przestaję pisać, a więc, tak czy owak, powracam do dziejącego się świata. Rozziew pomiędzy pismem a realnością jest absolutny, choć, z powodów pragmatycznych, udajemy, iż głęboko wierzymy w ich odwieczny związek.

* * *

Ten, który pisze, nigdy i nigdzie nie jest u siebie! Dlatego też pisarz, godzien tego miana, odczuwa nade wszystko nieusuwalną obcość w świecie i wobec siebie.

* * *

Swoje musiałem przeżyć, żeby wreszcie pojąć, że przypadłość są moją największą siłą.

* * *

Poszukuję tego jednego zdania, które raz na zawsze wypowie moją sytuację w świecie. I właśnie z tego poszukiwania bierze się stosik książek, który przede mną rośnie.

* * *

Nie istnieje zapewne taka polityka, która nie opierałaby się na intrygach, i nie napędzała się intrygami.

* * *

Jeżeli dopada cię choroba, musisz doprowadzić do tego, żeby siebie... PRZEGRZAĆ! Ogniem wypędza się słabość!

* * *

Wrogom wybacza się po jakimś czasie, przyjaciółom, którzy nas zawiedli, – NIDGY!

* * *

Mogę wyobrazić sobie również taką wypowiedź: „ Jeszcze by się coś wypilo, bo robi się w środku coraz chłodniej, a do śmierci, wbrew temu co głoszą, wcale nie tak blisko”.

* * *

Czy nie jest trochę tak, że to piasek pisze najważniejszą opowieść!

* * *

Nagle, po latach, pojąłem, że poezja, podobnie jak muzyka, to... słuch absolutny!

* * *

Dlaczego Jezus zmartwychwstał? Bo nie przestraszył się życia!

* * *

Wypowiadam słowo „brzoza” i widzę przed sobą drzewo. Mówię „prawda” i mam przed oczyma prawego i szlachetnego człowieka. Powiadam „Bóg” i nie mogę doszukać się żadnego konkretnego istnienia. Czy nie jest to przypadkiem słowo, którego nikt nigdy nie zamieszkiwał? Oczywiście, wyłączając nasze marzenia, iluzje, pragnienia, lęki,... którymi to słowo napelniamy.

* * *

Ileż wysiłku wkłada dzisiaj każdy z nas w to, aby nie „przegrać” życia. Oznacza to najczęściej, „nadażać za światem”, „być na czasie”, „nie dać się zepchnąć na boczny tor”,... Im bardziej oddajemy się tym wysiłkom, tym nieuchronniej przegrywamy siebie i własną istotność, gdyż zabiegi owe obliczone są na oderwanie mnie ode mnie, skłócenie mnie ze sobą. Nie można dzisiaj kibicować światu i zarazem nie zdradzać, otwarcie albo po cichu, siebie!

* * *

Istota człowieka? Prosta sprawa! Nic o sobie nie wie, dlatego wszystko o sobie wymyślił!

* * *

Nie mam pojęcia o tym, co mnie napędza, każe przeżywać, odczuwać, myśleć, ale również nic nie wiem o przyczynach słabnięcia mojej witalności, o źródłach smutku, apatii, wyjałowienia. Tworzę na chybcika interpretacje, które w chwili powstania już mnie nie satysfakcjonują, gdyż wymyka się im przyczyna istotna, ukryta formuła, wprawiająca to wszystko w ruch. Niemożność uchwycenia siebie sprawia, że majstruję, nawet wbrew sobie czy obok siebie, jakąś metafizykę, bo tylko w oparciu o nią mogę odczuć całego siebie.

* * *

Działać to maksymalnie wszystko upraszczać, dlatego człowiekowi intensywnie rozmyślającemu, ktoś działający wydaje się prostakiem. Jakżeż skomplikowanie świata można sprowadzać do paru wulgarnych formuł czy opozycji? Otóż można, gdyż działanie opiera się na zasadzie; minimum informacji, maksimum realizacji. Refleksja wyhamowuje działanie, gdyż sama staje się inną postacią działania. Tyle tylko, że jest to działanie w sferze mentalnej, a nie fizycznej.

* * *

Tylko konkretne działanie przybliża do świata i czyni go realnym, wszelkie zaś myślenie od świata oddala, gdyż, tak czy owak, wytwarza rzeczywistość alternatywną. Im silniej się z tą rzeczywistością identyfikujemy, tym wyraźniej słabnie dla nas dosłowność realnego świata.

* * *

Nigdy nie fascynowali mnie ludzie czynu, gdyż wcześniej odkryłem, że działanie oznacza życie powierzchniowe.

* * *

Kim jest dla mnie Bóg? Wygląda na to, że kimś, w kogo już nie potrafię uwierzyć!

* * *

Nieznośne chwile szarości, która pełnie we mnie na wszystkie strony i wypełnia szczerze nawet odległe zakamarki. W takich chwilach każda strona, każda

możliwość, każdy świeży poryw zamykają się z trzaskiem i jękiem niczym rdzewiejące drzwi więzienia. Senność staje się do tego stopnia przemożna, że nic nie jest w stanie się jej oprzeć. Wszystko co jest mną pragnie spać i nie budzić się więcej. Nie ma takiej rzeczy, sprawy, osoby, dla których warto byłoby podejmować wysiłek. Sama myśl o wysiłku sprawia ból, przed którym chroni jeszcze większa senność. Bierność, która nigdy się nie kończy, wydaje się spełnieniem i doskonałością.

* * *

„Cogito ergo sum” to niewątpliwie jedna z bałamutniejszych formuł zachodniej filozofii. Myślenie bowiem nie tylko nie utwierdza mojego istnienia ani go nie potwierdza, ale jest sposobem podważania i kwestionowania tegoż. Skoro myślę to nie wiem, czy jestem i kim jestem, bowiem myślenie rozbija całość mnie samego, a musi to czynić, gdyż jest osobliwą postacią myślenia; taką mianowicie, w której nie tylko wiem, ale, niestety, wiem, że wiem. Wiedzieć o tym, że wiem, iż istnieję to tyle co zostać na zawsze wygnanym z „raju”. Dla kogo więc jest „raj”? Wygląda na to, że dla rzeczy, roślin, zwierząt i Boga. Ale przecież Bóg też... wie, że wie, kim jest? Owszem, ale on jest poza czasem, czyli w nieustannym TERAZ! Co z tego? Otóż to, że w tym przypadku nie ma „szczeliny” pomiędzy wiem i wiem, że wiem, gdyż ta „szczelina” ma charakter temporalny, a czasowość Boga nie dotyczy.

Grzegorz Kociuba



Fot. Kaja Świętochowska

* * *

A więc to zwie się życiem; kolejny dzień, jeszcze jedna próba, następna zdrada, naprędce klecone złudzenie.

* * *

Od kiedy odkrył, że jest swoją własną pułapką, przestał się szarpać, aby się z niej wydostać.

* * *

Literatura to śmierzcząca sprawa! Nic nie psuje się równie szybko jak słowa!

* * *

Dlaczego poeci, pisarze, literaci pożądamy nagród? Otóż nagrody utrwalały w nich jedno z fundamentalnych złudzeń pisania, to mianowicie, że jest ono społecznie potrzebne. Nagrodzili mnie, więc moje pisanie jest istotne, skupia wokół siebie czytelników, posiada społeczny rezonans. No dobra, nagrodzili mnie! I co z tego, nie ma takiej nagrody, za którą kupiliby moją niezależność. I tu pisarz się myli, bowiem nagradzający, którzy reprezentują społeczeństwo, są przebieglejsi od niego. Nagrody stanowią rodzaj sieci, która niby wcale nie krępuje ruchów pisarza, a jednak rozrasta się w jego głowie w postaci... powinności, zobowiązań, oczekiwań,... Już go mają, bowiem tylko naprawdę nieliczni potrafią trzymać w ryzach własną próżność!

* * *

Albo ja z tobą spotykam się tu i teraz, albo nikomu z nikim nie udaje spotkać się naprawdę!

* * *

- Ale przecież umrzesz jak każdy?
- Owszem, noszę się z takim zamiarem.

* * *

Wszystko dopięte na ostatni budzik.

* * *

Znacie zapewne tę przypadłość. Budzę się kolejnego ranka i co odkrywam? Że znowu – ja!

* * *

Zawsze jestem aktorem, sceną, gestami aktora. W każdej sytuacji czy czynności istnieję i obserwuję tego, który istnieje. Obserwator jest jednak ważniejszy. Jest na tyle blisko mnie, że bez mała staje się mną. Nic nie dzieje się bez niego, gdyż zawsze jest czujny, nigdy nie zasypia, a nawet wówczas, gdy słabnie jego czujność i opadają powieki, nie śpi jego wewnętrzne oko. Oczywiście, bycie aktorem męczy, separuje od innych, skazuje na własne towarzystwo, ale czyż dla kogoś w miarę świadomego siebie może istnieć inne życie? Nic nie wprawia mnie w większe zakłopotanie niż powiedzenia w rodzaju: „ Jestem sobą”, „W tym co robię jestem autentyczny”, „ Takie jest moje zdanie”. Czyżby ktoś, kto to mówi, naprawdę tak mało wiedział o sobie, czyż nigdy nie przyszło mu do głowy, że to kim jest i co mówi jest tylko niekończącą się powtórką, repetycją, jeszcze jedną wersją tego samego, które próbuje udąć coś innego? Dopiero wtedy, gdy uświadomię sobie z całą ostrością, że nie istnieję, zaczynam żyć; żyć w świadomości, iż nie można istnieć naprawdę, nie będąc w każdej chwili gdzie indziej i kim innym.

Adam Majewski

* * *

kołysamy się w rytm
muzyki, której nie napisano:
której nikt nie przewidział
i nie wyśnił

słyszemy tylko
melodię, której nie ma:
której nikt nie zachował
dla potomnych

klaszczyemy w dłonie
po koncercie:
który nigdy się nie odbył
i nie odbędzie

The Oprah Winfrey Show

Gość wszedł do studia

i nie może uciec, bo
patrzy na niego wielkie oko
ławicy

(Sieci
zostały zarzucone)

Rejs s/y Columbia – ocean, zielony ocean...

1.

urwały się słowa
ustała magia muzyki
all radio is dead

2.

nie mamy nic. ocean
bez granic
bez samokontroli

bez eteru
w przestrzeni
wilgotnej i nieprzyjemnej

głuchej
bez muzyki
bez amerykańskich audycji

Clarc Nova Billy'ego Lee*

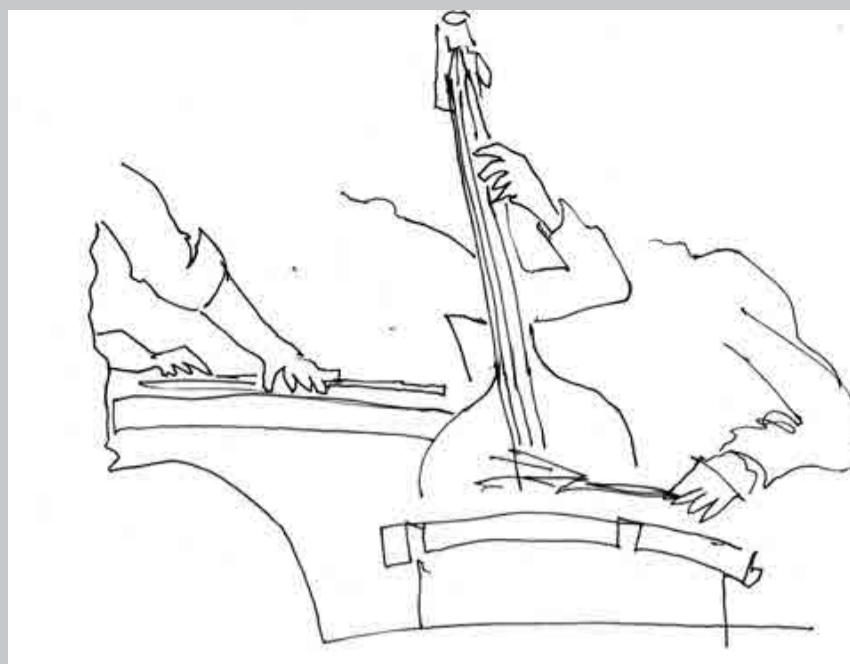
Opuszczony przez zmysły,
w środku nocy,

boi się, widzi jasną plamkę
na dnie korytarza.

Koncentruje się
na jednym punkcie (*swojej opowieści*),

w punkcie wyjścia.

* Postać powieści *Naked lunch* Williama S. Burroughsa (1959) i filmu Davida Cronenberga pod takim samym tytułem (1991).



Ryc. Jacek Krenz



Ryc. Jacek Krenz

Anna Czyrska

Hell is empty all the devils are here.
W. Szekspir

Przychodzi taki czas, kiedy ambicje trzeba założyć na dno, naj-
lepiej na dno basenu, który musisz posprzątać, aby bogaci mogli
się kąpać. Przychodzi taki czas, kiedy zostajesz sługą – zarabiasz
marne grosze. Witamy w Polsce, kraju bez przyszłości! Uczucia
patriotyzmu też muszą iść na dno, nie dziw się, że zostaje ci tyl-
ko wódka. Przyjechał do pracy. Był studentem. Dorabiał sobie.
Musiał złożyć ambicje, praca to świętość. Lepiej ją mieć niż jej
nie mieć. Nieważne, że po nocach czytujesz klasyków, modlisz
się. Praca z nieba nie spada ani pieniądze.

Kiedy czyścił dno basenu, czuł się jak więzień dna. I za takie
coś płacą? Nie ma umowy, żadna praca nie hańbi. A gdzie duma?

Ktoś musi pracować, żeby zara-
biać mógł ktoś. Żeby ktoś mógł
się bawić. Basen miejsce atrakcji,
tu dzieci uczą się pływać. Dorosli
szaleją. Codziennie mijał ratowni-
ków, przystojnych mężczyzn o ego
takim, jakby grali w „Słonecznym
Patrolu”. W życiu nie mieli książki
w rękę, ale mają pieniądze i sika-
jące małolaty, jak gwiazdorzy filmowi.
Pomylili basen z Holly-
woodem. Spektakl trwa. *Chlor przenika do mojego mózgu i cia-
ła, nikogo to nie obchodzi, gdzie zasady BHP? Gdzie jest umowa?
Nie jestem godzinem umowy? Sprzątam basen, to nie moja przy-
szłość. To nie moje życie. Kim jestem? – Sprzątając, jestem nadal
człowiekiem czy zwierzęciem. Wierzę w Boga. Ale czemu ktoś musi
być nade mną? Czemu muszę się na to godzić? Nikogo nie obcho-
dzi moja wiedza, dla wiedzy się uniżam, ale nie dla kobiet. Mam
trzydzieści lat i świat jest mi coraz dalszy, coraz bardziej obojętny.
Nikogo nie obchodzi mój organizm, może tylko Boga. Boże daj mi
siłę, bo nie jestem taki jak oni. Boże daj mi siłę...*

Następnego dnia wlewa się woda, hula nowy dzień, nowe tu
i teraz, nad którym nikt nie ma władzy. Nowe tu i teraz, u władzy
dzisiaj liczy się to co jest po śmierci. Podobno to jest ważniejsze. Mija
czas, czas spływa. Czyszczą basen. To moja codzienność, poza ode-
rwaniami się na studiach. Na wykładach mogę poczuć się mądrzej-
szy. Mogę, ale nie muszę, mądrość polega na tym... Nie ma mnie na
fejsie, nie potrzebuję wspierać kolejnego bogacza, dla którego jestem
tylko pionkiem. Nie potrzebuję dawać lajka kolejnym milionerom.
Pieniądze to nie wszystko, to jasne. Ileż razy można się tak oszuki-
wać? Kobiety idą na forsy. Nie dziwi się im... Może jestem romanti-
kiem? Może jestem... Wolają mnie, plotkują o mnie, brygadziści. Co
za świat. Mój „nowy, wspaniały świat” to basen i ludzie, którzy zapo-
mnieli, co to człowieczeństwo. Przeklęty świat, każdy cię sprzedaje...
Sprzedaj swoją myśl i wcale nie da jej lajka, przekłete dziewczyny.
Może są i spoko, ale sprzedają cię za grosze, za to by zatrudniały
tę pracę. Czasem wyobrażam sobie, jak pływam w tym basenie, że
to Morze Śródziemne, które dane mi było zobaczyć. Ale nasze zmy-
sły kłamią, chlor, pasty czyszczące i ludzie, którzy mają w sobie tok-
syny. Są już tak pozbawieni uczuć, że liczą tylko na sukces, sukces
na dnie basenu. A szef ma nas w dupie. Zarabia na nas. Robotni-
cy. Bezosobowi. Tani. Sprzedajni za wszystko. Kim jestem? Chole-
rna filozofia do niczego się nie przydaje, nauka czyni nas ubogimi,
a każdy chce zaistnieć. Każdy chce swoich „pięciu minut” – nawet
jeśli to będzie sekunda, nawet jeśli ten spektakl nie będzie trwał
wiecznie. W tle grają radio, radio dla swoich zwierząt. Wiara kontra
teoria ewolucji. Muzyka, jaką nam oferują, to muzyka szybka, tania,
dziwki skoczne. Mają spowodować, abyśmy nie myśleli o śmierci.
Czas na przerwę. Czas na kanapkę. Za oknem noc. Prosiłem bryga-
dzistkę, by mi nie dawała nocek. Cholerna koleżanka z pracy. Moja
kanapka zmaltretowana. Z szynką z biedronki. Moja rzeczywistość.
Mogę chwilę pooddychać świeżym powietrzem. – Rozmawiał ze
sobą, ze swoimi myślami, które sprawiły, że coraz bardziej się
przerażał. Czy zawsze jest ktoś słabszy i ktoś silniejszy? Patrzył
na swoją szcztokę i kilku kolegów, którzy jak on musieli zarabiać
w ten sposób. Wojtek i Kamil nie studiowali. Jeden był żonaty,
drugi hulaj jak „wolny ptak”. Prawo wyboru. Minął kolejny dzień
w pracy. Wracal do roboty dwoma autobusami, nie stać go było
na prawo jazdy ani na samochód. Na basenie zarabiał tyle, żeby
przetrawić, ale to było zajęcie tymczasowe. Był marzycielem. I tu
z ryżową szcztoką czuł się nieco jak ofiara systemu. Jednak nie
komentował tego, Bóg mu wszystko wynagrodzi. Takie było jego
tu i teraz. I nie tylko jego. Kim są ludzie? Bohaterami spektaklu
zwanego życiem. Przyszedł kolejny dzień. Dziś miał wolne, czuł
w sobie smród chloru, dezynfekcji. Sam miał ochotę wydezyn-
fekować ten świat. Gdyby tak można było wypolerować ludzi,
uczynić z nich kryształ. Zabawa w Jezusa jest nie na miejscu
i nadal nie jest zabawą. A z Jezusa nie można się śmiać. Jezus
to „ja idealne” wielu ludzi, którzy z lęku przed śmiercią nazywa-
ją się ateistami. Mieszkał w małym, uniwersyteckim miasteczku.
W Opolu. Opole było miasteczkiem, w którym mieszkali ludzie
znani, cenili Opole za to, że jest małe. On był niewysokim blon-
dynem, aktywnym studentem, który nie chciał znać swoich
życiowych celów. Opole było miejscem, gdzie uzupełniał swoje
studia. On prosty chłopak ze Śląska był typem humanisty. Cza-
sem za bardzo miał głowę w obłokach. Lubił ten stan poszuki-
wań. Kim jesteś? Jaka jest prawda? Bolesna.

I wtedy spotkał ją na swojej drodze. Nie, nie zakochał
się. Miłość. To temat tabu. Ale przyciągała go. Jakiś nie-
ustający magnetyzm mówił mu, że takiej kobiety nigdy
nie spotkał. I to była siła, a raczej koleżanka ze studiów.
Przepelniona tajemnicą dziewczyna, w której bez wą-
tpienia mógłby się zakochać. Ale czy to wina epoki czy
braku perspektyw?

Nie wiedział. Ale to nie jest najważniejsze, trzeba skoń-
czyć studia. Nie wiadomo po co. Ale coś trzeba w tym życiu
skończyć, choć kres ludzkości, jest nieznaną. Są takie osoby,
które stają się „obiektem naszych fascynacji”. Przyciągają nas,
ale trzymamy ich na specyficzny dystans. Ona też go trzyma-
ła na dystans. Była taka nietuzinkowa. Taka kobieca, taka księż-
niczka. Mężczyźni, którzy nie czują się książętami, boją się księż-
niczek, ale pragną ich. Lubił jej promienny uśmiech, otwartość,
potrafiła zaprosić go na kawę. I nie robiła z tego problemu.
Była sprytna i potrafiła uwodzić. Nieskromna. Ale też nie zaro-
zumiała. Mógłby nazwać ją ideałem, bo coś ich do siebie cią-
nęło. I to by było na tyle. Spektakl trwa. Mieszkał w skromnym
pokoju. Cóż więcej chceć – spotykać dobrych ludzi na swej dro-
dze. Pytanie, gdzie jest granica tej dobroci? Pytanie, gdzie jest
granica miłości, czemu ludzie się w sobie zakochują? On wie-

Nauka pływania

rzył w miłość, dziewczyna, która go intrygowała, była dla niego
zagadką, wiedział, że proces bycia z kimś jest długotrwały. Bóg
nakazał, aby miłość była miłością, tylko dlaczego nie każdego
ona spotyka? Fascynacja, zaurczenie... A potem związanie się
z kimś to akt odwagi. Teraz nad tym nie myślał – musiał znaleźć
inną pracę. Musiał myśleć o przyszłości, nie lubił o niej myśleć.
Myślenie o przyszłości budziło w nim niepokój. Należał do tych,
którzy uważali, że trzeba coś zrobić w tym życiu. Piękny trzydzie-
stoletni, młody, nieco naiwny wobec świata, Ona zaś była jego
odwrotnością. Wiedziała, czego chce w życiu, pełna marzeń. Ide-
alistka. Na swój sposób budziła w nim lęk. Ciekawość jak obraz,
do którego nie możesz wejść, a tak chciałbyś. Kiedy go mijala...
była piękna, nie ufał kobietom pięknym i mądrym. Mężczyzna
gdzieś tam zawsze chce kobiecie zaimponować, a jej? Nie był
w stanie niczym zaimponować, była z tych wymagających księż-
niczek, które nigdy nie przyznają się, że mogą być słabe, choć
w głębi chciałyby czuć się słabe przy mężczyźnie. Niestety, rzeczy-
wistość... Jego rzeczywistość to poczucie szczęścia, próba bycia
dumnym i ogarnięcie świata. Świata nie da się ogarnąć. Nie on
jeden by chciał. Mijał kolejny dzień, nie lubił pracy. To nie było
tak, wolałby nie pracować i mieć. Czuł, że jego pragnienie jest
bardzo przeciętne. Współcześni trzydziestolatkowie nie marzą
o rodzinie, marzą, aby jakoś się ogarnąć. On też chciał się naj-
pierw ogarnąć, ale w świecie tyle pragnień i pokus... Tylko Bóg
zna odpowiedź, ale nie chce jej nikomu udzielić. Teraz szedł po
mieście, zobaczył gazetę... A w niej wywiad z nią. Tą, która go
fascynowała. Znał ją osobiście, nie była więc tylko obiektem
z wyobraźni. Czemu go tak fascynowała? Czy fascynuje nas to,
co niedostępne? Wiedział, że jak przeczyta wywiad, od razu będzie
wiedział, z kim ma do czynienia. A wolał, by została dla niego
tajemnicą. Co zrobić z życiem? – To pytanie XXI wieku. Co jest
w nim najważniejsze? Coraz trudniej odpowiedzieć na to pyta-
nia. Ale nigdy nie będzie na to jednoznacznej odpowiedzi. W
Opolu świeciło słońce, lubił zachwycać się swoim „tu i teraz”.
Młody, trzydziestoletni, dumny i nieco leniwy. – Taki był, a może
na takiego się zgrywał.

Wyglądał normalnie, chłopak ze Śląska. A jacy są chłopcy ze
Śląska? Mocni, twardzi...No, nie pasował do tego schematu. Nie
lubił podróży, zawsze robiło mu się niedobrze, ale i tak jechał.
Czy nadawał się na ojca, skoro pełen był lęków? Mężczyzna
powinien być silny, męski; czy on taki był?

Kolejny dzień pracy. Sprzątanie. Cywilizacja wymyśliła ten
rodzaj zajęć, aby upiększyć sobie swój brzydki świat. Aby robić
coś, człowiek zawsze musi coś robić, musi szukać sensu w życiu.
Drogi. Tylko ścieżek jest tak wiele, że łatwo zbłądzić. Kim jeste-
śmy i po co? – Odwieczne pytanie ludzkości, którego sprząta-
jąc się nie zadaje. Sprzątając musiał myśleć, że musi przeżyć.

I tylko o tym. Widział radosnych ludzi, którzy pływali w base-
nie, który on posprzątał. Czyż to też nie dzieło? Sam nie potra-
fił się cieszyć, lubił jednak zgrywać mężczyznę, ale ta gra mu
nie wychodziła. Świat z perspektywy basenu też jest światem.
Wszyscy jesteśmy zagubieni... Czasem lepiej przemilczeć, czasem
lepiej nie myśleć za wszystkich. Dostaje wypłatę. Szef – człowiek
raczej z gatunku mało inteligentnych, robot, który widzi tylko
kasę. Czy jest bardziej szczęśliwy ode mnie? Czy jest szczęśli-
wszy ode mnie?

Gazetę z wywiadem rozdawali za darmo. Nie przeczytał go,
bał się – co Ona powiedziała? Że świat jest piękny, cudowny
i lukrowy jak ciasteczka. Nie należała do takich osób. To wie-
dział. Gazeta zmoczyła się nieco brudnymi dłońmi. On czuł się
szaraczkiem pośród dzikich zwierząt ludzi. Ani lepszy ani gor-
szy. Ukrywał się za taflą istnienia, ukrywał się za Bogiem – Bóg
jest czasem niezłą przykrywką dla grzechów. Ale nie był z tym
sam. Był ateista, wierzący, pośrodku... Ludzie jak produkty mijają
nas. Za dużo myślał. Czasem lepiej nie myśleć. Tylko tego też nie
potrafił. Konstrukcja jego mózgu była myśląca, ale nie wychodzą-
ca poza pewne horyzonty i schematy. Jakby nie umiał iść dalej.

Jakby słowo transgresja¹ było mu obce. Nie lubił mówić o sobie.
Po co się chwalić? Ludzie i tak cię zjedzą. Tylko ona chciała o nim
wiedzieć dużo. Niepokoiło go to. A jednocześnie dawno nie był
dla nikogo zagadką. Każdy inaczej unosi się na wodzie. Obser-
wował ludzi, którzy pływają. Wodę traktują jako formę relaksu.
Zawsze po pracy chodził do sauny. Dlatego jego twarz wygląda-
ła świeżo, jakby nigdy się nie męczył. Jakby nigdy nie pracował
fizycznie. Jakby znał odpowiedź. Jedyną i prawdziwą. Czasem
czuł zapach potraw mamy, ale jakby wolał zamknąć przeszłość
na klucz i nigdy już jej nie otwierać. Jest tylko tu i teraz.

Mieszkał w typowo kawalerskim mieszkaniu. Przydałaby mu
się służąca, a nie żona. Żona może być tylko służącą. Jedną z
wielu jego wad było traktowanie ludzi jak przedmiotów. Kiedy
byli mu potrzebni, pisał do nich. Kiedy nie byli – żył w swoim
świecie, nieco nieschludnym. Miał swoje sacrum. Nie lubił zapra-
szać ludzi. Był niezbyt lojalny. Można za to winić jego tajemni-
czą przeszłość, jego rozwój. Czegoś mu w dzieciństwie zabrak-
ło. Porządek i bałagan. Są kobiety, które nie chcą być służącymi,
dlatego nie mówią o posprzątaniu. I taka była Kiriana, jak na nią
mówił. Imię jej zataił. Jej postać też. Zaprosił ją kilka razy do sie-
bie. Nie wiedział po co, bo przecież drugi człowiek nie jest mu
potrzebny. Miał dużą łazienkę z wanną. Używał AXE i perfum

„Black Suede” z AVONU. Lubił stwa-
rzać pozory człowieka schludnego,
ale kiedy mieszka się samemu, nie
chce się sprzątać. Łazienka jednak
była czysta, zadbana. Kuchnia jak
to w kuchni, bywało różnie. Często
brudne naczynia stały, jakby prosi-
ły się o umycie. A on nie miał kie-
dy. Ciągle tylko praca, sen. Modli-

ł. Wracal i kładł się na swoim łóżku. Nad łóżkiem widniała
rzeźba Jezusa Chrystusa. Spoglądał na niego co noc. Jezus jak-
by mówił do niego: *Trochę pokory, synu! Ludzie to nie przedmioty!*
– Jego umysł był zbyt prosty, aby ogarnąć Kiranię. Kirania była
mądrą kobietą sukcesu, nastawiona na pragnienie miłości, wie-
lokrotnie bywała raniona. Postrzegał ją w sposób dziwny. Cze-
m do niego przyjechała? Była typem silnej kobiety, która cza-
sem przy mężczyznach traciła grunt. Jakby stawali się oni dla
niej ważni, choć wcale nie potrzebowała ich łaski, troski. Była
dumna. Znała swoją wartość. Trochę go irytowała, a jednak mia-
ła mu pomóc przy pisaniu pracy. Sama przyznała, że jest mądra
i naiwna. Zapytała go kiedyś, czy jest szczęśliwy tu i teraz? – Co
za pytanie, odparł, że tak. Ma 30 lat, pracę, studia... Pracę, któ-
rej nie cierpi, która kwalifikuje go do ludzi biednych. A Kiriana
była panną z dobrego domu, nie dzieliła ludzi. To czyniło z niej
postać naiwną. Miała w sobie jednak charyzmę.

Miał ogromny korytarz i dar manipulowania ludźmi. Ludzie
skakaliby wokół niego, gdyby był szefem wielkiej korporacji.
Potrafił wykorzystać ten urok i kiedy potrzebował, czaro-
wał Kirianę jak ją nazywał. Ale jej duma była silniejsza. Kie-
dy zamiłk – miarka się przebrała. Nie płakała z tego powodu,
bał się ludzi. Nie płakała też, kiedy dał jej kosza. Za bardzo go
analizowała, chciała się czegoś o nim dowiedzieć. Jakby chciał
pokazać swoją siłę, moc. Życie płynęło mu jak za szkłem. Lubił
mieć władzę, choćby tylko na chwilę. Wiedział, jak czarować
kobiety, ale Kiriana choć sprawiała wrażenie niewinnej, też nim
manipulowała, tylko że nie był tego świadomy. Jej wymaga-
nia spełniali mężczyźni raczej bogaci, usytuowani, którzy wie-
dzą czego chcą. On nie pasował do tych wymogów, mimo to
postanowiła niczym wróżka z bajki lub złota rybka spełniać
jego życzenia. Wiele ją to kosztowało, ale czego się nie robi,
aby nie zajrzeć w głąb mężczyzny. Znała wielu. Lubiła zaglądać
w ich wnętrza, analizować, usprawiedliwiać ich. Kiedy u nie-
go była, wprowadziła miłą atmosferę, ale też nie wiedział, na
ile to tylko gra. Dziś, kiedy młodzi ludzie się spotykają, gra-
ją przed sobą, zamiast po prostu być „sobą”. A oni odprawiają
show, chcą pokazać, że nadają się do życia. Chcą pokazać, że są
wyjątkowi. Jakby w akcie desperacji mówili: **bierz mnie, proszę.**
Zalóż ze mną rodzinę! – Z początku wydawało mu się, że Kir-
ania też tak twierdzi. Jego umysł jednak nie wychodził poza hory-
zonty, prosty facet, proste potrzeby i chce mieć u swego boku
nieskomplikowaną dziewczynę, która ulegnie mu i nie będzie
mądrzejsza od niego. Kirania była piękna, młoda i zagadkowa,
choć był przekonany, że się w nim zakochała. Zakochanie – tym
najłatwiej manipulować. Zakochanie czyni z nas głupców. Tyl-
ko współcześni młodzi raczej na tym etapie niekończą. Aby popra-
wić swoje ego, potem „dają kosza” i już. Wygrali los na loterii! Są
sami, a przecież nie potrafią kochać. Założenie rodziny: Zawsze
można zwalić na państwo, na inne przeszkody.

Tej nocy zmęczony wrócił z pracy. Zaskoczył go sms od niej:
„*Spokojnych snów*”. Romantyzm czy naiwność, może wyższe
poczucie empatii? Chyba nie tęsknoty? Nie odpisał, bo odpisu-
jąc mógłby zrobić jej nadzieję. Jego problem polegał na tym,
że nie wiedział, czego chce od życia. To był jedyny, stosowny
argument. Wierzył w Boga, jednocześnie zaś nie potrafił zaufać
kobiecie, ani też nawiązać z ludźmi bliższej komunikacji i poko-
chać jej, może powinien iść na księdza albo na mnicha? Jest
tyle dróg, którą wybrać? Kiriana była ładna i fajna, ale za bar-
dzo wierzyła w miłość, może dlatego była sama. Wierzyła w to,
że w końcu ktoś ją pokocha. Jakby była towarem stojącym na
półce, byłaby towarem najdroższym i bezcennym. Miała wiele
atutów i pecha w miłości. Nie bała się życia – on tak. Nie znał
siebie ani swoich potrzeb. Nie odczuwał potrzeby zaglądania.
Nie odpisał. Wyobrażał sobie, jak siedzi wkurzona i ma ochotę
go zabić. Mówi, że jest głupi i okrutny. Potem zamilkła. Nie, nie
była typem kobiety narzucającej się. Wtedy przestała pisać. Nie
zastanawiał się dlaczego i po co.



Pokolenie trzydziestolatków – zagubionych szuka pracy. Szuka życia. Tabletki szczęścia, zamiast po prostu żyć tu i teraz. Pracował na basenie, ale nie umiał pływać. Nauczyć się pływać, to nie lada sztuka. Być w harmonii z wodą, czuć jak woda i ty tworzycie całość i jedność. Pod wodą odkrywać siebie. Poczucie jak to jest, gdy zabraknie Ci tlenu. Jak to jest, gdy nie możesz już wypłynąć. Życie jest jak pływanie. Niekiedy płytkie, innym razem głębokie. Niekiedy jest odwieczną nauką, z której nigdy nie wyciągasz konsekwencji. Sztuka uczenia się na błędach.

Jego codzienność była nudna. Codziennie to samo. Ta sama praca, studia i religia. Próbował połączyć się w chaosie. Próbował się ogarnąć, ale czasem czuł, że jego mózg pewnych rzeczy nie przyjmował. Nie umiał z tym walczyć. Nie umiał pokonywać samego siebie, w czym Kirania była mistrzynią. Ona potrafiła walczyć ze swoimi słabościami. Nie odezwał się do niej, bo po co. „Jeszcze sobie robi nadzieję”, a robienie komuś nadziei jest gorsze niż nic nie robienie. Po co ją zaprosił. Zapytała go nawet, czy szuka służącej? – Nie była typem kobiety, która może być służącą.

Zdecydowanie. Obserwował ludzi na basenie. Pływali, podrywali. Woda działała na ludzi, pobudzała im endorfiny. Chłapali się, zaczepiali. Interakcje. A jaka była interakcja jego ciała i jego duszy? Kulminacja. Może potrzebował kulminacji. Jakiejś siły. Nie lubił przyznawać się do swoich słabości. Miał w sobie jednak coś, co przyciągało Kiranię. Nie potrafiła mu tego odmówić. Ona też bała się mówić o swoich uczuciach, a zresztą... Czasem lepiej o nich nie mówić. Kirania też nosiła w sobie tajemnice. Jednak nie w tym tkwił problem.

Kiedy wracał do swojego sacrum, czuł samotność. Nie lubił przyznawać się do swojej pustki, do swojej niemożności i słabości. Najtrudniej jest walczyć. Nie był rycerzem na białym koniu. Ale był człowiekiem. Kiedy wracał, próbował medytować, modlić się, ale morzył go sen. Sen jest zawsze dobry po pracy. W jego głowie tliły się jego słabości. I wtedy Kirania znów się odezwała: *Ludzkie słabości, ma je każdy z nas. Jeśli twoją słabością jest traktowanie ludzi jak przedmiotów – nie zgadzam się. Nie jestem przedmiotem i nie będę nim. Albo zaczniesz walczyć sam ze sobą albo nigdy się do siebie nie odezwę. Bo wiesz, nie wierzę, że ludzie dla ciebie to przedmioty. Jeśli wierzyć nieświadomości... ale po co jej wierzyć? Zaufaj sobie, bo na pewno nie jesteś złym człowiekiem, tylko błędzisz. Ty błędzisz i ja też błędzę w tym świecie. Dlatego nie pozwól mi się tobą rozczarować. Nieważne czy będziesz dla mnie tylko, a może aż, przyjacielem. Życzę wszystkiego dobrego!* – Po tym smsie nie był w stanie nic powiedzieć, a już tym bardziej odpisać. Kirania nigdy nie była przedmiotem. Była bożym dzieckiem,

zagubioną owieczką, która pragnie miłości. Ten sms wmurował go w szarą rzeczywistość, codzienność. Jego jedyną transgresją były podróże, których tak nienawidził. A miłość – miłość też jest transgresją. Człowiek czuje się ważny i wyjątkowy. Miłość jest przekraczaniem granic, młodzi trzydziestolatkowie nie potrafią przekraczać tej granicy. Są tchórzami...bo miłość to akt odwagi i odpowiedzialności. Miłość to akt dojrzałości człowieka, kiedy przyrzeka: kocham na zawsze tylko Ciebie. Jesteś mój/moja. Nie był na tyle dojrzały, bo nie wiedział, co dalej z jego życiem. Nie wiedział, nie zastanawiał się, a jednak bolało go, że nie wie, co odpowiedzieć Kiranii. Nie wiedział, czy ma się na nią obrazić, zamilknąć czy odpisać? Jeśli tak, to co? Że jest zawzięta, za dobra, że... jest zbyt naiwna, że jej nie lubi, że nie znosi jej wad, nie znosi tego, że potrafi być taka dobra, a jednocześnie tak dać mu w kość. Nie cierpi jej tylko, nie może jej chwilowo tego powiedzieć. Nie wie, co miałby powiedzieć. Milczenie czasem jest najlepszą odpowiedzią, jedyną z możliwych. Milczenie – to może i najlepsze rozwiązanie.

Wrócił do domu. Znalazł tam wiersz. Kto go napisał? Przeczytał:

*dzisiaj nawet przez chwilę nie odczuwałam stanu zero
– dzisiaj myślałam o tobie, bezwarunkowo
nieśmiało próbowałam odnaleźć się*

*zabrakło słów ale w czymś musiałam cię ująć
zaprawdę powiadam wam ale my słuchamy
już tylko siebie
równiny tańczą – patrz
– myślałam to wspomnienia*

zabrakło słów aby wyjawić tajemnicę

*poruszam się skąpa
– szukam filozofii w kochankach, którzy
wierzą w każdy dzień, nie planują samobójstwa
ale czekanie na to co i tak nastąpi*

już nic nie zrobisz

*coraz mniej języków
więcej nieodczytanych wersów²*

Po co ludzie piszą wiersze, poematy? Świat stracił swoje uczucia. Wyżarty z uczuć.

Zaczął się kolejny dzień, było w miarę pogodnie. Kolejny dzień, jeszcze nie deszczowy. Czas sprzątać basen. Dorosłe dzieci. W Opolu pogoda była jak zwykle. Jak każdego innego dnia, bo to był taki dzień jak każdy. W radio tymczasem leciał utwór Justyny Steczkowskiej - „Wracam do domu”. On wciąż nie miał domu, ale ciągle do niego wracał.

Kim był? Może był szejkersem, może kryptohomoseksualistą. Na pewno był człowiekiem, który nie pasował do dzisiejszych czasów. Może chciał zostać świętym? (W głębi serca wszyscy chcemy). Może nie potrzebował do szczęścia kobiet, może jeszcze nie spotkał tej jedynej. Może właśnie odsunął na bok kobiety swojego życia? Za fasadą swojego życia pełnego kultury i szlachetności ukrywał coś. Może znał tajemnicę Boga i dlatego przyciągał tak wielu ludzi wokół. Może przychodzili do niego bo szukali odpowiedzi. A może wciąż był małym chłopczykiem, który uczył się pływać- wciąż uczył- bo ciągle nie potrafił.

Anna Czyrska

**Dla M i wszystkich trzydziestolatków,
którzy szukają swej drogi, nieudolnie, niezdarnie.
Nie doceniają tego, o czym się uczą.**

¹ Problematyką transgresji i działań transgresyjnych w Polsce zajmuje się naukowo i rozwija ją psycholog Józef Kozieliński. W ramach psychotransgresjonizmu formułuje koncepcje człowieka transgresyjnego, czyli człowieka wielowymiarowego, który posiada zdolność przekraczania granic materialnych, społecznych i symbolicznych. W koncepcji psychotransgresjonizmu duże znaczenie ma także kategoria celowości działań (działania intencjonalne), problem motywacji, kultury czy religii. Kozieliński poświęca wiele uwagi problemom takim jak sens życia, godność człowieka czy kwestie decyzyjizmu.

Inną badaczką tej tematyki jest Maria Janion – główna redaktorka i współautorka serii wydawniczej *Transgresje*.

² Anna Czyrska *Zero*, wiersz pt. *Oszczędzanie języka*. str. 51, Warszawa 2009.

ŚLEPY MIOT

1.

Starego konia trzeba zabić nacinając tętnicę.
Skropić ziemię.
Inaczej będzie snuł się po polach a wtedy krowy przestaną być cielne
i będziemy mieli kłopoty.
Ten który to powiedział nie był ani stary ani młody.
Nie był też wysoki choć niskim
nikt go nie nazywał. Nie miał koloru.
Z pozoru pozorny był ROZPOZNAWALNY.
Odprowadzał nasze wszystkie zwierzęta.
Odprowadzał też lalki.
Maczał ich sukienki we krwi i wieszał na wysokich drzewach.
Wiatr robił swoje.
Na palcach podbiegaliśmy do pni czekając na krople.
Kto miał szczęście nosił na sobie czerwone ślady.
Z tego drzewa kiedyś zrobią wasze trumny
mówił. Śmiał się przy tym dziwnie bezbarwnymi zębami.
Odprowadzane konie lubiły ten ostatni spacer.
Rżały radośnie.

2.

Słaniam się a oni to widzą. Jestem łupem.
Zbita butelka ląduje na grzbiecie.
Mam grubą skórę ale są w grupie. Gwizdzą. Poganiają kijami.
Mówią coś o dole za płotem.
Wpadam.
Jeszcze usiłuję się podnieść. Koń żyje póki stoi.
Ale już mnie zasypują kamieniami.
Słońce dziś tak mocno świeci. Ledwo ją dostrzegam.
Jest ładna.
Zagryza piąstkę i wykrzywia twarz.
Płacze.
Tak cicho że tylko jej długie rzęsy szybko falują.
Ja też mrugam ostatkiem sił.
Zawsze myślałem że otworzą mi tętnicę.
Teraz będę snuł się po polach i widział jej nieme usta.

3.

ROZPOZNAWALNY jest zły. Nikt tak nie uważa bo jest zły na głupich.
Żeby dziecku to pokazywać
mruczy niezadowolony.
Teraz muszę ją spalić. Jest martwa jak ten drewniany koń na biegunach.

4.

Mówią że nazywam się Aurora Kirezi¹ i jestem.
Jestem dzieckiem.
Jestem z plemienia.
Ja nie wiem co to być dzieckiem.
Ja nie wiem co to plemię.
Nie żyję. Nie mam grobu. Popiół.
Śmieję się z dużej fotografii którą ten z bezbarwnymi zębami zawiesił na drzewie obok lalek.
Bawimy się gdy zawieje.
Nieco na uboczu trzymają się inne dzieci.

5.

W tej wsi kolejny raz wszystkich boli głowa.
Matki nie mogą patrzeć na swoje dzieci.
Dzieci mogą jedynie patrzeć na swoje matki.
Kochać nikt nie może.
Znow ktoś przywiązał psy do torów.
Owczarki wyły ale nim usłyszał to zarośniętymi uszami było już za późno.
Rozwlekły się na długie kilometry.
Nawet nie śmierdziało.

6.

Nie jest łatwo wydobyć głos umarłych. Trzeba się starać.
Ojciec ROZPOZNAWALNEGO przeżył wojnę bo pracował przy cyklonie.
Produkował.
Później wyprodukował syna i nauczył go fachu.
Rzezak.
Matka nie przeżyła. Chwilę przed wypluła maleńką fotografię.
Jak hostię przeniosła na języku przez kolejne selekcje.
Czasem tylko w ciele można coś schować².
Był zobaczyć to zdjęcie.
Bardziej spodobały mu się szmacianki.
Zaopiekowane.
Każda dotykana w rękawiczkach bo mają żyć dłużej niż pamięć po właścicielach.
Pojechał też do innego muzeum.
Tylko ciała.
Kobiety z rozprutymi brzuchami.
Matki obejmujące dzieci które ssały martwe piersi na długo po.
Mężczyźni zaskoczeni.
Mężczyźni przerażeni.
W tych posypanych wapnem mumiach wylęga się strach.
Rośnie samozanikanie.
Miejsce wychowu zawsze ma znaczenie.
Dorośli którzy nie dorośli do śmierci szepcze i wraca do wioski.

¹ Dwuletnia parafianka z plemienia Tutsi w Gikondo spalona żywcem.

² Margrit Bormann mówi o jednym z odkryć w Pracowni Konserwatorskiej Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu.

7.

Na wsi nie ma spożywczego ale są cztery apteki.
My tu wszyscy wciąż się na coś leczymy.
Na brak chęci chodzenia.
Na nadmiar chęci chodzenia.
Na smutek. Na radość czasem też.
Baby noszą zamiast chrustu opakowania po lekach. Tego jest wszędzie pełno.
Siedzibą chorób są snujące konie.
Błądzą między żywymi.
Otwierają w ludziach to co zamknięte. Wtedy zaczyna wypływać z nich zło. Wtedy zaczyna wypływać z nich dobro.
Są puści.

8.

Chłopy tu się wieszają.
Ludzie robią co chcą.
Zaatakował żonę i teściową maczetą. Grozi mu dożywocie³.
Tragiczny koniec polowania. Czterdziestolatek zabił kolegę.
Pornowpadki w bajkach dla dzieci.
Pijana ciężarna trafiła do szpitala. Dziecka nie udało się uratować.
Nastolatki sprzedają cnotę za duże pieniądze.
Pięciolatek wniósł do szkoły broń z zamiarem zabicia złych nauczycieli.
Pogrzeb muzyka. Zamordowali go żona i kochanek.
Jak nie wywalisz psiochy to nie zrobisz kariery.
Psiochę ma tu każda. Ciągłe otwarte te z lupanaru gdzie wiara w wódkę fałszuje wszystko.

9.

Ślepy miot nie ma szans.

10.

Był rok ale nie było ludzi.
Był grób ale nie było pochowanych.
Bycie przestało mieć znaczenie.

³ Tytuły artykułów z trzech kolejnych dni na onet.pl

Katarzyna Bereta

Pierwsza fotografia, czyli opowieść o domu

Juliet Hacking w redagowanej przez siebie *Historii fotografii* wskazuje jako najstarsze zachowane zdjęcie *Widok z okna Le Gras* Josepha Nicéphore'a Niépce'a. Heliograficzna odbitka powstała w 1826 lub 1827 roku w Saint-Loup-de-Varennes. Tytułowy widok nie wydaje się szczególnie interesujący. W oddali pola, które na pierwszym planie zamykają z obu stron fragmenty zabudowań – mury ze spadzistymi dachami. Światło pada z lewej strony (naprawdę z prawej, bo to obraz odwrócony), chyba zza pleców fotografującego, a więc zza budynku, w którym się znajduje. Gra światła i cieni tworzy na środku jasny trójkąt (dopiero cyfrowa rekonstrukcja pozwala dostrzec, że to dach jakiegoś mniejszego zabudowania), odcinający się silnym kontrastem od czerni rzucaanej przez budynek z lewej. W pewnym sensie to przypadkowy obrazek, wykonany chyba tylko ze względu na wyraziste światła i cienie. Nic w nim nie zaskakuje, brakuje tematu reportażowego, nikt nie przechodzi, nie rozgrywa się żadna scena, na dobrą sprawę nie jest to także studium krajobrazu czy form. Bardziej przypomina obrazy śląskich malarzy placów, familków i chlewików, którzy z upodobaniem utrwalają regionalne zaplecza domów, poszukując w nich osławionego *genius loci*.

Roland Barthes w książce *Światło obrazu* jako pierwsze zdjęcie w historii wskazuje z kolei *Zastawiony stół* (inne źródła podają tytuł *Martwa natura*) Josepha Nicéphore'a Niépce'a z 1822 roku (prawdopodobnie autor pomylił datę, ale to nie jest ważne). Tutaj coś już się dzieje, choć i tym razem fotografia wykorzystuje jeden z najczęstszych tematów malarskich – martwą naturę. Jakby fotograf nie był w stanie u zarania nowej sztuki wyjść poza jej korzenie, za które wielu uważa malarstwo. Stół nakryty białym obrusem odcina się od przyciemnionej ściany, z jego białą zaś kontrastują ciemne przedmioty – butelka, miska, kielich, nóż, łyżka, chyba chleb i jakieś dwie rzeczy, których ze względu na złą jakość zdjęcia nie jestem w stanie rozpoznać. Dopiero dostępne w internetowej sieci rekonstrukcje uwidaczniają jeszcze dzban z kwiatami oraz metalowy dzbanek z przykrywką.

Już na pierwszy rzut oka zastanawiają sztucznie ułożone z niewłaściwej strony. Początkowo obserwator dopatruje się w tym szczególnie sugestii artysty, iż nakryto dla leworęcznej osoby. Dopiero później przypomina sobie, że widzi odwrócony w *camera obscura* obraz. Kto będzie spożywał posiłek? Być może sam fotograf, gdyż ujął zastawę od strony uczestnika kolacji, obiadu (?). Intryguje również brak siedziska. Nakryty stół bez krzeseł wydaje się niekompletny, niczym historia bez puenty – interesująca, zgrabnie opowiedziana, ale jaki z niej morał, w jakim celu trudził się opowiadający, do czego zmierzał, wodząc uwagę słuchaczy za swoimi słowami? Ta uporządkowana w nieco sztuczny sposób przestrzeń blatu funkcjonująca w pustym pomieszczeniu – bez ludzi i jakichkolwiek mebli poza stołem – wydaje się mówić o wielkiej samotności człowieka. Zresztą strawę wyraźnie przygotowano dla jednej osoby. Pierwszy w historii fotograf podejrzwał tę intymną scenę opuszczenia i utrwałił na blisko dwieście lat. Ma się wrażenie,



Fot. Joseph Nicéphore Niépce

że to Ostatnia Wieczerza bez apostołów. I może z tego powodu wydaje się ten obraz nieco przytłaczający, bo jaki sens miałyby rzeczywista Ostatnia Wieczerza, gdyby zabrakło na niej uczniów, tych, których to wydarzenie namaściło na szafarzy sakramentów?

Gdy jednak wyjdziemy poza kadr, kompozycję, poza studium krajobrazu i martwej natury, gdy wejdziemy w symbolikę obu fotografii, odkryjemy, że każda z nich mówi o najbardziej podstawowej dla człowieka rzeczywistości, jaką jest *dom*. Na zdjęciu z 1826 lub 1827 roku fotograf pokazał nam widok z okna, a więc „krajobraz centralny”, jakby wyraził się o nim Kazimierz Wyka. Sceneria, którą możemy zobaczyć z okna naszego rodzinnego domu, otoczona ramą modalną ościeżnicy, zapada głęboko w naszej pamięci i wytwarza pewien wzór, który towarzyszy nam przez resztę życia i do którego nieustannie się odwołujemy, poznając wciąż nowe panoramy. Może to być pejzaż pozornie bezwartościowy, zniszczony, szary, nieestetyczny, ale to jest *nasz* widok, zawierający w sobie wspomnienia wszystkich dziecięcych marzeń, zadziwień światem, odkryć jego prawideł. To *pejzaż oswojony*, przy którym każdy inny jest obcy i wymaga dopiero pracy nad jego *oswojeniem* i *przyswojeniem*. Szczęśliwy, kto ma swój landszaft, choćby spoglądał na niego

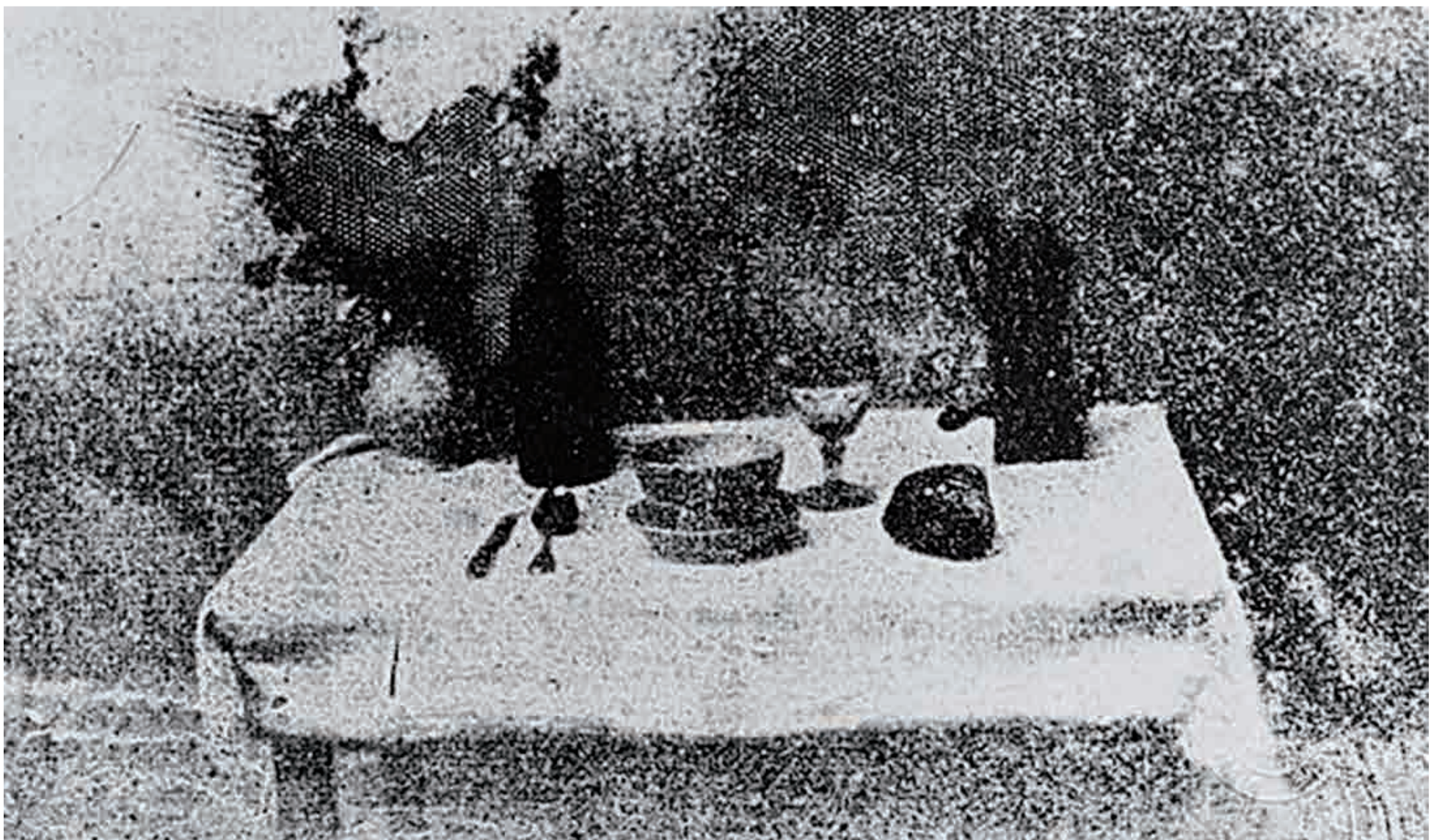
z wejścia do szałas lub namiotu, choćby obserwował go przez lufcik na poddaszu. Szczęśliwy, kto może powiedzieć, że ma *dom*.

A czymże jest nakryty do posiłku stół, jeśli nie znowu narracją o domu, o wspólnocie ludzi go zamieszkujących, o pięknie dzielenia się wszystkim, co przez lata nagromadziliśmy pod dachem? I właśnie ten osamotniony blat w pustym pokoju wysła do nas promienie odbite niemal dwieście lat temu, by utrwalić na kliszach naszych serc pragnienie zapełnienia przestrzeni obecnością, zaludnienia jej domownikami.

Praca Niépce'a próbuje nam powiedzieć, że chociaż wspólnota zawiązuje się przy stole, to jednak ten ostatni nie wystarczy, by zaistniał *dom*. Potrzebni są przede wszystkim ludzie. Bez nich pomieszczenia, przedmioty, meble pozostaną martwe. Będą jedynie tematem studium formy, koloru, światła i cienia.

Bez człowieka również krajobraz za oknem będzie tylko zwykłą scenerią miejską, wiejską lub naturalną. Dopiero *ja* nadaję metaforyczny sens widokom, stwarzam je dla siebie, *udomawiam*, ocalam przed banałem.

Katarzyna Bereta



Sławomir Majewski

LOTEM ĆMY, BEZSZELESTNIE

Gdy piszę coś przygnębiającego czy przerażającego, to nie oznacza, że jestem przygnębiany lub przerażony. Po prostu pracuję.

Ingmar Bergman

Leszkowi Żulińskiemu

O dziewiątej zbudziła go płaczliwa melodia katarynki. Zanim otworzył oczy w myślach obrzucił klątwami faceta w pelerynie, od tygodnia zatruwającego mu życie. Otworzył oczy, usiadł, nasunął łaczkę i zamroczony snem podreptał do łazienki. Sikał oparty dłonią o ścianę, spuścił wodę i poczłapał do kuchni.

Zapalił papierosa, napełnił wodą czajnik a zapalając gaz pomyślał, że niby to ucieka od rutyny a tak naprawdę każdy dzień zaczyna od rutyny. Katarynka, łaczki, pierwszy papieros, czajnik, kawa, kolejne papierosy. Beznadzieja... Popatrzył w okno przez smużkę dymu i jak każdego ranka zwidziały mu się miedzianokóre kobiety lubieżnie rozłożone w hamakach. Lubieżnie rozłożone w hamakach... no tak, *lubieżnie*. Starzej się. Ta sympatyczna prostytutka piętro wyżej? Czemu nie, może dziś wieczorem. Może wieczorem.

Zaparzył herbatę, zgasił niedopałek i poszedł do łazienki. Umył się, ogolił i skropił twarz wodą kolońską, potem uczesał rzednące włosy i wrócił do kuchni na kolejnego papierosa i herbatę. Popijając drobnymi łyżkami wszedł do pokoju. Założył

dżinsy, błękitną koszulę z nadrukowanymi chińskimi smokami, wciągnął sweter a potem jak zawsze o tej porze popatrzył na fotografię matki.

Wróciło wspomnienie drewnianych wozów cyrkowych identycznych z tymi z *Wieczoru kuglarzy* Bergmana a oczy matki na fotce były ludzko podobne do oczu Harriet Anderson z filmu *Wakacje z Moniką*. Zawsze go dziwiło, że w jego wspomnieniach matka miała aż tyle wspólnego z filmami Bergmana.

W sześćdziesiątym-którymś zakochała się w właścicielu nędznego objazdowego cyrku. Pół roku później, w ciepłe wrześniowe południe wyszła z domu niosąc brązową walizkę. Zostawiła trzynastolatka w indiańskim pióropuszu biegającego za domem wokół starego klonu i przygarbionego męża siedzącego w fotelu z wygasłą fajką; z kuchni snuła się woń przypalonego strudla. Nigdy się nie dowiedział czy odchodząc nuciła *Non! Je ne regrette rien...*

Na krótko stał się obiektem pełnych współczucia spojrzeń i cichych kpín dzieci w szkole. Uciekając od niezawinionego, jeszcze starannie ostrzył kredki. Po lekcjach szedł prosto do domu, zjadał obiad ugotowany przez oplaconą kobietę a potem zamykał się w pokoju czytając podróżnicze opowieści. Zdobywał Bieguńny z Pearym, w wojnie z Zulusem Shaka był po stronie porucznika Farewella, palił fajkę pokoju z Winnetou a nocami onanizował się, patrząc w świetle latarki między rozłożone uda pin-up-girls, wyrwanych z pisma znalezione go na strychu.

Ojciec wracał z pracy, witając go smutnym wzrokiem basseta i zdawkowym Jak się masz, wodzu? Potem wypijał drinka, ciężko osiadał w fotelu i ssąc fajkę godzinami patrzył w okno za którym przez gałęzie sykomorów widać było inne sykomory.

Kiedyś matka zabrała go na wakacje. Jeździli od jednego zapyziałego miasteczka do drugiego. Musiał przyznać, że jak na potrzeby prowincji jej woltyżerka była aż nadto dobra. Zbierała rzęście oklaski. Czy jej wybaczył? Wspomnił ten fragment z *Obcego* Camusa *Wszyscy mi współczuli*, a Celestyn powiedział: „Ma się tylko jedną matkę.” Wierzył, że czas wyleczy rany.

Cyrk splajtował na początku lat siedemdziesiątych i matka na długo zniknęła z jego życia. Nie wiedział gdzie, ani z czego żyła przez te wszystkie lata. W osiemdziesiątym któryś wezwany depe-szą *Matka umiera-Przyjeżdżaj-William* przyjechał jak najszybciej.

Konała w zmiętej pościeli łóżka stojącego pod ścianą wylepioną cyrkowymi afiszami. Rzucił okiem na roześmiane twarze clownów i akrobatek upstrzone przez muchy, usiadł na łóżku ujmując jej rozpaloną dłoń a patrząc na twarz obrzmiała od wódki i agonii pomyślał, że nie, że czas nie leczy ran. Domyśliła się.

Chyba nie było warto kochanie, powiedziała z zakłopotaniem. I patrząc mu w oczy nieskończenie długą minutę, jak Harriet Anderson w tamtym filmie, umarła lotem ćmy, bezszelestnie.

Sławomir Majewski

Tekst pochodzi ze zbioru *Casablanca*.

Beata Zdziarska

Ave Maria

Pamiętam nasze pierwsze spotkanie. Byłam dzieckiem, miałam pięć, najwyżej sześć lat, a ona grała w Dniu Wszystkich Świętych na cmentarzu. Przystanęliśmy na chwilę, patrzyłam z zachwytem, jak skrzypaczka wyczarowuje smyczkiem melodię. Tata wyciągnął z kieszeni pieniądze i wrzucił je do futerału.

- Co ta pani gra? - zapytałam.
- To „Ave Maria” - odpowiedziała babcia.
- A dlaczego ta pani gra na cmentarzu?
- Ta pani chce, żeby ludzie nie byli smutni.
- I dlatego gra?
- Tak, dlatego gra.

Potem spotykałam ją co roku pierwszego listopada. Stała w pobliżu cmentarnej bramy, najczęściej pod brzozą, przy dużym, białym kamieniu. Drobna, niewysoka, ze wzrokiem utkwionym w skrzypcach. Nigdy nie widziałam koloru jej oczu.

Podziwiałam ręce kobiety. Jak to możliwe, żeby kilkoma ruchami wydobyć z drewnianego pudła muzykę, która wchodziła tak głęboko w serce? Zresztą ona grała nie tylko rękoma. Ona grała całym ciałem. Przypominała motyla, który muskał skrzydłami ciszę. Dźwięki „Ave Maria” płynęły razem z ludźmi ku grobom ich bliskich. Również na grób mojej babci, która odeszła. Kochała muzykę cmentarnej skrzypaczki.

Kiedyś chciałam z nią porozmawiać. Zapytać, jak ma na imię. Podeszłam blisko. Niemał na wyciągnięcie ramion. Nie zwróciła na mnie uwagi.

Razem dorastałyśmy. Niezauważalnie, z każdym kolejnym Dniem Wszystkich Świętych. Z dziecka przeistoczyłam się w nastolatkę, potem w młodą kobietę. Ona przybierała rysy dojrzałości. Zmieniała fryzurę i kolor włosów. Jej ciało nie było już tak drobne. Jedyne ręce wyczarowywały wciąż tę samą melodię: „Ave Maria”, która rozjaśniała listopadowy półmrok cmentarza.

Zawsze dawaliśmy skrzypaczce pieniądze. Najpierw były to monety. Później, gdy monety stały się bezwartościowymi metalowymi krążkami, do futerału wkładaliśmy banknoty. Potem znowu monety.

Cmentarz rozrastał się. Pęczniał od grobów. Zmarłych chowano niemał przy samej ścieżce.

Wyszłam za męża. Wkrótce na świat przysłała moja córeczka. W Dniu Wszystkich Świętych zabieraliśmy ją na cmentarz. Odwiedziliśmy groby bliskich, a potem przystawaliśmy na chwilę, żeby posłuchać skrzypaczki.

Któregoś razu Weronika zapytała: - Mamusiu, co ta pani gra?
- To „Ave Maria”.
- A dlaczego ta pani gra tutaj?
- Żeby ludzie nie byli tacy smutni. - Włożyłam jej do rączki monetę. - Podejdź do pani i wrzuc pieniądze do futerału.

Pewnego roku poszliśmy jak zwykle pierwszego listopada na cmentarz. Już przy wejściu odniosłam wrażenie, że coś się

zmieniło. Niby na pozór wszystko było takie samo. Tłum odwiedzających, powietrze przesycone zapachem chryzantem i zniczy, chłód listopadowego wieczoru. Dopiero gdy opuszczaliśmy nekropolię, uświadomiłam sobie, co się stało. Nie słyszałam „Ave Maria”. Wtedy odwróciłam się i dostrzegłam puste miejsce przy kamieniu.

- Adam, nie ma skrzypaczki - powiedziałam do męża. - Pamiętasz, tej od „Ave Maria”?
- Może przeniosła się na inny cmentarz.
- Pokręciłam głową. - To niemożliwe. Ona tu grała, odkąd byłam dzieckiem.
- Może zachorowała? Albo wyjechała?
- Może i tak.
- Spojrzałam raz jeszcze na kamień. I na brzozę. Resztki liści senie wisią na gałęziach.

Minął kolejny listopad. Potem następny. Nie mogłam wyzbyć się myśli o „mojej” skrzypaczce. Czasem mi się śniła. Dokładnie tak, jak ją zapamiętałam. Ze skrzypcami, w pobliżu cmentarnej bramy. W moich snach wciąż była młodą, drobną dziewczyną. Każdego roku szłam pierwszego listopada na cmentarz z nadzieją, że ją zobaczę i znowu usłyszę zaczarowaną melodię.

Zbliżał się kolejny Dzień Wszystkich Świętych. Jak zwykle wybraliśmy się odwiedzić groby bliskich. Zatrzymałam się przed

wejściem na cmentarz. Wydawało mi się, że słyszę melodię skrzypiec. Ktoś grał „Ave Maria”.

- Słyszysz muzykę? - zapytałam męża.
- Nie, nic nie słyszę.

Przeszliśmy przez bramę. Przystanęłam, wsłuchując się w odgłosy cmentarza. Muzyka ustała, a może wcale jej nie słyszałam?

Podeszłam do brzozy. Ten sam duży, biały kamień. Dotknęłam go. Nic się nie zmieniło. Miałam już odejść, kiedy znowu usłyszałam brzmienie skrzypiec.

- Tss. Słyszysz?
- Faktycznie, teraz słyszę - odparł Adam.
- Ciszę muskały znane mi dźwięki.
- To gdzieś tam, po prawej stronie.

Melodia skrzypiec stawała się coraz bardziej wyraźna.
- Boże, jak ona pięknie dzisiaj gra. - „Ave Maria” unosiła się lekko nad ziemią.

Szukaliśmy wszędzie, ale nigdzie jej nie było. Słyszeliśmy tylko muzykę. Kiedy wychodziliśmy, odwróciłam się raz jeszcze. I wtedy wydawało mi się, że ją dostrzegłam. Stała pod brzozą. W rękę trzymała skrzypce. Wyglądała jakoś młodziej. Drobna, niewysoka. Potem obraz zamazał się i nic już nie mogłam zobaczyć. Jedyne „Ave Maria” wciąż płynęła w listopadowym półmroku cmentarza.

Beata Zdziarska



Miroslaw Słapik

Czym różnią się syberyjskie pobocza dróg od poboczy polskich? U nas widzisz na ogół prostokąty zaoranych pól i łąk, chyba, że jedziesz przez las. Na Syberii widzisz step, drzewa i góry. Na dodatek nie widzisz kretowisk. Wyraźne granice wyznaczają tu, i to na chwilę, jedynie długie, drewniane płoty sporządzone z poziomych, podłużnych żerdzi, strzegące przylegających do wiosek pastwisk. Są przeciwieństwem tutejszych płotów przydomowych, będących wręcz monolitem, złożonym z desek przypbijanych jedna przy drugiej. Tajga bywa różna, jeśli spodziewasz się tylko ogromnych drzew, to się rozczarujesz. Mocujący się z Bajkałem Chamar Daban może znowuż nie jest taki wysoki, ale wzbudza respekt dzięki mocno obniżonym przełęczom i mocno zarysowanemu grzbietom wzgórz na horyzoncie. Podobnie jest ze Szczytem Czerskiego. Mimo to będę na pewno ponownie doświadczał tego, co mnie chyba najbardziej fascynuje, kiedy świat wyobrażony będzie wnikał w to, co nazywamy faktem. Gdzie będę przyporządkowywał się chwili. Gdzie przynajmniej ja nie odważyłbym się wyznaczyć wyraźnej granicy, gdyż niewykluczone, że robiąc to, zamykałbym sobie bramę do zatracenia, albo do – paradoksalnie – punktu oparcia. Nie dzielę bowiem świata na materialny i niematerialny.

Pierwsze pożegnanie z Irkuckiem zaczyna się od oczekiwania na Kostię i jego toyotę obok domu Anatolija, przy Newskiego. Przyjeżdża punktualnie. Potem kluczenie po ulicach i już to mi wystarcza za porządne śniadanie.

Chyba żadnych innych widoków z okna auta tak nie kocham, jak to, co mogę zobaczyć przejeżdżając po nieznanym mieście, czy miasteczku. Przyciąga mnie nieprzewidywalność, pewien rodzaj miejskiej arytmii. Zderzenia oddychających szeroko miejskich płaców z gęstą ciżbą domów. Dlatego wołę synkopę Warszawy od, podobno bardziej konkretnego, rytmu Wrocławia. Czytam szyldy, plansze reklamowe, zaglądam do szyb restauracji, zaglądam za drewniane bramy, za budki wtłoczone w targowiska, podziwiam wszechobecną kokieteryję kobiet, bez względu na to gdzie się znajdują, czy w kawiarni, czy też na zapuszczonych podwórkach w trakcie wieszania bielizny. Zaczyna się uczyć. Już teraz, podczas pierwszego wyjazdu, widzę ten swoisty pojedynek między Irkuckiem dawnym i tym militarnym, powstańczym, rewolucyjnym, bohaterskim, zesłańcym. Ten pierwszy jako argumentu używa głównie architektury, swoich architektonicznych ozdób i muzeów, drugi - nazw i wojennych rekwizytów. Przejeżdżamy więc przez wspomnianą Newskiego i Partyzancką. Równolegle jest Libknechta, gdzieś w pobliżu - Marksa, Engelsa, Dzierżyńskiego i Suche Batora. Dalej Raboczewo Sztaba i Barikad. Na zachodnim brzegu Angary już nieco inaczej – bardziej pisarsko i naukowo, choćby Lermontowa, Łomonosowa, Gogola i Majakowskiego. Ale jest też Tierieszkowej. Nie zabrakło, rzecz jasna, T-34 jako pomnika i stałego rekwizytu rosyjskich miast. Na pocieszenie ulica Powstańców Polskich, mimo wszystko też bohaterska.

To jest około stu dwudziestu kilometrów na północny zachód od Irkucka. Wśród znieuruchomiałych białych chmur i niebieskości płynnie scalającej się z ziemią za sprawą tumanu rozniecanego przez nas pyłu. Ta zasłona, jak czarna dziura, wysysa mnie w nieznaną. A nieznaną to niekoniecznie pejzaż, to ludzie, to Rosjanie, Buriaci, Tatarzy, Ormianin Kostia, buddyjscy mnisi z komórkami przy uszach i wymierający Ewenkowie, których zobaczę potem jedynie w tańcu. Nieznane to zwłaszcza wierszyńscy Polacy.

Na początku jedziemy po niezłym asfalcie, potem już po coraz bardziej dziurawym, tak że dwa razy przy podskoku samochodu uderzam głową w sufit. Później odcinki asfaltu przeplatane szutrówką, jakby ktoś celowo i stopniowo przyzwyczajał podróżnika do coraz gorszych warunków jazdy, by go nie pozostawił

z zespołem odstawienym. Postkołozozowe miasteczka, wioski, domy drewniane, domy murowane. Te murowane - płaskie, barakowate, najczęściej kryte eternitem. Takiemu nuworyszowi jak ja nie pozwalają jeszcze wyobrazić sobie tego, że tuż za nimi leżą tysiące kilometrów bezludzia. W końcu już tylko czerwona piaszczysta droga, z dużą zawartością syderytu. Prowadzi Kostia. Zostawi nas w Wierszynie i wróci do Irkucka. Siedzi po prawej stronie, co tu jest bardzo powszechne, gdyż większość aut osobowych sprowadza się w te strony z Japonii. Popularne są tu automatyczne skrzynie biegów. Popularne też swobodnie biegające po drogach krowy i one stanowią tu dla kierowców spore zagrożenie. Chodzą leniwie, bez opieki, czasem chowają się przed słońcem pod mostem lub drzewem i pewnie, jak psy, wracają same do zagród. Na drodze sporo suwów i typowych terenówek. Każdą terenówkę nazywa się tu dżipem. Jeżdżą też żiguli, uazy i nivy. Czasem mignie marszrutka, dalekobieżny mikrobus. Kurz wznieciany przez auta jadące przed nami chwilami całkowicie przesłania nam widoczność.

W pewnym momencie Kostia zatrzymuje auto i czegoś szuka w trawie doliny pobocza. Zauważam w zieleni prostokątne wyrzuczenia, niczym szkic topograficzny. Okazuje się, że Kostia dostrzegł ślady nieistniejącej już wioski. W tym celu zatrzyma się raz jeszcze. Opuszczone wioski, całe lub po części, to już typowy obrazek Przybajkala. Być może właśnie tak Syberia broni swojej pierwotności. Choć to nie tylko nastroj opuszczenia, dla mnie to także nastroj kontemplacji. Wśród drzew bowiem skośne kreski światła, tuż przy krzewach i mchu zamieniają się w świetlny

Wierszyna

pył. Milczenie lasu. Milczenie gór. Nie budzi to jednak we mnie niepokoju, ani poczucia mroku. To raczej jakaś głębia. Bezczas. Może głębia zapomnienia.

Przy każdorazowym otwarciu drzwi samochodu oprócz kurzu wchodzi do środka intensywny zapach ziół. Natura sygnęła garścią żółtych kwiatków, jest ich mnóstwo, robi się tu z nich namiastkę herbaty.

Jeśli Kostia, to i muzyka w konkretnym klimacie. Preferuje rosyjskich bardów. W jego samochodowej kolekcji płyt sporą część stanowi ten rodzaj utworów. Akurat z głośnika dochodzi głos kobiety, która śpiewa, jak to dawniej *damy prziglaszali kawalerów*. Chociaż po kilku dniach odkrywamy w jego zasobach również składankę z muzyką z lat sześćdziesiątych. Wśród przebojów utwory The Doors i The Animals, więc chyba poznałem muzyczny gust Mamadżanowa. Tak naprawdę to rosyjski romantyk, ale z inteligentnym poczuciem humoru. Potrafi z niezwykłym dramatyzmem opowiadać anegdotyczne historie ze swojego życia, także z pobytów pionierskich w Polsce. Akurat dowcipnie komentuje fakt, że w Rosji mają wprowadzić akcyzę na alkohol.

Myslałem o tych pionierskich pobytach. Obaj z Anatoljem wspominają je ze wzruszeniem, jako niezbywalny i sentymentalny fragment swoich historii. Potem zobaczę ich zdjęcia z Bieszczad, z jakichś innych miejsc w Polsce. Idą z plecakami, siedzą przy ognisku, patrzą z pożegnalnymi uśmiechami z okien wagonów. W ich wspomnieniach z przeszłości nie ma granicy systemów, nie ma podziału na lepszy i gorszy, choć wszyscy wiemy, że nieodstępnym elementem normalności takich zgrupowań był polityczny opiekun, ale tu, w przypadku Rosjan, był też on chyba nierzadko traktowany jak duszpasterz. Siła sowieckiego politycznego przekazu była tak imponująca, że zachwiała nie tyle tutejszą religią, co, moim zdaniem, jej definicją już w ogólnoludzkim pojęciu. Dlatego po miesięcznym tu pobycie nadal nie odważyłbym się odpowiadać na pytanie – co czują do nowych czasów? czym jest dla nich duchowa niezależność? jakie jest na nią zapotrzebowanie? Choć wiem, że jak wszędzie, i tu jest zapotrzebowanie na miłość, przyjaźń i muzykę. I wódkę, która miłość nakręca. I wlewa szybciej, choć na kilka chwil, dźwięki gitary lub bajsana w najmniejsze zakątki mózgu. I kaca nie ma, bo jesteśmy na precudownie pijanym, statku. I jeszcze te ich integrujące zdrobienia – Żenia, Żenieczka. Z naszego Eugeniusza, choćbyś nie wiem jak chciał, nie zrobisz tak ocieplającego, językowego majstersztyku.

A podobieństwa? Między nami, Słowianami. Oni mówią Mateczka Rasija, my mówiliśmy częściej Matka Polka, czasem Ojczyzna. Z pozoru zwroty podobne, ale w jakże różnych kontekstach i to wcale nie geograficznych. I może akurat to jest dobry przyczynek do analizowania psychologii obu narodów?

Wioski zachodniosyberyjskie są długie, rozległe i niezdiscyplinowane. Rozrzucone przy drogach, nad rzekami, których tu wiele, nierzadko z ruinami dawnych sowchozów, także z opuszczonymi domami. Zdobienia drewnianych domków są jak bielizniane hafty w makroskali. Jedni z gospodarzy robią je sami, inni kupują szablonowe gotowce. Bardziej zaradni i zasobni w ruble oprócz dwukondygnacyjnego, głównego domu mieszkalnego budują dodatkowo coś w rodzaju wolnostojącej, letniej kuchni, gdzie toczy się od czasu do czasu życie towarzyskie. Część z nich stawia typowe rosyjskie banie. Co ciekawe – często są tu one z cedru, co mnie na początku zaskoczyło, bo to przecież drzewo zwykłe. Ale kiedy pobylem w cedrowej bani, zrozumiałem, dlaczego. Choćby dlatego, że zapach i kolor są niepowtarzalne. Strefa mieszkalna ogradzana jest drewnianym płotem, szczelnie obitym deskami. Ten sam sposób grodzienia daje się zauważyć w Mongolii, co jest efektem nie tylko sowietyzacji kraju Temudżyna. Godne podkreślenia są względy praktyczne – ochrona przed piaskiem, zamieciami lub słonecznym żarem. Bo upał, po upale nagły mróz i bezgraniczne lasy, to, zdaje się, jedyne pewne rzeczy na Syberii. Odnoszę też wrażenie, że taki sposób grodzienia dawał tu minimum intymności i prywatnego świata w czasie, gdy komunizm, nie za bardzo pytając o zdanie, konsekwentnie rozwijał swoje macki. Obok wiosek pastwiska z bydłem i, nierzadko, stadami owiec. Do tego biegające luzem po wiejskich drogach konie. W tle, na stokach wzgórz, tajga. Tajemnicza, majestatyczna, na tysiącach kilometrów bezludna i jednocześnie na swój sposób dbająca o tych ludzi, chroniąca ich niczym zielony kozuch. Mimo to tajga to dla mnie również pustynia w negatywie. Pięć kilometrów od celu naszej wtorkowej podróży znajduje się wieś Dundaj,

dla nas też ważna. To w pewnym sensie Wierszyna w negatywie.

Ale najpierw Wierszyna... Czym jest Wierszyna? Jest na pewno wyjątkiem w dziejach polskiego sybiractwa, dobrowolną – by tak rzec – enklawą. Rozległą, choć z jednej strony przytuloną do wzgórza z napisem Miru Mir, niczym mongolskie zimowe siedlisko i może bardziej uporządkowaną, i schludną niż te syberyjskie wioski, które mijaliśmy po drodze. To moje skojarzenie z szachami pozostaje, góra z napisem przecież może być szachistą. Wierszyna to teraz nieco senny i trochę odretwiąły efekt podarowanej Polakom przez cara szansy. Ale, czy niedźwiedziej przystugi rosyjskiego władcy? – na to raczej trudno jest odpowiedzieć. Ci górnicy z Zagłębia Dąbrowskiego, tych 59 polskich rodzin, które w tę dolinę w 1910 roku przyjechały za chlebem, być może nie miało wtedy innego wyjścia. Osiedlili się 125 kilometrów od Irkucka nad Idą będącą dopływem Angary. Dotarli pociągiem na pobliską stację Czeremchowo i tam mieli pracować w kopalni. Jednak wizja powrotu do mrocznego i zapylonego zawodu nie odpowiadała im, gdyż zdecydowali się pojechać trochę dalej i zostać rolnikami. To był początek polskiej Wierszyny, gdzie zrazu mieszkali w ziemiankach, czyli niewielkich domkach mocno wkopywanych w zbocze wzgórza, potem nauczyli się stawiać domy na sposób syberyjski. Nauczyli się orać, siać i hodować.

Widzę ich jak stają zmęczeni. Na twarzach znużenie, ciekawość i nierzadko przerażenie. Najpierw patrzą niepewnie po sobie, potem wypatrują miejsc na pierwszy nocleg, ich wyobraźnia nakazuje na początku wkopać się w zbocza wzgórz, które wieńczą dolinę. Zaś dolina jest tylko niuansiem w bezgranicznym lesie, odpryskiem z tajgi. Oni też są niuansiem, mało dla tajgi ważnym - odnotowanym nie w duszy jakiejś zbiorowości, ale jedynie w lapidarnej notatce carskiego urzędnika. Teraz znowu muszą tworzyć zbiorowość, obyczaj, tożsamość... Nie pozwolili na to, by tajga niczym pies, który wyszedł z wody, otrząsała się z nich. Jest jeszcze wiara, religia, której czasem innym zazdroszczę. Lecz religia po rewolucji będzie i tu tłamszona. Częściowo zmieni swoje oblicze, częściowo przeleży na rodzinnej półce.

Większość z nich zostaje, część wraca, choćby Maria Mirek w roku 1923. Teraz Wierszyna liczy około sześćset osób. Sieją zboża i warzywa. Hodują bydło, świnię i owce. Dobrze rosną tu ziemniaki. Na drzewach genealogicznych sporządzonych przez tutejsze dzieci z okazji jubileuszu stulecia powstania wioski można znaleźć nazwiska: Pietrzyk, Nowak, Figura i Raczek. W innych dokumentach: Labuda, Fasiński, Mirek, Mitrega, Lelek, Kaleta, Kania, Pietras, Łyda, Niedbała, Wlazło, Mycka, Bochański, Zieliński, Janaszek, Walenza, Wcisło, Korczak, Januszek, Konieczny, Lipowiecki, Olszak, Raś, Molenda. Także litewskie Wizen-tas, bo tak nazywa się mąż Ludmiły, naszej gospodyni i jednocześnie głównej organizatorki sobotnich uroczystości. Ludmiła - z domu Figura - studiowała w Gdańsku polonistykę.

Walec czerwonej historii i po nich się ciężko przetoczył, choćby pod postacią kołchozu „Czerwona Wierszyna”, albo rozstrzelania trzydziestu podczas represji w 38. roku (w 57. roku zamordowanych oficjalnie zrehabilitowano). Teraz upamiętnia to, stojąca przed kościołem, tablica z napisem, postawiona w 2005 roku. Kilku tutejszych mężczyzn walczyło w polskiej armii, między innymi Franciszek Labuda, albo syn Jana Lelka, który zginął po Studziankami. Mimo to system w jakimś stopniu pozwalał im na zaznaczenie swojej narodowej odrębności, wszak wierszynie mogli utworzyć uczniowski zespół folklorystyczny „Wiselka” i, złożony z dorosłych, „Jarząbek”.



Fot. Kaja Świętochowska

Przeglądając się twarzą z fotografii, zwłaszcza z tych zbiorów – od tych najstarszych, do najnowszych, widać, że im bliżej nowych czasów, powoli i stopniowo, powaga ustępuje tu uśmiechom, najpierw nieśmiały, potem otwarty i spontaniczny. To ciekawe, bo brak uśmiechów, zwłaszcza na zdjęciach z lat pięćdziesiątych lub sześćdziesiątych był raczej efektem nie tylko systemowej psychozy – oficjalnie powaga miała wtedy większą wartość. Kojarzyła się z mądrością, nawet inteligencją. Ale tak naprawdę – nadmierna powaga, brak poczucia humoru i nadmierny idealizm to przecież rzecz dyktatur. Powaga to także maska dla duchowych braków, a ktoś, kto obalał totalitaryzm musiał to czuć i rozumieć.

* * *

Dojeżdżamy. Z okna auta próbuję wypatrzeć rzeczy, o których wcześniej słyszałem. Jest drewniany kościółek. Jest duży ogrodzony plac, gdzie nawet z daleka rzucają się w oczy nowe, niedokończone konstrukcje z desek. Z plaży widać cienką serpentynkę dymu ze sporządzonej z beczi wędzarni. Od razu myśl: przecież to pojutrze. Jak oni sobie z tym wszystkim do pojutrze poradzą? Kluczemy po wiejskich zaułkach w jakimś stopniu podporządkowanych rzece i niewielkim wewnętrznym wzniesieniom. Wypatruję domu Ludmiły i zatrzymujemy się przed drewnianą bramą. Po lewej stronie jednopiętrowy dom, po prawej niższy drewniany budynek, dla nas ważniejszy. Przed bramą zgrumowanie maszyn – ciężarówka, koparka, spychacz. To gospodarstwo Ludmiły i Walerego Wiżentasów. Na mniejszych drzwiach metalowy uchwyt w kształcie kółka. Należy go przekręcić w lewo, by dostać się do środka. Przekręcamy i naszym oczom ukazuje się drewniana podłoga podwórka...

Każda pierwsza wizyta w nowym, tak odległym od mojego domu, to dla mnie lekkie oszołomienie. Nie ukrywam, że jakiś niepokój. To kolejne ćwiczenie. W tym wypadku chyba nawet większa niewiadoma, niż gdybym miał się spotkać z Rosjanami lub Buriatami. To jednak inny świat, szukanie polskości na innej planecie. Tym bardziej, że Wierszyna to wioska, o której sporo się u nas mówi. Najczęściej z zadaniem patriotycznym, a ja, niestety, ze sporym dystansem podchodzę do tego rodzaju patosu. Poza tym wolę rozszyfrować sekrety iluzjonisty i tych najbardziej subtelnych doznań spodziewam się na ogół z drugiej strony sceny. To będzie pobyt kilkudniowy i dla mnie jądrem wydarzeń będzie nie tyle „Dom Polski” i miejsce jubileuszu stulecia Wierszyny, ile owa letnia kuchnia, przez którą przewiną się różni ludzie - mnóstwo alkoholi, rozpędzone nie tylko alkoholem serdeczności, potrawy, imiona nie zawsze do zapamiętania, szukanie koligacji, rytmiczne, mocno akcentowane, dźwięki bajana wziętego w obroty przez Walerę Wiżentasa i tutejsi młodzi ludzie, dla których coraz ważniejsze są wyjazdy do Polski i pozostanie tam na stałe.

Jest też obawa, czy nie będę musiał pić zbyt dużo wódki, bo w końcu swoje w życiu już wypięm. Ale problem rozkręcenia dyskusji z wierszynianami, konkretnie z gospodarzami domu, rozwiązuje się sam, bo oto na drewnianej podłodze podwórka, witają nas Arisza i Rafał. On, jakby tylko na to czekał – od razu, u progu, prowokuje rozmowę o polityce. Choć nie wiedzieć czemu dla mnie swoistą dominantą tej sytuacji stał się nie fakt, że Rafał jest protagoniściej z zadaniem patriotycznym, a ja, niestety, ze sporym dystansem podchodzę do tego rodzaju patosu. Poza tym wolę rozszyfrować sekrety iluzjonisty i tych najbardziej subtelnych doznań spodziewam się na ogół z drugiej strony sceny. To będzie pobyt kilkudniowy i dla mnie jądrem wydarzeń będzie nie tyle „Dom Polski” i miejsce jubileuszu stulecia Wierszyny, ile owa letnia kuchnia, przez którą przewiną się różni ludzie - mnóstwo alkoholi, rozpędzone nie tylko alkoholem serdeczności, potrawy, imiona nie zawsze do zapamiętania, szukanie koligacji, rytmiczne, mocno akcentowane, dźwięki bajana wziętego w obroty przez Walerę Wiżentasa i tutejsi młodzi ludzie, dla których coraz ważniejsze są wyjazdy do Polski i pozostanie tam na stałe.

Jest też obawa, czy nie będę musiał pić zbyt dużo wódki, bo w końcu swoje w życiu już wypięm. Ale problem rozkręcenia dyskusji z wierszynianami, konkretnie z gospodarzami domu, rozwiązuje się sam, bo oto na drewnianej podłodze podwórka, witają nas Arisza i Rafał. On, jakby tylko na to czekał – od razu, u progu, prowokuje rozmowę o polityce. Choć nie wiedzieć czemu dla mnie swoistą dominantą tej sytuacji stał się nie fakt, że Rafał jest protagoniściej z zadaniem patriotycznym, a ja, niestety, ze sporym dystansem podchodzę do tego rodzaju patosu. Poza tym wolę rozszyfrować sekrety iluzjonisty i tych najbardziej subtelnych doznań spodziewam się na ogół z drugiej strony sceny. To będzie pobyt kilkudniowy i dla mnie jądrem wydarzeń będzie nie tyle „Dom Polski” i miejsce jubileuszu stulecia Wierszyny, ile owa letnia kuchnia, przez którą przewiną się różni ludzie - mnóstwo alkoholi, rozpędzone nie tylko alkoholem serdeczności, potrawy, imiona nie zawsze do zapamiętania, szukanie koligacji, rytmiczne, mocno akcentowane, dźwięki bajana wziętego w obroty przez Walerę Wiżentasa i tutejsi młodzi ludzie, dla których coraz ważniejsze są wyjazdy do Polski i pozostanie tam na stałe.

tartak i daje zarobić sporej grupie wierszynian. Choć z tą chęcią zarobkowania bywa tu różnie.

Na stole cukierki, ciastka, wędliny i wýmienita kaszanka, która wcale nie znalazła się tu przypadkiem i niekoniecznie jest tu powszechnym wyrobem garmażeryjnym. To, mocno przyprawione pieprzem, arcydziełko wykonał masażer specjalnie sprowadzony spod Olsztyńka na stulecie powstania wioski. Na kolację przyniósł próbki swoich wyrobów. Od kilku dni wędzi mięsa specjalnym gościom. Jest także tradycyjne sało. Zawodu masarza raczej nie spotyka się na Syberii, toteż fakt jego sprowadzenia aż z Polski świadczy tylko może o randze sobotnich uroczystości.

Jednakowoż szybko zaskakuje mnie inna rzecz... Walera podchodzi do lodówki stojącej w rogu, w pobliżu drzwi wejściowych i pyta: *Wypijesz piwo?* Wszystkiego mogłem się spodziewać, ale nie tego, że ktoś tu w Rosji, na Syberii, zapyta: *Czy chcesz piwo?* Niemal zawsze w takich sytuacjach bez zbędnych pytań i ceregieli tu na stół stawia się wódkę. I tak, przez przypadek odkryłem drugą, oprócz korzeni i języka tutejszych mieszkańców, istotną różnicę pomiędzy Wierszyną i innymi syberyjskimi wioskami. Co, jak się potem okaże, wcale nie oznacza, że tutejsi Polacy mniej piją od Rosjan. Chociaż piwo ma pozytywne konotacje, jeśli tu, na Syberii połączy się je z wódką. Sprawdziłem to wcześniej na sobie, kiedy to podczas pierwszego wieczoru u Anatolija zaskoczyłem moich rosyjskich przyjaciół, gestem iście heroicznym - owszem, poprosiłem o piwo, by łagodzić dawkę mocniejszego alkoholu i przez to zwolnić picie, ale najpierw wypięm do dna kieliszek spirytu. Zaś w Rosji powiadają: *Wodka biez piwa, diengi na wietier*. Mimo to do rzadkości należy tu mieszanie piwa z wódką.

Chętnie przystaję na piwną propozycję. Walera bierze do rąk bajana, tutejszego kuzyna akordeonu, i gra. Wychodzi mu to całkiem dobrze, choć jego styl określiłbym tego dnia jako perkusyjny. Natomiast wcale bym się nie zdziwił gdybym nagle zobaczył go w kabinie koparki również grającego na bajanie.

* * *

Mimo serdecznego przywitania w Wierszynie pierwszą „pozairkucką” noc spędzamy w Dundaju, o co usilnie upominali się rodzice Ariszy – Wiera i Jurij, czyli Jerzy. Za kierownicą żiguli Rafał. Na początku w miarę regularny rytm jazdy zapewniają poprzeczne smugi w sydereytowej nawierzchni, co mi nieco przypomina naszą zimową podróż w kierunku mongolskiego Tariatu, kiedy to jechaliśmy nocą po zamarzniętych mokradłach. Potem zarola, pochylające się nad nami drzewa, rozpylające się jak duchy między drzewami konie i ich cienie. Tu, w samym Dundaju, teren trzeba znać na bieżąco, by bez uszczerbku dla auta dojechać do celu. Niby typowy wiejski majdan, a mimo to trzeba wiedzieć, gdzie tego konkretnego dnia znajduje się najgłębszy, zaschnięty ślad po kałuży, gdzie jest podmokła kępa trawy. Dojeżdżamy do zielonej bramy. Za nią również drewniane podwórko, potem rodzaj chodnika z desek, prowadzącego do szop lub chlewików i przy okazji do wychodka. Po prawej stronie, równoległe do tej swoistej platformy, warzywny ogródek wypielony tak perfekcyjnie, że między głowami kapusty, czy nacią marchewki nie można dostrzec nawet mikroskopijnego chwastu. Po lewej mniejszy budynek mieszkalny, przed nim cedrowa bania. To jedno z najschłodniejszych gospodarstw we wsi. Przybysz z zewnątrz nie zawsze zauważa, z jaką pieczołowitością niektórzy urządzają tu swoje gniazda. Domostwo, które, w przeciwieństwie do pałacu lub willi, nie jest robione kompleksowo ma, moim zdaniem, więcej dobrego ducha. Bo to jest tak - większość wyobraża sobie kosmos, jako coś odśrodkowego, natomiast przynajmniej część tych syberyjskich gniazd w jakimś sensie temu przeczy. To jest skupienie się na ważnych drobiazgach, małych radościach, czasem dekoracyjnych, czasem praktycznych. Na tych tradycyjnych, kolorowanych, portretowych zdjęciach, detalach okiennych, ościeżnicach, drewnianym fryzie pod rynną, firankach, odpowiednim miejscu na przybicie obrazka lub nawet miękkiej podkładce pod posiadki w wychodku. Przywodzi mi to na myśl jedno ze zdań z książki Kena Wilbera: *Im mniej przestrzeni, tym więcej głębi*. Ale to dotyczy ludzi świadomych, bo są też tutaj tacy, którzy do końca życia będą tu trwali w tymczasowości. Choćby owi, niemal na okrągło zamroczeni wódką, buriaccy sąsiedzi Figurów, którym odcięto już prąd. Na dodatek ich dzieci z rzadka uczęszczają do szkoły, choć w Rosji jest obowiązek nauczania podstawowego.

Co ciekawe, Wierę już z daleka, zanim podaliśmy sobie ręce, zanim do nas podeszła, od razu odebrałem jaką kobietę dosyć twardo stawiającą kroki po tym świecie, mimo rodzinnej tragedii, którą miała za sobą w czasie i pewnie niemal na co dzień w sercu. Ale tę poruszającą historię usłyszę rankiem następnego dnia, na tutejszym cmentarzyku, w tajdze, wśród komarów. Miejsce do spania przeznaczona dla nas w domku po prawej. Oboje z Jurijem zostają na noc, i na dwa kolejne dni, w domku po lewej, tym po babci. W upalne dni jest tam stabilny chłodek. I tu będzie miała miejsce kolacja złożona z odrobiny samogonu, swojej roboty twarogu, dżemu, masła i rosyjskich mącznych blinczyków, za którymi przepadam. Przy okazji poczuje smaki mojego dzieciństwa, przypomnę zsiadłe mleko, które mama zamieniała w twaróg, wieszając go nad zlewem w Inianej ścierce.

Wiera urodziła się w Mińsku, Jurij to wierszynianin. Wiera naucza w tutejszej szkole. Jurij wziął sobie niedawno w tej placówce posadę stróża. Po hucznych i serdecznych powitaniach u Wiżentasów to wyciszenie nam się przydaje. Na dodatek kąpiel w bani i ten samogon. Tu prawie wszystko swoje, nie tylko warzywa.

Podczas kolacji rozmowa schodzi na rodzinne tory. Wiera jest w rozterce, gdyż jej dwoje dzieci przebywa w Warszawie. Córka skończyła tam kierunek turystyczny. Syn studiuje obróbkę drewna na SGGW. Z jednej strony chciałaby, by oboje żyli bliżej tak zwanego świata, z drugiej chciałaby ich mieć przy sobie. Co

myśli o tym Jurij? Trudno powiedzieć. Nie odzywa się zbyt często i raczej z aprobatą przysłuchuje się temu, co mówi żona. Potem sen w czystym pokoju, pod słubnym portretem. Lubię spać na nowym, po dniu pełnym wrażeń i z biegiem lat coraz łatwiej i chętniej odrywam się od swojego domu. Od kilku lat najlepiej czuję się w aucie. Byle być poza miejscem, w którym mieszkam. Może zbyt wiele tam się dla mnie odtajemniczyło. A może jestem zbyt słabym poszukiwaczem, by odkryć przy domu coś nowego.

Dundaj jest ciekawą odwrotnością Wierszyny, jako że tu żyją prawie wyłącznie Buriaci i rodzina Figurów. W Wierszynie mieszkają prawie wyłącznie Polacy i buriacka mniejszość. I choćby z racji bardziej pojemnej szkoły Dundaj ma od Wierszyny trochę wyższą rangę administracyjną. Uczą się tu bowiem również wierszynianie, którzy ukończyli u siebie cztery klasy podstawówki. Toteż z oddali, wśród mysiej szarości, biały, wręcz monumentalny, budynek rzuca się w mocno w oczy. Murowany, trzykondygnacyjny, niepasujący do reszty zabudowań.

Rankiem, w piątek, przy siwym niebie, z odrobiną niewyraźnego słońca, z Wierą i Jurijem udajemy się na tutejszy cmentarz. To już obrzeża tajgi. Komary tną niemiłosiernie, niczym strażnicy nekropolii. Jakby chciały dać do zrozumienia, że, jak to jest na przykład w Mongolii, do takich miejsc fizycznie nie powinno się wracać. Tym bardziej, że na trapezowatych nagrobkach większość zdjęć przedstawia skośnokochanych mieszkańców wioski, najczęściej pochowanych na sposób świecki, z gwiazdami zamiast krzyży. Zaś symboli prawosławnych uświadczysz w tym miejscu niewiele.

Pośród wilgotnej zieleni spoczywają między innymi bliscy naszych gospodarzy, lecz jeden grób jest szczególnie - przedwcześnie. Ich córka, kilka lat temu zginęła w wypadku motocyklowym, a właściwie umarła w kilka godzin po katastrofie, być może nawet na skutek spóźnionej pomocy. Wiera opowiada o tym spokojnie, ze szczegółami. Mnie zwykle w takich sytuacjach ogarnia głębokie poczucie bezsensu.

Z tego miejsca przyszedłem się potem wiosce, zagrodom.

Zderzenie szarości i lirycznej melancholii, z drobiazgowymi zdobieniami okien i bram oraz roześmianymi dziećmi na rowerach.

Żegnamy cmentarzyk, żegnamy miejsce smutnych pożegnań i wyruszamy żiguli do Wierszyny. Jeszcze nie przeczuwamy, że będziemy tam nie tylko gośćmi, że wioska będzie z nas miała fizyczny pożytek. Na placu przed Domem Polskim ruch jak przy budowie świątyni. Choć wraca niepokój - czy do rana zdążą z robotą? Przecież niewielki skansen na najstarszą wierszynicką chałupę jeszcze w budowie. Także schody prowadzące na scenę dopiero „zaczęły się robić”. Ale ten dzień, jest, zdaje się, dniem cudów.

Bez wątplenia jubileusz zmobilizował mieszkańców Wierszyny do zajęcia się również obęściami swoich domów i dlatego może wszystko inne pozostawiono na ostatnią chwilę. Jedni już mają pomalowane płoty i elewacje, drudzy dopiero je kończą, część prowadzi jakieś rozmowy przed otwartymi bramami. Kiedy zatem widzę Walerę, jak przed bramą Domu Polskiego podsypuje drogę, wożąc swoim krazem zwaly ziemi, odnoszę wrażenie, że akurat w tym, zdawałoby się, desperackim działaniu jest samotny. Myślę, że i tak by to robił, nawet gdyby nie był mężem ducha opiekuńczego tego miejsca. Toteż, pokręciwszy się trochę po placu, wcale nie w imię współczucia, ale bardziej z podziwu dla jego niespożytej energii i bezinteresowności, idziemy z Pawłem do pobliskiego sklepu i kupujemy pół litra, by go potem rozpić w sfoferce wiżentasowej wywrotki, bynajmniej nie powodując przerwy w pracy. Przy okazji w sklepie usłyszałem, jak ktoś narzekał na tych, co nie chcą pomagać przy jubileuszu: *Imiejut diengi, pijut. Nie imiejut, toże pijut. Kak nie imiejut, to w magazynie zapisujut w tietradzi*.

Natomiast Walera pokazuje najprawdziwsze, całkowicie obce mi, rzemiosło – kładzenie syberyjskiej, wiejskiej drogi, polegające na tym, że najpierw układa się w poprzek deski, a właściwie okorki, na tym nieokreślony, czerwony tłuczeń. To co się zwozi i zrzuca na samym wierzchu to po mojemu jest wilgotna, czarna ziemia. Po tym, w celu wyrównania, jeżdżą staliniec i równiarka. Chociaż póki co, póki nie ma jeszcze wszędzie czarnej warstwy, rzuca się w oczy artystyczny aspekt tego dzieła, gdyż ta czerwona wstęga wyraźnie odcina się od reszty wioski, niczym lantartowskie dzieła Smithsona. Na dodatek, jak przystało na niezrozumianego twórcę, Walera po drodze dostaje ochrzana od jednego z gospodarzy za to, że jeżdżąc wzniesła tumany kurzu przy świeżo pomalowanym płocie.

Dom Polski stoi blisko rzeki i drewnianego mostu, gdzie kończy się droga. Kraz, by zawrócić musi wjeżdżać do wody tuż przed



Fot. Kaja Świętochowska



Wierszyna

– inteligentna i ciepła. To Natasza, lekarka internistka i doktor nauk. Wyśpią się w stodole na sianie, tuż za kuchnią i elegancką wygodką, wśród „na bieżący” gubionych przez kury jajek. Z przyjemnością, a nawet uczuciem jakiejś błogości, stwierdzam, że Anatolij wziął ze sobą gitarę. Błogosławiona muzyka. Błogosławione tutejsze biesiadne klimaty. Błogosławiona syberyjska zaduma. Słuchanie ballad w wykonaniu Anatolija, to za każdym razem uczestniczenie w prawdziwym koncercie, bez względu na rodzaj emocji wyrażanych przez otaczające tę muzykę twarze.

Obaj z Pawłem tę noc jeszcze spędzimy w Dundaju i już przyzwyczajam się do myśli o rychłym powrocie, koldrze i bani. Wtem Walera, niczym nagle zmiana pogody, przylatuje z kolejną niespodzianką – jest jeszcze jeden transparent, powitalny i trzeba go powiesić przy wjeździe do wioski. Marzenie o zbawiennej bani odkładam na potem. Lojalnie wszyscy jedziemy w to miejsce. Toyota Kostii, spychacz z dwoma słupami i mechaniczne wiertło. Trwa to nie dłużej niż godzinę, razem z dorabianiem w tartaku Walery drewnianych podpórek. Do Dundaju wracamy po północy naprawdę zmęczeni. Mimo to sam przyjazd do Figurów jest tego wieczora jak przebudzenie – wynurzenie się z wierszynickiego kurzu i całodziennego gonitwy pośród dziesiątek w większości nieznanymi twarzami, kręcących się przy dziesiątkach zajęć. Toteż trudno o coś bardziej przyjemnego niż wygranie się w gorącej parze, wychłastanie się gałązkami i polanie się zimną wodą po całodniowej bieganinie. Potem kolacja, adagio wieczornej pogawędki z Wierą i Jurijem, kilka kropel bimberku, oczywiście, moje ulubione mączne blinczyki, miłe znużenie i słodki, księżycowy sen w przeświadczeniu, że Syberia staje się istotną częścią mojego życia, że, mimo to, raczej nie znajdę się na długo w pamięci tego miejsca. Bo i po co...

* * *

Przed bramą wierszynickiego kościółka jest spory plac, który śmiało można nazwać majdanem. Naprzeciwko bramy rząd domków i sklep. Od placu, z dwóch stron kościoła, w głąb wsi prowadzą dwie drogi. Już od rana w dzień jubileuszu ustawia się tu rząd aut, choć wszystko opóźnia się ponad godzinę. Ale

czas raczej w tych stronach gospodaruje rozrzutnie, więc nikt specjalnie się tym nie przejmuje. Za kościelnym płotem ćwiczą dzieci, księża i ministranci. Część z nich już teraz trzyma ręce złożone jak do modlitwy, jakby obawiali się, że potem, podczas oficjalnej ceremonii, przez roztagnienie mogą tego nie zrobić. Już kręcą się ekipy telewizyjne. Są też dziennikarze z Polski, pielgrzymujące zakonnice w siwych strojach. Przed szkołą obóz rozbiła grupa młodzieży licealnej z Wybrzeża wraz z zaprzyjaźnionymi młodymi moskwianami.

Pokpiwałem trochę z Rafała, zanim przyjechaliśmy do Wierszyny, że założył garnitur, ale tuż po mszy miał razem z Ariszą jechać do Irkucka na wesele. Zresztą, przed wierszynickim kościółkiem stoi niemała grupa odświętnie ubranych osób. Spora część z nich ma twarze o rysach buriackich. Przybyli więc nie tylko na mszę, lecz na szerzej pojmowaną przez nich uroczystość. Toteż i msza koncelebrowana przez biskupa Cyryla Klimowicza ma ekumeniczny charakter. W kontekście wzajemnego współżycia mówi nie tylko o katolikach, prawosławnych i buddystach, ale także o szamanistach, bowiem część Buriatów wyznaje jeszcze tę odmianę religii. W podobnym duchu, już potem, na placu przed Domem Polskim, przemawia mer rejonowego miasteczka Bochan. Przyjeżdża Krzysztof Czajkowski, konsul generalny RP w Irkucku. W tłumie wyławiam gołdapijanina, który w Irkucku oprowadzi biznesy. Jako, że jest bardziej słusznego niż inni wzrostu, to wyraźnie odcina się od reszty. Pojawił się w tych stronach ze dwadzieścia lat temu na fali handlowych podróży do Chin. Jest jednym ze sponsorów jubileuszu. Jego kolega, też gołdapijanin, prowadzi w Irkucku biznes meblarski.

Po mszy, już na placu, kolejne opóźnienie – może z godzinę wszyscy czekają na przyjazd jednego ze specjalnych gości. Mamy czas na zwiędzenie i upewnienie się, czy wszystko przygotowane, gdyż, nie wiedzieć czemu, również się tym zajmujemy niczym wierszynianie. Otwarto, na szczęście w nocy ukończony, mini skansen, pokończono pozostałe drewniane budowle, doprowadzono prąd. Tłum gęstnieje, brakuje już miejsc siedzących. Na scenie drewnianego amfiteatru na chwilę pojawia się Ludmiła. Jest w stroju ludowym, zdaje się, zagłębiowskim. Udziela jakichś wskazówek, zerka do scenariusza. Nagle w tym oczekiwaniu na spóźnionego gościa eksploduje taniec ludowy. Motywy buriackie przeplatają się z rosyjskimi. Stroje buriackie i rosyjskie z zagłębiowskimi. Czasem próbuję sobie sprecyzować, co mnie tak fascynuje w ludowych tańcach rosyjskich i tańcach rosyjskiego dalekiego wschodu, że nie mogę oderwać od nich wzroku. Na pewno jest to z jednej strony muzyka i te wysmulające stroje, ale chyba najbardziej dynamika połączona z drobniawą, wykonywaną niezwykle perfekcyjnie, choreografią. I wreszcie ten, w większości tutejszych tańców, wysublimowany przekaz erotyczny. Kocham taniec, chociaż sam raczej nie tańczę.

Tancerze schodzą ze sceny, mieszają się z gośćmi. To ma być preludium do oficjalnych występów. To czas na zasłużonych i przypomnienie dotychczas anonimowych. Kilka metrów ode mnie po lewej rzuca się w oczy dziwna postać – ni to mężczyzna, ni to kobieta. Zniszczona, o wyglądzie delirycznym. Wpatruje się zapamiętałym oczekiwaniu w to, co się dzieje na scenie.

Zaczyna się bowiem wręczanie dyplomów. Za różne zasługi, za jakąś pracę, za najładniejsze gospodarstwo. Dla jednych to ważne, nawet bardzo, zwłaszcza dla owej kobiety, bo w jej najprawdopodobniej wymęczonym, ciemnym życiu pojawi się teraz maleńka, biała prostokątna wysepka. Choć tylko symboliczna, nie „chlebowa”, jak to niegdyś bywało. Pozostali reagują różnie, część tak, jakby zaraz miała je zaraz włożyć do szuflady. Sybiryacy są również na etapie kolorowych drukarek, więc, jak u nas, i tu dyplomy mocno spowszedniały. Ważne są za to nagrody za najlepsze gospodarstwo, chyba pieniężne. Od czasu do czasu ze stojącego tłumu wynurza się twarz Kostii z siwym obiektywem w ręku. Najczęściej ustawia się na wysokości kolan stojących obok osób. Robi zbliżenia. Po wręczeniach i podziękowaniach występy dwojga buriackich gwiazd piosenkarskich – drobno, ładnego sopranu w zielonej długiej sukni i operowego basu w białej marynarce. Jego za kilka dni zobaczą na scenie teatru w Ułan Ude, kiedy będzie zachwycał publiczność, zwłaszcza żeńską, ubrany w tę samą białą marynarkę.

Na szczęście tego dnia nikt nie określił wyraźnej granicy między oficjalnymi ceremoniami i biesiadowaniem, bowiem stoiska z alkoholem i zakąskami oblegane są już od godziny. Wycofujemy się z widowni, by przyjrzeć się tutejszym wyrobom i zobaczyć ową najstarszą wierszynicką chatę. Ale pięćdziesięciometrowa droga do niej okazuje się bardzo długa, bo co kilka kroków, ten i ów, i to niekoniecznie znajomy, zaprasza nas pod namiot. Tam jest przeważnie pięćdziesiątka wódki albo samogonu, sało lub inne wypieki. Porządnie więc mi szumi w głowie, kiedy docieram do zabytkowej chaty, naprawdę starej, choć pokrytej nowym dachem z tak samo nowymi ozdobami okiennymi. Jednocześnie z tej perspektywy co i raz rzucam okiem na pobliską stodołę, by się upewnić, czy kolejna litera nie odkleiła się od niebieskiej folii, od hasła *S prazdnikom...* Wszystko jest jednakowoż w porządku, a nasz wysiłek, i (w naszym odczuciu istotny, przy najmniej wizualnie) wkład w obchody jubileuszu wioski, nie poszły na marne. Zaś drewniane ściany zabytkowej chaty wiarygodnie świadczą o stuleciu. Również rekwizyty z epoki: biały otynkowany piec, żelazko z duszą, tara do prania, drewniana łopata do ziarna, dwuzębne widły, beczkowate naczynia, kute, żelazne łóżko i tytuł *Baśnie ludu polskiego*, na poźółkłej książce.

Podczas wieczornej biesiady można spróbować wędlin sporządzonych przez masarza spod Olsztyńska.

Biesiadujemy do zmroku przy wędlinach „ala spodolsztynek” i decydujemy się na kameralne spotkanie u Wiżentasów. Krzeselka stawiamy na drewnianym dziedzińcu i wsłuchujemy się w tęskne rosyjskie ballady, także o tematyce syberyjskiej.

Anatolij śpiewa jak wytrawny bard. Świetnie i nastrojowo akcentuje, umiejętnie przechodzi od melodii do recytatywu. Pomaga mu Natasza. Ona też ładnie śpiewa. Gdy Anatolij i Natasza rozkręcają się na dobre, gdy na dobre robi się duszeszczepatelno, nagle zaczynają pojawiać się krewni i znajomi Wiżentasów. Najstarszy z bajanem. Przerazam się, myśląc, że nastrój zniknie, gdyż wśród nich znalazł się temperamentny, i niestety hałaśliwy, brat naszego tutejszego znajomego. Boję się, że szykuje się kolejne pijaństwo. Jednakowoż ku naszemu zaskoczeniu wieczór przeradza się w liryczny koncert i to wykonany na dobrym poziomie. Na dodatek nowi goście przyprowadzają ze sobą buriacką piosenkarkę, która kilka godzin temu występowała na scenie przed Domem Polskim. Okazuje się zresztą osobą na luzie, choć jest na szpilkach i ubrana w czarny elegancki kostium. Nie mogę od niej oderwać wzroku. Górę bierze moja słabość do azjatyckiej kobiecej urody. Niewykluczone, że w następnym życiu ożenię się z Azjatką. Choć moi przyjaciele próbują mnie do tego zniechęcić, twierdząc, że Buriatki i Mongolki szybko się starzeją, bo podobno „za długo drepcą w miejscu”.

Pod koniec koncertu z mroku wyłania się Kostia. Włos najeżony, w nieładzie i, mimo to, znów pełen energii. Przez kilka godzin spał na sianie, tak mocno, że nie można było go się dobudzić. Kończymy koncert. Kostia i Anatolij idą jeszcze z krewnymi Ludmiłą na dyskotekę. Ponieważ ze mnie nie tancerz to udaję się do stodoły, gdzie już drzemią – Ludmiła i Natasza. Przed snem gwarzmy trochę o rosyjskiej kuchni i muzyce. W trakcie snu zaliczamy dwie pobudki – kiedy nasi przyjaciele wracają z dyskoteki i zaczynają mościć sobie gniazda i kiedy, tuż nad ranem, dwa koguty naporzają się ze sobą tuż u moich stóp. Zresztą całe otoczenie tej nietypowej sypialni jest godne uwagi. Zarówno to wokalne, jak i wizualne. A to gwałkanie kur, a to pobekiwanie rogatych sąsiadów, a to jakka tu i ówdzie porozrzucane w sianie przez niecierpliwie noski. Ten niezapomniany zapach siana przywozłem ze sobą do mieszkania Anatolija przy kolejnym powrocie do Irkucka.

Z Wierszyną i naszymi gospodarzami żegnamy się w niedzielę około jedenastej. Ludmiła Wiżentas z domu Figura jak zwykle uśmiechnięta, bez śladów zmęczenia. Widać wygrało poczucie ulgi po udanej imprezie. Pojawia się Walera i nieco smutna córka. Rzucam jeszcze okiem na pusty już plac przed Domem Polskim. Z wyrzutami sumienia spoglądam na, kłaniającą się od tysiącleci tej dolinie, górę z napisem *Miru Mir*. Wcześniej obiecałem sobie na nią się wspiąć, ale w tych wszystkich zawirowaniach nie starczyło na to czasu.

Wierszynę opuszczam z różnymi uczuciami. Na pewno z podziwem dla tych ludzi. Zwłaszcza dla Ludmiły Wiżentas. Również z podziwem dla tych, którzy nadal z namaszczeniem wiją tu swoje gniazda, z poczuciem, że ich świat jest jedyny, niepowtarzalny. To prawda – takiej tajgi i, paradoksalnie, swego rodzaju swobody, nie doświadczysz nigdzie indziej. Ale jest też ten alkoholowy smutek, tęsknota wielu za dużym miastem, także tęsknota za czymś, czego tak naprawdę nigdzie nie ma, za nieokreślonym – innym światem.

Miroslaw Ślapiak

stadkiem krów, które, nie wiedzieć czemu, ustawiają się pod niskim mostem niemal dotykając rogami drewnianych belek. Bo to, tego przedpołudnia, ani żar na niebie, ani z nieba deszcz. To znieruchomienie zdecydowanie kontrastuje z tym, co się dzieje, kilkadziesiąt metrów dalej, za płotem przed Domem Polskim. Inna rzecz, będąc pod wrażeniem determinacji i pracowitości Walery, nabieram nieoczekiwanie przekonania, że do rana, wszystko będzie gotowe, razem z drogą, drewnianym amfiteatrem i owym zabytkowym, najstarszym wierszynickim domkiem.

Po obtańcowaniu flaszki, po tym jak niebo już się przejaśnia, po przejściu przez plac przed Domem Polskim, gdzie rzeczywiście robota już nabrała rumieńców, idziemy do letniej kuchni, gdzie przy okazji Walera pokazuje nam swoją listę płac. Jest tu chyba największym prywatnym pracodawcą. W notesie zapisał kilkanaście nazwisk. Niemal przy każdym zaznaczył przynajmniej po kilkanaście nieobecności w ciągu miesiąca. Jednakowoż, kiedy wyjął z szafki notes konstatuję rzecz ciekawą i, zdaje się, zmienną dla tutejszych zwyczajów. Między kartkami znajduje się przynajmniej kilka tysięcy rubli. Przecież notes leżał w szafce, a tego dnia weszliśmy tu najpierw sami i zarówno szafka, brama, jak i drzwi do letniej kuchni nie były zamknięte na klucz. Tak było przez kilka dni naszego pobytu w Wierszynie. Przez to pomieszczenie przewijało się może ze trzydzieści osób. Przyrzędzali sobie herbatę i kawę. Przynosili jakieś jedzenie. Pili niezliczone rodzaje alkoholi. Z lodówki brali jakieś produkty. Ktoś postawił miskę racuchów, inni je zjedli następnego dnia. W tej wiosce syberyjskiej sporo się pije, ale się nie kradnie.

Na placu wciąż dymi wędzarnia. Słońce pozbywszy się chmur rzadzi już niepodzielnie. Rzeczywiście – mały skansen i drewniany amfiteatr są na ukończeniu. Pojawiają się pierwsze jurty, tymczasowe chaty kryte świeżą strzechą. W niektórych będą jutro



cd. ze str. 33



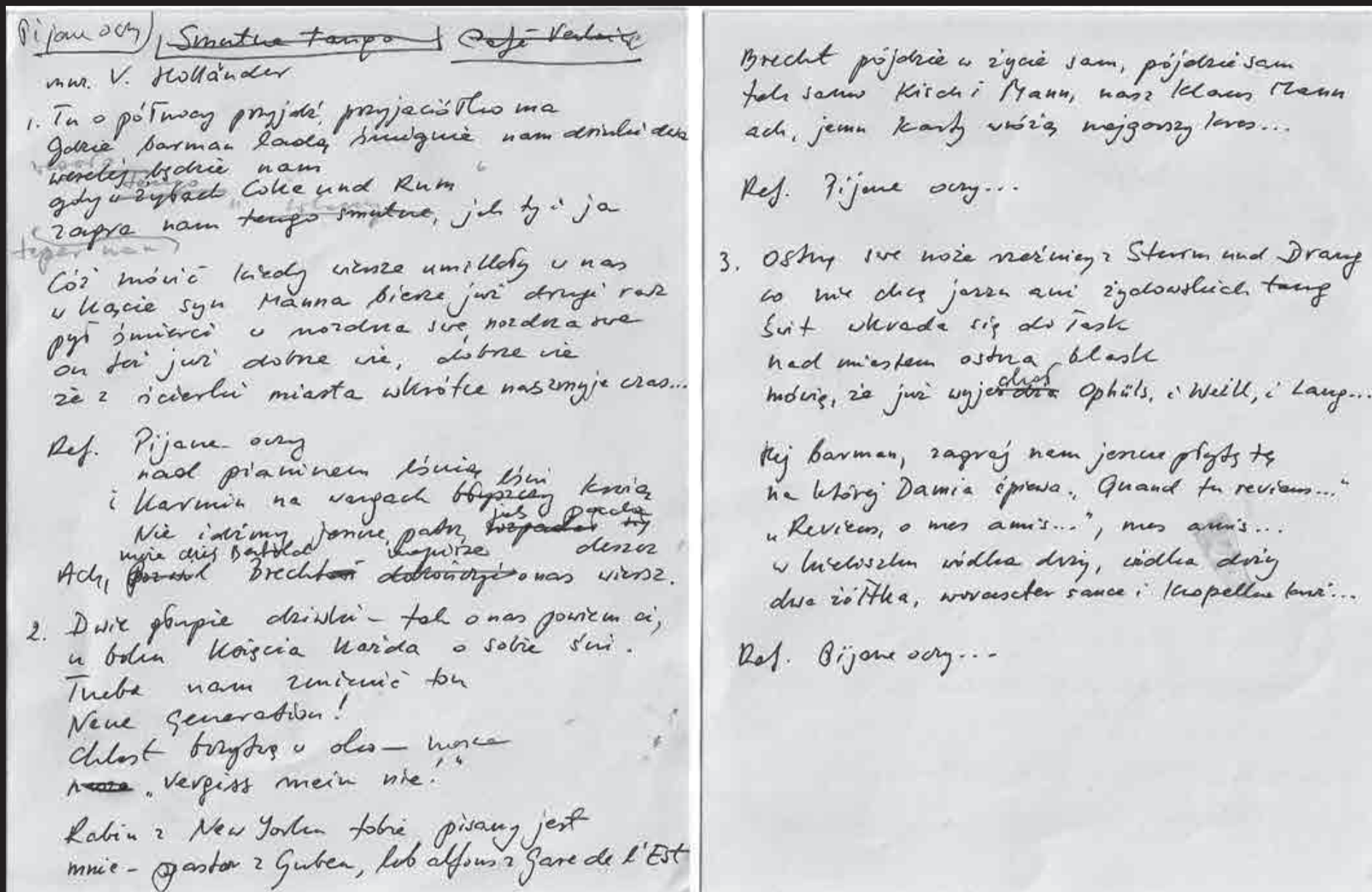
Fot. Kaja Świętochowska

prezentacje narodowych kultur, w innych sprzedaż pamiątek i lokalnych specjałów. Będzie piwo, i praktyczne zestawy, czyli setka wódki wraz z kawałkiem sała. Grupka dzieci przysiadła na pokrytej dachem widowni dla zaproszonych gości. Plac gęstnieje. Twarze buriackie, tatarskie i twarze wierszynickie. W Domu Polskim gotowe wystawki – archiwalne zdjęcia i drzewa genologiczne wykonane dziecięcymi rękami.

Niczym duchy, łazimy niemiarko z Pawłem kilka godzin po wiosce, wchodzimy do kuchni i coś przegrzamy. Niezbyt czujemy się teraz potrzebni i już zamierzamy dzwonić do Rafała by po nas przyjechał, kiedy przylatuje Walera i oznajmia, że trzeba pomóc przy wieszaniu transparentu. Długi na osiemnaście metrów i szeroki na cztery kawał niebieskiej folii, na którym znajduje się napis *S prazdnikom i...* wykrzyknikiem, przy pomocy traktorowego chwytacza, który służy mi za podnośnik, najpierw przybijamy do ściany stodoły stojącej poza placem Domu Polskiego. Potem przyklejamy litery wcześniej namalowane plakatówkami na dużych brystolach. Moja tymczasowa funkcja młotkowego, bo to ja stojąc na tym oryginalnym wysięgniku przybijam gwoździe, upamiętniona zostaje poczerńiałym, już do końca pobytu, paznokciem. Natomiast wykrzyknik, jako że został przymocowany taśmą, bo pod koniec akcji zabrakło nam kleju, rano już leży na ziemi. Ale i tak następnego dnia będziemy podziwiać swoje dzieło, robiąc zdjęcia na jego tle.

Przybijanie transparentu kończymy już o zmroku, przy rześkim powietrzu. Przyjeżdżają nasi z Irkucka, jak obiecali: Ludmiła, Anatolij, Kostia, Misza i nowa, nieznaną mi jeszcze twarz kobieta

Grzegorz Musiał



Pijane oczy

Muz. Friedrich Holländer, Tekst Grzegorz Musiał
(oryginalny utwór: *Zwei Dunkle Augen*, 1928)

Przyjdź o północy tu, przyjaciółko ma
Gdzie barman ładną śmignie nam drinki dwa,
Przyjemniej będzie nam
Gdy tango *Coke und Rum*
Zagra nam taper, smutny jak ty i ja.

Cóż mówić, gdy wiersze umilkły w nas?
W kącie syn Manna bierze już drugi raz
Pył śmierci w nozdrza swe, nozdrza swe
On też już dobrze wie, dobrze wie
Że z ścierki miasta wkrótce nas zmyje czas...

Ref. Pijane oczy nad pianinem lśnią
I karmin na wargach lśni krwią
Nie odchodź jeszcze, rozpadła się deszcz
Ach, może dzisiaj Brecht napisze o nas wiersz.

Dwie głupie dziwki – tak o nas powiem ci,
U boku księcia każda o sobie śni.
Trzeba nam zmienić ton, zmienić ton
To my! – *Neue Generation!*
Chlast brzytwą w oko – nasze
Vergiss mein nie!

Brecht pójdzie w życie sam, pójdzie sam
Tak samo Kisch i Mann, nasz Klaus Mann...
Ach, jemu karty wróżą najgorszy kres...

Ref. Pijane oczy...

3. Ostrzą swe noże rzeźnicy z *Sturm und Drang*
Co nie chcą jazzu ani żydowskich tang
Świt wkrada się do łask
Nad miastem ostrza blask
Mówią, że już wyjechał *Ophüls, i Weill, i Lang...*

Hej barman, zagraj nam jeszcze płytę tę
Na której Damia śpiewa „*Quand tu reviens...*”
„*Reviens, o mes amis...*”, *mes amis...*
w kieliszku wódka drży, wódka drży...
dwa żółtka, worcester sauce i kropelka krwi...

Ref. Pijane oczy...

Rabin z Brooklynu tobie pisany jest
Mnie – pastor z Guben lub alfons z Gare de l'Est
Brecht pójdzie w życie sam, pójdzie sam
Tak samo Kisch i Mann, nasz Klaus Mann...
Ach, jemu karty wróżą najgorszy kres.

Ref. Pijane oczy...

Ostrzą swe noże rzeźnicy z *Sturm und Drang*
Co nie chcą jazzu ani żydowskich tang
Świt wkrada się do łask
Nad miastem ostrza blask
Mówią, że już wyjechał *Ophüls, i Weill, i Lang...*

Hej barman, zagraj nam jeszcze płytę tę
Na której Damia śpiewa „*Quand tu reviens...*”
„*Reviens, o mes amis, mes amis...*”
w kieliszku wódka drży, wódka drży...
dwa żółtka, Worcester Sauce i kropelka krwi...

Ref. Pijane oczy...

Jest to napisany przeze mnie przed laty tekst songu Friedricha Hollaendera z 1928 r. *Zwei dunkle Augen* (kompozytora wielu piosenek m.in. Marleny Dietrich). Nosi on polski tytuł *Pijane oczy*. Napisałem jeszcze parę innych tekstów w tym stylu, ale tylko ten brudnopis się zachował. Był on przeznaczony dla planowanego przeze mnie i śp. Marcela Kochańczyka przedstawienia o międzywojennym Berlinie, którego Marcel chciał być reżyserem. Niestety, projekt przerwała śmierć Marcela w lipcu 2002 r.

Grzegorz Musiał

Z filozofem, poetą, eseistą, pisarzem Kennethem Whitem z okazji przygotowania do druku dzieł zebranych rozmawia Régis Poulet.

Źródło: „La Revue des ressources”, 17 II 2014 (fragmenty).

POZNAĆ „KOŚCI ZIEMI”

Kenneth White (1936, Glasgow) – kultowy poeta i filozof, twórca takich pojęć, jak geopoetyka, nomadyzm intelektualny, chaotycyzm. Szkot mieszkający od lat we francuskiej Bretanii, emerytowany profesor poezji na paryskiej Sorbonie, autor licznych książek eseistycznych z pogranicza kultury, filozofii, antropologii, geografii; poeta, podróżnik, myśliciel; w hybrydowej twórczości łączy namysł nad kulturą celtycką Zachodu z nurtami dalekowschodniej filozofii, religii buddyjskiej, taoistycznej. Programowa geopoetyka ma na celu odbudowanie niekonwencjonalnego przymierza człowieka z Miejscem, Ziemią, Kosmosem: Celem mojej geopoetyki jest otwarcie tak świata, aby był mniej skupiony na człowieku niż dotychczas, bo stał się on nie tylko dławiący, ale szalony i zabójczy. Chodzi o odnowienie naszego stosunku do ziemi, aby ten stosunek uczynić bardziej całościowym i subtelniejszym, bardziej inteligentnym i bardziej zmysłowym. Najważniejsze to być całkowicie obecnym w tym, co się uobecnia.

Régis Poulet: *W imieniu „La Revue des ressources” bardzo dziękuję za zgodę na rozmowę. Oto mija pół wieku, jak pisząc wiersze, eseje, prozę drogi, jesteś obecny w literaturze. Z wielkim zadowoleniem przyjęliśmy wiadomość, że w twojej rodzinnej Szkocji mają się ukazać dzieła zebrane. Jakie to ma dla ciebie znaczenie?*

Kenneth White: To możliwość zaprezentowania całości mojej pracy dla mnie samego i tych, którzy się nią interesują. Być może trzeba uściślić od razu, że nie chodzi o dzieła wszystkie i definitywnie zamknięte, ale o dzieła wszystkie otwarte, gdyż z jednej strony dokładam trzy nowe książki: *Ideas od Order at Cape Wrath* (eseje), *The Winds of Vancouver* (proza narracyjna), *Latitudes and Longitudes* (wiersze), a z drugiej – do każdej ponownie przygotowanej pozycji dodaję nowy wstęp, który tę książkę sytuuje w całości wszystkich dzieł. Tak więc te nowe publikacje stopniowo uzupełniają będą utwory zebrane, a że wydanie przygotowywane jest nie w komercyjnym, ale naukowym wydawnictwie Research Institute of Irish and Scottish Studies Uniwersytetu w Aberdeenu, to jest pełna gwarancja na zachowanie tego procesu. Całość w postaci 20 tomów powinna ukazać się w okresie pięciu lat. (...)

R.P.: *Czy ten całościowy projekt, który wynika z rozwoju twojej filozofii co najmniej od lat 60., można rozpatrywać jako mapę mentalną (mind map), która nadal się rozwija?*

K.W.: Masz rację, akcentując przede wszystkim wymiar geograficzny, w którym zamysł wydawniczy odgrywa pierwszorzędną rolę. Nigdy nie rozpatrywałem mojej pracy jako po prostu seryjnej produkcji, której porządek byłby policzalny, a jakość stałaby się wyłącznie „ilościowa”, ale jako mapę mentalną, o której wspominałem. Układałem ją w miarę jak przebiegały przypadki mego życia oraz według pewnej logiki. Często odwoływałem się do porównań geograficznych i nawigacyjnych, prezentując na przykład trzy „regiony” lub „klimaty” mojej aktywności, a więc eseje jako mapę otwierającą przestrzeń i pokazującą wielkie współrzędne; książki narracyjne pisane prozą (to nie powieści ani literatura podróżnicza, a co w końcu postanowiłem nazwać *waybooks*, księgi drogi) jako serię wędrówek, podróży, autobiografii w ruchu po tej globalnej mapie; wiersze jako chwile szczególnie gęste w czasie tych wędrówek. Spoglądając na to wszystko z góry, można by mówić o kartografii kulistej (globalnej, planetarnej), o kartografii linearnej, horyzontalnej (mapa typu portulan albo Tabula Peutingeriana) albo o kartografii stochastycznej (punkty energii i światła). (...). Ustalmy, że po geo-grafii, można byłoby pójść o wiele dalej i głębiej w kierunku geo-logii, nigdy nie zapominając o geo-metrii (rzutowej), zanim dojdziemy do geo-poetyki. W rzeczywistości dzieła zebrane będą dobrą okazją do uwidocznienia linii odpowiedników (*konkordancji*), które sam zresztą straciłem z pola widzenia. Przez odpowiedniki rozumieć sposób, w jaki element danej książki odpowiada innemu elementowi drugiej książki, tworząc w ten sposób koherencję, która nigdy by nie powstała w procesie linearnym. Wszystkie moje książki są ukształtowane „archipelagowo”.

R.P.: *Jaką rolę odgrywa geologia w twojej twórczości?*

K.W.: Bardzo wcześnie zainteresowałem się geologią. W Fairlie, na zachodnim wybrzeżu Szkocji, na wprost miałem wyspę Arran, na której Szkot James Hutton zwany „ojcem geologii” zarejestrował swoje pierwsze intuicje dotyczące „niezgodności” skał. Wiadomo, że szkockie skały należą do jednych z najbardziej starodawnych. (...). Swoje badania kontynuowałem w Pirenejach, gdzie spędziłem trzynaście lat. W końcu zacząłem czuć się u siebie w warstwach najbardziej pierwotnych, nawastrzeniach hercyńskich, nabytkach magmowych, złożach morenowych. Pojmuję słowo „u siebie” w głębokim sensie. Chętnie bym rozwinął się o czymś w rodzaju geologizacji bytu, o czymś co oddziałuje z większej dali niż psychologia, odważę się powiedzieć, aż do kości. Tak jak lubię wynosić poznanie na szczyty abstrakcji, tak samo lubię przesuwając odczuwanie (bytu) aż do ziemi, do kamienia – muszę w tym miejscu zaznaczyć, że nie mówię o mitologii tellurycznej, jeszcze mniej o zakorzenieniu. Malarz chiński Fan K’uan całymi dniami wędrował po górach, aby poznać „kości ziemi” i przenieść je do swojego malarstwa. Podobnie i ja wędrowałem po Pirenejach, po dolinie Ossau, wokół Magnabaigt, płaskowyżu



Urculu lub Okabe w towarzystwie myszolewów, sokołów, krogulców, orłosępów... W sumie chodzi, poza jak największym nasyceniem się i inspirowaniem, o orogenezę (pochodzenie i spiętrzanie się gór i skał) oraz tektonikę, ale zawsze z tą jakby pozostającą z tyłu głowy myślą o „tektonice tekstów”, o orogenezie poetyckiej. Orogeneza jako kreatorką kontynentu par excellence, dzieło (*opus*) stawiające sobie za zadanie stworzenie „świata”, mogłaby działać w sposób analogiczny. „Styl tektoniczny” podążałby za topologią gór, wierzchołkami ducha. (...)

R.P.: *Powiedziałeś, że nie stworzyłeś systemu. A co z geopoetyką?*

K.W.: Geopoetyka nie jest systemem, ale polem. W tym znaczeniu, w jakim ten termin stosowany jest na przykład w fizyce albo u Kurta Lewina w „Principes de psychologie topologique”, czy przez Maurice Merleau-Ponty’ego w „Phénoménologie”. Są to ujęcia, które w moich oczach nie są obce pojęciu „przestrzennej funkcji rozumu” (*spatialité de l’esprit*), która znajduje w filozofii mojego szkockiego kompatrioty i frankofila Davida Hume’a. Nie raz o tym mówiłem, pokuszę się o jeszcze jedną próbę. Wszystko u mnie zaczęło się od doświadczenia separacji, oderwania, odcisnięcia jak w tym wersie Wergiliusza w Eneidzie: „Hic locus est partibus ubi via findit in ambas” (*To miejsce jest punktem, w którym droga się rozchodzi*) oraz z drugiej strony od pytania Seneki z „Medei”: *Quis hic locus quae mundi plaga? (Co to jest za miejsce, ta kraina świata?)*. Geografia kultury, geografia umysłu... To znaczy eksploracja i opis stosownie do trzech perspektyw: przegląd miejsc, w których umysł najbardziej się rozwija; sposób, w jaki umysł zapisał się w przestrzeni; natura świata, jaka może wynikać z tych zapisów.

R.P.: *Czyli wychodząc od geografii dochodzi się poza geografie, a mianowicie do tworzenia świata, to słowo także często pojawia się u ciebie.*

K.W.: To prawda. (...). Celem geopoetyki jest „uprawiać świat” (*faire monde*), a bardziej abstrakcyjnie mówiąc geopoetyka jest przejawem umysłu światologicznego (*intelligence mondifiante*, *światologia to neologizm wprowadzony przez poetę i tłumacza Kazimierza Brakonieckiego*). Oto pierwsza definicja co to jest „świat”, jaką podałem w „Le Plateau de l’Albatros”: Świat wyłania się w wyniku spotkania między ludzkim umysłem a ziemią. *Kiedy to spotkanie jest rozumne, wrażliwe, subtelne mamy do czynienia ze światem w głębokim znaczeniu tego słowa: przestrzeń pełna życia. Kiedy spotkanie jest prymitywne i brutalne, to ze świata (monde) pozostaje jedynie masa nieczystości (immonde)*. Artaud stawia pytanie (w „Pour en finir avec le jugement de Dieu”): *Skąd pochodzi ta ohyda nieczystości?* Z tego że świat jeszcze się nie ukonstytuował, lub że człowiek ma bardzo wąskie pojęcie o świecie i że chce go wiecznie mieć. Dlatego że pewnego pięknego dnia człowiek zatrzymał myślenie o świecie. Rozwijać koncepcję świata, oto idea geopoetyki. Żeby kontynuować tę pracę należy skończyć nie tylko z „sądzeniem Boga”, ale z tym wszystkim, co jest mityczne (wraz z idolami), z religią (wraz z obrazami włącznie) oraz metafizyką (wraz z ideałami). Ciężka praca. Sprezycujmy to: geopoetyka, to metoda naukowo-filozoficzno-poetyckiego kształtowania świata.

R.P.: *Co dokładnie znaczą te dwa terminy, które wprowadziłeś: „biały świat” oraz „otwarty świat”?*

K.W.: „Biały świat” to syntetyczna i pierwsza nazwa, która pojawiła się w moim umyśle. A to z wielu powodów:

a/ podstawa czysto fenomenologiczna – do mojego pierwszego krajobrazu na zachodnim wybrzeżu Szkocji należały: skrzydła białych ptaków w locie, piana na atlantyckich falach, plaże usiane kamieniami kwarcu, kora brzoź;

b/ znaczenie słowa w kulturze celtyckiej – biały świat to *gwenved, finn mag*, miejsce o największej koncentracji umysłu i bytu;

c/ analiza stosunku między kulturą celtycką a innymi kulturami przestrzeni okołobiegunowej (jak zaproponował Dumézil) – droga od Ameryki Północnej przez Syberię to „biała przestrzeń”;

d/ plan ontologiczny – w buddyzmie zen najwyższa tożsamość opisywana jest jako „biała czapla w świetle księżyca”;

e/ reasumując – przestrzeń zewnętrzna poza ustalonymi przyzwyczajeniami i kodami.

Pojęcie to przyciąga wiele umysłów. Ale kiedy uświadomiłem sobie, że jest ono często nieprawidłowo rozumiane jako „czyste, idealne miejsce”, przestałem go stosować, zatrzymując się dłużej na wędrówkach i na esejach. Z kolei mówiłem o „otwartym świecie” dlatego że:

a/ jest to zakończenie „otwartej drogi” zaproponowanej przez poetę W. Whitmana;

b/ odnosi się ono do pojęcia bardziej „otwartego” (*das Offene*), które znajduje się w poezji Hölderlina i Rilkego;

c/ odnosi się do „systemu otwartego” zaproponowanego przez niektórych biologów;

d/ jest to otwarcie na świata pozaludzki;

e/ to świat „niedokończony”, podlegający stałej ewolucji.

R.P.: *W ostatnich latach historycy „długiego trwania” w opozycji do historyków „historyzujących wydarzenie” mocno pochylili się nad problematyką kształtowania się „światów”. Myślę przede wszystkim o Braudelu i o jego studiach nad basenem Morza Śródziemnego. Jak ty sam sytuujesz się w stosunku to jego prac?*

K.W.: W mojej bibliotece atlantyckiej obok dzieł zebranych Recusa, Hakluyta, Nansena, Buffona, Humboldta mam i te Fernanda Braudela o Śródziemnomorzu. Odsuwając na bok olbrzymią masę informacji zebraną o tym wewnętrznym morzu, *mare rostrum*, zatrzymuję to, co mnie od początku i na końcu zawsze interesowało. Chodzi mianowicie o pytanie, jakie autor stawiał sobie co do sposobu prezentacji tego „płynnego tematu”. Tak pisze o Śródziemnomorzu: *Jego bohater jest złożony, silny, niestereotypowy. Wymyka się moim miarom i kategoriom*. Pomysł z „bohaterem” jest uderzający. Braudel rzeczywiście posługuje się terminami z dramatu czy powieści. Zaraz stanie się to bardziej jasne: *Oczywiście ideałem byłoby ustawienie sobie tego bohatera zgodnie z własnym życzeniem, jak czynią to powieściopisarze, lecz nieszczęśliwie lub szczęśliwie historyk nie posiada takich cudownych umiejętności jak pisarz*. Uważam, że koncept z „powieścią” jest mało odpowiedni. (...) Braudel kończy to zagadnienie w ten sposób, że wprowadza do historii geografii i to nie jedynie poprzez przywoływanie przeszłości i łączenie czasu (historycznego) z przestrzenią: geografia nie jest już więcej zwykłym tłem, lecz ważną częścią, a czasami najważniejszą. Analizowane czasy są prawie geo-logiczne, składają się z wielu warstw: *dzieje geograficzne, dzieje społeczne, dzieje indywidualne*. Braudel miał pomysł pisania „na wielu poziomach”. Taki Braudel bardzo mnie interesuje. Uważam, że można w tym kierunku pójść jeszcze dalej. I to próbowałem właśnie zrobić. Braudel w „Civilisation matérielle, économie et capitalisme” stwierdził, że aby narysować kompletną mapę jakiegos społeczeństwa należy wziąć pod uwagę cztery porządki: ekonomiczny, społeczny, polityczny i kulturowy. Następnie trzeba umiejscowić w przestrzeni ich strefy centralne, ich bieguny i linie sił. Te cztery porządki w efekcie są filarami każdego społeczeństwa. Jednak jeśli chcemy dotrzeć do korzeni danego społeczeństwa, jeśli chcemy wnikać do poziomu świata, do tych czterech porządków musimy dorzucić kolejny: porządek poetycki. W „normalnym” kontekście porządek poetycki (który nie jest uważany za „porządek”, ale mniej lub bardziej niepotrzebny dodatek) jest utożsamiany z „gracjami kulturalną”. W nienormalnym i rzadko pojawiającym się kontekście (jedynym zresztą, który mnie interesuje – *fundamentalistycznym*) porządek poetycki (a tym bardziej jego odmiana geopoetycka) jest w stanie zsyntetyzować całość i utrzymać ją na wysokim poziomie świadomości, nie popadając w coś tak płaskiego jak tożsamość, w co w końcu uczynił niestety Braudel.



R.P.: *Mówiliśmy o historykach. Pomówmy teraz o filozofach. Od pewnego czasu największą estymą cieszą się w filozofii Deleuze i Guattari. Jak jest twoje miejsce w ich otoczeniu? Wiem, że napisałeś esej, bardzo gęstą, choć niewielką książeczkę zatyt. „Dialogue avec Deleuze”. Czytając ją, miałem wrażenie, że o wiele więcej mógłbyś nam powiedzieć.*

K.W.: Esej „Dialogue avec Deleuze” miał cel specyficzny: odpowiedzieć na zawołaną krytykę (to nie był atak bezpośredni) przeciwko mnie autorstwa Deleuze’a i Guattariego w „Mille Plateaux”, a która wymierzona była w stronę bezapelacyjnej pochwały, jaką wygłosił Deleuze jako członek jury podczas obrony mojej tezy (doktorskiej). Ta jego wolta wydała mi się nieco dziwna. Czuję potrzebę wyjaśnienia sprawy. (...) Muszę od razu powiedzieć, że „Le Plateau de l’Albatros” („Płaskowyż Albatrosa”, tytuł wybrałem o wiele wcześniej zanim zapoznawałem się z „Mille Plateaux”, Tysiąc płaskowyżów) nie jest 1001 płaskowyżem deleuzoguatterieńskim. To płaskowyż innego typu. Jeśli chodzi o moje związki z dziełami Deleuze’a i Guattariego, to w niedawno opublikowanej książce (uniwersytet w Chicago, 1998) ujrzałem siebie jako „nomadologa”, zwolennika nomadologii Deleuze’a i Guattariego. Zresztą (ludzie czytają coraz szybciej i coraz gorzej) to nic poważnego. Jeśli zachodzą pewne podobieństwa (pola energii zamiast miejsca tożsamości na przykład), to nie ma zgodności: różnice są istotne. Deleuze i Guattari je wyczuli. Stąd ich decyzja – po części z obrony własnego terytorium, po części dlatego, że postanowili dostrzec w moich założeniach zarysy „niebezpieczeństwa” – aby przedstawić moje dokonania w „Mille Plateaux” w niekorzystny raczej dla mnie sposób. Spójrzmy na to inaczej. System Deleuze-Guattari wywodzi się ze spotkania superbergsonowskiego metafizyka Gilles Deleuze’a z ultramarksistowskim praktykującym psychoanalitykiem Félixem Guattarim. Razem postanowili skonstruować maszynę wojenną przeciwko kapitalistycznemu państwu i wyleczyć uniwersalną schizofrenię człowieka. W wyniku czego powstała wielka konceptualna gra wzmocniona tonem profetyczno-mesjańskim. W epoce oświecenia Diderot stworzył encyklopedię. W erze nuklearnej Deleuze i Guattari wymyślili cyklotron, w którym umieścili wszelkie gatunki materiałów pochodzących z różnorodnych dziedzin naukowych (etnografia, elektronika, lingwistyka, filozofia, psychologia itd.), zwiększając wewnętrzny ruch do maksymalnej prędkości w celu osiągnięcia wybuchowego stanu. (...) Deleuze i Guattari nie mają żadnej pretensji do stworzenia generalnej wiedzy. Powodowani bezpodstawną nadzieją postanowili zgromadzić przynajmniej narzędzia do mniej znanej wiedzy, której funkcją nie jest budowanie, ale niszczenie. Aby tego dokonać odnieśli się do każdej gałęzi nauki i sięgnęli po dokumenty różnych proveniencji. Można krytykować ten czy tamten ich punkt widzenia, jeśli chodzi o nauki biologiczne, etnologiczne, psychologiczne, lingwistyczne, orientalistykę... Podać przykłady? Ich teoria kodowania: nadkodowanie w okresie imperialnym, totalne dekodowanie w społeczeństwie kapitalistycznym, to są uproszczenia. Albo ich opis nomadów stepowych, brak głębokiej znajomości filozofii azjatyckiej... Są natomiast nieufne przesady, upraszczający redukcjonizm. Ich traktowanie nieświadomości jako mechanicznej sieci, ich tradycja materializmu dialektycznego i dialektyka w materializmie libidinalnym zdolna do wyzwolenia ciała politycznego... Można także powiedzieć, że słynne odwołanie się do kłacza (*rhizome*) jest już przestarzałe. Nauka rozwija się szybko (...).

W „Qu’est-ce que la philosophie” Deleuze omawiając postacie Hölderlina, Rimbauda, Kleista, Pessoa, Artauda, określił ich jako *w połowie filozofów, ale również jako coś o wiele więcej niż filozofowie*. Deleuze potrafi wypowiadać takie sądy, co nie jest częste u filozofów. To, co ja cenię u Deleuze’a i Guattariego to fakt, że interesują się oni migrantami, obcymi, wędrowcami, a przede wszystkim *ważnymi wędrowcami*. Nie chodzi o „typy psycho-społeczne”, które zapełniają wielkie powieści i które tworzą dużą historię, Nie chodzi o „poetów” w banalnym znaczeniu tego słowa, ale o ten ich rodzaj zwany przez nich *osobami konceptualnymi w trakcie stawania. Historię pisze się, ale pisze z punktu widzenia społeczeństw osiadłych, w imię aparatu niepodzielnego Państwa, mniej jest to możliwe w przypadku nomadów* (...).

R.P.: *A więc powróćmy do pojęcia twojego nomadyzmu intelektualnego.*

K.W.: Jeśli chodzi o nomadę intelektualnego, to jest to zjawisko historyczne zrywające z Historią. Wyłania się pod koniec XIX stulecia. Umiejscawia się jednocześnie poza obszarem społeczeństwa mieszczańskiego, proletariatu i inteligencji. Jego obszar jest gdzie indziej, pozostaje niezdefiniowany. Stopniowo się konstytuuje (czasami gwałtownie) jako ruch pojawiający się na całym świecie i we wszystkich kulturach świata. Wielokrotnie przedstawiałem typologię takiego intelektualisty. Od początku zainteresowałem się rozróżnieniem między „intelektualistami górskimi” a „intelektualistami rynkowymi”, które znaleźć można w kulturze chińskiej. Oczywiście bywają także interferencje pomiędzy nimi, przynajmniej w tym sensie, że można znaleźć „górną na rynku”. To jest przykład Zaratustry Nietzschego, który uprawiał grę strategiczną i krytyczną (określamy ją jako „przychodzę i odchodzę”) pomiędzy samotnością a społeczeństwem. To również był i mój przypadek, jeśli mogę się tak porównać, kiedy stałem się w ruchu między Pirenejami, gdzie mieszkałem a Paryżem, gdzie uczyłem. Następnie zająłem się typologią bardziej szczegółową: intelektualistów idealistów, intelektualistów zaangażowanych, intelektualistów uniwersyteccy, intelektualistów medialni, a więc w języku socjologicznym – przedstawiciele inteligencji. (...) W „L’Esprit nomade” oraz niewielkiej książce (jakby aneksie) „Déambulations dans l’espace nomade” zarysowuję kompletną i szczegółową kartografię nomadyzmu, z której teraz wybieram takie małe ABC:

a/ nomada intelektualny w moim pojęciu zmienia się w przestrzeni, które nie jest poddana doktrynerskiemu redukcjonizmowi, wąskiemu formalizmowi ani rozpętanemu witalizmowi; odkrywa on przestrzeń teoretyczną, która nie należy ani do nauki, ani do filozofii, ani ideologii, lecz do geopoetyki;

b/ metoda polega na uprawianiu eseju-przewoźnika myślenia na sposób żywy i szybki; oprócz eseju wymienię taki rodzaj narracji, który nie jest powieścią ani relacją z podróży, lecz czymś co określam mianem *waybook* (książka-droga, księga drogi), czytać ją można na różnych poziomach. Poza esejami, narracjami jest i poetyka: poetyka *atlantycka* – chaotycyzm, fraktalizm, topologia, fenomenologia;

c/ organizm myślący, refleksyjny, jakim jest nomada, nie jest zaangażowany w nieustanną ucieczkę do przodu; w nomadyzmie intelektualnym jest dialog, dialektyka między wędrownym a osiadłym trybem życia (w języku Guattari-Deleuze to deterytorializacja i reterytorializacja); z jednej strony mamy moje księgi-drogi, takie jak *La Route bleue*, *Les Cygnes sauvages*, *le Rôdeur des confins*, a drugiej księgi-miejsca, jak *Les Lettres de Gourgonnel* czy *La Maison des marées*. Obrazowo można powiedzieć, że nomada intelektualny opuszcza autostradę Historii, którą do głębi poznał w celu odkrycia własnych dróg, szlaków, ścieżek. Maszyna nomadologiczna typu Guattari-Deleuze pozostaje na tej autostradzie...

R.P.: *Kiedy w Lyonie przysłuchiwałem się twojemu wystąpieniu na konferencji „Les fleuves de l’esprit”, zorientowałem się, że sposób w jaki opisywałeś Rodan, zarazem szybki i kompleksowy, jest dobrym i całościowym opisem twojej twórczości.*

K.W.: Lubię obraz rzeki: jej koryto, jej bieg, jej ujście. Żadna inna rzeka nie ma tak różnorodnego biegu jak Rodan. Wyłobliła sobie koryto górami i nizinami, jest otwarta zarazem na wpływy kontynentu jak i Atlantyku oraz Morza Śródziemnego. Rilke, jeden z niewielu poetów, do którego wierszy stałe

Kazimierz Brakoniecki

Do kosmopoety Kennetha White’a

Ken i Kazik w jednym mieszkali wierszu. Jeden na górze w Glasgow, a potem we francuskiej Bretanii. Drugi na wschodnim dole w Olsztynie. Tamten jeździł po wolnym świecie, wędrował, zwiedzał, wykładał. A ten paszportu nie miał ani pieniędzy, o wolności jedynie marzył. Co ich złączyło? Ponad wiatrem Rimbaud, Whitman, Heidegger, Nietzsche. Co ich różniło? Historia, języki, cywilizacje, pejzaże, wspomnienia. Ken starszy, guru szamański w samotni z granitu i elektroniki w pobliżu TGV, lotnisk, Paryża, Sorbony, światowy nomada intelektualny, celtycki geopoeta, piewca przymierza celtyckiej kultury z panteistyczną ziemią. Kazik młodszy, peryferyjny, z Atlantydy Północy i metafizyki miejsca. Jeden i drugi mistyczni ateści. Ken w umyśle tylko miękkie filozofie. W mózgu Kazika tylko energia w słowie. Ken spokojny, duchowy, wędrowiec ołśnienia i konkretny. Kazik swawolny w poetyckim cierpieniu. Jeden drugiemu spojrzeli w oczy kamienia, chmury, wody i żurawia. Odbili się na kliszy przypadku metafizyki doświadczalnej. Ken poszedł mgławicowymi na Labradorze śladami Jana z Kolna. Kazik Dunsza Szkota pobyty odnajdywał na warmińskim szronie. Ken dotarł do Warszawy, ujrzał tablice ofiar hitlerowskiego terroru, zdziwił się, że warszawiacy mogą żyć spokojnie na takim cmentarzu. Kazik nielotnie wchodził do gospodarstwa nadmorskiego geopoety. Przerobiona gustownie bretońska zagroda pijanego niegdyś chłopca. Czy można poetycko zamieszkiwać ziemię, będąc takim nababem? Ken i Kazik w jednym poruszali się wierszu, nic o sobie nie wiedząc. Ken nie wadził nikomu. Jeździł, zwiedzał, pisał i wracał do siebie. Kazik gonił polskie koszmary, polował na epifanie-świadectwa-miejsca. Ale jednak się poznali. Bo jedno źródło kopali w wierszu. Ten na górze, oceanicznej chmurze, ten na dole na wschodnim kontynencie wiatru. I rozeszli się do swoich zajęć. Do lepszego rozkładu. Jak ulewy, śnieżyce i inne nadziemskie zjawiska geopoetyckie.

zagałdam, pisał o tym w jednym ze swoich listów w 1921 roku: *To w ten sposób duch wielkiej rzeki (a Rodan jest jedną z tych najbardziej przeze mnie podziwianych rzek) niesie poprzez ziemie dary i pokrewieństwa*. To, co daje rzeka, jeśli nie redukuje się jej oczywiście do przemysłowego kanału, to jest to wrażenie mocy i manifestacji ruchu, ruchu całkowitego, wcale nie „wolnego” jak w łatwej poezji, bardziej interesującego niż „wolnego”, wymierzającego drogę topograficzną, topologiczną. Fenomen rzeki przedstawia sobą obraz samego życia: dyskretne i sekretne źródło w górach, długie, zmienne i wrażliwe podążanie, otwarcie w estuarium, wejście w ocean. To pokrewieństwo z pracą umysłu. Rilke opisał samego siebie jako *uczestniczącego w nurcie, który mnie porywa*.

R.P.: *Myślę, że zatoczyliście koło po horyzoncie twojej twórczości i dziełach zebranych, które z niej wynikają. Czas na konkluzję?*

K.W.: Docierając do ujścia naszego wywiadu-rzeki, chciałbym opisać stan mego ducha, który mi towarzyszył podczas pracy, którą starałem się wykonać. Kiedy byłem licealistą, dwa wiersze, tworzące parę, szczególnie na mnie wpłynęły, oba Johna Milтона: jeden „Il Penseroso” o melancholii, drugi „L’Allegro” o komedii. Długo bardzo wahałem się między jednym a drugim. Z jednej strony jak w komedii Szekspira „Jak wam się podoba”: *moja melancholia jest swojego rodzaju, złożona z wielu pierwiastków (...), długie rozważanie (...) moich podróży pogrążyło mnie w najzabawniejszym smutku* (wypowiedź Jakuba, tłumaczenie Leona Ulricha); a drugiej – komizm posunięty aż do groteski. (...) W naszych czasach wszystko się degraduje i trywializuje, cóż bardziej absurdalnego niż upierać się przy metodzie pracy, o której wspomniałem w celu stworzenia „kompletnej edycji dzieł”? Delikatnie mówiąc, jest się czym martwić. Ale skoro faktycznie nigdy nie pracowałem powodowany nadzieją lub beznadzieją, to logicznie jest, że i teraz nie będę rozpaczać z tego powodu. Pracuję podobnie jak rośnię drzewo, jak ocean opływa ziemię. Nigdy nie zapomniałem tego opisu autorstwa Daniela Ropsa końca średniowiecza, strasznej, nie-szczęsnej epoki, kiedy księgi wały się poniszczony na strzępy w bibliotekach, a mnisi tworzyli *wielkie dzieła dla nikogo, dla niczego*. A więc, aby zakończyć powiedzmy sobie jak zwykłe z budzącym się w gardle śmiechem wiedzy radosnej, że jeśli Dante napisał *Boską komedię*, Balzac *Komedie Ludzką*, to niejaki Kenneth White jest autorem *Komedii nadnihilistycznej, nomadycznej i geopoetyckiej*.

Przekład z j. francuskiego
za zgodą Autorów
Kazimierz Brakoniecki.

Tytuł rozmowy pochodzi od redakcji „Migotań”.



Fot. Kaja Świętochowska

Monika Tomassi

Przejście podziemne

Tego dnia wysiadłam jeden przystanek wcześniej. Mechaniczny głos tramwajowego informatora zapowiedział: Centrum. Chciałam przejść pieszo przez plac Defilad, wolnym krokiem minąć Pałac Kultury i Nauki, aby zakończyć przechadzkę na ulicy Emilii Plater. Dzień był ciepły, wiosenno-letni, lekki, na styku pór, prowadził ku wyobrażeniu błogiego, otępiającego gorącym latem, wprost na koniec czerwca jak prosta aleja wiodąca wzdłuż lichego rzędu podpałacowych drzew. Ominęłam szerszym łukiem ławkę, na której zatrzymali się kloszardzi; dawno już zgubili kierunek swojej wędrówki i krążyli wokół ulic i skwerów Śródmieścia, poszukując odpowiedzi na utracone pytania. Nie mogą sobie przypomnieć, co ich tu sprowadziło, skąd przybyli, wiedzą tylko, że muszą szukać dalej. Dlatego często siedzą na skwerach razem z gołębiami i jak one przekrzywiają na bok głowy, zastanawiając się nad przedziwną koleją rzeczy. Wystarczy, by jeden element pamięciowej układanki zawieruszył się i mogą już nigdy nie wrócić do domu lub odnaleźć drogi, którą z niego uciekali.

Ja wiedziałam, dokąd idę, ale nie byłam pewna, czy chcę tam dotrzeć. Mój tymczasowo stworzony dom do celów gromadzenia doświadczenia i poszukiwania pracy w stolicy miał spełniać podstawowe zadania: spanie, jedzenie, codzienne higieniczne czynności. Wszystko po to, by móc kolejnego dnia w odpowiedniej formie zaprezentować się w pracy i zbudować dzięki niej drogę do przyszłości w innym, lepszym, wielofunkcyjnym domu i z lepszą, bo lubianą, dostosowaną do zainteresowań i umiejętności pracą.

Obecne lokum nie spełniało nawet funkcji tak zwanego minimum. Brak łóżka został zastąpiony materacem położonym bezpośrednio na podłodze. Brak pralki, lodówki i sprawnej kuchenki był już większą przeszkodą na drodze do spełnienia wspomnianych potrzeb higienicznych i kulinarnych, a kraty w oknach nie zezwalały nawet w jednej dziesiątej na tęsknotę za innym mieszkaniem, za innym życiem. To były moje demotywatory, unieszkodliwiały każdego dnia kielkującą motywację do zmiany. Codziennie, wracając z pracy, przechodziłam podziemnym tunelem prowadzącym ku mieszkalnej stronie ulicy, na której w zabytkowych zaniedbanych kamienicach wytchnienie od gwaru centrum i wirujących chmur kurzu znajdowali nie tylko ich mieszkańcy, ale

i potajemni sublokatorzy, wkradający się w zakamarki budynków niezależnie od pory dnia i nocy. Wchodząc do domu lub otwierając rano wejściowe drzwi, często mogłam spodziewać się, że na klatce schodowej, na wycieracze lub na schodach prowadzących na półpiętro, będzie leżał nieproszony gość – potocznie zwany menelem lub dziwką. Chociaż ten drugi rodzaj gości zazwyczaj wpadał na krótko, z taką wizytą biznesową lub fizjologiczną. Oddawanie moczu w spokojnym, ciepłym miejscu, było szczególnie doceniane w zimowe dni.

Nie lubiłam tam wracać przede wszystkim dlatego, że wchodziłam do pustej przestrzeni, bardziej jeszcze osamotnionej, bo spodziewającej się współlokatora, który zawsze przychodził późno w nocy, kiedy już spałam, a gdy wychodziłam o poranku, jeszcze spał. Widywaliśmy się głównie w weekendy, ale ostatnio już coraz rzadziej, więc bywały tygodnie, gdy ze sobą nie zamienialiśmy ani słowa. Czasem zastanawiałam się, czy on naprawdę istnieje, czy czasem nie wymyśliłam go sobie. Mogłam sama siebie okłamywać, że nadal jesteśmy razem po naszych licznych rozstaniach i tak bardzo chciałam, żeby tym razem wszystko się dobrze skończyło, że wynajęłam pokój obok jego miejsca pracy, oczekując, że pewnego dnia zapuka do moich drzwi. Łudziłam się tak mocno, że postanowiłam znosić wszystkie niedogodności: śmierdzieli, prostytutki, alfonsów, smród, bród, brak pralki, lodówki i sprawnej kuchenki, zapychający się kibel i odpływ prysznicowy, kraty w oknach i pukające przez szybę gołębie. Ale niestety, to nie była szara strefa mojej świadomości, to było moje życie - z nim i bez niego, w zawieszaniu, bez wizji przyszłości i bez pamięci o przeszłości. Poczekalnia.

Przestrzeń poczekalni zawsze kojarzyła mi się z długim korytarzem. Rząd plastikowych małych niewygodnych krzeseł lub jeszcze gorzej - ich brak, ściany emaliowe lub pokryte kaflami, mętne światło jarzeniówek, które tłumi reakcje na bodźce, niepokoi, wprawia w stan otępienia i przygnębienia. Droga przez taki korytarz bywa męczarnią, dłuży się w nieskończoność, uprzykrza nieprzyjemnym zapachem stęchlizny lub duchoty, trwa, trwa, trwa. Siedzenie w poczekalni jest jak walka świadomości ze zmęczeniem, wiesz, że sen jest blisko, ale musisz zmagać się, by nie stracić panowania nad sytuacją, by nikt nie przejął twojej kolejki lub nie wmówił ci, że stał przed tobą. Taki stan napięcia i oczekiwania

towarzyszył mi za każdym razem, gdy przechodziłam przejściem podziemnym w centrum Warszawy, od strony dworca Śródmieście ku ulicy Emilii Plater.

Mieszkałam tam już od roku, ale nadal nie nudził mnie widok środka stolicy, z kilkoma wieżowcami postawionymi jakby dla potwierdzenia, że architekci warszawscy mają duże możliwości i teoretycznie podobnych budynków mogłoby być więcej, mogłyby również być wyższe lub zaprojektowane według najnowocześniejszych technologii, ale nie ma takiej potrzeby, nie o to chodzi przecież, żeby się wywyższać w skali drapaczy chmur. Oczywiście, twórcy owych żelazno-betonowych budowli zaświadczyli pod postacią prężnych reprezentantów swoich umiejętności, wyraźnie widocznych na tle niższości pozostałej części miasta, że są zdolni do takiego przedsięwzięcia. Jego realizacja nie jest konieczna.

Lubię centrum Warszawy, właśnie za jego potencjał i niespełnianie go zarazem. Mam skłonność do melancholijnych upodobań. Wielokrotnie przykładałam struktury moich depresyjnych stanów do rzeczywistych wydarzeń i układałam ich bieg, przewidywałam ich ciąg dalszy, interpretowałam je zgodnie z odbiciem na kalce mojego nadmiernego zamyslenia. To pewnie tylko jedno ze szkielek, przez które bezwiednie patrzę na świat, ale z tym zdołałam się już oswoić, zapoznać i zaakceptować jego obecność. Wieczna tęsknota za nieutraconym, strach przed niepoznaniem i przed niepoznaniem zarazem.

Szłam przejściem podziemnym, przysuwając apaszkę do twarzy, by czuć jej zapach, a nie przechodzącego obok bezdomnego. Przymrużyłam oczy, jakbym nie chciała widzieć, gdzie jestem, krok za krokiem, zdawało mi się, że nie dam rady przejść na drugą stronę. W ostatniej chwili, gdy byłam już blisko schodów prowadzących na górę - zdecydowałam, że skrucę jednak w lewo, w kierunku Marszałkowskiej, nie rozważałam skąd pojawił się ten pomysł, czy wręcz przymus. Zrobiłam to niemal odruchowo, postawiłam stopę na pierwszym stopniu i poczułam nagły chłód; przeciągi w podziemiach zawsze mnie męczyły. Dlatego nawet w ciepły dzień miałam chustkę na szyi, by zakryć nią oskrzeła - nader wrażliwe na przeziębienia. Powiew był coraz wyraźniejszy, wywoływał dreszcz, ale szłam dalej oślepią chwilowo nagłym błyskiem światła odbitego w szybie witryny



Ryc. Jacek Krenz



reklamowej. Promień na mojej twarzy przywołał pragnienie ciepła słonecznego, podbiegłam więc szybciej ku górze, by się rozgrzać i być na czas...

Zaraz, zaraz, gdzie powinnam być na czas? Aleje Jerozolimskie przyszarzały, ale nie za sprawą popołudniowego cienia, który opadał zgodnie z porą dnia na tę stronę ulicy. Była wczesna jesień, drzewa ustawione na baczność pod Pałacem Kultury i Nauki spomarańczowały, wrony rozsiadły się gęsto na skwerze rozprawiając głośno, zapewne o anomaliami pogodowych. Październikowy poranek rozbudzał rześkim powietrzem. Kłozardzi nadal anektowali ławki na skwerze. Spojrzałam w górę, a przede mną, nad skrzyżowaniem Alei Jerozolimskich z ulicą Marszałkowską kłębiło się stado ptaków. Lataly wkoło, tworząc gęsto plecionią skrzydłami krąg, otwarzający ruch mechanicznych pojazdów na rondzie poniżej. Ironicznie naśladowały naziemną okrągłą konstrukcję komunikacyjną, odgrywając ją w sferze powietrznej. Do uczestników ptasiego zamkniętego w formie korowodu podlatywali coraz to nowi jego uczestnicy, zachęcani rytmicznym ruchem karuzeli. Zachwycona zbiorową rekonstrukcją wicia gniazda, które nigdy nie powstanie, stałam i patrzyłam dalej, bez ruchu. To jest przecież tylko odtwarzanie, rytuał, powietrzny szablon przyziemnego schematu. A może jednak to magnetyczna siła wytworzona napędem miejskich maszyn przyciągnęła siły natury, które wskazują na gromadzącą się w tym miejscu energię?

Przechodząc potrafił przypadkiem moje ramię i w pośpiechu rzucić zza pleców „przepraszam”. Wiedziałam już z całą pewnością, gdzie jestem i co następnie powinnam zrobić – byłam spóźniona o dziesięć minut do pracy, przesłałam kilka kroków do przodu i wywiczonym gestem otworzyłam bramę, wjechałam windą na drugie piętro, przywitałam się z pozostałymi pracownikami i usiadłam przy biurku. Tego dnia bolała mnie trochę głowa, czułam się niepewnie, rozglądałam się i szukałam zgubionego tropu, odnajdując tylko czekające na mnie obowiązki, sprowadzające całą sytuację do poziomu banału.

Wszedłam do domu po czterdziestu ośmiu godzinach nieobecności. Miałam wrażenie, że rozliczam go, jak z wagarów w szkole. Współlokator nr 2 – nieobecny. Zapytałam o powody, miejsca i spotkanych ludzi, nie dostałam w odpowiedzi nic poza szyderczym spojrzeniem i zdawkowymi żartami cedzonymi przez skacowane zęby. Jego pragnienie oderwania się od siebie i myśli o kolejnym dniu było silniejsze niż potrzeba nawiązania ze mną porozumienia. Moje komentarze brzmiały natrętnie, a pragnienie bliskości stało się odpychające. Nagle poczułam silny duszący ból gardła – to jego ręka wyciskała ze mnie opanowanie i brak reakcji. Mówiła: „nie próbuj nigdy więcej zadawać mi tych pytań i wyobrażać sobie, co stanie się dalej. Sam nie panuję nad sytuacją, nie panuję nad swoim życiem i nigdy, niezależnie co się w nim wydarzy, nie poczuje ulgi, nie znajdę się na swoim miejscu i nie powiem, że możesz mi zaufać, bo sam sobie nie ufam. Zaakceptuj to. Żyjemy w poczekalni, za którą nic nas nie czeka”. Nie mogłam wydusić z siebie ani słowa, choć kłębiły się gęsto pod cienką skorupą czaszki. Pomięte struny głosowe jęczały lekko w towarzystwie obolałej grdyki. Marzyłam, by znaleźć się gdzieś indziej, gdziekolwiek i już nigdy nie pamiętać tych wspólnych lat życia w ciemnym oświetlanym jarzeniówkami tunelu, bez powietrza, bez nieba, bez perspektywy. Poczułam, że budzę się z długiego snu, który sprawia, że jestem jeszcze bardziej zmęczona niż w chwili, gdy kładłam się spać.

Otworzyłam oczy, spojrzałam na wyprasowane ubrania, czekające na swój kolejny dzień w pracy. Przez baweliną zaslonę prześwitywały pierwsze promienie słoneczne. Było cicho, dopiero po pięciu minutach zadzwonił budzik,

potwierdzając moje przypuszczenia, że muszę wstać. Umyłam się, zrobiłam kanapki, ubrałam, ponownie przeglądając się w dużym lustrze przyjemnej łazienki z wanną i niezatkanym odpływem. Wychodząc wyrzuciłam śmieci i poszłam w stronę przystanku autobusowego: Warszawa Wschodnia. Jechałam około dziesięciu minut siedząc przy oknie, obserwując przypominający ufo stadion narodowy i zastanawiając się, co było tylko snem.

Nigdy nie lubiłam rozmawiać o wieku, wtedy zawsze okoliczność racjonalnego liczenia od jednego do dwudziestu ośmiu nakazywała mi umiejscowić w latach przynależne im wydarzenia. Dopóki nie musiałam niczego oficjalnie nazywać, mogłam uspokajać samą siebie, że nie wszystko wydarzyło się naprawdę i nie muszę się od tego odnosić, pamiętać, ani przeżywać od nowa historii, która pozostawia zawsze jakieś niedomówienia i poddawana jest ciągłej nadinterpretacji. Pragnęłam czasem wrócić do podziemia, schować się w nim jak w szafie i udawać, że reszta świata nie istnieje, nie musiałabym wtedy akceptować swojej przeszłości, ale nie miałabym też sił na stwarzanie przyszłości. Niczego bym nie chciała, nie czuła, podziemie zamieniłoby się w pustkę. W jedną wielką nieobecność i bezsensowność rzeczy. Światło jarzeniówki musiałoby zastąpić mi światło słoneczne, a zaduch – podmuch świeżego powietrza. Po sześciu miesiącach ukrywania się, postanowiłam jednak wstać z łóżka.

Nie było to łatwe, bo grawitacja w tym czasie ciążyła mi bardziej niż pozwalała na zwyczajowe ziemskie życie. Zaczęłam wtedy zauważać, że przyciąganie nie na wszystkich ludzi oddziałuje z taką samą siłą. Niektórzy poddają się z nadmierną łatwością jego wektorom i ich ciała opadają bezwładnie na chodniki. Leżą tam, na kartonach, foliach lub na gołej ziemi, dopóki nie odzyskają sił. Prawdopodobnie niektórzy nigdy już nie wstaną. Czasem ratuje ich straż miejska lub poirytowany właściciel tego kawałka asfaltu, przeganiając w inne miejsce. Zmuszają ich do wykonania nieludzkiego wysiłku, bo jakże jeden człowiek może wygrać z potężną siłą grawitacji utrzymującą ludzkość na ziemskiej skorupie od tysiącleci? Jednostka w walce ze wszechświatem? Może brzmi to patetycznie, ale cokolwiek odbiera im siły: ubóstwo, alkohol, zimno, czy wszystko naraz – jednego nie mają na pewno – woli życia. Poddawanie istnienia w wątpliwość powoduje niemal natychmiastowe zaburzenia w relacji z grawitacją. Ciało staje się cięższe, ruchy spowalniają, myśli grzęzną w zwojach nerwowych. Dlatego czasem ludzie siadają na ławkach, kryją się pod wiatami przystanków tramwajowych, bo wiedzą, że prędko nie wstaną. Bezwładny tułów zatrzymuje się na udach, a odrętwiała twarz zwisa w dół, rozpatrując wnikliwie detale płytek chodnikowych. W całym mieście krążą również zgarbione postaci zwiastujące kolejne stadia nadmiernego przyciągania. Sylwetki przykurczone ze starości lub przytłoczone prawami egzystencji, niektóre garbią się ze względu na pracę, czyli szukanie środków do przetrwania w publicznych koszach na śmieci. Nie wiem, czy w opozycji do tego sformułowania, kosz na śmieci można nazwać niepublicznym. Nawet zamknięty w czyimś domu, czy w ogrodzonym i zatrzęsniętym na kłódkę kontenerze własności firmy wydalającej ważne dokumenty, nadal jego zawartość zawsze trafi do publicznej śmieciarki na publiczne wysypisko, żeby nie powiedzieć, wysypisko ogólnoludzkie. Krążą nad nim ptaki zataczając kręgi, skrzeczą i piszczą głośniejsz niż w mieście, niezagłuszane warkotem maszyn. Zostawiają powietrzne ślady, na dowód zbrodni, na znak jedności wszystkich miejsc, nad którymi rysują skrzydlate koła. Niepokoją bardziej niż tajemnicze znaki w zbożu przypisywane przybyszom z innej planety. Budzą lęk, bo są częścią kosmicznego planu „grawitacja”, mniej od niej zależne wydają się z perspektywy lotu widzieć więcej.

Piątego dnia lipca ptasie stado popiskiwało również nad rondem Waszyngtona, może to było to samo stado znad okolic Rotundy, nie potrafiłam nawet określić gatunku ptaków i rozpoznać ewentualnych podobieństw. Ściemniało się, więc stadion zaczynał swoje cowieczne migotanie, ptaki dostały od tego fluorescencyjnych kolorów i konkurowały z sygnalizacją świetlną. Wysłałam z pracy kilka godzin po planowanym umową pisemnym czasie, czyli jak zazwyczaj, tuż po zachodzie słońca. Podążałam wolnym krokiem z Saskiej Kępy na rondo, gdzie wstąpiłam do sklepu monopolowego. Kupiłam dwa małe piwa: jedno o smaku żurawiny, drugie czekoladowe i skierowałam się w stronę rzeki. Kiedy dotarłam na plażę, panowało tam już wieczorne poruszenie, ale inne niż zazwyczaj. Wszyscy zwolennicy relaksu nad Wisłą najczęściej połączeni w mniejsze i większe grupy, zajęci swoim towarzystwem i podrygami w rytm muzyki dobiegającej z tymczasowego letniego klubu – dzisiaj patrzyli w skupieniu na drugą stronę rzeki. Wieczorna różowo-granatowa poświata wyróżniała kontury budynków Krakowskiego Przedmieścia oraz Centrum. W tłumie odnalazłam koleżankę, z którą umówiłam się na zwyczajową rozmowę. Otworzyłam oba piwa i podałam jedno koleżance nie zwracając uwagi na wybór smaku. Zanim zdążyłam zapytać, wskazała mi na zachodni brzeg i wytłumaczyła, że znad okolicy Śródmieścia unosi się coś w rodzaju dymu. Trwa to od piętnastu minut i ma nadzieję, że to nie pożar. Zrozumiałam, dlaczego wszyscy dookoła trzymają w dłoniach telefony komórkowe i kręcą filmy lub robią zdjęcia, wrzucają je na portale społecznościowe, dzwonią do znajomych i opowiadają z przejęciem o nietypowym zjawisku. Faktycznie, różowo-granatowa poświata nie osadzała się na chmurach, lecz na wydobywających się z poziomu ziemi oparach dymu, który rozdzielał się raz po raz na mniejsze kłęby. Słońce całkiem zniknęło za horyzontem, ale dzisiaj wyjątkowo nie pojawiły się podświetlenia mostu Poniatowskiego, zabytkowych budynków, czy okolic Nowego Świata. Miasto ogarnął spokojny półmrok. Dym rozproszył się, gwar ucichł. To nie trwało długo, po kilkunastu sekundach wokół Pałacu Kultury i Nauki pojawiły się snopy ostrego światła, na tle którego wyraźnie zaznaczył się jego charakterystyczny czubek. Nad horyzontem zamajaczyła mgła, która przykryła cały przeciwny brzeg i miałam wrażenie, że zbliża się po powierzchni wody do naszych stóp. Po chwili zawieszającego oddech niepokoju ktoś krzyknął, wskazując palcem na niebo. Pałac Kultury wystartował jak rakietka kosmiczna i leciał prosto ku stratosferze. Gdy zniknął z widoku, mieliśmy pewność, że swoją podróż zakończył w przestrzeni kosmicznej, a my następnego dnia z gazet dowiemy się o jego kolejnych przygodach w kosmosie. Być może jego czas w Warszawie już się skończył i musiał spełniać swoją misję gdzie indziej, albo wezwał go Pałac-ojciec w Rosji, który w tym samym czasie magnetycznym polem przyciągnął wszystkie swoje dzieci-pałacyki z postsocjalistycznych krajów, by mieć je od tej pory w pobliżu, w gotowości do nowych zadań.

Myślałam o przesiadujących pod Pałacem kłozardach. Czy uciekali, jak zapewne większość ludzi, próbując ukryć się przed podmuchem startującej maszyny, czy czekali w osłupieniu na koniec? Może oczekiwali go już od dawna, latami gromadząc się w centrum miasta i kryjąc w zimowe wieczory w kamienicach z niedomkniętymi drzwiami. Chcieli być blisko, by nie ominęła ich ta chwila konfrontacji z tajemniczym wydarzeniem, większym planem, nieznaną siłą, która kazała im trwać w zawieszaniu, zostawić swoje codzienne życie, porzucić pracę, opuścić rodziny, domy. Po prostu czekać, co się wydarzy. Coś musi przecież się wydarzyć, musi być jakiś plan...

Monika Tomassi

Zbyszek
Ikona-Kresowaty

POWRÓT Z CZYŚCICA?

Jeszcze nie tak dawno, można było zauważyć duże ożywienie dotyczące się nie tylko twórczości Władysława Broniewskiego, ale i Jego osobowości. Mówi się dalej co jakiś czas i pisze o Jego poezji, wspomina się czasem o jej semantyce, mówi się i wymienia teksty zaangażowane, wzmiankuje się o wierszach napisanych dla córki, nie tylko wśród pokolenia posolidarnościowego polskich intelektualistów. Udziela się to publikacjom, nawet i wznowieniom książkowym oraz pisaniu monografii i szkiców literackich o poecie. Tutaj można wspomnieć o książce Mariusza Urbanka wydanej kilka lat wstecz. A żeby było zadość, teksty Broniewskiego ma w swoim repertuarze Marcin Świetlicki, śpiewa kapela Pidżama, a Muniek Staszczak śpiewa teksty „Kalambury” Broniewskiego np. na wystawie pt. „Próba portretu”, i włącza je na stałe tak jak Świetlicki do swego repertuaru. Biorą się za Władysława Broniewskiego inni jeszcze, młodszy, twórcy zarażeni subkulturą, a co ciekawe gustuje w tym także młodzież akademicka i ta studiująca socjologię. Sasnal, malarz uznany, maluje „patriotyczne” portrety Broniewskiego, artyści performance też nie pomijają tej osobowości.

Zróbmy zatem szkic do portretu Broniewskiego, taką grubszą linią zakreślając wokół tej sylwetki to, co znów powraca i staje się dość ważne. Zadajmy też kilka pytań, również owym wykonawcom i adwersarzom. Co takiego fascynuje w tej osobowości i jak otwiera drogę powrotu poety z czyścica. Jakie wiadomości zza tzw. kuchni dostają zainteresowani młodzi ludzie, rozprawiający dziś jawnie o Władysławie Broniewskim? Zapewne inspiruje ich tematyka patriotyzmu i doświadczenie, co przekłada się chyba adekwatnie do obecnej sytuacji, w tym chaosu politycznego nie tylko w Polsce. Zapewne „na pierwszy ogień” idzie dewaluacja godności pośła i ludzi władzy, zagrożenie z zewnątrz idące przez Majdany z Ukrainy od Rosji, budzący się tam ruch nacjonalistyczny z Zelenowskim na czele skierowany ku Europie. Ale dlaczego Broniewski? Jego element postawy patriotycznej, opartej o niezłomność w tamtym czasie, oparta o niezależność dziś bardzo osobistą? A przecież rozprawia się dziś wszem i wobec dużo, aż za dużo o patriotyzmie, czego jednak, mówić trzeba, nigdy nie brakowało Broniewskiemu. Pytanie: ale jakiemu Broniewskiemu? A zatem czy młody Włodek poeta i piłsudczyk patriotą był? Czy tylko nim bywał? Czy bardziej pociąga dziś, po pięćdziesięciu latach, jego bardzo ciekawy i burzliwy życiorys tamtego „pięknego dwudziestoletniego”? Czy i jak się to ma do jego lewicowej przeszłości PRL-u? Oznacza to, że pojawiło się znów pokolenie najnowszej prywatności, prywatności „patriotycznej”? Młodzi zawsze przecież „gniewni” – nawet ci nuworysze po transformacji ustrojowej – otrzymali dobry oręż do egzystencji biznesowej i wolność wyjazdów w świat, dostali monopol na własność słowa – to przecież żelazne berło niezależności a i duże zaplecze do własnej kreacji. Wydaje się, że głównie zabierają głos ci co nie chcą żyć na śmietnikach PRL-u i Solidarności, ale przecież nie da się dziś pogrzebać tych śmietników ani pozostawić, nawet

w literaturze. Chciał nawet Czesław Miłosz pogrzebać poetów tzw. „wojennych” i spisać na straty, nawet Baczyńskiego zniwelować lub zdystansować nie dopuścić do literatury polskiej. Zaś inni zainteresowani patriotyzmem dziś nie chcą autorytetów, są przekorni? Biorą sobie do swojego postrzegania świata całkowicie nową wolność patriotyczną, karmie autorytetu międzywojnia – intelektualistę, jakby dla nich człowieka o niezłamanej osobowości, który ten przeszły czas spożytkował, jak umiał w sensie przetrwania, widząc w nim bohatera dosłownego, który trwał w ostatnim zaborze Polski i dał dowód na niezłomność w rosyjskich kazamatach. A praktykował ten pobyt nie bojąc się narażać swego życia i rodziny. Otóż ci młodzi wiedzą też swoje co jest na stałe zapisane tu i ówdzie tłustym drukiem: że Broniewskiego **nie złamały wojny ani stalinowskie więzienia, jedynie poniosły go słabości: wódka, kobiety, a głównie obiecany socjalizm z ludzką twarzą**, a przecież stało się inaczej. On człowiek Piłsudskiego, epoki szabelki i szarego munduru, jako intelektualista później dobrze wiedział czym zapachniał układ jałtański, wiedział o zdradzeniu Polski przez aliantów z Churchillem na czele, zmierzył jednak siły na zamiary i postanowił żyć tak jak się dało – trwać? Później przeczekać w takiej, a nie innej rzeczywistości mu danej, w tym nowym obiecanym „światłym” ładzie KRAJU RAD, gdzie Stalin z Polski chciał zrobić kolejną republikę i włączyć ją w poczet ZSRR. Władysław Broniewski kochał jednak ludzi, był romantykiem i chciał być kochany, był też na pewno próżny, jak i dziś wielu twórców.

Minęło w roku 2012 pięćdziesiąt lat od śmierci Władysława Broniewskiego. Dziś w antykwariatach nie uświadczymy Jego książek, a te które – choć nieliczne – powstają na nowo, idą bardzo szybko w ręce czytelnika. Zatem gdzie tkwi fenomen osobowości byłego legionisty, piłsudczyka, a tym samym socjalisty (bo przecież Piłsudski socjalistą był)? Co fascynuje, a co oburza? Co dziś kochają w Nim – a czego nienawidzą? Czyżby Władysław Broniewski powracał z czyścica... Zapewne niezłomność w więzieniach, zapewne twórczość taka którą pisywał do tzw. „szuflady”, zapewne przepiękne wiersze poświęcone odejściu jedynej córki Anki, które także zostały ogłoszone dużo później, po śmierci poety i te, które nigdy nie ujrzały wcześniej „światła dziennego”, dały nieco inne światło na jego osobowość. Pisał także niezależne teksty, czytał je w knajpach Lwowa a i na emigracji, idąc z Armią Andersa, wiersze przesączone nostalgią i semantyką stricte patriotyczną i katyńską...

Zróbmy wreszcie na tę okoliczność dalszą analizę z tego bardzo „ciekawego życia” okraszonego postawą, dziś braną w przeróżny sposób. A przecież dziś słowo „patriotyzm” ma tak różny oblicza, bo ma swój nowy czas, bo Polska ma wyraźną realizację europejską i położenie, przez które zawsze przewalały się zawieruchy... Powstaje pytanie: czy dziś powinno mówić się o bardziej obywatelstwie, czy podnosić patriotyzm. Jest przecież czas pokoju, choć na pewno w podwyższonej gotowości i czuwania, czy

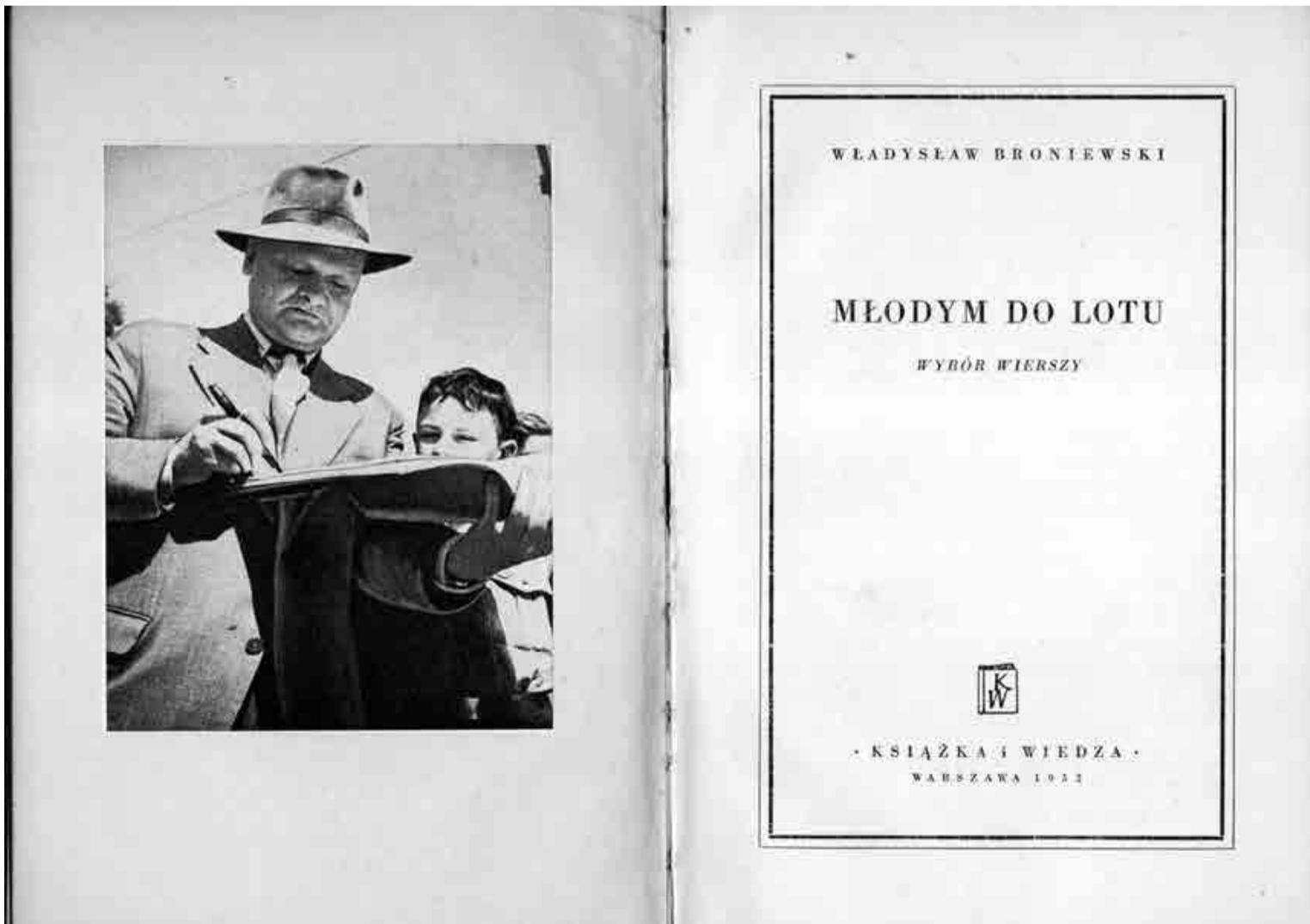


Władysław Broniewski w mundurze legionisty.

tylko pod czas wojny mówić się powinno i świadczyć o patriotyzmie? Tak! Patriotyzm się świadczy, a nie uprawia buzią. Czy niezbyt szastamy dziś tym słowem, bierzemy sobie atrybuty i przekorność z bohaterów przeszłości. Zatem powróćmy tutaj jeszcze raz do życiorysu poety, zastanówmy się czy Władysław Broniewski patriotą był, czy tylko nim bywał?

Jak wiemy trafił do więzienia już w roku 1917. Odmówił był złożenia przysięgi na wierność Austrii i Niemcom. Był wówczas legionistą, jako 20 letni człowiek – nad podziw! – jakże wtedy świeżo myślał. A to bardzo ważne było w rokowaniu na przyszłość, choć korzystał wtedy prywatnie z życia i substytutów znanej prostytutki Staśki, a miał od samego początku poczucie honoru i humoru, jak każdy wartościowy mężczyzna dla kobiety. Internowany był głównie za jawne głoszone ambicje patriotyczne. Wypuszczony... ponownie aresztowany w 1930 roku, już przez własną ojczyznę piłsudczykowską. Wspomnieć należy, że absurdem był fakt, że to właśnie te same władze, które wcześniej odznaczyły go Orderem Virtuti Militari, zamknęły za swoimi kratami. Ale Broniewski to zapewne legenda absurdów, ale i emocji, które miały się dopiero z tym całym bagażem ziścić.

To on, między innymi pierwszy „gniewny”, nie mógł znieść faktu, że Piłsudski pozwala strzelać do robotników, że cenzuruje czasopisma, a głównie prasę intelektualistów, zamyka przeciwników politycznych w swoich więzieniach. Skądinąd wiemy, że Broniewskiego wyciągnął wtedy z za krat kolega po piórze, adiutant marszałka Piłsudskiego, Bolesław Wieniawa – Długoszowski! Ale powstaje pytanie, co tak naprawdę później spowodowało zawładnięcie całym ego Broniewskiego i powiodło Go ku wielkiej sympatii dalej względem lewicowego powojnia? Na pewno dalsze panoszenie się Endecji, nierówności społeczne II RP, antysemityzm, podejrzenie zabójstwa Gabriela Narutowicza, kartowane inne spiski i rzeczy idące od góry po „rewolucji” Piłsudskiego... Ale były i inne sprawy bulwersujące wrażliwy umysł każdego rozgarniętego Polaka, a On nie znośił tego. Te rzeczy szczegółowo są zapisane przecież w historii oraz w nowych wydaniach prostujących historię co rusz na nowo. Intuicja Władysława Broniewskiego i jakiś bunt wewnętrzny powiodł go w szpony miłości lewicy wprost od socjalizmu



Strony tytułowe wyboru wierszy Władysława Broniewskiego z 1952. r.

i dalej do komunizmu z krzywą twarzą. A więc, powiodła go romantyczna intuicja ku temu Nowemu Światłu, do świata pozornej zgody i radości zaistniałego pokoju? Bo zaraz po II wojnie poeta powrócił z Londynu do siebie, do kraju który przybierał szybko maskę pokojowej przyszłości, do kraju który już nosił portrety stalinowców, także w szkołach... do Kraju Rad. Prawdopodobnie przewidział, że ten ustrój stworzony na poprzednim ucisku potrwa... długo, i trzeba będzie jakoś publicznie spożytkować ten swój żywot, choćby w ramionach jedynej kobiety, którą przecież bardzo kochał. Nie wszyscy wierzyli w tę miłość lewicową, która okazała się ślepą, zaborczą, despotyczną i zdradziecką... Nie wierzyli przede wszystkim futuryści spoglądający podejrzliwie na byłego legionistę, nawet lewicowi intelektualści, choć poeta Władysław Broniewski napisał w 1939 roku, wiersz patriotyczny zagrzewający do boju, pt. „Bagnet na broń” – wiersz wzięty wówczas na wszelkie usta, niebawem majster sztyk – wiersz dwudziestolecia międzywojennego, a chyba nawet, co tu dużo mówić, całej polskiej XX wiecznej poezji w Literaturze. To czas zaangażowanej twórczości. Ten wiersz cytowały wtedy nawet skrajnie prawicowe środowiska! Ale swoje jedyne stanowisko miał objawić poeta wkrótce, mówiąc publicznie te słowa: **„Jestem przede wszystkim polskim patriotą, a później socjalistą”**. To wskazywało na Jego czas i miejsce. I takie już pozostało do końca.

Abstrahując od tego, mocno skróconego, wstępu do osobowości Władysława Broniewskiego, wspomnieć trzeba i odsłonić Go jeszcze bardziej, scharakteryzować i dodać fakty, że poeta, zaraz po wybuchu II wojny, wówczas 40 letni intelektualista trafił do polskiego, wspomnianego przeze mnie, Lwowa. Przeczuwał co się szykuje, jak i czuły inne mózgi elit... Tam bardzo pił na umór, wznosił przygodne toasty, nawet za Piłsudskiego, wałęsał się po kawiarniach, recytował swoje wiersze z nutą patriotyczną, nabywał nowych przyjaciół za wzmianki o Katyniu, ale to trwało do czasu. Jeszcze pod koniec wojny radziecka władza szybko przedstawiła swoje oczekiwania wobec polskich, już znanych wtedy, pisarzy i intelektualistów w sprawie wiernopoddanej deklaracji o przyłączeniu Lwowa do ZSRR. Wielu wtedy obleciał prawdziwy strach, jak np. Boya-Zeleńskiego, Aleksandra Wata, innych, którzy szybko podpisali tę deklarację – podpisali, bo zdawali sobie sprawę co to jest stalinowska tiumna, której grube kraty i tęgie tortury zawsze czekają wiernie na Łubiance.

Ale Władysław Broniewski wtedy odmówił podpisania deklaracji! Oczywiście aresztowano Go i w więzieniu na Zamarstynowie, w jednej celi ulokowany był z Watem, zachował się na trzeźwo bardzo patriotycznie i honorowo. A jak to wtedy przebiegało w celi, trzeba tutaj wspomnieć: to przecież sam Wat opowiadał później Czesławowi Miłoszowi w „Moim wieku”, że czuł się przy Broniewskim wtedy, jak nieudacznik męski, a nawet zdrajca, bo tylko ze strachu podpisał deklarację, nie mógł spać, moczył pryczę, i że wówczas tchórzliwie sam odpowiadał na wszystkie pytania stupajków NKWD, którzy go buńczucznie i ostracyjnie zaczęli przesłuchiwać... Natomiast Broniewski przez kilka dni śpiewał głośno w celi swoje patriotyki, nie podpisywał, mimo że był bity i później trafił na moskiewską Łubiankę. Faktem też jest, że niedługo później „działacz” KPP i więzień Berezki Kartuskiej Witold Kolski, którego poeta znał od 20 lat, napisał o nim w prosowieckim „Czerwonym Sztandarze” takie słowa: „... **zgnieść godzinę nacjonalistyczną!**...” – Wtedy takie nagłe wybywanie przyszło wraz z gen. Andersem, który jak wiemy za zgodą Stalina (po rozmowach z W. Sikorskim) z I Armią ruszył przez Irak na Zachód, z którym wówczas zabrał się Władysław Broniewski do Palestyny. Tu znów tworzył wiersze, w których dominowały: łagry stalinowskie, zew Katynia, nostalgia za krajem i romantyczna miłość do Jedynej kobiety... Już w Palestynie popadał w alkoholizm, a dobiły go też wieści o Jego największej miłości, bo doniesiono mu że Maria Zarebińska zginęła w Auschwitz. Na domiar tego sam generał Anders zarzucał mu jawnie brak patriotyzmu, bo nie mógł się pościć do przekonania: „... i nie rozumiem – jak można być jednocześnie socjalistą i antykomunistą!” A on, poeta niedoceniony tam wówczas błąkał się po Jerozolimie, czytał wiersze gdzie tylko popadło, pisał fraszki, łąził, pokątnie fiksomanił z alkoholem... Później po zakończonej II wojnie ani myślał wracać do „wolnej” ojczyzny... Usadził się w Londynie. Ale przyszła jakaś nagła wiadomość, że Jego Maria żyje! Kierowany zawsze romantycznym instynktem i pojęciowością obecności koniecznej, jakimś zrywem? – po ostrożnym nawiązaniu listownego kontaktu z kim trzeba – wyruszył jednak do Polski, jak Orfeusz po Eurydykę. Okazało się, że władze powojennego PRL-u powitały Władysława Broniewskiego jako „wielkiego” poetę, co mu bardzo wówczas schlebowało. Czyżby Broniewski był także naiwny, czy tylko próżny, a może zbyt impulsywny? Odezwała się tutaj chyba natura, która odradza się szybko i nie lubi próżni, musi się czymś wypełnić, zatem zaczęła brać górę fobia zaistnienia, jak już to: Tu i Teraz. Chciał niezależnie zapelnąć tę próżnię, zaczęli czuwać nad nim inni i wówczas zaufał bierutowskiemu podskórnym szpicłom, którzy chodzili nawet modlić się do kościoła, jakby poprawni wyznawcy Chrystusa... Pisał dla nich. Stało się, że Maria, którą nad życie kochał zachorowała, a on nie miał więcej na jej leczenie, które przebiegało w Szwajcarii. Obejrzał się jak Orfeusz wyprowadzając Eurydykę ze Styksu? Zatem pisał i mówił różne teksty zamawiane, żeby tylko dorobić, czy pisał z bezradności? Z utraty czegoś ważnego?, Było to dla nich obojga jakby ostatnim ratunkiem, dostawał od rządu tylko pieniądze za pisanie, a to było za mało na zagraniczne leki i egzystencję. Namówiony i przymuszony w tej ostateczności zaczął szybko pisać utwory czysto propagandowe, dziś zwane mocno zaangażowanymi lewicowymi pochwałami w efekcie rodzącego się jawnie komunizmu... Maria zmarła (a przestrzegaj go Haron?), a on pozostał na cyrografie ówczesnej władzy, grywał na swej harfie komu trzeba... Została mu córka Anka i został mu jeszcze ówczesny

poklask przechodniów. Był w PRL-u przecież uważany za najwybitniejszego poetę, poza żyjącym Tuwimem. Był „używany” przez władzę głównie do propagandy... Polubił już wszelkie splendory, wydruki, także w podręcznikach szkolnych, wszędzie bardzo zapraszany, obsypywany kwiatami spontanicznie, a kochał to, alkohol wrócił na całego do łask, dostarczany masowo przez stupajków rządowych do podarowanej mu „Od Narodu” willi na Mokotowie w Warszawie. Był dla ówczesnych dygnitarzy poetą takim „żywym marzeniem”... miał przeszłość patrioty i przyszłość, opiewając ówczesną rzeczywistość, zagrzewającym na przykład do: głosowania **3 X tak**, na **plan sześcioletni**... etc., opiewającym **budowę Mostu Poniatowskiego**. I chociaż po pijanemu wtedy wygadywał na władzę publicznie różne rzeczy, przymykało na to oczy. Tym samym po jakimś czasie stawał się kłopotliwy. Zmarła jedyna Jego córka – wpadł znów w dalsze jeszcze gorsze ciągi alkoholowe. Odwożono go kilka razy do kliniki psychiatrycznej na leczenie, bo delirium nie dawało mu spać. A kiedy „zgasło Słoneczko” – Stalin, a później z Moskwy przywieźli w trumnie Bieruta, Władysław Broniewski stał się idealny, zwłaszcza wtedy gdy Chruszczow zdemaskował Stalina na pamiętnym Zjeździe Partii Komunistycznej, aby go obwiniać za całe zło związane z propagandą stalinowskiego systemu w Polsce. Zawinił sam sobie? Bo też nie posłuchał Wiktora Woroszyńskiego, który odciął się publicznie? Zawinił był, kiedy ten sugerował mu żeby odciął się jawnie i publicznie, w roku 1956, z resztą kolegów od niedawnej przeszłości. Zdał sobie wtedy Broniewski sprawę, że to oznaczało literacki ostracyzm i wymazanie go z podręczników, szkolnych... poszedłby szybko w całkowite zapomnienie – ale i tak już szedł w zapomnienie! A jednak był kimś, kto w całej polskiej historii, jak nikt inny, z pisarzy nosił się zawsze z honorem. Tak został przecież zapamiętany, choć uznany poetą sowieckiego dworu...

Dużo by jeszcze mówić – bądź co bądź o fenomenie Władysława Broniewskiego, a tym samym o Jego patriotyzmie w tamtej burzliwej Polsce... A tu dziś czas taki, że wiersze Broniewskiego śpiewają młodzie, malują Go i piszą o nim, także monografie na nowo, wspominają jako odważnego człowieka? Powtórne pytanie: czyżby teraz powracał z czystą, czyżby to Jego osobowość odezwała się po swoje? Jego czas? Władysław Broniewski, jako człek encyklopedii tyranii i jarzma sowieckiego, które opadło tak niedawno z hukiem, człowiek fizycznego i duchowego przekleństwa, w tym nieszczęśliwej romantycznej miłości... wraca? Czyżby wyżej wymienieni, biorąc go sobie za autorytet, nie poznali na wylot i przenicowali przeszłość tego poety, biorąc go na czas dzisiejszy? Podnosząc głównie patriotyzm poety dla przekory? Ale za patriotyzm się płaci i słowem i krwią. Czy może to jest tak, że zaufali w fenomen Broniewskiego tylko niektórzy? Może to obudzony wśród młodych nowomodny dzwon, ale z tamtym dźwiękiem – echem ku aspiracjom w cenie i na czasie? I na nieco wyższej dzwonnicy. A może tylko obowiązek lub ukrytego hołdu dla samej niezłomności – tej która może być zawsze potrzebna. A może to tylko budzenie ducha wartości w konkretnym miejscu i czasie, bo okazało się, że Putin pokazał Europie już gest Kozakiewicza, a to było do przewidzenia...

Wracając jednak do Broniewskiego. Sam alkoholizm nie był w tym przypadku motorem, być może był tylko wytrychem do drzwi egzystencji zastanej. Władysław Broniewski, niesamowicie inteligentny, doświadczony człek, doskonale zdawał sobie sprawę wtedy z położenia, ale i ze swego osobistego ego na tamto TERAZ... Czyżby, jako romantyk zawierzał, ślepo różnym miłościom? Ale i podskórnie zagrożony jeden z wielu, którego nie skrócono o głowę, co zawsze tutaj w Polsce czekało na powracających alianców, na ludzi spod Monte Casino, niejednokrotnie nagrodzonych Krzyżami Wirtuti Militari, przecież im nie dano takiej łaski, a wtedy byli to młodzi ufni oraz odważni naznaczeni bliznami

Dzisiejsze młode pokolenia, poszukujące – myślę – wcale nie na ślepo, ale przekornie jakiegoś wzorca – odrzucają obecne waśnie polityczne, zniewieściałą sztab klerykalizmu. Bo to inny czas, okres jawnie demonstrujący swoje oblicze, ale i wyczekujący? Pokolenie nowe dziś nie tylko subkulturą demonstruje swoje obawy, także na niwie sztuki, która jest wizerunkiem konkretnego miejsca i czasu. Wspomnijmy, że w PRL-u powojennym, kiedy nastawał gomułkowski zamordyzm, w odpowiedzi na socrealizm pojawiła się natychmiast tzw. „Awangarda”. To jawna reakcja, czas protestu na niedouczoną cenzurę – artysta prawdziwy nigdy nie spóźniał się... Dziś jest pełna jawność, ale po transformacjach ustrojowych powstały nowe zagrożenia w tym zapotrzebowanie na patriotyzm. Sytuacja na Wschodzie i dalej na Bliskim Wschodzie otwiera nowy rozdział myślenia o zagrożeniu, czyżby tamta Karma mogła sycić na nowo. W rozmowach ze starszymi, właściwie z dziadkami młodzie nie rozumieją pewnych rzeczy? Ale są przekorni, są pewnie przekonani, że też by wytrzymali piekło, że może zdaliby egzamin na patriotyzm, tym czasem wprawdzie należałoby świadczyć obywatelstwo... Ale dobrze, że coś w tych pragnieniach jest wartościowego – stąpają i idą ci młodzie do źródeł? Pytają o zmagania z tamtym socjałem – miarkują? Czy młodzie zawsze niepokorni na pewno nie chcą tamtego przeżytego systemu na kartki? Nie doświadczyli, nic nie mają do stracenia, nie znoszą błagi i kombinatorstwa i obłudy?... Mają oni do dyspozycji cybernetyczne smartfony, pękate auta i laptopową przestrzeń... aipody..., a wnet nadchodząca kwantową rzeczywistość. Zatem powstaje zagadkowe podstawowe pytanie: co w postawie osobowej i poezji Władysława Broniewskiego budzi i porywa – ponosi... zagrzewa? Dlaczego właśnie fenomen Broniewskiego, rodem z Orfeusza i Eurydyki po pokonaniu bramy z psem o trzech głowach, ciekawość, czy Eurydyka stąpa za nim? Kara za obejrzenie się za siebie? Co?

Zbyszek Ikona-Kresowaty



Ryc. Jacek Krenz

Romuald Karas

TECZKI KSIĘDZA STASZICA*

(Scenariusz filmu fabularnego)

Fragment

Staszic zachodzi do oficyny drukarskiej Michała Grólla. Przyjmuje go właściciel, mocno już pochylony wiekiem. Witają się.

STASZIC: Mam coś dla waszmości, już prawie gotowego. To książka pisana dla sejmujących stanów.

Gorzka piguła, lek, co może wstrząśnie chorym organizmem Rzeczpospolitej.

GRÓLL: A zgoda zwierzchności?

STASZIC: Ja jestem zwierzchnością. Dobrze zapłacę. I kamień w wodę. W żadnym wypadku ambasada rosyjska nie może się dowiedzieć, kto książkę napisał ani kto ją wydrukował.

GRÓLL: Zaliczka by się przydała. *Mówi twardo, z niemiecka.*

STASZIC: Oto spory zadatek na poczet druku.

GRÓLL: Książd powinien się interesami zajmować.

STASZIC: Ano, zamiast zarabiać na książce, ja do niej dokładam. Ale, ponieważ wróżę jej sukces, to zysk dzielimy po połowie.

GRÓLL: A jednak książd ma żydowską głowę do interesów.

STASZIC: Nie byłem jednak nożem chrzczonej.

* * *

Staszic zjawia się konno w Lidzbarku Warmińskim, zwanym po rozbiorze Heilsbergiem. Robi krótki zwiad w miasteczku i kieruje się w stronę gotyckiego Zamku Biskupów. Przed bramą wiąże konia przy słupie. Idzie na spotkanie z księdzem biskupem Ignacym Krasickim. Ale wcześniej lustruje dziedziniec arkaadowy. Zerka na refektarz, z polichromią. Ciekawi go klasycystyczna oranżeria. Nieoczekiwanie dostrzega w niej spacerującego biskupa Krasickiego. Piękna, dostojna postać, w otoczeniu harmonizująca z wyszukaną roślinnością, która go zewsząd otacza.

STASZIC: Wolno zbliża się do niego. Witam podporę „Monitora”. Mam do księdza biskupa list od ordynata Zamoyskiego. Wręcza.

KRASICKI: Czyta. Patrzy w oczy Staszicowi. Witam księdza, kolegę po piórze. A po chwili. Gdzie ten manuskrypt?

STASZIC: Proszę. To są moje nieporadne płody pióra. Brak mi tej kultury słowa i lekkości stylu księdza biskupa. Wyciąga z torby dość sporej grubości arkusze papieru, gęsto zapisane.

KRASICKI: Nie zapomnę mojej gościny w Zamościu. Proszę serdecznie pozdrowić pana kanclerza Zamoyskiego. Tylko poza zdrowości takiego patrona, jakiego książd zyskał. Po chwili. Przeczytam od ręki, a wtędy wyrażę swoje zdanie. Spotkajmy się jutro po śniadaniu.

Staszic opuszcza Zamek Biskupów, podchodzi do uwiązanej u słupa konia, wskakuje na siodło i odjeżdża. Przedwieczorne słońce miło oświetla całe miasteczko. Staszic trafia do zajazdu. Ktoś ze stajennych odbiera od niego konia. *L'abbé kieruje się do swojej komnaty.*

* * *

Staszic jedzie konno poza Lidzbark. Interesują go wzgórza morenowe, podnosi różne kamienie. Niektóre rozbija młotkiem, który nosi ze sobą w torbie. Coś zapisuje. Nad rzeką Łyna, gdzie nikogo nie ma, puszcza najpierw kaczki kamieniami, potem rozbiera się i kąpie. Cały czas zerka na sutannę i torbę. Zauważa zbliżającą się postać. Wskakuje z rzeki i nakłada na siebie suknię.

* * *

Ranek, bardzo słoneczny. Oranżeria cała opromieniona. Staszic niecierpliwie czeka na pojawienie się biskupa Krasickiego. Ogląda okazy orientальной flory. Po chwili staje przed nim biskup.

KRASICKI: Noc mam nieprzespaną z powodu księdza.

STASZIC: Przykro mi....

KRASICKI: Ponieważ wszyscy spiskujemy, a zatem moja dedykacja na wierszu, jaki księdzu poświęciłem, musi być z konieczności anonimowa.

Biskup ujmując Staszica pod ramię, spacerują po oranżerii. Nic nie mówi dłuższy czas.

KRASICKI: Po przeczytaniu twojej książki nie mogłem usnąć. Kłębili się we mnie różne myśli. Wstałem wreszcie, by napisać wiersz ci poświęcony. To liryk, rzadkość w mojej twórczości. *Podaje mu rękopis wiersza. Czytaj. Staszic przebiega wzrokiem cztery strofy. Czy pozwolisz, że ten wiersz wydrukuję? Staszic mógłby się spodziewać wszystkiego, ale nie takiej reakcji księdza biskupa.*

STASZIC: Ależ to przecie Eminencja jest władny dysponować swoim utworem.

KRASICKI: Mój drogi, oczywiście pisz, że to anonimowe dzieło powstało w Heilsbergu. Po chwili. A ten mój liryk, jaki ci poświęciłem, niech cię podtrzyma na duchu. Słyszysz swoim piórem wielkiej sprawie.

* * *

Ambasada Rosji w Warszawie. Sekretarz rozmawia z Mackrottem. Na biurku leżą trzy różne egzemplarze anonimowo wydanej książki Stanisława Staszica „Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego”. SEKRETARZ: Co to wszystko ma znaczyć? Kto jest autorem tego wytworu chorej głowy? Po chwili. Jego Eksceleńcja dostał szału. W Warszawie kursuje kilkaset egzemplarzy *Uwag nad życiem Jana Zamoyskiego*. Pojawiły się jakieś kradzione edycje na prowincji. Nasi ludzie ustalili, że książka jest kolportowana

zarówno na północy, jak i na południu Polski. Czytają to parszywe dziełko zarówno w Białymstoku, jak też we Lwowie i Krzemieńcu. *Surowo.* Mackrott! Co ty robisz? Co robią twoi ludzie? Dlaczego my nic o tym wszystkim nie wiemy? Przyszło nam ustalać fakty poza tobą.

MACKROTT: Ja i moi ludzie dobijaliśmy ordynata Zamoyskiego wieścią o nieślubnym ojcostwie Staszica. Od sejmu po sejmiki, odpusty i jarmarki szerzyliśmy tę plotkę.

SEKRETARZ: Łeb ci ukręcimy, jak nie ustalisz, kto stoi za tym wszystkim!!!

MACKROTT: Spróbuję poniuchać, co tam konsul francuski ustalił.

SEKRETARZ: Raczej dogadać się z jego pomocnikiem. Jak będzie trzeba, sypnijemy pieniędzmi. MACKROTT: W lot chwytam myśli Eksceleńcji.

* * *

Warszawa. Mieszkanie ordynata w kamienicy na Lesznie.

ORDYNAT: Gratuluję ci, Stasiu. Książka została rozchwyтана przez posłów w sejmie. Gróll dodrukowuje w tajemnicy nowy nakład. A na prowincji już ukazało się parę samowolnych wydań *Uwag nad życiem Jana Zamoyskiego*. Ambasady trzęsą się, by ustalić autora i drukarza.

STASZIC: Te wydania na prowincji są pełne błędów. Kto inny, a nie ja zarabia na mojej książce. ZAMOYSKI: Mimo wszystko powinien się cieszyć. To jest sukces!

* * *

Warszawa: Mieszkanie Jana Aleksandra Bonneau, konsula honorowego Francji. To wielki sympatyk Polski, działający na jej korzyść w sferach dyplomatycznych. Jest on pierwszym, który zwrócił uwagę na niezwykłość książki Staszica. Ma właśnie przed sobą egzemplarz „Uwag nad życiem Jana Zamoyskiego”. *Pisze raport do dworu wersalskiego. Pukanie do drzwi. Wchodzi Mackrott. Bonneau chowa kartkę do kieszeni. Uśmiecha się do cyrulika. Robi dobrą minę do złej gry. Zdaje sobie sprawę z faktycznego zajęcia, jakim się para Mackrott. Witają się.*

MACKROTT: Eksceleńcja Stackelberg nie mógł się nachwalić ciebie, sławiąc twoją operatywność i kompetencje.

BONNEAU: Czy coś z tego wynika?

MACKROTT: Z miejsca przystępuje do rzeczy. Chcemy, abyś pracował dla ambasady Rosji. BONNEAU: Hmm...O co chodzi w wstępie?

MACKROTT: Jak to się dobrze składa, że ciebie interesuje ta sama książka, co i nas. Już pewnie ustaliłeś, kto ją napisał.

BONNEAU: Nie wiem. Przecież wydana została anonimowo.

MACKROTT: Ale ty jesteś w stanie dociec wszystkiego. Obracasz się przecież w tylu różnych środowiskach i właściwie już stałeś się Polakiem. Nawet wielu dyplomatów podkreśla, że za darmo nie jadasz polskiego chleba.

BONNEAU: A to ciekawe...

MACKROTT: Tu masz zaliczkę, na początek. *Chce mu wręczyć mieśzek z pieniędzmi.* BONNEAU: *Uderza Mackrotta w twarz, gardząc tego rodzaju zapłatą.*

MACKROTT: Pożałujesz jeszcze tego. *Wybiega z mieszkania konsula.*



*STANISŁAW STASZIC, 1755-1826, uczonec, filozof, przyrodnik, działacz i pisarz polityczny, książd; jeden z najwybitniejszych przedstawicieli polskiego Oświecenia. W okresie Sejmu Czteroletniego działacz obozu reform, walczył o utrzymanie niezawisłości narodowej, zabiegał o prawa obywatelskie dla mieszczan i chłopów (głównie słynnymi, wydanymi bezimiennie *Uwagami nad*

życiem Jana Zamoyskiego oraz *Przestrogami dla Polski*). Po rozbiorach poświęcił się pracy nad rozwojem gospodarki oraz oświaty i nauki w kraju, m.in. jako współtwórca i od 1808 prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk (a także fundator siedziby TPN - Pałacu Staszica w Warszawie), członek Izby Edukacyjnej (autor projektów kształcenia urzędników państwowych, rzecznik edukowania ubogiej młodzieży miejskiej, inicjator i opiekun rzemieślniczych szkół niedzielnych), członek Dyrekcji Skarbu, Rady Stanu, Komisji Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, dyrektor generalny w Wydziale Przemysłu i Kunsztów, od 1824 minister stanu, współorganizator Uniwersytetu w Warszawie, Szkoły Akademiczno-Górnicznej w Kielcach, Szkoły Przygotowawczej do Instytutu Politechnicznego, odkrywca złóż węgla i inicjator budowy kopalni w Dąbrowie Górniczej, twórca Hrubieszowskiego Towarzystwa Rolniczego i wielu innych ważnych instytucji pożytku publicznego. Autor wielu cennych publikacji. Umierając, zapisał cały swój pokaźny majątek na cele publiczne.

* * *

Warszawa. Mieszkanie Zamoyskiego na Lesznie. Ordynat leży w łóżku chory. Staszic spogląda nań, zasępiony.

ORDYNAT: Lekarze doradzają mi wyjazd na południe dla podratowania zdrowia. Powinniśmy wybrać się do Włoch całą rodziną. Chłopcy muszą zobaczyć trochę świata.

STASZIC: Polski nie znają. Najpierw powinni zwiedzić swój kraj.

ORDYNAT: Hm...Tak twierdzisz?

STASZIC: Przypomina mi się fraszka Stanisława Niewieskiego

Na jeżdżących do cudzych krajów:

Niejeden cudze co pojeździł kraje,
Miasto nabycia, stracił obyczaj,
Trzpiot z niego, plecie nie do rzeczy wiele,
Powrócił wołem, bo wyjechał...ciele.

ORDYNAT: *Śmieje się.* Pewnie na twoje wyjdzie. Ale mnie się widzi, że to będzie moja ostatnia podróż za granicę. Synom może się ona nie przydać, ale ty na pewno wiele na niej zyskasz. A tymczasem w sejmie robi się gorąco. Gra toczy się o być albo nie być Polski. Znow jest potrzebne twoje pióro. Tym razem powinien napisać przestrogi dla Polski.

STASZIC: Dobry tytuł.

ORDYNAT: To kuj żelazo, póki gorące.

* * *

Warszawa. Mackrott spaceruje po ulicy Długiej. Czeka na kogoś. Zjawia się Piotr Aubert, agent francuski, współpracownik konsula Bonneau. Witają się, jak starzy znajomi.

AUBERT: Co, dostałeś po pysku od Bonneau?

MACKROTT: Przecież było odwrotnie. To ja go uderzyłem, gdy mi zaproponował, abym przeszedł na stronę francuską. Idiota! Wersal się wali, tron się chwieje, a ja takiej władzy mam służyć. Przecież nic wam nie płacą. Mnie, to co innego - powodzi się coraz lepiej.

AUBERT: Dom podobno kupiłeś?

MACKROTT: Stoimy właśnie przed moją rezydencją.

AUBERT: Gratuluję.

MACKROTT: Eksceleńcja opłaca mnie hojnie. *Po chwili.* A ty byś nie chciał zarabiać wreszcie godziwie? Pomyśl.

AUBERT: Skóry tanio nie sprzedaję.

MACKROTT: Rosja to bogaty kraj.

AUBERT: Ale poddani żyją tam w nędzy i zacofaniu.

MACKROTT: Rosja buduje swoją potęgę. A na wywiad wydawane są ogromne środki. Nigdy nie marzyłem o tym, że będę miał własny dom.

AUBERT: Zastanowię się.

* * *

Staszic wędruje ulicami Warszawy z ordynatowiczem Stanisławem. Przed jednym z pałaców przystaje.

Ktoś tam wchodzi i wychodzi, cały czas panuje ruch.

STASZIC: Tu Jan Potocki otworzył czytelnię publiczną. Można się dowiedzieć wszystkiego, co dzieje się w czasie obrad sejmowych.

Prawie dziś zapomniany, stał się ten wielki zaiste człowiek inspiracją dla współczesnego romantyka-pozytywisty w jednej osobie, pisarza, dziennikarza i społecznika oddanego bez reszty służbie publicznej, ROMUALDA KARASIA. Szukając wzorca dla Polaków budujących Polskę od nowa po latach zniewolenia, w o r c a g o d n e g o u p o w s z e c h n i e n i a, wybrał Romuald Karas owego uczonego i wizjonera, którego zasług dla Polski, także dzisiejszej, nie sposób przecenić.

Scenariusz filmu fabularnego TEKI KSIĘDZA STASZICA, który powstał w roku 2008 i do dziś nie doczekał się realizacji, obejmuje czas od pojawienia się skromnego, choć znakomicie wykształconego (w paryskim Collège de France) l'abbé Stanisława w pałacu eks-kanclerza Andrzeja Zamoyskiego w Bieżuniu w roku 1781, do śmierci i pogrzebu Wielkiego Dobroczyńcy Polaków. Wybrany fragment zaś to opowieść o początkach jego oszałamiającej kariery pisarza politycznego, który pierwszymi, bezimiennie wydanymi dziełami: *Uwagami nad życiem Jana Zamoyskiego* z 1787 oraz *Przestrogami dla Polski* z 1790, poruszył cały naród, wszedł triumfalnie, choć anonimowo, do Sali obrad Sejmu Wielkiego i ... spędził na długo sen z oczu sługom i psom gończym Jaśnie Pani Cesarzowej Wtorej. Tropili oni zajadłe nieznanego autora, sprawcę istnego pospolitego ruszenia czytelniczego, produkowali setki absurdalnych raportów, całe tomy TECZEK KSIĘDZA STANISŁAWA, ale go nie dopadli, nie zakuli w kajdany, nie powieźli kubitką. Dokonał tego, co sobie zamierzył, dla Polski. I teraz POWINIEN WROCIE!

(mjb)

Wchodzą do wielkiej sali. Gęsto od publiczności. Czytane są doniesienia pomieszczone w gazetach, druki sejmowe, wystąpienia posłów. Padają komentarze, ktoś dysputuje. W rękach młodego panicza „Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego”. Staszic to dostrzega i przybliża się.

GŁOS I: On proponuje sojusz szlachty z mieszczaństwem.

GŁOS II: Chłopom też chce ulżyć. Ale czy te jego propozycje nie zachwieją naszą egzystencją? Mnie się wydaje, że najpierw trzeba armię wzmocnić, aby Polska była bezpieczna.

GŁOS I: A ja twierdzą, że jednak on ma rację. Przyjdzie nam się zbratać z mieszczańcami. Chłopi mogą jeszcze poczekać.

Staszic rzuca się wręcz na wszystkie dokumenty, obrazujące pracę Sejmu Wielkiego. Coś przegląda, notuje. Zupełnie zapomni o swoim podopiecznym. Ten się nudzi i przestępuje z nogi na nogę. W końcu upomina się o swoje.

STANISŁAW: Chodźmy na obiad, rosół stygnie.

STASZIC: Zdenerwowany. Nie widzisz, że tu chodzi o ważne sprawy?!

STANISŁAW: Jestem głodny.

Wychodzą z czytelnicy publicznej.

* * *

Ambasada Rosji. Sala audiencyjna. Przy małym stoliku Jego Ekscelencja i sekretarz rozmawiają z Piotrem Aubertem.

EKSCELENCJA: Interesują nas meldunki, jakie konsul Bonneau słał do Paryża, pisząc o naszych działaniach w Warszawie.

AUBERT: Ekscelencjo, z niemałym trudem i wielkim ryzykiem udało mi się je zdobyć. Pozwolę sobie, jeśli pan ambasador mi zezwoli, odczytać te najbardziej charakterystyczne: „Wśród powszechnej słabości, nieładu, potęgowanego w nieskończoność przez Rosję, mocarstwo to zdobywa coraz bardziej zdecydowaną władzę i bez trudności nagina wszystkich do swych najdrobniejszych zachcianek. Postępy tego państwa z jednej, niszczenie Rzeczypospolitej z drugiej - oto jedyny przedmiot, o którym można donieść”.

EKSCELENCJA: Ha, ha, ha.

SEKRETARZ: Hi, hi, hi.

AUBERT: Oto inny meldunek: „Warszawa jest niemal bez zycia: panuje bezruch, nikt nie wydaje pieniędzy. Przychodzi się do izby poselskiej: brak jakiegokolwiek tumultu, krzyku, intrygi. Oglądano tylko zabiegi w celu przeprowadzenia wyboru kandydatur króla i Stackelberga do Rady i Komisji, dla zdobycia dwunastu tysięcy złotych wynagrodzenia”.

EKSCELENCJA: O, ten sukinyś Bonneau, pisze o mnie z uznaniem. Chętnie bym go udusił.

AUBERT: Ekscelencjo, ja zorganizuję takie spotkanie, jeśli uzyskam przyzwolenie pana ambasadora... EKSCELENCJA: A najnowszy meldunek Bonneau o autorze *Uwag nad życiem Jana Zamoyskiego*, mógłbyś nam zdobyć?

AUBERT: Stawiam wszystko na jedną kartę. Muszę w takim razie przejść na stałą służbę do Jaśnie Pana Ambasadora.

* * *

Kamienica na Lesznie. Gabinet ordynata. Staszic wpatruje się w zasępioną twarz Zamoyskiego. STASZIC: Coś Pana gryzie, Kanclerzu?

ORDYNAT: Ach, te niekończące się sprawy sądowe. Pieniactwo kwitnie w narodzie. Zastanawiam się, jak zakończyć wreszcie spór z księżną Anną Jabłonowską, panią na Kocku i Siemiatyczach.

STASZIC: Ależ to furia! I chyba chłop w spódnicę.

ORDYNAT: Toś ją zdążył już poznać?

STASZIC: Pośrednio. Sejm Wielki, jakby nie miał innych, ważniejszych spraw do załatwienia, zatwierdził jej drobiazgowo, aż do absurdu, *Ustawy powszechne dla dóbr moich rządów*, regulujące w detalach obowiązki chłopów i mieszczań, zamieszkających w jej dobrach.

ORDYNAT: Ultrafiłeś w samo sedno sprawy, Stasiu. Śmieje się.

STASZIC: Spróbuję się do niej trochę pozalecać.

ORDYNAT: Księżę Stanisławie, w starym piecu diabeł pali.

STASZIC: Przecież nie myślę dla niej zrzucić sutanny.

* * *

Warszawa, mieszkanie konsula francuskiego Jana Bonneau. Jego agent wie, że z sobą dwu niezwykłych gości: ambasadora i sekretarza ambasady Rosji. Aubert puka w umówiony sposób. Drzwi szeroko otwiera gospodarz. I aż cofa się z wrażenia. Nie był przygotowany na taką ewentualność. Nie bardzo wie, jak ma zareagować.

BONNEAU: Czemu, Ekscelencjo, zawdzięczam tę wizytę? Waha się, czy wpuścić gości do środka.

EKSCELENCJA: Chcemy ci podziękować za twoje raporty słane do Wersalu.

Bonneau chce zatrasnąć drzwi, ale sekretarz zdążył już wstać i je zatarasować. Jego Ekscelencja chwytając za szyję konsula i dusi. Sekretarz pomaga wciągnąć go do środka mieszkania. Aubert zatrzaskuje drzwi.

SEKRETARZ: Gdzie jest twój ostatni raport przesłany do Paryża? *Ambasador rozluźnia zacisk swoich wielkich łap na szyi konsula.* BONNEAU: Powędrował do Wersalu.

SEKRETARZ: Kłamiesz.

EKSCELENCJA: Aubert, sięgnij do skrytki.

Agent przesuwa obraz, wiszący na ścianie, i otwiera kluczykiem, który ma przy sobie, coś w rodzaju sejfów.

BONNEAU: Ach, ty zdradco.

EKSCELENCJA: Wyjmij ten dokument i czytaj.

Aubert podchodzi do ambasadora i patrząc w raport, stara się go powoli odczytywać. SEKRETARZ: Co, zaszyfrowany?

AUBERT: Nie, ale pisany bardzo niewyraźnie.

Agent podsuwa dokument sekretarzowi. Ten zwraca się do ambasadora.

SEKRETARZ: Pan konsul donosi o ukazaniu się i wielkiej poczytności książki *Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego*. Streszcza niektóre jej wywody, ale autora nie ujawnia.

EKSCELENCJA: Zaciska swoje ręce na szyi konsula. Mów, kto napisał to parszywe dziełko.

BONNEAU: Nie wiem.

SEKRETARZ: A komu przypisałbyś autorstwo?

BONNEAU: Może Kołłątaj, może Wybicki, a może to ręka biskupa Krasickiego.

EKSCELENCJA: *Uwalnia konsula z uścisku.* A teraz chcę ci podziękować za te kalumnie o naszej ambasadzie. *Nim konsul zdola się zasłonić, potężnymi ciosami obala go na ziemię.*

* * *

Siemiatycze. Niewielkie miasto na Podlasiu. Okolice pagórkowate. Tu i ówdzie lasy. Staszic powozi kolaskę. Z tyłu siedzą dwaj ordynatowicze. Staszic, przekrzykując turkot kół.

STASZIC: Zbliżamy się do Siemiatycz, prywatnej własności rodów magnackich, Kmitów, Tęczyńskich, Radziwiłłów. W naszym stuleciu przeszły w ręce Sapiechów. Anna Sapieżanka wniosła je w posagu Jabłonowskiemu, hulace, ale jak może, to broni majątku przed trwonieniem.

ALEKSANDER: Czy ksiądz by powtórzył to księżnej Annie Jabłonowskiej?

STASZIC: To zależy.

STANISŁAW: L'abbé, źle wyrażasz się o magnatach, a przecież chleb jesz z rąk jednego z nich.

STASZIC: O nie, ja na mój chleb zapracowuję. A wasz ojciec się do tej zgrai się nie zalicza.

Kolaska zatrzymuje się na imponującej wielkości rynku. Ratusz strzela w niebo. Pałac jest pełen majestatu. Jakaś krzątająca w miasteczku. Trwa porządkowanie ulic i posesji. Grupa obdartosów zamiata ulice. Nad nimi stoi nadzorca z nahajem. Gotowy do batożenia. Trwa wywózka śmieci, także pod srogą kontrolą. Grupa innych łachmaniarzy z dołów kloaczych przelewa do beczek fekalii, oni także są pod nadzorem.

STASZIC: Spójrzcie, jak księżna Jabłonowska kocha swój lud... STANISŁAW: *Kąśliwie.* Ale jeszcze bardziej miłuje porządku. ALEKSANDER: Mieć taką teściową, to dziękuję.

Staszic wrzaz się do ordynatowiczami kieruje się w stronę pałacu. KAMERDYNER: Księżnej nie ma.

STASZIC: Co robi?

KAMERDYNER: Zaprowadza po wsiach porządku.

STASZIC: Proszę jej przekazać pozdrowienia od synów ordynata Zamoyskiego, pragnących zwiedzić jej niezwykły gabinet historii naturalnej.

KAMERDYNER: Dobrze, przekażę.

Kamerdyner prowadzi ich do wielkiej sali, pełnej szkieletów przedpotopowych zwierząt, odcisków skalnych, ciekawych okazów minerałów. Ordynatowicze lustrują to wszystko w pośpiechu. Nie są zainteresowani takimi zbiorami, to dla nich jakaś martwa historia. A Staszic bacznie ogląda wszystkie eksponaty i, jak zwykle, znów coś skrzętnie notuje. Zupełnie zapomni o swoich podopiecznych. Jest zafascynowany wielkością zbiorów i ich ciekawym doborem. Ci stanęli w oknie i śmieją się, oglądając, kopulujące psy na zewnątrz pałacu.

* * *

Lublin. Środek Starego Miasta. W samym centrum gmach Trybunału Koronnego. Sąd Podkomorzański. Trwa rozprawa o rozgraniczenie dóbr Zamoyskiego i księżnej Anny Jabłonowskiej, pani na Kocku i Siemiatyczach. Ordynata wspiera ksiądz Staszic. Księżna ma dwu adwokatów w togach. Trzyosobowy komplet sędziowski też w przepisanych strojach góruje na podwyższeniu.

SEŃDZIA: Zarządzam przerwę. Wysoki sąd udaje się na naradę. *Sala obrad pustoszeje. Zostają tylko bezpośrednio zaangażowani w spór. Staszic wpatruje się w oblicze swojej przeciwniczki procesowej. Księżna to zauważa.*

KSIĘŻNA: Co też l'abbé widzi we mnie? *Z dozą udawanej pretensji.*

STASZIC: Jedną z najpowabniejszych kobiet, jakie oglądały moje oczy.

KSIĘŻNA: Cóż za wyszukany komplement!...

STASZIC: Ależ to początek mojej laudacji. Pięknym kobietom rozum zwykle nie towarzyszy. A księżna światu imponuje mądrością w zarządzaniu swoimi dobrami w Kocku i Siemiatyczach.

KSIĘŻNA: Jeszcze nikt mi tak nie kadził.

STASZIC: Podziwiam reformy, jakie księżna wprowadza, ale mam też uwagi krytyczne.

KSIĘŻNA: Jakież?

STASZIC: Sam kierunek zmian w majątkach rolnych jest słuszny. To mądre, że księżna pani idzie z postępem, jaki daje się zauważyć w krajach Europy zachodniej. Ale instrukcje dla zarządców zawierają nadmiar kar, spadających na poddanych, chłopów i mieszczań. To mylna droga. Trzeba stworzyć taki porządek prawny, który by ich zachęcał do pracy i tę pracę odpowiednio honorował. Oni muszą być zainteresowani zmianami, jakie księżna wprowadza.

KSIĘŻNA: Łatwo tak kazać z ambony!...

STASZIC: Cóż mam począć, kiedy syk bąta i tam słyszę.

KSIĘŻNA: Dlaczego ksiądz się wciąż wpatruje w moje niemłode już oblicze?

STASZIC: Znam smak dojrzalego wina.

KSIĘŻNA: Czym mnie jeszcze obdarzysz?

STASZIC: Uznaniem. Z największym zainteresowaniem oglądałem w Siemiatyczach gabinet historii naturalnej. Imponujące zbiory. Nie mają równych w Europie!

KSIĘŻNA: Widzę, że ksiądz ma analityczny i chłonny umysł. Cieszę się, że moje zbiory trafiły na taką indywidualność.

STASZIC: Ośmielam się zauważyć, że ten spór sądowy o granice dóbr jest wodą na młyn adwokatów.

Te pijawki wysysają z księżnej duże pieniądze, a paragrafy służą im po to, aby omijać lub łamać prawo.

Proponuję zatem zgodę.

KSIĘŻNA: Niechaj i tak będzie. Zmęczył mnie ten proces.

Staszic podchodzi do ordynata, coś szeptem mu na ucho. Twarz ordynata jaśnieje, potakuje głową.

Ordynat podchodzi do księżnej Jabłonowskiej, całuje ją w rękę i mówi.

ORDYNAT: Zgoda.

KSIĘŻNA: Zgoda.

STASZIC: Kochajmy się!...

* * *

Warszawa. Obrady Sejmu Wielkiego. Staszic na widowni, obok niego siedzą dwaj ordynatowicze.

L'abbé jest wyraźnie podenerwowany.

STASZIC: Nieustanna gadanina o tym, jaka ma być stutysięczna armia.

STANISŁAW: Podobają mi się te pomysły, aby przeważała konnica.

STASZIC: Armaty, działa, karabiny dziś decydują o sile wojska. *Jakiś agitator wciska Staszicowi ulotny druk okolicznościowy. Szepcze do ucha.*

AGITATOR: To pisze Franciszek Zabłocki. Porzucił komedie, wziął się za satyrę. *Odchodzi. Zaczepia kogoś następnego, znów coś szepcze. Staszic przebiega wzrokiem ulotkę.*

STASZIC: *Zwraca się do ordynatowiczów.* Słuchajcie, to coś à propos. *Czyta.*

Stańło sto tysięcy wojska. Bogu chwała!

Teraz to będzie Polska po Europie brzmiała!

Stańło sto tysięcy wojska. Są żołnierze.

Bogu chwała! Gdzież oni? Gdzieżby? Na papierze!

* * *

Wyjazd rodziny Zamoyskich za granicę. Wiosna, pierwszy dłuższy postój, Kraków. Zwiedzanie miasta i Wawelu. Zamek w oplakany stanie, po okresie wojen. Staszic odwiedza zakłady naukowe Akademii Krakowskiej. Dokonuje swego rodzaju przeglądu. Odniesie wrażenie, że jest jakimś inspektorem kontroli.

STASZIC: *Do Zamoyskiego.* Napawa smutkiem, że niegdyś znamienita uczelnia, teraz z trudem podnosi się z upadku. Brak gabinetu fizyki, machin, historii naturalnej, zgoda żądnych zbiorów.

ORDYNAT: A sławna Biblioteka Jagiellońska?

STASZIC: Ze stosów książek, leżących bezładnie na kupie, miarkować mogę, że nie zostały skatalogowane. A więc znamienita księżnica wymaga uporządkowania.

* * *

Warszawa. Ambasada rosyjska. Sala audiencyjna. Przy stoliku siedzą Jego Ekscelencja i sekretarz. SEKRETARZ: Na biurku przybyły jeszcze dwie książki: *Poprawy i przydatki oraz Prestrogi dla Polski”*

Wchodzi lokaj, kłania się i podaje sekretarzowi trzecią książkę z kartą tytułową „Mądry Polak po szkodzie”.

EKSCELENCJA: Znów coś nowego. *Sięga po książkę, przegląda.* To *Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego*, wydane pod zmienionym tytułem.

SEKRETARZ: Wszystko tego samego autora.

EKSCELENCJA: Wołać tu psu bratów!

Sekretarz wstaje od stolika, przechodzi przez salę i uchyla drzwi. Wchodzi Mackrott z Aubertem, kłaniają się nisko ambasadorowi.

EKSCELENCJA: Wrzeszczy. Kim jest autor?! Nazwisko! *Trzyma w ręku książkę Mądry Polak po szkodzie. I mówi.* To jest przedruk *Uwag nad życiem Jana Zamoyskiego*. Moje służby odkryły, że to w Supraślu było drukowane. Coście ustalili?

MACKROTT: Istnieje znaczne prawdopodobieństwo, że autorem jest Józef Wybicki, ten od *Listów patriotycznych*. Zdradza go podobny styl, mowa Wielkopolan. Bardzo konkretna, ale dosyć toporna. On sam zresztą, gdy go pytają o to, nie zaprzecza.

EKSCELENCJA: Durniu, chce, żeby sława na niego spływała. W żadnym przypadku nie jest autorem. AUBERT: Ekscelencjo! Poszlaki wskazują, że powstanie książki ma związek z siedzibą biskupa Ignacego Krasickiego na Warmii. Mówi o tym dopisek: *Dan w Heilsbergu 10 listopada 1788.*

SEKRETARZ: To jest kamuflaż. Ani data się nie zgadza, ani miejsce wydania książki. Autorstwo Krasickiego wykluczylimy.

MACKROTT: Przepraszam najmocniej, że wróć do tej sprawy i powiem. Ksiądz biskup był łaskaw napisać i wydrukować bardzo dziwny wiersz pod tytułem *Do przyjaciela*. Znajduje się tam adnotacja, że ten przyjaciel bawił w Heilsbergu 20 sierpnia 1787 roku. Ten adresat wiersza wywarł na Krasickim ogromne wrażenie, czego dowodem może być ostatnia strofka:

Wzbić się nad ludzkość to dumne mniemanie,

Łzów nie wstrzymujemy, gdy nędza wyciska.

Nie grzechem uśmiech w pożądanym stanie,

A cnota cnotą: czy trać, czy zyska.

SEKRETARZ: Tak, to może być jakiś trop.

EKSCELENCJA: Skaranie boskie, na co mi przyszło? Poezji biskupa muszę tu słuchać.

SEKRETARZ: Dawno powinniście ustalić, kim był ten gość w Heilsbergu.

MACKROTT: Sprawa jest niezwykle trudna. A Krasicki wykpił się, że to chodzi o kobietę.

EKSCELENCJA: Znaleźć mi tego ptaszka! Spod ziemi wydobyć! A jak tego nie zrobicie, to łby wam roztrzaskam!!!

* * *

Parczew w Lubelskiem. Tłum jarmarczny, beczenie owiec, rżenie koni, krzyki sprzedawców. POCZTYLION: W przebraniu, nieco zmienionym, ale rozpoznawalnym głosem.

Rodacy! Polacy!

Łukowianie! Ziemiańskie!

Chłopi i mieszczanie!

Wszystkich zapraszam na spotkanie...

Chcecie znać prawdę o Polsce naszej?

To polecam troszeczkę waszej Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego

Napisane przez autora mądrego

Nie bez racji anonimowego.

Ta książka nie ma ceny w złocie

Powinna kosztować krocie.

Na początek, drodzy i mili, posłuchajcie, co pisze autor Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego o królach w Polsce: „Piękna jest myśl, aby wolny lud, na jedno pole zgromadziwszy się, obierał spośród siebie najcnotliwszego za króla. Polacy tę władzę mieli - i wolne królów obieranie stało się największych ich nieszczęśliwości przyczyną. Dla przypuszczenia całego świata do polskiej korony dziś już tylko nazwisko wolnego wyboru przy nich zostało, a królów obcy naród im daje. (...) Polska, którychkolwiek dobrych królów miała, ci Polakami byli. Prócz Stefana Batorego żaden cudzoziemiec na polskim tronie dobrze królować nie umiał”. Widzicie, jak trafnie pisze! To znów posłuchajcie: „Wiek szesnasty jest w Rzeczypospolitej Polskiej znaczną epoką nierządu do czasów Stanisława Augusta trwałego. Zaraz po śmierci Zygmunta Augusta posłowie cudzoziemscy po wszystkich województwach, w każdym powiecie od domu do domu jeżdżąc, zakupowali i kusili pieniędzmi lub obietnicą wolę i cnotę Polaków. Sejm elekcyjny Henryka po zakończonym przez Jana Zamoyskiego zbalaamuconych umysłów długim swarze, że cały stan rycerski razem z senatorami do obrania króla należy, ledwie się na bitwie nie kończy. (...) Taki zły sposób, do odprawiania sejmów elekcyjnych obrany, bywał w początkach przyczyną obywateli poróżnień, rzucał dalej królestwo w przepaść... i wzniecał wojny domowe. Przez dopuszczenie cudzoziemców do tronu w wieku szesnastym sejmy elekcyjne zamieniały się w targowisko, na którym polska korona towarem była. W późniejszym czasie już nie Polacy obierali królów, już nie senatorowie sprzedawali korony, ale cudzoziemiec królów nam dawał. (...)”

GŁOS I: A o Rosji co mówi?

POCZTYLION: Owszem, mówi - ciekawie i mądrze. Posłuchajcie: „Państwo moskiewskie ma tak wiele ziemi, jak cała Europa. W tym wieku Moskwa najwięcej wojen prowadziła dla powiększenia tej, już niezmiernie, j ziemi. To państwo im więcej swoją ziemię powiększa, tym bardziej do swego podziału zbliża się!”

GŁOS II: Oho, dobrze pisze, dobrze!...

GŁOS III: A o zamiarach Moskwy wobec nas coś pisze?

POCZTYLION: Światłe pytanie. Pisze. Zaraz przeczytam: „Moskwa dzisiaj najwięcej we wszystkie strony i ugody Europy wpływa. Ona ma najuroczystsze związki i traktaty z Rzeczpospolitą Polską. Moskwa pomimo wszystkich traktatów nie tylko pozwoliła, ale równie z innymi mocarstwami Polskę dzieliła. Moskwa także wojska Rzeczypospolitej nie pozwala trzymać. Kiedy konsul rzymski za warunek pokoju Kartagińczykom podał, aby mu wszystką broń z miasta wynieśli i oddali, niezadługo potem całe miasto odebrał i zburzył!”

GŁOS I: To książka, którą trzeba kupić!... Płacę waści.

GŁOS II: I ja płacę.

GŁOS III: Ja też kupuję...

MACKROTT: Zbliża się do miejsca gdzie stoi Pocztynion.

Kto w Boga jedynego wierzy

Kto świętą wiarę jego szerzy

Niech głosu mego słucha

Od jednego do drugiego ucha.

Jam były zakonnik, jezuita

Po zakonu kasacie wróżbita.

GŁOS I: No to mów, wróżbita, mów, co nas czeka.

MACKROTT: Rodacy! Kto już nabył książkę Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego, kto z was już druk ten posiada, niech go spali natychmiast, odrzuci, zniszczy, zdepcze, to książka, która nieszczęście przynosi. To zamach na waszą szlachecką wolność złotą... Odsapnąwszy. A może jeszcze lepiej - wykupujcie tę książkę, wykupujcie po to, aby ją zniszczyć, aby nie dostała się w ręce ludzi nieświadomych. Wszak to książka grzeszna, tylko potępienia najwyższego godna.

POCZTYLION: Hej ty, kusy diable w ruskim żupanie, gdzieś go dostał, nie w Petersburgu czasem? Śmiech zgromadzonych.

GŁOS I: Szpicel ruski! Nie po polsku mów!

GŁOS II: Pełno ich teraz wszędzie, gdzie tylko się trochę luda zbierze. GŁOSNI: Utopić szpiega!

GŁOS I: Tak bez sądu - nie można. Tu Polska, nie Moskwa. Mackrott oddala się. Nie chce zbyt wiele ryzykować.

* * *

Oto Wieliczka. Sławna od wieków kopalnia soli, już we władaniu Austrii. Słychać niemiecką mowę dozoru kopalni.

STASZIC: Ten skarb naszej ziemi oddaliśmy bez jednego wystrzału. Podprowadza rodzinę Zamoyskich do schodów prowadzących w dół kopalni. Musicie państwo pokonać pierwszą kondygnację, liczącą trzysta sześćdziesiąt schodów, druga i trzecia kondygnacja ma po sto pięćdziesiąt schodów. Ja jadę na dół szybem i tam poczekam na was. Podchodzi do szybu i wita się ze sztygarem, sadowi na siodełku, chwytając linę i zjeżdża z jej pomocą na dół, w głąb kopalni. Tam, czekając na Zamoyskich, stukając młotkiem w ściany. Przygląda się odłupanym kawałkom soli i coś notuje w świetle kaganka. Spotyka się z rodziną ordynata, prowadzoną przez sztygara. Razem zwiedzają wyrobiska. Droga prowadzi do kaplic wyrzeźbionych w pokładach soli. Wszyscy, łącznie z ordynatowiczami, zachwycają się artystycznym wykonaniem tych dzieł, nie mających sobie równych w świecie.

Powrót na powierzchnię. Staszic cały czas rozmawia ze sztygarem. STASZIC: Jaki jest układ złóż soli? Jak biegną w dół?

SZTYGAR: A po co księżdu to wiedzieć?

STASZIC: Jak nam zabrano Wieliczkę, to chciałbym znaleźć jakieś złoża soli dla Polski. Stąd chyba biegną gdzieś poza granicę zaboru austriackiego.

* * *

Warszawa. Ambasada Rosji. Poszukiwanie autora „Uwag” i „Przestróg dla Polski”.

Dwaj szpiedzy nie mogą poszczycić się nowymi ustaleniami.

EKSCLENCJA: Poruszacie się jak muchy w smole! A te książki nam szyki psują.

MACKROTT: Przeważają wśród wolnomularzy.

SEKRETARZ: Ale rób to zręcznie, bez najmniejszych podejrzeń.

AUBERT: Szukam kogoś wśród polskich jakobinów. Namnożyło się już mnóstwo tych zwolenników rewolucji francuskiej. Chętnie by już wieszali winowajców, oczywiście bez sądu.

EKSCLENCJA: Nie filozofować. Konkretnie nazwisko jest nam potrzebne.

MACKROTT: To może być Zabłocki. Pisze teraz pamflety wierszem. Mógł więc wcześniej spłodzić teksiążki prozą.

AUBERT: Mnie to wygląda na Niemcewicza. Trochę pachnie Powrotem posła.

SEKRETARZ: Niemcewicz i Zabłocki lepiej władają piórem od autora Uwag.

Ambasador trzyma w ręku „Przestrogi dla Polski”. Rzuca książką w stronę Mackrotta.

EKSCLENCJA: Znajdź mi fragment, poświęcony doli chłopca.

Mackrott podejmuje książkę z podłogi. Nerwowo przerzuca stronice.

EKSCLENCJA: Czytaj! Ale z przejęciem.

MACKROTT: Czyta. „Pięć części narodu polskiego stoi mi przed oczyma. Widzę miliony stworzeń, z których jedne wpólnego chodzą, drugie skórą albo ostrą siermięką okryte; wszystkie wyschłe, znędniałe, obrosłe, zakopcałe; oczy głęboko w głowie zapadłe, dychawicznymi pierściami bezustannie robią. Posępne, zadurzałe i głupie; mało czują i mało myślą; to ich największą szczęśliwością. Ledwie w nich dostrzec można duszę rozumną. Ich zwierzchną postacią z pierwszego wejrzenia więcej podobieństwa okazuje do zwierza niżeli do człowieka. Chłopi ostatniej wzdęty nazwisko mają. Tych żywnością jest chleb z śrutu, a przez ćwierć roku samo zielsko; napojem woda i palęca wewnętrzności wódka. Tych pomieszkaniem są lochy, czyli trochę nad ziemię wyniesione szalasy. Słońce tam nie ma przystępu; są tylko zapchane smrodem i tym dobrotnym dymem, który, aby podobno mniej na swoją nędzę patrzali, zbawia ich światła; aby mniej cierpieli, i w dzień, i w nocy dusząc, ukraca ich życie mizerne, a najwięcej w niemowlęcym wieku zabija. W tej smrodzie i dymie ciemnicy dzienną pracą strudzony gospodarz na zgniłym spoczywa barłogu; obok niego śpi mała a naga dziatwa na tym samym legowisku, na którym krowa z cielęciami stoi i świnia z prosiętami leży... Dobrzy Polacy, oto rozkosz

tej części ludzi, od których los waszej Rzeczypospolitej zawisł! Oto człowiek, który was żywi! Oto stan rolnika w Polsce”.

SEKRETARZ: No, mówić mi, kto tak może pisać?

AUBERT: Wśród pismaków pojawił się Józef Pawlikowski, zdeklasowany szlachcic, syn kowala, podejmujący kwestie agrarne. W głośnych traktatach O poddanych polskich i Myślach politycznych dla Polski ten radykał, jakobin, podobnie formułuje swoje myśli.

MACKROTT: Pawlikowski działał najpierw w Krakowie, teraz mać w głowach stołecznych gości. Kręci się wśród sejmującej braci i podsycza ogień.

* * *

Wenecja. Zamoyscy patrzą na gondole. Staszic kręci nosem.

STASZIC: Co za śmierdzące miasto! Wpatruje się w domy. Wszystkie nieczystości wylewają oknami do morza. Nachyla się nad wodą i znów kręci nosem. Oczywiście, woda też tu cuchnie.

ORDYNAT: Zatem wiemy już wszystko o Wenecji. Możemy ruszać dalej. Tym sposobem szybko zwiedzimy całe Włochy. Wszyscy się śmieją.

* * *

Warszawa. Ambasada rosyjska. Czwórka tropicieli autora „Uwag nad życiem Jana Zamoyskiego” nie potrafi dokonać konkretnych ustaleń.

EKSCLENCJA: To, co te agenciaki nam tu zaserwowały, nie jest warte funta kłaków.

SEKRETARZ: Potwierdzam to w pełni, Ekscelencjo.

EKSCLENCJA: A czy autorem aby nie jest Andrzej Zamoyski?

SEKRETARZ: Uff... To całkiem prawdopodobne. Na jego twarzy pojawia się grymas, marszczy brew, zagryza nerwowo wargi. Już opanowany, przywołuje zza drzwi dwójkę agentów.

EKSCLENCJA: Mackott, gdzie jest teraz Zamoyski? Co robi ten polski Arystydes?

MACKROTT: Podróżuje po Włoszech z całą rodziną. Wyprawił się tam dla poratowania zdrowia.

EKSCLENCJA: Tu nam nasrał, a w słonecznej Italii oddycha świeżym powietrzem.

AUBERT: Ekscelencjo, przepraszam, że osmielałem się sprzeciwić, ale Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego pisał jednak ktoś młodszy niż ordynat. Widać to szczególnie po następnej jego książce Przestrogi dla Polski.

EKSCLENCJA: Mackrott, poczytaj nam coś z Przestróg dla Polski. Podaje mu egzemplarz drukowany potajemnie u Grölla.

MACKROTT: Ekscelencjo, śledzę wprawdzie aktorów, ale deklamator jestem lichym. Wymawia się.

SEKRETARZ: Nie rezonuj, tylko wczuj się w rolę autora, przeświadczonego o swojej misji.

MACKROTT: Czyta. „Powiem, kto mojej ojczyźnie szkodzi. Z samych panów zguba Polaków. Oni zniszczyli wszystkie uszanowanie dla prawa. Oni, rządowego posłuszeństwa cierpieć nie chcąc, bez wykonania zostawiali prawo. Oni zupełnie zgubili wyobrażenie sprawiedliwości w umysłach Polaków. Oni prawo zamienili w czczą formalność, która tylko wtenczas ważną była, kiedy prawo ich dumie, łakomstwu i złości służyło. (...) Kto na sejmikach uczy obywatela zdrady, podstępów, podłości, gwałtu? - Panowie. Kto niewinną szlachtę, najpoczciwiej i najszczerzej Ojczyźnie życzącą, oszukuje, przekupuje i rozpaja? - Panowie. Kto od wieku robił nieczynną władzę prawodawczą, rwał Sejmy? - Panowie. Kto sądowe magistratury zamieniał w targowisko sprawiedliwości albo w plac pijaństwa, przekupstwa, przemocy? - Panowie. Kto koronę kupował? - Panowie”.

EKSCLENCJA: No, niezły z ciebie aktor, kanalio. Po chwili. A teraz zobaczymy, co potrafi drugi naturalizowany Polak. Zobaczymy, czy pobijesz swojego rywala. Obaj jesteście biegli w słowie. Trzy razy klaszcze w dłonie.

AUBERT: Kłania się. „Kto wojska obce do kraju wprowadzał? - Panowie. (...) Kto od pewnego czasu, niby to czynność Sejmu powracając, zamienił wolę Narodu w wolę Dworu Moskiewskiego? - Panowie. Kto sprzedawał Polaków? - Panowie. Kto przy rozbiórce kraju brał zagraniczne pensje? - Panowie. Kto na teraźniejszym Sejmie przeszkadzał do wojska, nie pozwalając na Komisję Wojskową? - Panowie. Tak jest: panowie przyprowadzili kochaną Ojczyznę do tego stopnia upadku, słabości i wzgardy, z której ją dzisiaj z taką trudnością - dla przeskody tychże Panów - sama szlachta dźwiga”.

EKSCLENCJA I SEKRETARZ: Bravo, brawo, brawo!

Romuald Karaś



Jerzy Niesiołędzki to autor o solidnym dorobku. W centrum jego krytyczno-publicystycznych zainteresowań od lat sytuuje się teatr. Nie inaczej stało się w przypadku zbioru esejów powstałych w ostatnim dwudziestoparoleciu i w 2014 roku wydanych pod wspólnym tytułem *Ciemniejący horyzont*¹. Dotykają one przede wszystkim kwestii światopoglądowych oraz politycznych, które co prawda dotyczą przeszłości, lecz znajdują rezonans w dzisiejszym świecie. Pretekstem i zarazem punktem wyjścia do rozważań Niesiołędzki uczynił teatr, wyznaczając mu rolę narzędzia poznawczego, pryzmatu, poprzez który dostrzec można ważne problemy otaczającego świata.

Przez eseje przewija się kilka wiodących tematów. Jednym z nich jest zagadnienie miejsca i roli kultury. Po zniesieniu w Polsce cenzury autorytarnego systemu, jej rozwój miały wyznaczać wartości, których w poprzedniej epoce z zapalem i poświęceniem broniła sztuka opozycyjna. Stało się jednak inaczej. W warunkach nowej rzeczywistości – jak określa ją Niesiołędzki – liberalno-kapitalistycznej, oto nagle wartości, w które dotąd wierzone okazały się utopią, zaś kultura (przede wszystkim sztuka) stała się towarem, który mógł funkcjonować na rynku, jeśli podporządkował się jego prawom. O ile wcześniej, w czasach komunizmu, pożywkę dla polskiej elity intelektualnej tworzyła napływająca z Zachodu fala twórczości wybitnych pisarzy, dramaturgów, poetów (licznie pojawiały się tłumaczenia Camusa, Brechta, Brechta, Ionesco, Fitzgeralda, Hemingwaya, Strindberga, by wymienić tylko niektóre nazwiska), o tyle po roku 1989 kultura, która miała zyskać długo oczekiwaną podmiotowość i jako taka pełnić rolę współkreatora wzorców, z wysokości upragnionego ideału błyskawicznie stoczyła się do poziomu bruku. Oczywiście, pojmowana jako nośnik wartości przede wszystkim moralnych, religijnych, obyczajowych oraz estetycznych, zawsze była w mniejszym lub większym stopniu zniewolona przez rywalizującą formację polityczną w myśl zasady, że ten kto panuje nad kulturą danego społeczeństwa, tym samym zdobywa nad nim władzę. Na polu, na którym niegdyś walczyły szeroko rozumiane lewica i prawica, pojawił się jednak trzeci przeciwnik – kapitał. W tym starciu zwycięzca absolutny. Na skutek naporu (i dyktatu) rynku – podkreśla Niesiołędzki – „dewastacji” uległ cały obszar kulturowy, który dotąd współdecydował o kształcie stosunków społecznych. Nie można się z tym nie zgodzić. Proces, który krytyk nazywa barbaryzacją kultury stał się faktem i trwa do dziś, wykazując tendencję rosnącą. Kultura przestała odbiorcy coś proponować, odwrotnie – sama produkuje towar, zgodny z zamówieniem masowego (niewybrednego) klienta. Stała się przy tym elastyczna i uniwersalna, niby barometr czuła na każde drgnięcie potrzeb oraz życzeń własnego targetu. Dotychczasowi potencjalni odbiorcy wartości kulturowych przeistoczyli się w zwykłych konsumentów, nabywających taki czy inny towar lub usługę – jakąś niewyszukaną powieść (bo na pewno nie poważną literaturę, jako że ta wymaga intelektualnego potencjału oraz wrażliwości, często nie danych przeciętnemu odbiorcy literatury tzw. masowej), jakiś film (najlepiej romantyczną komedię lub ciągnącą się latami telenowelę), albo koncert pseudogwiazdy, wylansowanej za pomocą sprawnego marketingu. Komeracja, towar, odbiorca, zysk – to pojęcia zaczerpnięte z nowego dyskursu o kulturze, dowodzącego usytuowania jej wśród – jak się okazuje – rentownych obszarów gospodarki. Chciałoby się gorzko zażartować: dobrze, że przynajmniej rentownych – zawsze to jakiś pozytyw. Ironia to wszak z kategorii (tu ukłon w stronę sympatii Niesiołędzkiego do rosyjskiej literackiej klasyki) gogolowskiego „śmiechu poprzez łzy”. Powołany do życia przez nową rzeczywistość, z niemą pomocą mediów, menedżeryzm kultury zamienił „człowieka wewnątrz-sterownego” w „jednostkę zewnątrz-sterowną” (Niesiołędzki podąża tu za myślą Dawida Riesmana) – konformistyczną, bezrefleksyjnie przyjmującą narzucane z zewnątrz opinie, goniącą za modą.

Kojarzony z przemianami światopoglądowymi, politycznymi, ekonomicznymi postęp cywilizacyjny zapładnia kulturę nową problematyką, ale równocześnie – tu Niesiołędzki powołuje się na Gyorgy’ą Lukács’a – tłumi najistotniejsze sfery duchowej działalności społecznej (s. 109). Konkluzja jest tu jednoznaczna: wpisana w pragmatykę popytu i podaży, podporządkowana regułom wolnorynkowym, kultura powoli samounicestwia się. Niesiołędzki rozważa skutki tego procesu. Kultura z założenia jawi się jako fundamentalny obszar podmiotowej samorealizacji obywateli i zarazem główny regulator funkcjonowania społecznego systemu jako całości (Niesiołędzki wykorzystuje tu pogląd Daniela Bella – s. 109). Postrzega się ją jako medium niezależnej wymiany opinii, przy zakłóceniu funkcjonowania którego „niezależne relacje obywatelskie stają się fikcją” (to już zaś z definicji Benjamina Berbera – s. 56). Zgodnie zatem z prawem sylogizmu upadek kultury implikuje kryzys demokracji.

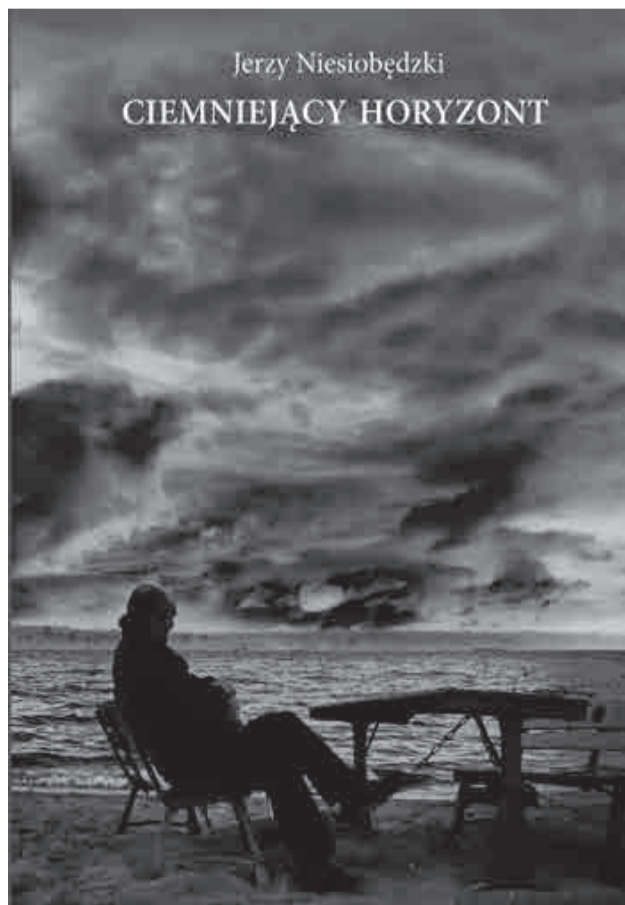
Niesiołędzki nie wskazuje dróg wyzwolenia kultury od ekonomicznego szantażu. Jak podkreśla, licznym koncepcjom, budzącym nadzieję na etapie rozważań teoretycznych, w obszarze zastosowań praktycznych przypada zwykle rola daleka od oczekiwanej. Przez eseje Niesiołędzkiego przewija się jednak protest przeciwko bezrefleksyjnej akceptacji zmieniającej się rzeczywistości. Podążając za myślą Arthura Millera powiada: „[...] jeśli

komunistyczna utopia w trakcie swojej realizacji okazała się złem, historyczną anomalią, to – z drugiej strony – rozkład komunistycznych reżimów, przynosząc pożądane przez wszystkich poszerzenie wolności, przyczynił się też – wskutek kompromitacji mitu – do utrwalenia postaw konformistycznych. Dla Millera – i miejmy nadzieję, że nie tylko dla niego – sprawa nie wygląda tak, że skoro komunizm upadł, świat trzeba przyjmować takim, jakim jest, że trzeba uznać kapitalistyczną «normalność»” (s. 23–24).

Abstrahując od konotacji politycznych, które rodzi zacytowana wypowiedź, nie da się nie zgodzić z tezą, że uległość kultury wobec kultu zysku – fundamentalnej cechy kapitalizmu – nie tylko wówczas kiedy esej powstawał, ale i dzisiaj (albo przede wszystkim dzisiaj) zatrwaja. I postawa wobec tego faktu – zwłaszcza intelektualnych elit – winna wykraczać poza samą konstatację takiego stanu rzeczy.

Kolejnym tematem, który pojawia się w tych esejach, są rozważania o granicy wolności interpretacji sztuk teatralnych oraz wizji inscenizatorskich. Zaczniemy od truizmu. Inszenizacja teatralna najczęściej stanowi – by użyć Ingardenowskiego pojęcia – konkretyzację dramatu, a więc materiału literackiego. Może on być potraktowany na dwa sposoby. Z jednej strony jako wizja dramaturga, autora sztuki, która w sposób wierny zostaje przeniesiona na deski teatru, z drugiej zaś jako przyczynek do stworzenia przedstawienia, czy jak się dziś mówi – projektu, stanowiącego subiektywne reżyserskie spojrzenie na tekst kanoniczny. Nie ma problemu, jeśli wyobrażenie autora inscenizacji odbiega od pierwowzoru wyłącznie w warstwie obrazowej, zachowując pierwotną ideę sztuki. Nierzadko rodzą się w ten sposób realizacje wybitne, które nie tylko nie zubożają treści, lecz przeciwnie – wyostają sensy, pogłębiają barwy, intrygują, prowokują do szczególnej, twórczej intelektualnej aktywności. W długiej historii teatru bywało jednak, że sztuki teatralne traktowano li tylko jako tworzywo, z którego – często z trudem pokonując opór materiału – konstruowano nowy byt, zgodny z duchem panującej (zwykle jedynej słusznej) ideologii.

Niesiołędzki przywołuje przedstawienia dwóch sztuk Nikołaja Erdmana: *Mandatu* i *Samobójcy*, które w latach osiemdziesiątych stały się jednym z istotnych wydarzeń życia teatralnego zarówno w Związku Sowieckim, jak i w Polsce. Pierwsze polskie publikacje, dotyczące dramaturgi Erdmana, osadzały je w ślad za słowami Wsiewołoda Meyerholda w tradycji satyry antymieszcząńskiej bliskiej Gogolowi czy Suchowu-Kobylinowi. W podobnym kluczu interpretowano je również w Rosji, gdy po latach przymusowej nieobecności wreszcie mogły zaistnieć na deskach rosyjskich teatrów. Wkrótce jednak zmiana klimatu politycznego w Moskwie poskutkowała odwrotność od tradycyjnych interpretacji, aby z każdą kolejną recenzją dostrzegać w sztukach Erdmana coraz większy ładunek treści antyreżimowych. Co więcej, realizując pierestrojkowe tendencje ostatecznego rozliczenia sowieckiego totalitaryzmu, zarówno *Mandat* jak i *Samobójca* nie tylko odcięte zostały od antymieszcząńskiej tradycji rosyjskiej dramaturgii, ale awansowały do miana sztuki promieszcząńskiej, a nawet – jak zauważa Niesiołędzki – proburżuazyjnej. Słowem, sztukom tym nadano wymiar utworów jednoznacznie antyreżimowych, które jakoby wyrażały sprzeciw rosyjskiego dramaturga wobec zbliżającego się terroru stalinizmu. Doskonale wpisywało się to w – kulturowane w Związku Sowieckim czasów pierestrojki – postrzeganie (a właściwie – polityczne wartościowanie) świata.



Podobny mechanizm został wykorzystany w odniesieniu do twórczości Bertolta Brechta. Niesiołędzki przypomina ton krytyki literackiej po 1989 roku, głoszącej, że już „nie ma dobrej pogody dla Brechta”, który to chciał teatr „zamienić w trybunę marksistowskiej utopii”² (s. 60). Niemieckiego dramaturga oceniono jednak jako postać zbyt ważną, aby ot tak, po prostu, jego sztuki wyprzeć poza margines teatralnego repertuaru. Ocalał więc Brecht dla kultury poprzez „neutralizowanie” go jako propagandowego trybuna upadłej komuny. Drogą zabiegów adaptacyjnych politycznie prostowano jego sztuki, głównie za pomocą konsekwentnego sprowadzania ich walorów wyłącznie do wartości estetycznych. Przewrotna satyra Brechta gubiła się – jak w przywołanym przez Niesiołędzkiego telewizyjnym spektaklu *Życia Galileusza*, wyreżyserowanym przez Macieja Prusa – w bogactwie renesansowej architektury, feerii barw, grze światła i efektowności wyszukanych kostiumów.

Metoda swoiście pojętej reinterpretacji utworów (a w istocie ideowej manipulacji, prowadzącej do deformowania materiału kanonicznego), które odbiegały od panujących tendencji politycznych, polegająca na przekształceniu ich w politycznie poprawne, to mechanizm standardowy. Wśród innych twórców, którzy doświadczyli podobnych reinterpretacyjnych dobrodziejstw, wymienić można między innymi Maksyma Gorkiego oraz Witkacego.

Inszenizacje prozy Fiodora Dostojewskiego na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku stały się manifestacją rosnącej w teatrze niechęci wobec skrajności awangardy. Sposób postrzegania człowieka, który w dramaturgii Geneta, Ionesco czy Becketta, rzucony w awangardowe skrajności, podlegał reifikacji, zastąpiło traktowanie go w sposób wieloplanowy i syntetyczny, rehabilitując w ten sposób w teatrze nurt psychologizmu. Niesiołędzki, który często i chętnie sięga do klasyki rosyjskiej literatury, charakteryzuje znaczące w owym czasie inscenizacje prozy Dostojewskiego. Zdaniem krytyka łączy je – przy wszystkich zaletach – wspólny niedostatek, mianowicie niedocenywanie – kluczowej dla poetyki rosyjskiego pisarza – warstwy filozoficzno-politycznej. Najbardziej dostało się Andrzejowi Wajdzie. W trzech wyreżyserowanych przez niego głośnych przedstawieniach: *Biesach*, *Nastazji Filipownie* (na podstawie *Idioty*) oraz *Zbrodni i kary* interesowała go – co sam deklaruował – galeria postaci, uchwycona „w momencie straszliwego skurczu i szaleństwa” (s. 38), i ów dramat stał się dla reżysera „istotniejszy niż konstatacje natury intelektualnej” (s. 38)³. „Oświadczając, że w prozie Dostojewskiego odkrywa wspólnie dramaturgiczne postaci, Wajda właściwie nie odkrywał niczego [...] Powiedzmy szczerze, Wajdy rewelacje na temat Dostojewskiego graniczą z truizmami” (s. 38) – podsumowuje Niesiołędzki. Przywołuje również inne znane spektakle: dwie krakowskie inscenizacje *Zbrodni i kary* w reżyserii Macieja Prusa i Andrzeja Wajdy oraz *Zbrodnię i karę* w moskiewskim Teatrze na Tagance, toruńskie przedstawienie *Idioty*, a także kolejną realizację *Biesów*, tym razem w Teatrze Wybrzeże. Na wymienionych inscenizacjach prozy Dostojewskiego odciskał piętno neomodernizm z metafizyką duszy, projekcjami podświadomości oraz wiwiskcją pierwotnych ludzkich instynktów. I znów – stwierdza Niesiołędzki – eksplozja inscenizacyjnego neoekspresjonizmu poprzez eksponowanie ekstremalnych emocji, skutecznie wyeliminowała z przedstawienia refleksję. Trudno się z nim nie zgodzić. Już sam Dostojewski protestował przeciw odbieraniu jego twórczości wyłącznie poprzez pryzmat psychologizmu. Pisarz zagłębia się w ciemne otchłanie ludzkiego „ja”, eksperymentuje z naturą człowieka, bada jej granice, poddając działaniu – jak powiada Nikołaj Bierdiajew – dionizyjskiego „wichru ekstazy” oraz ognia⁴. Jego dzieła są jednak przede wszystkim traktatami filozoficznymi, dotykającymi spraw człowieka w sytuacjach granicznych. Przedstawiane idee Dostojewski personifikuje, w jakimś sensie nadając swoim utworom ideologiczną formę religijno-moralnego dramatu, rozstrzygającego zagadnienia związane z tajemnicą człowieka i jego relacji z Bogiem. Interesuje go zwłaszcza jednostka, której życiowym drogowskazem stała się ciemna strona „ja” – człowiek wpłatany w sieć „przeklętych problemów”, zanurzony w grzech, opętany ideą. Idea leży u podstaw psychicznego rozedrgania, duchowego rozdarcia postaci. Obraz bohatera Dostojewskiego oddzielony od obrazu idei, uwolniony od uwikłań w politykę, filozofię i historię, traci swoją istotę i uniwersalność.

Niesiołędzki stawia wyraźne pytanie o granice swobody interpretacji materiału literackiego i wolności inscenizatorskich wizji. Materiał egzemplifikacyjny stanowią dla niego nie tylko inscenizacje prozy Dostojewskiego, sięga również do historii teatru. Ewolucja sztuki teatru – pisze – dokonywała się wolno i ostrożnie. Dużą wagę przywiązywano do bogactwa tradycji. Respektowano poetyki, style, konwencje i formy ekspresji teatru wieków minionych. Dwudziestowieczny teatr przez lata uznawał zasadę inscenizowania sztuk z zachowaniem piętna dramaturgicznego i teatralnego stylu epoki, w której powstały. „Dziś możemy to już tylko wspominać” – czytamy w *Ciemniejącym horyzoncie*. Współczesny teatr wyabstrahuje materiał literacki, jakim jest wystawiany dramat, z kontekstów realnego świata. Likwiduje relacje między znakami a ich desygnatami, czyniąc z owych znaków czyste tworzywo do realizacji reżyserskich wizji, zwykle odbiegających od tekstu wyjściowego. Pierwotną poetykę wypiera aktualnie panujący trend, zaś tzw. swoboda twórcza staje się tożsama z wolnością (dowolnością) przeinaczania (fałszowania) treści, konwencji, stylów i poetyk.

Inscenizatorzy uzurpują sobie prawo traktowania wszystkiego, co w toku historii wydarzyło się w teatrze i dramaturgii, jako materiału, którym mogą dysponować wedle własnego uznania. Wolność inscenizacji przybrała formę – mówiąc słowami Niesiobędzkiego – „destrukcyjnego siebiepaństwa” (s. 117).

Nowoczesność (dziś ponowoczesność) zainicjowała Wielką Reformę Teatralną. Jej zasługą stały się działania na rzecz wzbogacenia repertuaru europejskich teatrów. Dokonania takich wielkich postaci jak: Reinhardt, Antoine, Craig, Stanisławski, Meyerhold, Piscator, by wymienić tylko niektórych, rozszerzały poznawcze horyzonty teatru, ale – tu zacytujmy Niesiobędzkiego – „chodź to im również, a może i przede wszystkim, o inną niż na scenie poddanej rutynie akademizmu, głębszą penetrację rzeczywistości” (s. 117). Mowa tu jednak o wolności kształtowania repertuaru, nie zaś dowolności teatralnej realizacji. Oczywiście właśnie z Wielkiej Reformy wywodzi się pojęcie reżysera, który własnym widzeniem świata naznacza inscenizację, nie ma to jednak nic wspólnego z – ponownie sięgnijmy po słowa Niesiobędzkiego – „rozszerzaniem na strzępy całej teatralnej tradycji” (s. 118). Dzisiejszy teatr krytyk ocenia jako niepotrzebnie epatujący fajerwerkami, które zasłaniają ideę, zaledwie ślizgający się po powierzchni prawdziwej sztuki, z klasyki zaś czerpiący tylko to, co harmonizuje z „preferencjami multimedialnych mód konsumpcyjno-rynkowych” (s. 119). Funkcja sprzedażowa usunęła w cień funkcję estetyczną, mniej lub bardziej szokująca forma wyparła, osadzoną w duchowo-intelektualnych kontekstach, treść.

W opisywanym zbiorze dwa eseje Niesiobędzki poświęca poglądom Władimira Kantora, które zawarte są w jego monumentalnym dziele „Rosyjska klasyka lub byt Rosji”. Rosyjski pisarz, historyk i filozof stawia tam tezę, że główny ciężar budowania oraz kultywowania relacji między azjatycko-rosyjskim Wschodem a Zachodem spoczywał na pisarzach – twórcach rosyjskiej klasyki. Ich imperatywowi nadania rosyjskiej kulturze wysokiej rangi towarzyszyła świadomość, że nie sposób to osiągnąć bez uwzględnienia dokonań przedstawicieli sztuki i myśli Zachodu. Niesiobędzki za Kantorem szkicuje obraz procesu rosyjsko-europejskich zbliżeń i oddaleń, odzwierciedlających podejmowane przez Rosjan, najczęściej niestety nieudane, próby adaptowania zachodnich cywilizacyjno-kulturowych wartości. Rosyjska literacka klasyka poświadczająca ów złożony proces europeizacji Rosji, stanowiąc jednocześnie jego ważki stymulator.

Nadrzędną myśl *Rosyjskiej klasyki* stanowi przekonanie o istnieniu w mentalności Rosjan rodzaju destrukcyjnej mocy, która wciąż niszczy pojawiające się w Rosji początki cywilizacji. Energia ta przenika również klasyczną literaturę. Niesiobędzki podąża śladem wywodu Kantora i sięga do lat siedemdziesiątych XIX stulecia, kiedy znaczna część rosyjskich pisarzy, artystów i myślicieli dała się uwieść ideom, głoszącym powrót do „pierwotnych, przedcywilizacyjnych energii, mających sprzyjać postępowi z pominięciem ognia kapitalizmu” (s. 137). Mowa o postępie w duchu narodników, narodowolców, wreszcie bolszewików. Kantor wskazuje winnych, przynajmniej tej największej, rewolucyjnej katastrofy. Nadejście barbarii, bo tak – jego zdaniem (zresztą nie tylko jego) – należy postrzegać bolszewizm, w jakimś sensie sprowokowała twórczość Lwa Tołstoja, którego osądzał jako przedstawiciela „azjatyckiej wiary w prawdę”, dodajmy – otwarcie występującego przeciwko cywilizacji, afirmującego egzystencję zgodną z pierwotną naturą, z dala od zdobyczy kultury Zachodu. Rozpoznanie to potwierdza – w przekonaniu Kantora – twórczość Fiodora Dostojewskiego, gdzie sielankowa egzystencja rodem z Tołstojowskiej Jasnej Polany zamienia się w apokalipsę karamazowszczyzny.

Rozważania zawarte w *Ciemniejącym horyzoncie* delikatnie pokryte patyną anachroniczności przeplatają się z wciąż aktualną refleksją o świecie. Szkoda, że poszczególne eseje nie są opatrzone datami powstania. Dyskurs osadzałby się wówczas w konkretnym historycznym kontekście, co zdecydowanie ułatwiłoby jego odbiór. To nie zarzut, tylko spostrzeżenie. Jest jednak coś, co w zbiorze esejów Niesiobędzkiego przeszkadza. Autor wyraźnie akcentuje niechęć do formacji prawicowych, postrzeganych przez niego jako rodzaj ekstremum – krzewicieli wszelkich odsłon antyświeceniowego fundamentalizmu. Już lektura początkowych esejów, zamieszczonych w zbiorze, z pewnością orientuje czytelnika w politycznych sympatiach i antypatiach autora, czytając więc kolejne odczuwa się pewien przesyt. Dotyczy on także, powracających niby *leitmotiv*, ekskursów, wymierzonych w istotę kapitalizmu, gdzie autor, wykorzystując różne odcienie ironii, z tego polityczno-ekonomicznego systemu czyni demona, inicjującego wszelkie zło świata, w którym – i tu zacytujmy – „gangsteryzm przedstawia się jako cenę obywatelskich swobód, wyzysk jako godną szacunku przedsiębiorczość, egoizm jako ekspansję szlachetnego indywidualizmu” (s. 59). Razi nie sama myśl autora, bo do niej przecież ma prawo, tylko intensywność wypełnienia nią dyskursu, niebezpiecznie zbliżającą się do narzucania odbiorcy określonej optyki.

Mirosława Michalska-Suchanek

PS. Na koniec warto jeszcze odnotować niezwykle udaną koncepcję okładki *Ciemniejącego horyzontu*. Zaprojektowana z wykorzystaniem fotografii Sybilki Storie doskonale oddaje klimat książki, stanowiąc przykład idealnego współgrania obrazu i tekstu.

¹ Jerzy Niesiobędzki: *Ciemniejący horyzont*. Gdańsk: Fundacja Światło Literatury 2014.

² Są to wyimki z artykułu Adama Krzemińskiego. W: Idem: *Efekt obcości*. „Dialog” 1989, nr 2.

³ Niesiobędzki przytacza słowa Andrzeja Wajdy zaczerpnięte z wywiadu, którego udzielił „Życiu Literackiemu” w 1971 roku po premierze *Biesów* na scenie krakowskiego Starego Teatru.

⁴ M. Bierdiajew: *Światopogląd Dostojewskiego*. Przeł. H. Paprocki, Kęty 2004, s. 25-26.

Transformacja ustrojowa pociągnęła za sobą szereg zmian, które z perspektywy początku lat dziewięćdziesiątych wydały się niezwykle niepokojące. Niewątpliwie w świadomości społecznej większość z nich pozostaje takimi do dzisiaj, choć zmieniło się ich rozumienie, jako, mimo wszystko, nieodłącznego przejawu funkcjonowania społeczeństwa w realiach gospodarki wolnorynkowej. Dotkliwie dał się odczuć przymus dostosowania do nowych warunków ekonomicznych, co znalazło swój wyraz w narzekaniach ówczesnego establishmentu kulturalnego na brak środków do życia i w jego tęsknocie za szczytnym mecenatem państwa. Młodzi twórcy nie narzekali (nie mieli też za czym tęsknić), lecz wzięli się do ciężkiej pracy dla zupełnie innego protektora, jakim okazała się publiczność spragniona nowego przesłania i nowego języka. Wówczas była to wystarczająco szeroka publiczność.

Kształt „nowego” w życiu kulturalnym czasu przełomu kształtuje głównie chwiejna sytuacja polityczna, skutkująca pełnym odwróceniem się od polityki młodych twórców, i swoisty chaos idei. Zatem nie bez racji okres ten próbowano nazwać – RPRL, wyśrodkowując w ten sposób wszystko: stary i nowy ustrój, odstawioną do lamusa przeszłość i rysującą się (jakby we mgłę) przyszłość, szarą rzeczywistość i całą pstrokatą mitologię kultury masowej, a także literaturę zaangażowaną politycznie (niezależnie od tego, które skrzydło reprezentowała) i literaturę „pop-liberalną”.

Nastąpił przełom. Przy jego ogromnej randze dla współczesnej literatury polskiej i życia kulturalnego kraju należy mocno się upierać. Opinie rozgorzconych i często nieuważnych krytyków w tamtym okresie nie przesłoniły, w ostatecznym rozrachunku, rzeczywistej wartości utworów powstałych w ostatniej dekadzie dwudziestego wieku, a otwierających zupełnie nowy rozdział polskiego piśmiennictwa.

Pomstowanie na brak godnych następców Miłosza, Różewicza czy Barańczaka wynikało po części z braku umiejętności porównania tego, co oferuje ówczesne młode środowisko, z dorobkiem wypracowanym na przykład przez Nową Falę i jeszcze wcześniej, przez tak zwane pokolenie „Współczesności”. Twórczość generacji, którą zwykło łączyć się z najważniejszym jeszcze na początku lat 90. pismem młodoliterackim – „bruLionem”, charakteryzował dystans wobec dorobku „konspiry”, „Solidarności” i temu podobnych mitów założycielskich III RP.

Autorzy skupieni wokół „bruLionu” przejawiali brak zainteresowania aktualnymi problemami politycznymi oraz, w pewnym sensie, także społecznymi; starali się ponadto okazywać swoją wyższość wobec tych sfer życia publicznego, które mogłyby szybko obrócić się przeciwko nim samym i ich działalności literackiej. Odwrócenie się od wszelkich etosów oraz nie podejmowanie na serio żadnych wątków narodowo-cierpiętniczych, które pojawiały się w tekstach starszych kolegów po piórze, przybrało dla tego pokolenia kształt kontestacji wszelkich wartości – utrudniającej zarazem jego legitymizację w środowiskach stanowiących stary establishment.

To pokolenie budowało swój własny etos (a nawet dwa skrajnie odmienne, o czym później), a także tworzyło programy literackie na miarę własnych potrzeb i ambicji.

Próbą włączenia młodych poetów do ustalonych rodowodów estetyczno-ideowych było przypisanie Adamowi Zagajewskiemu roli patrona generacji autorów urodzonych w latach 60. i 70. Ten niefortunny w gruncie rzeczy pomysł pokazuje już sam w sobie przykrą prawdę o kondycji krytyki literackiej w RPRL. Tak naprawdę, z której strony nad literackie poletko RPRL nadeszły młode chmury pełne kwaśnego deszczu?

Czas debiutu najbardziej znanych i obiecujących przedstawicieli pokolenia, w szczególności środowiska związanego z krakowskim „bruLionem”, zbiegł się w czasie, mniej więcej, z ukazaniem tak zwanego niebieskiego numeru „Literatury na Świecie” (1986, nr 7), który szybko zdobył miano legendarnego. A legendarnego za sprawą Piotra Sommera – autora (bodajże jedyne w tamtym czasie) przekładów utworów poetyckich Franka O'Hary, które, pojawiając się we wspomnianym numerze, ustanowiły pewnego rodzaju punkt odniesienia dla rodzimych poetów, przynajmniej wpłynęły na ich zainteresowania estetyczne. O'Hara, niejako wyprzedzając swój czas, postulował jeszcze w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych oderwanie od spraw społecznych i skrajny indywidualizm w poezji.

Podsiadło, Baran, Sendeki, Grzebański, Biedrzycki, Melecki, Śliwka, Siwczyk i Świetlicki to „o'haryści” – znakomita większość. Zaś Koehler, Tekieli i Wencel to poeci wyniośli? uduchowieni? religijni? Jakkolwiek by ich nie nazywać, stanowią oni mniejszość – ważną głównie ze względu na uniwersalistyczne pretensje i konsekwentne dążenie do ich zaspokojenia w materii wiersza. Takie zestawienie mogłoby wydawać się dziwne, gdyby nie coraz mocniej zarysowujący się radykalizm poglądów drugiej z wymienionych grup – doprowadził on do wyparcia z „bruLionu” przez frakcję konserwatywną poetów anarchizujących, co w rezultacie przyczyniło się do likwidacji tytułu.

Ostatnie dwa numery „bruLionu” otrzymały stanowczo złe recenzje środowiska głównie ze względu na radykalną zmianę kursu ideowego. Robert Tekieli po nawróceniu na katolicyzm (w łazience – jak zapewniał na łamach!), postanowił przebudować oblicze największego swojego i kolegów dzieła; dzieła, które należy traktować jako jedno z największych dokonań tego pokolenia, tj. obecnych czterdziestoparolatów–pięćdziesięcioparolatów.

Marcin Świetlicki, szybko uznany za czołowego poetę środowiska, stojący w rozrywkach o dziwo gdzieś z boku – zupełnie nieangażujący się w życie redakcji, postanowił swego czasu ustosunkować się do zaistniałej sytuacji. Nie mogło obyć się bez pokruszenia kopii. Ograniczę się tylko do przytoczenia wiersza *Żegnaj lalczko 2*, który jest równie niedobry, co pozbawiony głębszego sensu, choć ma on (mówiąc kolokwialnie, tj. językiem pierwszego „bruLionu”) – dokopać redaktorowi naczelnemu:

Stare chłopy prowadzą rowery na techno.
Robert Tekieli (naturalnej wielkości)
wypędzający przekupniów ze swojej świątyni.
Jestem stary, nie dyskutuję, strzelam.
Powiedz im, żeby następnym razem przysłali tu
kogoś lepszego.

Jacek Podsiadło swój stosunek do światopoglądu reprezentowanego przez konserwatywne ramię pokolenia wyraził w słynnym wierszu o wymownym tytule: *List do papieża Jana Pawła Drugiego. Pocztą niedyplomatyczną*, a także w wierszu – *Krojąc mięso*, który przytaczam w całości:

Krojąc mięso dla kotów użyłem zamiast deski
złożonej na pół gazety. Nóż
zostawił dwa ślady na papierowym policzku
Stefana Niesiołowskiego.
Teraz lider Zjednoczenia
Chrześcijańsko-Narodowego wygląda jakby udawał
Matkę Boską i spogląda z wysokości stołu
na swoje owieczki koty.

Pytanie *Gdzie jest Polska?*, postawione przez Krzysztofa Koehlera w artykule pod takim właśnie tytułem („Debaty” 1994, nr 2), wydaje się całkiem nie dotyczyć Podsiadły, gdyż ten, pisząc kolejne wiersze przeciw państwu, formułuje wyraźne zalecenia dla następców w fachu poetyckim. Są one dalekie od wyidealizowanych wyobrażeń, zakorzenionych w zbiorowej świadomości Polaków, choćby takich jak sarmacka arkadyjskość, a brzmiały między innymi tak:

Bądź jak zwierzę i gwiazda rzucona w jedno ciało. [...]
Pisz wiersze przeciw czołgom, wiersze oczyszczające ścieki
przemysłowe.
Przyjrzyj się z bliska świecącemu oku śmy
(Spróbuj być Bogiem)

Módlmy się rzy kardynał, nasz premier stracił władzę
w nogach, lewą prawicę paraliż zniwala,
kardynałną zniwaga, niewybaczalnym błędem byłoby nie utrzymać
życia w różowych ustach, którymi włada krajem,
módlmy się, pokutujmy, kochajmy się nawzajem
(Drugi wiersz przeciw państwu).

Jest to stanowisko odmienne od tego wszystkiego, co wyznaje środowisko „Frondy”, nieistniejącej już „Arki” i dwu ostatnich numerów „bruLionu” (przeważnie to te same nazwiska). Nie bez powodu Wojciech Wencel, manifestujący w poezji wartości chrześcijańskie, pisał ironicznie o Podsiadły, że ten „przypomina innego modnego ostatnio prometejczyka, Andrzeja Leppe-ra, z jego najbardziej buntowniczym okresu”.

Czy zatem doszło do jakiegoś rodzaju dewaluacji ideałów? Podstarzali krytycy byli w tej materii zgodni, lecz wydawali się bazować na ukształtowanym już systemie wartości i wszelki anarchizm, prometeizm czy rockandrollowy bunt był dla nich obcy. Nie ma też czemu się dziwić, skoro anarchizm był swoistą formą odra-gowania chaosu idei – jedyną, pewną i najprostszą. Wystarczyło zanegować trudne do identyfikacji wartości, aby uzyskać wyraźny punkt odniesienia w coraz straszliwiej zagmatwanej rzeczywistości RPRL. Niemniej pojawiły się sprzeczności wywołane przez zderzenie wizerunku niepokornych poetów z kręgu „bruLionu”, chciałyby się rzeź, z prozą ich życia. Czas najgłośniejszych wystąpień tychże autorów przebiegał bowiem równoległe do naturalnego procesu zdobywania posad i rozpoczynania aktywności zawodowej. Wielu z nich znalazło zajęcie w rozwijających się, coraz bardziej liberalnych mediach – nie tylko telewizji czy radio, lecz także w szeregu gazet.

Ostatnie słowo niech i tak należy do Świetlickiego, mimo wszystko najpopularniejszego poety opisanej tu generacji – z wiersza *Do Zwisi i z powrotem (część druga)*:

Warszawa oklejona plakatami ze mną
na pierwszym planie, potem jest Sendeki,
a potem niewyraźni. Nie myślę, by tak się
miały tworzyć hierarchie...

Adam Majewski

(Na podstawie notatek z 2000 roku.)



GORZKI SMAK ŚWIATA

Świat był sklejonny
ale się rozdarł,

Piotr Gajda

Wiersz *Abdykacja*, otwierający najnowszy tom Piotra Gajdy zatytułowany *Golem*, to niewątpliwie jedna z bardziej poruszających i uczciwych autocharakterystyk, jakie ostatnio czytałem w najnowszej polskiej poezji. Ten wiersz nie tylko jednak przenikliwie diagnozuje naszą duchową i egzystencjalną sytuację, ale także zapowiada tonację oraz tematykę utworów składających się na *Golema*.

Podmiot wyznaje wprost:

(...) Oto jestem –
produkt i odpad ze wszystkich garbarni planety,
struga przemierzająca wszerz i wzdłuż

wszechświat dyzentarii. Cząstka pozbawiona
stempla na powłokach ukrytych pod martwicą dni.
Znieruchomiła pośród materii i gazu jak latawiec
z dzieciństwa w próżni wieku męskiego.

Sytuowanie siebie po stronie odpadów wskazuje na jednostkową ale też kulturową klęskę dzisiejszego człowieka, którego przecież uczono, że jest „na podobieństwo Stwórcy”. Najwyraźniej z tej godności zostało niewiele albo zgoła nic, skoro jest się tylko anonimowym „produktem i odpadem”, skoro istnieje się w rzeczywistości permanentnie chorej, zdegradowanej, ogołoconej z duchowości i sensu.

Bez mała w każdym wierszu z *Golema* znajdziemy obrazy, metafory, sformułowania, które trafiają w sedno naszej dzisiejszej kondycji, które zapisują naszą szamotaninę w poszukiwaniu sensu, racji, celu. Bohater wierszy Gajdy przeżywa świat jako permanentną prowizorkę, jako strukturę chwilową i płynną, w której niczego nie można ustalić i utrwalić. Porównuje rzeczywistość do „powypadkowej miąższości”, w której nie sposób odnaleźć życia i rozecznać kształtów. Jakie są przyczyny tak pożałowania godnego stanu rzeczy? Jest ich zapewne niemało, ale dwie od razu rzucają się w oczy: erozja tradycji i wiary. W wierszu *Ziemia jałowa* podmiot powiada o swoich przodkach:

(...) Od żadnego z nich
nigdy nie dostąpiłem daru, łyku
ożywczego soku, wszyscy byli jak

wielki, usychający baobab. Zajęci niby
mrówki, subtelni jak korniki drążące
korytarz w umierającym żywicielu,
ruchliwi niczym muchy na usychającym
lajnie.

A w wierszu *Vaterland* pyta:

(...) Z kim mamy unię? Ten żaloszny
pakt w imię przyszłości naszych miotów. Przymierze
krain jałowych niby rzeźnie. I niechęć ludu do noża

Redukcja przodków do insektów i owadów to nie tylko wyraz osobistego rozczarowania, najczęstszym mitologizowaną i infantyliżowaną, spuścizną, ale przede wszystkim kwestionowanie języka tradycji, ciągłości jako skutecznego międzypokoleniowego przekazu. Ten przekaz nie



spełnia swej roli, gdyż w miejsce realnej prawdy nieustannie podstawia iluzje, złudzenia, chwilowe i doraźne interpretacje, klecone pośpiesznie na takie czy inne polityczne albo społeczne zapotrzebowanie. Ten przekaz odbywa się w sferze niskiej, przyziemnej, horyzontalnej, już go nie stać na wertykalną, metafizyczną perspektywę.

Gajda nie ma także złudzeń co do kondycji dzisiejszej Europy wytrawionej z ideałów i dalekosiężnych wizji, pograżającej się w instytucjonalnej i proceduralnej stagnacji. Znowu, niestety, aktualna okazuje się metafora „ziemi jałowej”, z tą wszakże różnicą, że dzisiaj jest to jałowość konsumpcji, wygody, hedonizmu, a zarazem strachu przed ryzykiem wielkich wyzwań i decyzji.

Z religią i wiarą sprawa również nie wygląda dobrze:

(...) Zaprawdę wielu tym, co niegdyś
uwierzyli w loterię zbawienia, zostały okrucy
rozsypane pod naciągniętą sprężyną.

(Zdradzić sól)

Wiara, która zwycięża, nieuchronnie staje się instytucją, a ta, formalizując wiarę, wytrawia ją/może wytrawiać z najważniejszego; autentyzmu indywidualnego doświadczenia. Nie ma już

niezawodnego kompasu pokazującego kierunek. Nic więc dziwnego, że „Dni są zdezorientowane jak notatki z domu/ obłąkanych”, że „nadhodzą czasy błędnych obliczeń/ sporządzanych w oparciu o ekonomiczne filary lub/ zwichnięte palce opatrzości”.

W wierszach Gajdy rzeczywistość zdaje się już sama w siebie nie wierzyć, raz po raz łapie się na tym, że siebie udaje, próbując sprostać czemuś, czego nie potrafi określić, rozpoznać, zdefiniować. Sacrum, w tego rodzaju rzeczywistości, pojawia się jako bóstwo zdegradowane, jako „Golem, Morlok”.

Nie jest sprawą przypadku, że w *Golemie* po *Abdykacji* pojawia się *Morfem*; jeden z najważniejszych wierszy tego tomu. Wiersz, dodajmy, badający relację pomiędzy językiem, władzą, siłą. Zestawmy ze sobą trzy frazy z tego wiersza: „Nasz alfabet leży w gruzach”, „język, gestykulujący, wydaje rozkazy”, „Siła nadal jest przed prawem”.

Nieszczęście zaczyna się zawsze na poziomie elementarnym! Dla autora *Demoludów* tym nieszczęściem jest degradacja języka jako gwaranta znaczeń i wartości. Jeżeli z językiem można zrobić wszystko, to i ze światem, z wartościami... „wszystko wolno”. Na rezultaty nie trzeba długo czekać! Ich imię – „marsz ku nicości”. Ważność, żeby nie powiedzieć wielkość, wiersza *Morfem* polega również na tym, że uzmysławia nam, co dzieje się z nami i naszym światem, gdy nie pilnujemy RÓŻNIC; gdy nie rozróżnimy już pomiędzy: istotnym a doraźnym, uczciwym a kłamliwym, szlachetnym a cynicznym, banalnym a odkrywczym... Tam gdzie „alfabet leży w gruzach” ustanawia swą dyktaturę cyniczna siła, która definiuje siebie jako „jedynie słuszne prawo”. I nie oszukujmy się, że to „prawo” obowiązuje wyłącznie w systemach autorytarnych!

Golem to czwarta książka poetycka w dorobku Piotra Gajdy. Z perspektywy czterech tomów widać ewolucję tej poezji. Autor *Hostelu* zaczynał od wierszy, które zdawały się sprawdzać, badać własne możliwości imaginacyjne i artykulacyjne. Te wiersze, operujące zaskakującymi asocjacjami, szybkimi przekerowaniami znaczeń, nieprzewidywalną metaforą i nieobliczalną frazą, zbliżały się do języka hermetycznego, który – tak przynajmniej odczytuję zamysł poety – stanowił przeciwieństwo banalnego, trywialnego, zużytego znaczeniowo języka codziennej komunikacji, ale też społecznego dyskursu. Poeta próbował w ten sposób ocalać podmiotowość widzenia i wypowiedzania swej rzeczywistości.

Poczynając od *Demoludów* wkracza do poezji Piotra Gajdy świat w jego konkretnych przejawach. Wiersze stają się coraz bardziej z a a n g o w a n e w nasze tu i teraz, nic więc dziwnego, że mają wiele z protestu, diagnozy, demaskacji, oburzenia. Nie tracąc nic ze swej poetyckiej świeżości, gdyż Gajda umiejętnie łączy ze sobą różne tonacje, estetyki, dykcje, zyskując na poznawczej wiarygodności i etycznej wyrazistości, bowiem sytuując siebie bliżej konkretnego życia, stając się nierzadko gwałtowną reakcją na dotkliwie przypadłości nas samych i świata jaki codziennie pitrasimy. Nie ukrywam, że bardzo mi to jako czytelnikowi odpowiada, gdyż wiersz – przynajmniej dla mnie – powinien być nie tylko... CZYMŚ, w sensie jego literackiej jakości, ale także winien być... O CZYMŚ, w sensie rangi przeżyć, doświadczeń, rozpoznać jakie podejmuję i nazywa. Nie muszę dodawać, że wiersze autora *Golema* spełniają powyższe wymogi świetnie i przekonująco.

Grzegorz Kociuba

Piotr Gajda, *Golem*, Instytut Mikołowski, Mikołów 2014, ss. 48.

PRAWO DO RÓŻNORODNOŚCI

Skonstruowana i przetłumaczona przez Małgorzatę Kolankowską antologia *Portret kobiety w opowiadaniach dziesięciu hiszpańskich autorek* rysuje nie tyle ogólny obraz kobiecości, co daje pogląd na wielowymiarowość jej postrzegania i odczuwania przez obie płci. Jeżeli możemy zatem mówić o jednym symbolicznym wizerunku kobiety, który wylania się z sumy wypowiedzi współczesnych hiszpańskich pisarek – jest to portret różnorodności. Też tę odzwierciedla struktura zbioru opowiadań, które zostały zaprezentowane z podziałem na cztery grupy: *Odkrywanie kobiecości*, *Role kobiece*, *Męskie – Żeńskie*, *Walka z czasem*. Każdy z działów przedstawia ważną sferę życia kobiety, a przyporządkowane mu teksty literackie dodatkowo pokazują różne perspektywy postrzegania tego samego tematu przez wybrane autorki. Prawdopodobnie takich ogólnych aspektów w życiu człowieka płci żeńskiej wydzielić moglibyśmy więcej, jednak te cztery punkty odniesienia, wybrane przez Kolankowską, stanowią pewną bazę, od której możemy rozpocząć dalsze poszukiwania i czynić kolejne klasyfikacje.

Soledad Puértolas w rozmowie z tłumaczką zaznacza wyraźnie: „Ważne jest to, aby czytelnicy dostrzegli, że my, kobiety, różnimy się między sobą, podobnie jak mężczyźni, żeby zrozumieć, że portret, o którym mówisz, był portretem kobiet, nie jednej kobiety, bo niemożliwe jest stworzenie portretu męczyzny, lecz mężczyzny. Tak więc należy dążyć do różnorodności, bo literatura kobieca ma tyle głosów, ile jest piszących kobiet. To jest rodzaj konkwesty, której nam, kobietom, jeszcze nie udało się dokonać, bo wciąż szukamy głosu kobiety, a raczej głosu kobiet. Głosu, który ukaże naszą różnorodność. Nie interesuje nas prawo do jednorodności”. Opowiadanie Puértolas *Masaże* jest poniekąd potwierdzeniem tego pragnienia. Jego autorka pokazuje kilka impresji na temat zachowań różnych kobiet. Odnajdziemy w nim: troskę o rodzinę i zaangażowanie w pracę, zmaganie z przemijaniem, trudne wybory moralne, kobiecą solidarność, niekiedy w pozytywnym tego słowa znaczeniu i inne typy zachowań, które przynależne są nie tylko kobietom, ale przedstawione zostały z ich perspektywy. Męczyzna pojawia się w tekście wyłącznie w tle wydarzeń, dlatego moim zdaniem ten utwór powinien zostać umieszczony w dziale *Role kobiece*, a nie *Męskie – Żeńskie*. Nie poznajemy bowiem stanowiska bohatera-mężczyzny ani konsekwencji jego działań. Nie dowiadujemy się również, co sądzi o nich główna bohaterka, czy miały na nią znaczący wpływ. Centralną osią akcji jest jej nietypowa przyjaźń z... masażystką, a sednem przekazu – rozważania na temat dostępności prawdy o naszym życiu.

Opowiadanie Puértolas zamieniłabym miejscami z utworem Cristiny Peri-Rossi *Najpiękniejszy tydzień w naszym życiu*, który został zaklasyfikowany przez tłumaczkę do sfery *Role kobiece*. Co prawda tekst traktuje o jeszcze bardziej intymnym związku pomiędzy kobietami, bo o miłości homoseksualnej, natomiast kluczem do rozwiązywania akcji i zrozumienia postaw obu bohaterek jest właśnie męczyzna – mąż jednej z nich. To bardzo interesująca konstrukcja zależności zamkniętej w swoim trójkącie emocjonalnym. Autorka subtelnie i bez zbędnych oświadczeń pokazuje niestereotypowe zachowania kobiet i mężczyzn we wzajemnych niestandardowych relacjach. Wypowiedź Peri-Rossi jest nowoczesna, przedstawiona oczami kobiety „wyzwolonej” względem podległości męczyźnie, a jednak wrażliwej na inność, czulej i uważnej na kolejne próby „zniewolenia”, tym razem ze strony kobiety.

Puértolas, Peri-Rossi i wszystkie pozostałe autorki zaprezentowane w antologii są odważne w opisywaniu wspomnianych kobiecych i męskich ról, postrzeganiu ich miejsca w społeczeństwie i kulturze oraz definiowaniu kobiecości. Słownik Języka Polskiego podaje prosto brzmiące, lecz otwarte znaczeniowo wyjaśnienie: „kobiecość to ogół cech charakterystycznych dla kobiety”. Wiemy jednak, że bliżej nie skonkretyzowany zestaw owych „cech” przynależać ma wyłącznie do kobiety, definiowanej jako człowiek płci żeńskiej. Według słownika Hiszpańskiej Akademii Królewskiej w wolnym tłumaczeniu – kobiecość jest „jakością tego, co żeńskie”. To określenie jeszcze ogólniejsze niż podawane przez polski słownik. Nie otrzymujemy bowiem informacji o potencjalnie policzalnej liczbie cech, które możemy przyporządkować kobiecie, a dowiadujemy się, że kobiecość jest swoistym wyrazem bycia kobietą.

Zgodnie z wypowiedzią Cristiny Peri-Rossi dla Biura Literackiego inne określenia prezentowane przez Hiszpańską Akademię Królewską uściślają wizję kobiecości w kierunku bardziej jednoznacznych: „(...) język, czyli słowa, nigdy nie jest niewinny. Nie tylko ze względu na to, co oznacza, bo może być nasycony męskim szowinizmem, społecznym odrzuceniem, tyranią lub cenzurą,

ale dlatego, że ma charakter oskarżycielski. Podam prosty przykład. W hiszpańskim słowo *gazar* [odczuwać rozkosz] ma następujące znaczenie: *poznać cielesnie kobietę*. Innymi słowy – rozkosz jest rodzaju męskiego. Nie ma kobiecej rozkoszy w języku hiszpańskim. Drugi przykład, według Hiszpańskiej Akademii Królewskiej to, co jest żeńskie, jest *słabe*, *nietrawne*, a męskie *męskie*, *energiczne*. To znaczy męskość wiąże się z odwagą i stałością, a kobiecość ze słabością, kruchością”. Tymczasem wypowiedzi literackie hiszpańskich pisarek świadczą zarówno o ogromnej odwadze opisywanych bohaterek, jak i samych autorek decydujących się na trudne wypowiedzi. Między innymi: molestowanie seksualne – *Żółw* Berty Marsé, możliwości ciała i atrakcyjność fizyczna – *Przezroczyście ciała* Mariny Mayoral, czy walka o przetrwanie w czasie wojny domowej – *Koktajl czekoladowy* Yanet Acosta.

Ostatni z wymienionych tytułów kryje za sobą szczególnie poruszającą treść. Autorka zestawiała ze sobą dramatyczną sytuację samotnej kobiety zmagającej się o przetrwanie jej dzieci i męża zamkniętego w więzieniu, z koktajlem czekoladowym. Brutalny świat, w którym nie ma już żadnych reguł i moralnych odruchów Acosta zrównoważyła banalnym, może nawet infantylnym symbolem przyjemności i radości. Słodki napój w kontekście walki rozgrywanej się między jedną kobietą, a całym światem urasta do rangi cudownego leku, antidotum na zło wojny, która dotyka wszystkich jednakowo, ale to od kobiet zależy przetrwanie całej rodziny. Zdobyte składników na tytułowy koktajl jest w tej opowieści aktem równie heroicznym, jak oddanie przez bohaterkę swojego ciała do użytku znajomego wojskowego w zamian za ocalenie życia męża.

Tekst Almudeny Grandes *Barbara na przekór śmierci* natomiast łączy sfery graniczne: *Odkrywanie kobiecości z Walką z czasem* dzięki postaci małej dziewczynki, która nieświadoma jeszcze, w jaki sposób rozwinię się jej kobiecość, spotyka na swojej drodze alegorię śmierci – zakonnicę przypominającą wiedźmę. Mroczna postać symbolizuje widmo przemijania, które ze względu na uwarunkowania biologiczne i przyzwyczajenia kulturowe przytłacza znacznie częściej kobiety niż mężczyźni.

Opowiadania zebrane w antologii *Portret kobiety...* nie dają możliwości na wyciągnięcie jednoznacznych wniosków na temat hiszpańskiej literatury pisanej przez kobiety. Ich twórczość jest niejednorodna, tak jak jej autorki; przybiera formę stylizowanych wspomnień, realistycznych relacji z wydarzeń lub układu się w kształt dziennika. Niektóre pisarki kładą nacisk na retrospekcję, inne pozwalają czytelnikowi podążać za główną bohaterką krok w krok. Wszystkie autorki jednak zdają się zaznaczać na wszelkie znane im sposoby, że ich głos jeszcze nie wybrzmiał, nie został dostatecznie usłyszany i zamiast czekać na chwilę ciszy, układają wspólny, silny i barwny wielogłos różnorodności.

Monika Tomassi

Portret kobiety w opowiadaniach dziesięciu hiszpańskich autorek, wybór i przekład Małgorzata Kolankowska Biuro Literackie, Wrocław 2014, s. 268.

¹ <http://portliteracki.pl/przystan/teksty/opowiadanie-daje-poczucie-ukojenia/>

² <http://portliteracki.pl/przystan/teksty/rozmowa-z-cristina-peri-rossi/>

O POSZUKIWANIU PRAWDY. ROZWAŻANIA O KSIĄŻCE LUDMIŁY ULICKIEJ DANIEL STEIN, TŁUMACZ

Książki autorstwa rosyjskiej pisarki Ludmiły Ulickiej, *Daniel Stein, tłumacz*, nie sposób zakwalifikować do jakiegokolwiek tradycyjnego gatunku literatury. Ten ponad pięćset stronicowy utwór nie stanowi jednolitego ciągu narracyjnego, jest zbiorem listów, wywiadów, oficjalnych pism, fragmentów dziennika i rozpraw naukowych. To swoisty *patchwork*, w którym, jak sama autorka określiła, „aż roi się od postaci, wszystkie proszą o głos”, i gdzie przeszłość biegnie równoległe do teraźniejszości. Najstarszy zapis pochodzi z 1946 roku, najnowszy z 2006. Warstwa dokumentalno-filozoficzna przeplata się z warstwą fabularną, fakty mieszają się z fikcją literacką.

Łatwo doprawdy pogubić się w płątaniu bohaterów, wydarzeń, zmienności czasu i przestrzeni opowiadanych historii. Czas nie biegnie tu linearnie, a akcja jest swobodnie przetrucana do różnych miejsc: Hajfy, Jerozolimy, Fryburga, Moskwy, Bostonu, Wilna, Emska. Wszystko łączy jeden człowiek, tytułowa postać, Daniel Stein.

To wielowymiarowe dzieło Ludmiły Ulickiej wciąga czytelnika w skomplikowany świat polityki i historii, w rozważania filozoficzno-religijne: o judaizmie i chrześcijaństwie, o relacjach między różnymi religiami, o kwestii żydowskiej i istocie bycia Żydem. To jednak także, a właściwie przede wszystkim, opowieść o niezwykłym człowieku i o ludziach poszukujących prawdy. Prawdy o Bogu i świecie. Prawdy o sobie samych.

Ziemia Święta

Większość wydarzeń rozgrywa się w Izraelu. To właśnie w Ziemi Świętej krzyżują się losy bohaterów. Przybywają tam z różnych powodów. I z różnych miejsc świata: Wilna, Kielc, Krakowa, Warszawy, małego miasteczka pod Monachium, Bostonu, klasztoru na Athos.

To mały kraj, ale, jak wyraża się jedna z bohaterek, „na tym kawałku lądu (...) zmieściło się wszystko: studnia, przy której Abraham przyjmował tajemniczych przybyszów, i studnia Jakuba, i miejsce, gdzie Jakub przez całą noc walczył z niewidzialnym przeciwnikiem, i studnia, do której bracia wrzucili Józefa, a potem wydobyli go i sprzedali kupcom, i krzak gorejący, z którego głos mówił do Mojżesza (...). I bardzo wiele tych rzeczy, które wszyscy znają z Pisma.”

Autorka zabiera nas na wędrowkę po tym niezwykłym „kawałku lądu”. Jest na tej mapie Jerozolima z dzielnicą religijnych Żydów, Starym Miastem, Świątynią Grobu Pańskiego, Wieczernikiem i Górą Oliwną. Są grotty kumrańskie nad Morzem Martwym, Tabgha nad Jeziorem Genezaret, Hebron z grota Makpela. Są też wzgórza Golan z pozostałościami po toczonych tam wojnach. Jest wreszcie Hajfa, prawie tak wielowarstwowa jak Jerozolima, z górą Karmel, klasztorem, Ogrodami Perskimi i świątynią religii bahaistycznej, religii, której istota wiary wyraża się w słowach: „Ziemia jest jednym krajem, a wszyscy ludzie są obywatelami tego kraju”. To właśnie do Hajfy przyjeżdża w 1959 roku tytułowy bohater, Daniel Stein.

Człowiek sprawiedliwy

Pierwotorem Daniela Steina był Daniel Rufeisen, polski kapłan katolicki żydowskiego pochodzenia, który po zakończeniu wojny wstąpił do zakonu karmelitów. W latach pięćdziesiątych wyjechał do Izraela i do końca życia przebywał w karmelitańskim klasztorze Stella Maris na Górze Karmel w Hajfie.

Wątek Daniela Steina jest najbardziej rozbudowanym i najciekawszym wątkiem książki. Losy karmelity nie zostały przedstawione chronologicznie, wspomnienia wojny przewijają się przez całe utwór i przeplatają się z wydarzeniami powojennymi.

Daniel, Żyd z urodzenia, obywatel Polski, w czasie drugiej wojny światowej zostaje tłumaczem na gestapo. Oto, co sam mówi o tamtych czasach:

(...) pracując w gestapo, zdawałem sobie sprawę, że jestem współodpowiedzialny za to, co się tam dzieje. Chociaż nie uczestniczyłem bezpośrednio w zabijaniu ludzi, i tak czułem swoją współwinę. Właśnie dlatego odczuwałem pilną potrzebę stworzenia wewnętrznej przeciwwagi wobec tego, w czym bezpośrednio uczestniczyłem. (...) Może nie zawsze udawało mi się wykorzystywać wszystkie sytuacje, żeby pomagać ludziom, ale wydała mi się, że nie zaprzepaściłem żadnej możliwości, by to uczynić.

Wielokrotnie ratuje od zagłady żydowskie osady, a w 1942 roku pomaga w organizacji ucieczki z emskiego getta. Wśród ocalałych są również bohaterowie książki: małżeństwo lekarzy Hantmanów i fanatyczna komunistka, Rita Kowacz.

Sam wiele razy cudem unika śmierci. Jak wspomina:

Od tego pierwszego aresztowania trzynastego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku do końca wojny każdego dnia mogli mnie zabić. Wiele razy powinienem był zginąć. Zawsze ratował mnie cud. (...). Powołując się na własne doświadczenie, mogę powiedzieć: cud poznajemy po tym, że czyni go Bóg.

Przez ponad rok ukrywa się w zakonnic, gdzie po raz pierwszy czyta Nowy Testament. Tam podejmuje decyzję o przyjęciu chrztu:

Zrozumiałem, że Jezus rzeczywiście był Mesjaszem...

Po wojnie wstępuje do klasztoru karmelitańskich pod Krakowem i postanawia resztę swojego życia poświęcić służbie bożej.

„Moje miejsce jest w Izraelu”, czyli o poszukiwaniu własnej tożsamości etnicznej

W 1959 roku przybywa do Izraela, aby osiąść tam na stałe. Marzy o przywróceniu w Ziemi Świętej Kościoła Jakuba, wspólnoty jerozolimskiej, która swoimi korzeniami sięgała czasów Jezusa.

(...) ja mam pewność, że moje miejsce jest właśnie w Izraelu, a dowodem jest to, że od pierwszej minuty podróży wszystko mi sprzyja. Zawsze czuję, czy postępuję wbrew woli Opatrzności, czy na Jej rozkaz.

Jako duchowny chrześcijański napotyka na problemy z władzami imigracyjnymi. Mimo że jest narodowości żydowskiej (zrodzony z matki Żydówki), urzędnicy odmawiają mu obywatelstwa na podstawie prawa do powrotu, a jedynie poprzez naturalizację. Przez trzy lata procesuje się z państwem Izrael o uznanie swojej narodowości, po apelacji do Sądu Najwyższego sprawę jednak całkowicie przegrywa. To wszystko skłania Daniela do refleksji nad własną tożsamością etniczną:

Kiedy pojadę do Polski albo do Niemiec, to tam dla wszystkich będę Żydem, tylko nie w państwie Izrael. W dowodzie wpisano mi: „narodowość nieokreślona”. Tak więc można powiedzieć, że odniosłem pewne zwycięstwo w walce z gestapo i NKWD, ale poniosłem całkowitą klęskę w starciu z izraelskimi urzędnikami.

Świątynia Eliasza u Źródła

Wspólnota katolików, którą bohater stworzył w Hajfie, u stóp góry Karmel, jest, według słów autorki, „pół wymysłem, pół wspomnieniem”. Daniel Stein organizuje nie tylko parafię, ale także szkołę dla przejeżdżających dzieci, ochronkę i przytułek. Jego parafianami są ludzie zagubieni, oderwani od swoich krajów, wielu z nich żyje z opieki społecznej. Świątynia Eliasza u Źródła, podniesiony z ruin kościoł w starej druzyskiej wiosce, staje się dziełem życia głównego bohatera. Powieściowy Daniel to nie tylko ksiądz – społecznik, ale także przedsiębiorczy przewodnik wycieczek po Ziemi Świętej.

Prawą ręką karmelity jest Hilda, młoda dziewczyna z Niemiec, która poruszona „historyczną winą Niemiec” za zbrodnie wojenne dokonane na Żydach, postanawia poświęcić swoje życie dla państwa izraelskiego. Staje się animatorką życia parafialnego, inicjując wydarzenia kulturalne i akcje społeczne. Energia, spontaniczność, serce. To wszystko oddaje małej wspólnocie ze Świątynią Eliasza u Źródła. Hilda nie założyła własnej rodziny, nie dorobiła się majątku. W dniu swoich pięćdziesiątych urodzin, kiedy ogląda w lustrze „czerwoną, pomarszczoną twarz”, twarz, którą nie od razu rozpoznaje, kiedy widzi siwe włosy, „suche, ciemne wargi”, zadaje sobie samej pytanie:

Jaki byłby ten dzień, gdybym trzydzieści lat temu została w Bawarii, na odległym przedmieściu Monachium, na brzegu jeziora Starnberg?

Człowiek dialogu

Otwierają się boczne drzwi, wchodzi papież. Ubiór prosty, biała sutanna, na nogach miękkie dziurkowane pantofle. Widzę, że krakowskie. I skarpetki białe, grube. Objął mnie i dość mocno szturchnął pięścią w brzuch...



Jest w książce piękna scena spotkania w Rzymie dwojga niezwykłych ludzi, naszego bohatera z papieżem Janem Pawłem II. Skromny karmelita z maleńkiej prowincjonalnej parafii i głowa Kościoła Katolickiego zasiadają przy stole. Łączy ich nie tylko czterdzieści lat przyjaźni, ale także otwartość na dialog z drugim człowiekiem. Daniel wyraża swoje poglądy w kwestii judaizmu i chrześcijaństwa:

Narody chrześcijańskie wcale nie są Nowym Izraelem, są powiększonym Izraelem. (...) (Święty – przyp.B.Z.) Paweł nie mógł sobie nawet wyobrazić, że będzie Kościoł bez Żydów!

Padają też mocne oskarżycielskie słowa:

W Emsku rozstrzelano nas na rynku pomiędzy dwiema świątyniami – katolicką i prawosławną! Kościół wypędził i wykłął Żydów, więc zapłacił za to wszystko późniejszymi podziałami i schizmami. A te podziały okrywają Kościół hańbą do dziś. Gdzie ta „kefaliczność”? Gdzie soborowość?

Co na to papież? Jako człowiek dialogu udziela mądrej, wyważonej odpowiedzi:

Wiesz, Danielu, tym dużym statkiem trudno kierować. Istnieje przyzwyczajenie do myślenia w określony sposób – i o Żydach, i o wielu innych sprawach... Trzeba zmienić kierunek, ale tak, żeby statek się nie wywrócił.

I na koniec dodaje:

Nie spiesz się, nie spiesz. Statek jest ogromny!

Ludmiła Ulicka stworzyła obraz człowieka, który próbował łączyć to, co zdaje nam się być ostatecznie rozdzielone: judaizm i chrześcijaństwo. Daniel uważał, że Kościół Katolicki powinien wrócić do tradycji judaistycznej, do korzeni, z których wyrósł.

„(...) Nasz mały kościółek jest żydowski i chrześcijański”, tak powiedział o swojej świątyni. Pragnął odbudować w Ziemi Świętej Kościół Jakuba, jerozolimską wspólnotę wyznawców Jezusa, na czele której stał apostoł Jakub. Czy mu się udało?

Po śmierci bohatera mała parafia rozpadła się. „Pasterz odszedł, więc owce się rozproszyły”. Dzieło jego życia legło w gruzach. Pozostały jedynie zdjęcia i wspomnienia ludzkie. I ruiny świątyni Eliasza u Źródła:

Jedyny most między judaizmem a chrześcijaństwem okazał się mostem jego żywego ciała. Gdy umarł – mostu zabrakło.

W poszukiwaniu prawdy

Tu, w Izraelu, każdy człowiek to cała opowieść.

W warstwie fabularnej książki rozwijają się historie ludzi o skomplikowanej biografii, szukających prawdy o Bogu, o swojej tożsamości narodowej i religijnej, ludzi dokonujących rozrachunków życiowych.

Ewa Maniukan, Polka żydowskiego pochodzenia, ciągnie za sobą traumatyczną przeszłość. Jej matka, odrzucająca rodzinne wartości fanatyczna komunistka, oddała ją do przytułku prowadzonego przez zakonnicę, najpierw w Zagórsku, a potem w Warszawie. Oto co o swojej matce, Ricie Kowacz mówi sama bohaterka:

Nigdy w życiu nie spotkałam kobiety mniej skłonnej do macierzyństwa niż moja matka. Sądzę, że urodziliśmy się z bratem z powodu braku środków antykoncepcyjnych i specjalistów od aborcji.

Przez całe dzieciństwo marzyła o prawdziwej rodzinie, jej późniejsze związki z mężczyznami przynosiły kolejne rozczarowania. Jako dojrzała kobieta, Ewa dokonuje rozrachunku życiowego. Nie osiągnęła stabilizacji rodzinnej, jej jedyny syn okazał się homoseksualistą, ona sama musi określić swoje relacje z matką.

„Smutna prawda jest taka, że nie mogę wyrzucić z głowy oskarżeń, które nagromadziłam pod adresem matki przez całe życie”, zwierza się swojej przyjaciółce.

Nawet kiedy odwiedza ciężko chorą Ritę w domu opieki w Hajfie, przyznaje, że nie może jej ani wybaczyć, ani kochać, ani współczuć. Ewa miota się w chaosie własnych emocji, wyrzuca siebie twardość serca, ale dopiero śmierć matki przynosi jej wewnętrzny spokój. Jak mówi:

Stało się to, na co nigdy nie miałam nadziei: całkowicie się pojednałyśmy.

Historia Teresy Bendy i Jeffima to opowieść o często trudnych relacjach z Bogiem i poszukiwaniu właściwej drogi życiowej. Teresa, zakonnica z Wilna przeżywa udręki duchowe, z którymi nie potrafi sobie poradzić. Nikt z przełożonych nie udziela jej wsparcia, co więcej, zostaje uznana za osobę opętaną i musi opuścić klasztor. Los łączy ją z Jeffimem, rosyjskim Żydem, który pragnie zostać prawosławnym księdzem. Niestety, biskup odmawia mu święceń. Jeffim proponuje Teresie fikcyjne małżeństwo i wspólny wyjazd do Izraela, gdzie, jak mówi, „... też są klasztory i inne przybytki oraz jest praca dla tych, którzy żyją w stanie zakonnym.” Tam, na ziemi Jezusa, chce podjąć decyzję co do dalszej drogi życiowej: czy zostać księdzem, zakonnikiem, czy też działać jako osoba świecka. Teresa przyjmuje chrzest prawosławny i poślubia Jeffima. Wkrótce oboje wyjeżdżają do Ziemi Świętej. W Hajfie poznają brata Daniela, którego wpływ radykalnie odmienia los obojga bohaterów. Jeffim zostaje praktykującym duchownym, obejmuje małą parafię przy cerkwi w Beer Szewa; Teresa wycofuje się ze ślubów zakonnych, na świat przychodzi dziecko tej pary.

„Daliśmy mu na imię Izaak – jak inaczej mogliśmy nazwać nasze dziecko, podarowane nam w takim wieku, w takich okolicznościach? To, co się zdarzyło, przeżywamy jako cud Boży”, pisze do przyjaciółki Teresa.

Czy Teresa i Jeffim odnaleźli swoją właściwą drogę życiową? Wszystko wskazuje na to, że tak właśnie się stało.

Herszon Szimes, Żyd rosyjskiego pochodzenia w poszukiwaniu prawdy o swojej tożsamości religijno-narodowej opuszcza Rosję i przyjeżdża do Izraela. Emigruje, żeby wrócić do początku, do miejsca, gdzie są groby praojców, bo jak przyznaje:

Żydowskie życie może trwać tylko na ziemi Izraela. I chodzi nie o łącznie rodzin, ale o odbudowę losu i historii w wyższym sensie.

Wraz z rodziną osiedla się w Hebronie. Wszystkie jego dzieci otrzymują wychowanie religijne, a Herszon angażuje się czynnie w politykę. Masakra ludności muzułmańskiej, do której dochodzi podczas świętecznej modlitwy, i w którą jest zamieszany sam bohater, na zawsze odmienia losy rodziny. Jego syn popada w ciężką depresję i popełnia samobójstwo. Herszon uświadamia sobie, że życie w wymarzonej Izraelu potoczyło się według innego, nieprzewidzianego przez niego scenariusza. Znalazł się na zakręcie, na którym musi dokonać rozrachunku ze swoimi wcześniejszymi wyobrażeniami. Ludmiła Ulicka stawia w tej historii znak zapytania. Dalsze losy Herszona pozostają w sferze czytelniczych domysłów.

Gdzie szukać Boga?

To pytanie zadaje sobie wielu bohaterów tej niezwykłej książki. Poszukują swojego Boga, dyskutują o nim, zrywają się na temat judaizmu, katolicyzmu, prawosławia, islamu. Niektórzy zastanawiają się, czy Bóg w ogóle istnieje.

Dla Awigodora, brata Daniela kwestie religijne nie mają znaczenia. Jest ateistą, bo jak twierdzi: A według mnie sześć milionów Żydów zakopanych w ziemi to najważniejszy dowód, że żadnego Boga nie ma.

Zyma się na Daniela, że ten został katolickim księdzem.

Ale mój brat, skoro już tak bardzo potrzebował Boga, to dlaczego wybrał chrześcijańskiego? (...) Skoro już ma się wybierać, to Żyd logicznie powinien wybrać Boga żydowskiego.

Jeffim próbuje przekonać Daniela, że prawdziwy Bóg istnieje w głębi prawosławia, że spotyka się Go w cerkiewnych nabożeństwach, w liturgii. Daniel głosi, że Chrystusa nie należy szukać w dogmatach. Radzi Jeffimowi:

Szukaj w Ewangelii. (...) A spotkać Go można wszędzie: i w prawosławiu, i w liturgii, i na brzegu rzeki, i w szpitalu, i w orszere... Ale najbliższemu trzeba szukać Go we własnej duszy.

Fiodor Krivcow poszukuje prawdy o Bogu wśród greckich mnichów na górze Athos, potem w otoczeniu eremity w Ziemi Świętej.

No i doprowadził mnie Pan do takiego miejsca, o jakie się modliłem. Znalazłem prawdziwego świętego starca. Żyje w grotcie, tak jak niegdyś Syryjczycy. (...) Jeżeli on mnie przyjmie do siebie, jeżeli pozwoli żyć obok siebie, to odejdę, (...), w świeckim świecie zatrzymuje mnie jeden procent...

Ponosi klęskę: nie odnajduje ani prawdziwej wiary ani spokoju. Po śmierci pustelnika Fiodora popada w szaleństwo.

„Te duże książki, kiedy się je kończy, wywlekają z człowieka pół duszy...”

Tak o swoim dziele napisała Ludmiła Ulicka. Element autotematyczny jest w książce stale obecny. W listach do przyjaciółki autorka opowiada o swojej pracy nad poszczególnymi częściami utworu, zwierza się ze swoich pisarskich obaw, snuje refleksje religijne. Stawia pytania, ale bez jasnych odpowiedzi, podnosi ważne kwestie, ale bez jednoznacznych rozwiązań. Ludmiła Ulicka wprawia czytelnika w stan rozdragania, prowokuje do przemyśleń i samodzielnych poszukiwań prawdy.

Daniel Stein, tłumacz nie jest lekturą łatwą, nie należy do książek, które czyta się „jednym tchem”. Ta skomplikowana, ale jakże ciepła i piękna opowieść o wielkości prostego człowieka, o złożoności ludzkiego losu warta jest jednak czytelniczego trudu.

Beata Zdziarska

Ludmiła Ulicka, *Daniel Stein, tłumacz*. Świat Książki, Warszawa 2012, s. 558.

ZAKAZ KIPIELI

Ponad dwa lata cierpliwie czekałem, aż ktoś wreszcie pokusi się o napisanie kilku słów więcej na temat wydanej w łódzkim Wydawnictwie Kwadratura książki *Przecieki z góry* Krzysztofa Kleszcza, autora dobrze przyjętego debiutu pt. *ę* (wyróżnionego w roku 2009 na Festiwalu „Złoty Środek Poezji”), a jeszcze przedtem trzykrotnie nominowanego do nagrody głównej w Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Jacka Bieriezina (w 2004, 2006 i 2007 roku). Za wyjątkiem dwóch recenzji: Sławomira Płatka, opublikowanej na internetowych łamach „Salonu Poetyckiego”, i Przemysława Witkowskiego w „Ósmym Arkuszu »Odry«” – nie doczekałem się. Pora nieco zasypać tę recenzentką wyrwę, ponieważ zbyt wielu autorów z interesującym dorobkiem na próżno oczekuje jakiegokolwiek „informacji zwrotnej”, odnoszącej się do ich twórczości.

Dlaczego więc wciąż warto pochylić się nad wierszami ze wspomnianego tomu? Ponieważ wszystkie idą jakby naprzeciw skrzeczącej rzeczywistości, gloryfikują jej szczegóły, próbując jednocześnie zawrzeć ją w obiegu zamkniętym codziennych rytuałów niczym wodę. A ta, z racji stanu skupienia, „przecieka” wszystkimi możliwymi otworami (lub zmieniając ten stan, zamarza, tworzy jakieś napisy, wzory), jest synonimem znaków/darów dawanych poecie z „samej góry”, od strony Boga, który jest przecież „samą istotą dobroci”.

Przecież żyję – zostawiam oddech na szybie,
piszę i patrzę, jak się rozplywają słowa.

Noc, zima – to samo motto jak lotto,
wiara w kumulacje. Wygrałem milion w zdrapcę.

Zdrapywałem szron z szyby, zobaczyłem
uśmiech dziecka siedzącego w foteliku.

(Po wodzie)

Znaki te, w postaci różnego rodzaju nacieków i zacieków, starają się obmyć wszelkie niedoskonałości doczesnego świata, pragnąc dla niego jeśli nie idealnej czystości, to przynajmniej poczucia, że każde zabrudzenie da się usunąć. Tym samym płyną „pod prąd” wszechobecných pre-apokaliptycznych wizji, których wyrazem jest nieomal namacalna obecność zła.

Z obiecanego rajy – niebieski ekran.
System padł. Niosą go na drzewach.
Długa noc w mołochu, by powieki
były sztangą ciężarówca.
Gorzka kawa przyprawiła mi wąsy.
Dajcie mi jeszcze maskę i pelerynę!
Nagle olśnienie, przeblask:
pobrać sterowniki, odzyskać
imię. Wystarczy, że kliknę.
Wszystko jest w chmurze.

(Zerro)

Kleszcz nie zamierza ani przez sekundę „kochać piękna wówczas tylko, gdy kojarzy się z tchnieniem śmierci”, zupełnie odwrotnie niż liczna rzesza poetów, w tym Edgar Allan Poe – autor przytoczonego cytatu. Przywołane zimne tchnienie przyjmuje tu zupełnie odwrotną postać – jest strumieniem ciepłej wody (życia) albo ożywczym źródłem (chęci do życia). Tego rodzaju afirmacja w wierszach autora *ę* skupia się na tajemnicy chwili, w której niby w bursztynie zakłeta jest uwaga poety, skupiona wokół zdarzeń stanowiących akt konstytuujący indywidualny ogląd rzeczywistości, gdy dla kogoś innego będą wydarzeniami, nad którymi łatwo przechodzi się do porządku choćby dlatego, że są naturalnym rytmem/cyklem życia.

Błękitny koc nad łóżkiem dziecka to niebo.
To jest mój mały dom – mówi, wystawiając głowę

JESTEM Z TOBĄ. OPowieść Sońki

Niedzielną czerwcową, choć chłodną, poranek. Aby tutaj dojechać wystawiam na poważną próbę amortyzatory w moim samochodzie – brukowana droga najpierw biegnie przez las, potem wśród pól, stając się piaszczysta, nadal nierówna. Wreszcie jestem „Tutaj, na końcu niczego, w Królowym Stojle”. Kiedyś to była kolonia, jak twierdzi jeden z miejscowych. „Stały tylko cztery chałupy. W najmniejszej mieszkała Sonia”. Zdrobniale Sońka – kobieta, której historia stała się zacytowaną powieścią Ignacego Karpowicza o tym samym tytule, opublikowanej nakładem Wydawnictwa Literackiego.

Spotkanie

Sońka to – najkrócej rzecz ujmując – rozmowa, w dużej części opowieść tytułowej bohaterki. Ale przede wszystkim jest to spotkanie – dwojga ludzi, dwóch kompletnie różnych światów. Świata kobiety u kresu życia, które spędziła w całości na podlaskiej wsi, i wziętego warszawskiego reżysera teatralnego. On postępuje się językiem literackim, ona białoruskim. Ale oboje łączy jedno – samotność. A o niecodziennym spotkaniu zadecyduje tak naprawdę przypadek. Awaria samochodu i brak telefonicznego zasięgu uziemią Igora – drugiego obok Sońki bohatera tej książki – w ubogiej chałupie niedaleko granicy z Białorusią. Rozpoczyna się długie nocne mówienie i słuchanie.

Potrzeba opowiadania

Inicjatywę przejmuje Sońka. To ona ma tyle do opowiedzenia – całe swoje życie. A na słuchacza, który zjawił się niczym anioł, czekała przez wiele wiele lat. Czekająca, bo doświadczenia trudnego życia, pamięć o nich i samotność okropnie ciąży. Nie pozwalają w spokoju odejść. Więc Sońka opowiada o ojcu, który winił ją za śmierć matki i przez to upokarzał, również fizycznie, o niemożliwości przebaczenia, o nienawiści do niego i do braci, o niezwykłej miłości jej życia, o wojnie, czyli o tym jak wielka historia wdziera się i niszczy małe narracje życia, o śmierci męża, upodleniu, wyobcowaniu ze społeczności.

Istnieć znaczy opowiadać powiedział kiedyś Wiesław Myśliwski, jeden z najlepszych współczesnych polskich prozaików. W tym przypadku opowiadać znaczyłoby podzielić się ciężarem swojego życia, tym co zalega w pamięci, z drugą osobą. By móc pogodzić się z samym sobą, z porządkiem, na który w dużej mierze nie mamy wpływu, i z lekkim sercem odejść. Odejść na powrót niezniekształconym przez doświadczenie, czyli być znów takim jak za młodu. I Sońka młodziej opowiadając. Wreszcie może umrzeć nad ranem. Resztą zajmie się Igor, przypadkowy powiernik jej życia.

Potrzeba słuchania

Inicjatywę przejmuje Sońka, bo życie kroczy przed teatrem, a nie teatr przed życiem. To ona ma coś ważnego do powiedzenia, nie Igor. Mimo że odnosił sukcesy na deskach, jest



spomiędzy szczelbi. A w moich skroniach
kofeinowy zwiód: pęknięte koryto, rozlane mleko.
Słyszę śpiew syren, widzę wieloryba
z gościnnym wnętrzem. Wszechobecne biadolenie
w rurach i dreszcz, jakby uderzyła w nas
kra wielkości Luksemburga. *Tato, niebo spadło.*

(Blue)

W rzeczywistości wszystkie ludzkie dopusty znajdują się w nieustannym ruchu (przychodzą i odchodzą, łączą się w pary), a wywoływana przez ten ruch energia kinetyczna absorbowana jest przez poetę wyłącznie (określę to metaforycznie) do uruchamiania podnośnika (działając jak Śruba Archimedes, gdzie obrót śruby wymusza ruch do góry) tylko po to, aby na pewnym etapie indywidualnej wędrówki znaleźć się możliwie jak najbliżej pożądanego „przecieków” (w szerszym znaczeniu rozumianych jako „podszept”), a więc także i przekazywane szeptem poufne informacje oraz odpowiedzi).

(...) Choć wszędzie zjawy, starożytne klątwy,
ziarna wyplute z pogardą – w garbie mam tłuszcz

i niebieskie źródło. Ciemność – pachnąca mocca, trochę cukru.
Poranki, szybkie kęsy światła. Żebyście widzieli
moje buty! Całkiem starte podeszwy! Krokodyle!

Cienie ukłękna, położy się w piach,
spalona skóra zejdzie płatami.
Dam się przeglądać niebu, mam w naczyniach wodę.

Urośnie tylko zmarszczka i jęczmień. Wędruję,
pomagam Ziemi się kręcić. Znajduje ten, kto szuka,
kto słyszy ciepło, ciepło.

(Nomada)

Tej liryce, niekiedy niesionej ekspiacyjną falą, pozornie łatwo można przypiąć łatkę unoszącej się nieco nad ziemią. Oderwanej od twardego gruntu, na powierzchni którego pojawiają się

pęknięcia, wyrwy i zapadliska. Tym bardziej, że autor jako uważny obserwator codziennej egzystencji wydaje się niekiedy uciekać od szerokiej perspektywy, ograniczając ją do wąskiej spiny łączącej doczesność z metafizyką. Tymczasem topos wody przecieka i przez to miejsce styku, maskując swoim meniskiem wszelkie wgłębienia, tworząc zarówno bajora, jak i jeziora, skuwając je wszystkie lodem albo otaczając grząskim gruntem, bagnem. Ale co można znaleźć na ich dnie? Na to pytanie poeta odpowiada tylko częściowo, jakby bojąc się zapuszczać odpowiednio głębiej sondę, która mogłaby naruszyć jakieś ciemne powłoki kryjące się za skierowaną w jego stronę pokusą: „jeszcze jednym stopniem”.

(...) W górę. Świat to fusy – właśnie uwolniły moc,

którą ja teraz trzymam za ucho. To trwa i trwa, aż
nieruchomieje, zasypia. I spadam. Cięży mi czoło,

we krwi odłamki, opilki. Nie wiem, jak znajdują dzwignię,
skąd czasza nade mną. Gdy już dotykam ziemi, kusi mnie,

by zejść jeszcze niżej. Widzę właz, chłód jest doskonały.
Nie chcę nic oprócz jeszcze jednego stopnia,

gdzie światła coraz mniej, a świat jak szpilka wkłuta w nerw.
Ale wracam, wracam, jakbym czegoś zapomniał,

po nitce, która prula się z niedzielnej koszuli. Góra? Dół?
– gestykułuje windziarz. Zgaduję, że ma prowizję od lebka.

(Góra-dół)

Szczęśliwie ten ład, zbudowany gdzieś nad rozlewiskami powodzi, za którym kryje się tęsknota za światem jasnym i ułożonym, gdzie jakiś większy dreszcz na skórze wzbudza wyłącznie wypita w domowych pieleszach kawa, nie jest światem z katalogu Ikea. Nazbyt wyidealizowanym, trochę kiczowatym, cokolwiek sztucznym, jak gdyby na co dzień nie materializowała się w nim jednocześnie rzeczywistość rodem z *Roku 1984* Orwella. Kleszcz udowadnia to odważnym wyznaniem:

Na wszystkich częstotliwościach nadają:
Jesteś A i nie ma B. Wieje złoty pył.
Czasem słycać krzyk: Manna! Próbuję ją łapać,
przyklejąc do żeber. Mój szept jak zgrzyt,

zacięcie maszyny. Mogę płuć, mrużyć oczy,
pochylać głowę, sto razy powtarzać: jeszcze trochę.
Aż mnie dociąża kwas w mięśniach,
a wszystko się unosi. Zostaje świst płuc

i wszędzie spacje. Milczenie jest napinaniem języka.
Nabrałem wody w usta. Ugaszę pragnienie?
Być albo nie być, a być jak mać, wybiorę.
Wyciągnę dłoń, chwycę nicość. I uduszę, ścierwo.

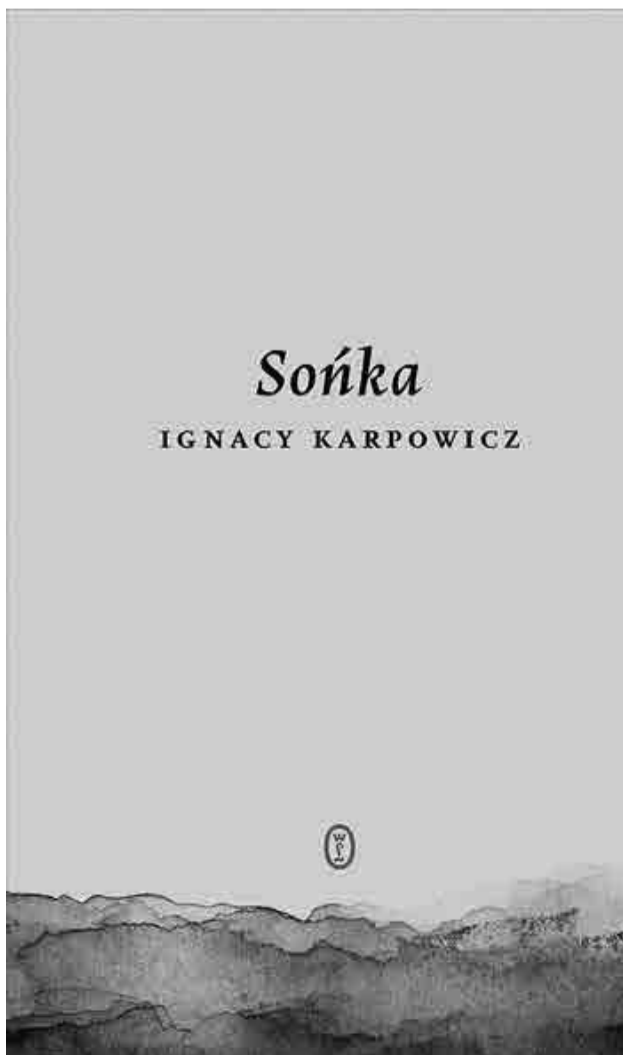
(Spacje)

Przecieki z góry to dojrzały i świadomy zbiór wierszy, który jest zarazem deklaracją, echem informacji podsłuchanej u źródła, iż dla bezdennej kipieli (nie tyle w wydaniu totalitarnym, co w wymiarze egzystencjalnym), która (za Czesławem Miłoszem) na „polskim gruncie” była „spotkaniem europejskiego poety z piekłem XX wieku, i to nie z pierwszym, ale bardzo głębokim kręgiem piekła”, nie ma w poezji Krzysztofa Kleszcza miejsca. Rozwibrowana dusza poety hula tutaj na zupełnie inną modłę.

Piotr Gajda

Krzysztof Kleszcz, *Przecieki z góry*, Wydawnictwo Kwadratura, Łódź 2012, s. 46.

człowiekiem zdekapitalizowanym. Pod wierzchnią warstwą kryje się pustka, brak głębszych więzi, pragnienie miłości, rozpad sensu, które próbuje zagłuszyć kokainą. Przypomina nieco morfinistę Konstantego Willemanna z *Morfiny* Szczepana Twardocha. Obaj mają problemy



z tożsamością. Bo Igor Grykowski, to właściwie Ignacy Gryka, urodzony na Białostocczyźnie, który zmienia nie tylko nazwisko, ale porzuca język (białoruski), mając na względzie awans. Powieść Karpowicza będzie więc z tej perspektywy także podróżą do korzeni, do samego siebie, jako warunek bycia autentycznym. Terapią z nieuzasadnionego wstępu przynależenia do narodowej mniejszości. Ale i wyrażonym bardzo subtelnie głosem przeciwko ksenofobii.

Całe dotychczasowe życie Igora-Ignacego pęka niczym wrzód. Jak Sońka potrzebuje opowiedzieć swoje życie, tak on łaknie prawdziwej opowieści, by pozbyć się nieznosnej lekkości bytu. Ona w jej toku uwalnia się – młodnieje. On – przyjmując ciężar jej historii – dojrzeewa. A szczytem tej dojrzałości będzie wystawienie *Królowego Stojła*. Bezkompromisowe przeniesienie na deski teatru trudnej i drażniącej publiczność prawdy. Jego pierwszy autentyczny, niezależny, wartościowy wyraz w sztuce i w życiu.

Być z kimś

„Jestem z tobą” – to słowa, które Sońka wypowiada do Miszy w pięknej scenie przebudzenia. Właściwie są one powtórzeniem, przypomnieniem, bo pierwotnie szukały adresata dużo wcześniej – na pogrzebie jego matki. Wtedy nie rozumiał, nie dosłyszał, ale samo poszukiwanie go z pocieszeniem, rozpalilo w Miszy uczucie.

Najnowsza książka Ignacego Karpowicza opowiada przede wszystkim o potrzebie bycia z drugim człowiekiem, zrozumienia, o empatii, której dzisiaj łakniemy. Być z kimś może oznaczać otworzyć się na czyjąś opowieść, która w samotności jest dla tego kogoś nie do uniesienia. Być z kimś to również opowiadać. Niekoniecznie od razu historię życia, tak jak Sońka. Wystarczy małe narracje, wzięte z codzienności, te o problemach i te o radościach, bo chęć dzielenia tymi drugimi odczuwamy równie silnie.

Jest jeszcze jeden rodzaj pragnienia bycia z kimś, wyrażony w książce Karpowicza. Może najbardziej zauważalny. To pragnienie o ogromnym ładunku. To miłość, która rodzi się w okrutnym czasie wojny pomiędzy młodą dziewczyną z podlaskiej wsi – Sońką a niemieckim żołnierzem Joachimem. Miłość niezwykła, niezemska, przekraczająca granice, pokonująca nawet bariery językowe. Miłość nad życie, które oznacza przynależność do rodziny, społeczności – świata, w którym się funkcjonuje. Uczucie, za które jest się gotowym cierpieć, a nawet umrzeć. Jest tylko jedno, tak sądzę, czego nie jest w stanie owa miłość unieść. To krzywdą i pamięć o niej. Ciężar, którego niewinność tego uczucia nie jest w stanie udźwignąć. W tym przypadku pamięć o dobrym Miszy, o braciach Witku i Janku. O okrutnych rzeczach, których było się świadkiem i o których zapomnieć raz że nie sposób, a dwa oznaczałoby zanegować istnienie nie tylko zamordowanych, ale i samej siebie.

Jerzy Cyngot

Ignacy Karpowicz, *Sońka*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2014, s. 208.

NAJBARDZIEJ SENSACYJNA BIOGRAFIA MINIONEGO STULECIA

To jest najbardziej sensacyjna biografia minionego stulecia.

Jakby się czuła, co by powiedziała, gdyby zobaczyła, że świat pełen jest Ireny, nie tej, którą chciała być, ale tej, którą była w przeszłości: Ireny-bohaterki, Ireny-wariatki, jak ją nazywał Marek Edelman, Ireny, która nie wie, co to strach i z dziką brawurą wyprowadza dziewczyny z obozu zagłady, Ireny-łączniczki w żydowskim getcie.

Wybór Ireny Remigiusza Grzeli trzyma w napięciu od pierwszych zdań: „Są takie życiorysy, w których nic się nie zgadza. Fikcja miesza się z prawdą, a prawda z roku na rok coraz bardziej się zaciera. Bywa, że w końcu łatwiej uwierzyć w fikcję niż w prawdę o sobie. Czas mija, świadkowie odchodzą, fakty się gubią i pozostają jedynie fragmenty opowieści. A opowieść jest zawsze prawdziwa”.

Myslałam, że „Było, więc minęło”, rzecz o Joannie Penson, dziewczynie z Ravensbrück, kobiecie Solidarności, lekarce Wałęsy, to najlepsza książka Grzeli z gatunku literatury faktu (pomijam powieści tegoż autora). Teraz widzę, że i ta jest najlepsza. Nie o stopniowanie jakości mi chodzi, raczej o emocje, które mi towarzyszą podczas lektury.

Remigiusz Grzela znał Irenę Conti di Mauro, włoską poetkę polskiego pochodzenia. Bywał u niej w domu, napisała mu posłowie do tomiku jego wierszy. Któż nie znał Ireny Conti spośród piszącej braci?

I nagle, po kilku latach od śmierci poetki, dowiaduję się, że i ja znałam inną osobę, nie tę, którą znałam. Nie wiedziałam, że była bohaterką, bo wymazała swoje przeszłe życie. zniszczyła swoją tożsamość, zmieniła datę urodzenia z roku 1923 na 1939, by nic nie wskazywało, że brała udział w wojennej konspiracji. Odsunęła się od tych, którzy ją pamiętali jako Irenę Gelblum. Wykarczowała ze swojej przeszłości prawdę wojennych lat.

Dlaczego? To pytanie podstawowe. I do końca nie uzyskamy na nie jednej odpowiedzi, podobnie jak na inne postawione w tej książce. Możemy jedynie snuć domysły, silić się na własne interpretacje. Także pytać pytaniami, które postawił autor.

Trwała w poczuciu winy, że przeżyła, kiedy jej bliscy zginęli?

Czy może nie czuła się Żydówką?

Dlaczego nie chciała być bohaterką na miarę Marka Edelmana i Kazika Ratajzera?

Czy nigdy nie przerobiła swojej traumy?

Jaką tajemnicę skrywał jej pobyt w Palestynie, dlaczego tam nie pozostała?

Czy dlatego, że nie była syjonistką i nie chciała budować państwa izraelskiego?

A może nie nadawała się do życia w kibucu?

Jak to zrobiła, że władze komunistyczne pozwoliły jej na taki kamuflaż?



Czy wolno szukać Ireny prawdziwej w jej wierszach?

Prawdziwej, czyli której?

Czy poezja była dla niej wolnością, w której mogła wyrażać uczucia, a kamuflować fakty?

Remigiusz Grzela wojenną historię Ireny opowiada przez innych. Szuka śladów, osób. Znajduje. Chwyta się szansy na znalezienie odpowiedzi. Bywa, że przyjeżdża za późno i osoba, która pamiętała Irenę „wojenną”, zmarła. Autor nie ukrywa siebie w tej książce, pisze o swoich emocjach, o tym, jak poszukiwania go wciągają, jak odkrywa ślady, których istnienia nie podejrzewał. Dzięki odnalezionym we Włoszech listom odkrywa Irenę, której nikt nie znał. Dzięki spotkaniom z córką Ireny, Janką, nabiera pewności, że może pisać o Irenie, tej przedziwnej osobie, która tak się zaparła, że nie rozpoznawała dawnych przyjaciół i grała nową siebie perfekcyjnie przez co najmniej pół wieku.

Sam tytuł książki *Wybór Ireny* skojarzyłam z *Wyborem Zofii*, powieścią Williama Stronę, której bohaterką jest jedna z najbardziej tragicznych postaci, jakie znam w literaturze. Zapewne i o to chodziło autorowi, byśmy pozostali bezradni wobec tragizmu losów Ireny.

Mam także swoje wspomnienie o Irenie Conti. Słyszałam o niej na długo przedtem zanim ją poznałam. Koleżdy po piórze machali ręką i mówili – mitomanka. Czytała swoje wiersze z namaszczaniem. Każdy wydawał się wówczas arcydziełem. Kiedy czytałam w domu, nie znajdowałam w nich nic dla siebie. Była wdzięczna czytelnikom za to, że przyszedli na spotkanie i potrafiła o tym mówić tak, że każdy czuł się lepszy i wybrany.

Przyszła na moje spotkanie w Klubie Księgarza, związane z promocją powieści. Jesteś poetką, powtarzała, poetką, pamiętaj o tym. I cytowała: „Być może trawa na jej grobie wyrosnie czerwona, być może Stwórca zapłaci czerwonym deszczem”. – To twój wiersz sztandarowy, powinnaś nim zaczynać i kończyć autorski wieczór – przekonywała. Czułam się pogłaskana.

Zapraszała mnie wiele razy do swojej „białej willi”, o której opowiadano legendy. Nigdy nie przyjechałam. Jakbym wyczuwała jej rozdrażnienie, jakbym wiedziała, że jest zasnuwana i nie uda mi się nawiązać szczerych relacji. Ci, którzy tam byli, wracali zdziwieni przepaścią pomiędzy gorliwością zaproszenia a murem, który potrafiła potem stworzyć. Nikt z nich się z Ireną nie zaprzyjaźnił, choć takie były ich oczekiwania. Życzliwa, ale nieobecna. Jak Jerzyk, zawsze w locie. I wpatrzona w rozmówcę oczami, które zabijały pytania i pozostawiały niepokój.

Marta Fox

Remigiusz Grzela, *Wybór Ireny*. PWN, Warszawa 2014.

NA TRANSCENDENTNEJ HUŚTAWCE

Wydaje się bezsprzecznym fakt, że tomik wierszy pt. *Na huśtawce* Edyty Kulczak, wydany w Poznaniu w Wydawnictwie Kontekst w 2014 r., jest bardzo interesującym i oryginalnym wydaniem. Poetka znalazła pomysły, w którego semantyce wdziewa strój szamanki. Tomik ten dotarł do mnie jak koszyk pełen transparentnych zaczarowanych winogron i oliwek pachnących zeszlaczonym latem i ciepłym słońcem jesieni, wprost spod nieba greckich sadów... A jest tak, że kiedy smakujemy takie winogrona, odruchowo spoglądamy na sploty owego koszyka, sploty ażurowe gwiazd i ścieżek ocalających zawartość pikantnego koszyka. Poetka i krytyczka, która ma już za sobą udany debiut, w którym przecież odkryła odwagę po swojemu - głosząc, że „Anioły są zawsze piękne”, są przecież podobne do ludzi, w których zawsze jest „dwa w jednym” - wyczekują one za naszymi sennymi plecami z opuszczonymi skrzydłami jako obstawa... A więc poetka daje nam obecnie do rąk tomik, w którym odkrywamy dziki kosmos, twierdzących i świecących wróżb, kierowany do zwykłego człowieka, niedostrzegalnych gołym okiem. Poetka proponuje taką „rozkołysaną huśtawkę” pomiędzy Psyche a deliznością, wczuwa się w rolę szamanki, odnajduje ją każdego ranka, widzi jak jej rękami rozkłada ona karty, gra jej ciałem jeszcze rozkołysanym erotyką snu. Transcendencja tych wierszy nie idzie w demonizację. To kwintesencja oryginału kobiecości, jest ona zawsze tajemna, w takiej piękności czai się w sadzy rzęs, za gałkami ocz, czekająca iza – kiedy niesie się muzyka pomiędzy rozwianymi włosami powiewającymi za horyzonty... Tomik wierszy otwiera wiersz bez tytułu (s. 5):

Szamanka jest/ jak lekko oswojony/ pies// przez uchyloną furtkę/ wymyka się chyłkiem/ do swoich// odwraca się po drodze/parę razy przystając// patrzy na dom

Jakby już nigdy nie miał wrócić. Istota, której nie umiesz zatrzymać dotykiem, więzami, opieką, wymyka się przez uchyloną furtkę, parę razy oglądając się na dom. Znaczenie psa jest tutaj ogólne – to oswojona dusza, szukająca po nocy w snach mówi Jung – to dotyczy także męskiej strony... A „oswojony pies” może czasem ugryźć z spoufaloną ręką, może to być pieszczołliwą zaczepką. Poetka sugeruje nam co nas czeka w dalszej części tomiku wierszy – To powód do pewnego rodzaju poszukiwania dzikiej rozkoszy...

Po wejściu w materię tego zbioru wierszy można domniemać, że poetka Edyta Kulczak wciąż wędruje, podróżuje w inne miejsca, szuka innego czasu, wyczuje, choć wie, że to czekanie wypełni się jedynie samym miejscem i czasem tego czekania, co u niej jako samotniczki nie pójdzie na marne, ale tym faktem dowartościuje miejsce jedynie dla tej wyobcowanej chwili? W wierszu pt. *z podróży* (s. 8) mówi:

.../ lubię czekać na ciebie nawet gdy wiem/ że nigdy nie przyjdiesz/ lubię układać/ niewysłane listy pisać chcę wracać/ tamta jesień w lesie była bardziej nasza!.../

Ujawnione medium poetki podróżuje do wnętrza przeciwnych obrazów – luster... do marzeń... choć się szamanka nie przyznaje, to chroni się gdzieś daleko, choć bliskością emanuje. Buduje poetka odosobnioną wyprawę, obmyśla beztroško, czasem knuje, kąpie się w słodkim słowie „wolność”. Jest zawsze gdzieś obecna – Wiersz pt. *wyprawa* (s.10):

.../ pośród morenowych wzgórz/ które pachną prawie tak samo/ jak morelowe i tak samo brzmia//mnie słodko może/

Wiersze w tej książce – owsem! – są nasycone erotyką i pewnego rodzaju grą nie tylko z sobą samą, ale z podmiotem błądzącym w tle. Kiedy zagłębiłem się w dalsze strony, bo wciągając za krawat przez otwarte drzwi, dostrzegłem imponującą transcendentną, jak nadmiernie, osobliwą grę – Nie jest to czysta erotyka przeżywana na wskroś łóżkowo, ale erozja wewnętrzna idąca w kuszenie. To raczej sennie niepokojące jawy, choć czuwa przy szamance pies oswojony, rodzaju męskiego i nie uchodzi nocą. To korytarze odprowadzające nas w szczęśliwsze wolne życie i byt-niedosydy, do których chce się namiętnie wracać. Wiersz pt. *Przy tobie* (s. 12):

Śnił mi się zaskroniec/ chciałam go pogłaskać i przytulić/ a potem jadłam jabłko/ na pokładzie statku// zdziwiłam się/ nie lubię jabłek

Czar wszelkich podróży towarzyszy nam zawsze, oprócz tego że kształcą, to odkrywają nam nowe smaki, głaszcząc podniebienia, jakbyśmy się udawali w zaświaty wehikułem rozkoszy... I powie poetka dalej, że „mój demon ma dwie ręce/ nogi i usta miętko wilgotne”... To ciąg pełen rozkoszy oraz dzikiego bytu, który mieści się w każdym z nas z osobna „palcami dotyka krwi” dopowie poetka. Wydaje się, że powracamy do miejsc jeszcze przed urodzeniem, kiedy wyczekiwaliśmy niemo w rozkosznym bólu na narodziny. Te dygresje można oczywiście mnożyć metaf-



zycznie, a nawet trzeba, żeby zrozumieć sensy metafor, a wiersze Edyty Kulczak kuszą skutecznie. Otóż pewnego rodzaju filozofia psychodeliczna i metafizyczna wszczepiona w semantykę każdego tekstu powraca uparcie niedosmakami i poszukuje jeszcze i jeszcze... być może to imaginację wchodzenia w zawartość słowa, które może czarować i powalać oraz zniewalać, które jest tutaj zawsze furtką uchyloną na drogę w rejony co - rusz ciekawsze... Takich skojarzeń poetka poszukuje także w znakach i symbolach sacrum zawartych w biblijnych postaciach i zapisach, wydaje się jako szamanka dociera wszędzie tam gdzie czuje odwieczny zapach ran. Wiersz pt. *Ikona* (s.17) jest znakomitym przykładem tego, jest wędrowaniem w czasie wieczności, być może tyczy się to podmiotu całego rodu, ale najbardziej męskiego?

Gdybym na krzyżu przypięta/ wisiała przez lata/ rozmyślałabym o tym co dobre/ bo nie sposób tak długo pamiętać o bólu// nikt by patrząc na twarz smutna/ i przymknięte oczy nie uwierzył/ że myślę nie o ranach a o miłości// o tym co przed chwilą/trzymał moje ręce w swoich dłoniach/ i włożył mi pod niebieskie ramiona/ skrzydła gdy inni patrzyli w chmurę/.../

To kwintesencja kilku postaci biblijnych Nowego Testamentu, nakładających się w cierpieniu w miejscu czaszki: zwykłej matki, Weronki czy Magdy - to cierpienie radosne, bo idzie za wielką miłością za oblicza i wizje, które miotają się pomiędzy wnętrzem a zewnętrżnością

widoczną gołym okiem, bywa niedostrzegalne w czasie tutejszym, ale jest obecne zawsze w historii. Szamanka „bryluje pawim okiem”? – a może anielskim tłem – ale na pewno nie chce czegoś wygrać dla siebie, ale chce uzmysłowić nam jak daleko sięgają znaki i symbole w podświadomości. A powie odważnie np. w wierszu *ćma* – moja ambicja sięga wyżej w korowodzie ewolucji/ w ogniu płonęły też czarownice.

Wydaje się, że jest to dalszy ciąg rozważań... *na skalę wieczności przy stole* – to tytuł wiersza (s.38) niezwykle pojemnego o prehistorii i ewolucji... ptaka, o ewolucji jego śpiewu czyli mowy – „ptak przecież mówi, łabędź to czy czapla, pyta Ktoś z łodzi?”. Rolą naszego życia w bytowaniu natury ludzkiej jest poszukiwanie zacyznu, swego początku, dociekanie i budowanie piramid namiętności i pozwolić im na ziszczanie się, przyglądanie się sobie, obserwacja i podglądanie... Mówi poetka dalej: „zera i jedyńki mogą opisać wszystko” (s.40). Jak widzimy, schowana w niej szamanka, kobieta wyjątkowa bardzo współczesna i inteligentna, z dużym ilorazem wyobraźni i intuicji „chodzi po powierzchni świata od wewnątrz”. To tak jakby układała się do wyjątkowych zdjęć aktów i słownych, i tak żeby nie być zauważona gołym okiem, i tak żeby nie sposzyc traw i zburzyć oceanów, które płyną pod palcami rąk i stóp. Ciągnie ją tam, gdzieś śpiew świerszczy, czasem na cmentarz w chmurę brzęczących komarów na smyczku dusz. To ona pokieruje palcem dziecka, który odruchem za DNA ścięła datę urodzenia i śmierci z jakiejś płyty nagrobnej. A przecież jest sama dzieckiem czasu teraz, które bardzo wiele rozumie, milczy - a jak już wydaje głos to płaczem - dlatego, że nie zna swego kaprysu ale prawdę zapisu w sobie. To wiersze nietuzinkowe, jedyne w swoim rodzaju, urzekające, wciągające intuicyjnie w szal gry o to prawdziwe czasem zakamuflowane niebałnalne życie. Buduje poetka powroty do pra-natury, wciąga nas w „dzikość pierwotnych lasów”, prezentuje niezwykle szeroką pojęciowość, ćwiczy wyobraźnię, z której snuje wzór „pierwsze pragnienie człowieka” (s.47).

Te wiersze, niedemoniczne jak perełki, toczą się jedna za drugą, zerwane jakby ze sznura szamanki, jakby z szyi tańczącej bogini. Droga poszukiwania czaru jest tutaj ciekawa i mimo, że to świat iście prawie czarowny nie dostrzega się zmyru, obłądki i zwiądów oraz mar. To prezentacja gracji i skali odniesień na stosie stłumionego miasta i otoczenia współczesności. To wyalienowanie się w przestrzeń szczęśliwą, po przez rzeczy zastane, ale nie cyber - doczesne. Te szamankę można sobie wyobrazić jako normalną kobietę w aptece, pachnącą słodkimi ziołami z rozwianą grzywką i spojrzaniem Nefretete, bez okularów o smukłych nogach odrzucająca włosy za siebie. Ale jest to kobieta, która „gotuje kapuśniak (i) rozmyśla jak go przechytzyć”. Taka kobiecość jest rzeczywiście jak kosmos rozgwieżdżona smakami i układami...

Wiersze Edyty Kulczak na pewno podsyte są erozją i erotyką, podskórną tajemnicą, a jednocześnie spokojem i ciekawością, bo kierują one nas w rejony, które wydaje się już dawno, pozostawiliśmy za sobą, głównie w myślach jesteśmy inni, bo bardziej zmysłowo rozwinięci... Pokazują one, że można być odmiernie niezauważalnym – można żyć tajemnicą i nie trzeba jej rozwiązywać, tylko trwać, nie odsłaniać się, ponieważ można zostać nagim duchowo bez reszty nic nie mając dla siebie. Tomik ten skłania do podróży w siebie, do dotyku duchowego, do szukania siebie w dwójnasób. Jest w tych wierszach także muzyka i śpiew, jest jakby przygotowana naturalna iza pod powieką oka pod rzęsą z sadzy na później, na wyjątkowe spotkanie... W wierszach tych widzę przede wszystkim nietuzinkową grę, nie jest to gra w motylkę, czy kwiatek, albo „kotka i myszkę”. To teksty bardzo dobrze zbudowane, wspaniale ząbieżające się frazy i ciekawe metafory. Widzę w nich widoki i powidoki szerokie i dalekie wiodące dalej, tam gdzie jak z obrazu (na okładce tomiku) artysty plastyka Andrzeja Hamera odlatuje się w przestrzenie zupełnie wolne, ale na wyważonych po przez obecność mężczyzny i kobiety skrzydłach, są to odloty tylko w siebie. Bardzo zachęcam do kołysanki na huśtawce Edyty Kulczak – tam miejsce jest zawsze wolne.

Zbyszek Ikona-Kresowaty

Edyta Kulczak, *Kołysze się w tobie huśtawka*, Wydawnictwo Kontekst, Poznań 2014.

ZŁO

Można by też spisać losy »złych« Polaków, Francuzów, Brytyjczyków czy Rosjan. Ale żaden naród nie miał w XX w. takiego wpływu na losy świata jak Niemcy. Dlatego ta książka jest o nich.

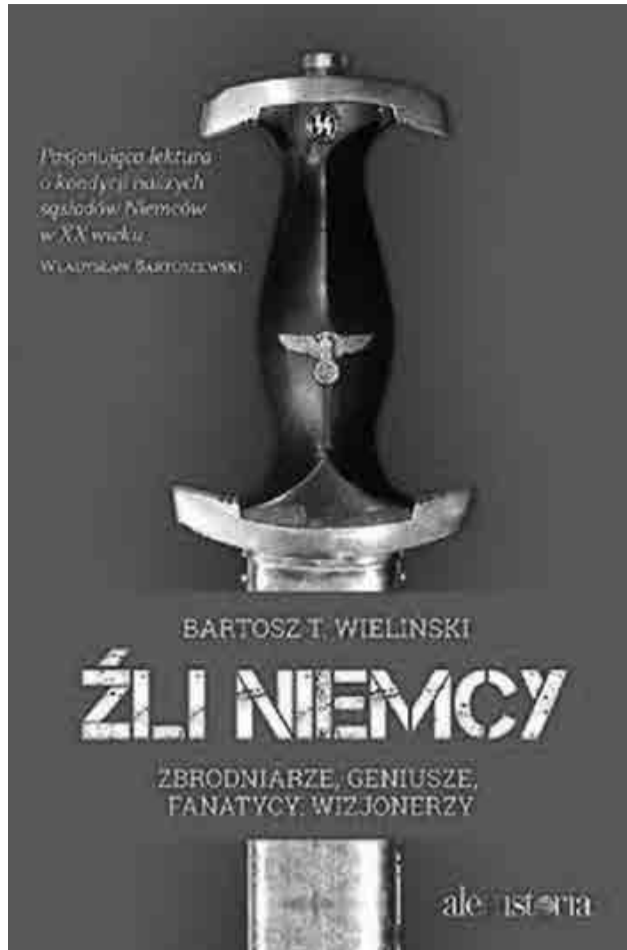
Obok książki Bartosza Wielińskiego *Żli Niemcy* nie sposób przejść obojętnie. To jedna z tych pozycji, która każe nam ciągle na nowo zadawać pytania: Czy zło można stopniować? Czy aby zostać „złym” trzeba kogoś zabić, czy wystarczy człowieka gnębić, poniżać, upokarzać, odbierać mu godność? Czy zły jest tylko zbrodniarz czy również inteligentny psychopata, który manipulacją osiąga wszystko, czego chce? Czy złym może być genialny muzyk, naukowiec, zaszywający się w swojej pracowni i nie interesujący tym, do czego służą wyniki jego badań? Czy złym staje się każdy, kto zawierzy zleń, bo zdehumanizowanej ideologii? Czy każdy, kto krzywdzi drugiego?

Pytania można by mnożyć.

Żli ludzie są najciekawszy z punktu widzenia Bartosza Wielińskiego, dziennikarza działającego zagranicą, „Gazety Wyborczej”, korespondenta tejże gazety w Niemczech. Nic dziwnego, dobro nie przyciąga tak jak zło, nie intryguje, i na jego tle nie wydajemy się sobie lepsi. Dobro staje się wymagowanym dążeniem, stawianym na piedestale, podczas gdy zło jest codziennością, z którą musimy się zmierzać nieustająco, by ratować swoją wiarę w wartości, będącą ostatnią szansą naszej cywilizacji.

Książka Bartosza Wielińskiego jest opowieścią o ludziach, którzy nie powinni mieć prawa do czystego sumienia, bo nigdy nie uznali swoich win. Zbrodni zaakceptowali, ukrywając pod etykietką opacznie rozumianego patriotyzmu albo wyparli i tym samym zapomnieli. Pominięte zostały przez autora największe postaci III Rzeszy. Historię XX-wiecznych Niemiec Wieliński spisał na podstawie szesnastu biografii, między innymi: Amona Gotha, komendanta obozu koncentracyjnego w Płaszowie, Fritza Habera, twórcy cyklonu B, Margot Honecker (szefowa enerdownskiej oświaty, która poprawczaki zamieniła w ośrodki przemocy), Friedricha Paulusa, feldmarszałka spod Stalingradu, Johanna Reichharta, kata (przeprowadzał egzekucje we fraku, osobiście ściął 3000 ludzi), Wolfganga Vogela, który pośredniczył w wymianach szpiegów, był handlarzem ludźmi.

Bohaterami książki są więc zbrodniarze, geniusze, psychopaci, hochsztaplerzy, faszery, naukowcy, artyści, prawnicy, wizjonerzy, fanatycy. Co ich łączy, co dzieli, a najważniejsze, dlaczego byli tacy, jacy byli, albo jakimi się stali. Czy to kwestia genów, czy wychowania? Czy



wiary czy wyboru? Kat Płaszowa zapłacił życiem za swoje zbrodnie, wielu jednak ułożyło je sobie na nowo, dostatnio i wygodnie, bynajmniej nie w ukryciu, jak Heinz Reinefartha, kat

powstańczej Warszawy, wieloletni burmistrz Syltu, słynnego i luksusowego niemieckiego kurortu. Albo jak Josef Scheungraber, honorowy obywatel bawarskiego Ottobrunn, ostatni sądzony zbrodniarz niemiecki, który kazał zabić czteremastu włoskich chłopów.

Jaką wagę ma zło antysemita Herberta van Karajana, jednego z najsłynniejszych dyrygentów świata, karierę zawdzięczającego Josephowi Goebbelsowi, a jaką zło Gerda Heidemanna, sympatyka nazizmu, kolekcjonera pamiątek z epoki III Rzeszy, dziennikarza „Sterna”, człowieka, który opublikował fałszywe pamiętniki Hitlera i sensację zamienił w skandal wyceniony na kilka milionów marek? Autor stawia także inne pytania: Dlaczego tolerowano w Niemczech zbrodniarzy, pozwalano im pracować w policji, szkole, prasie? Kto ich chronił i dlaczego? I wreszcie: dlaczego dopiero od niedawna historycy chcą się zmierzyć z przeszłością?

Bartosza Wielińskiego nazywa zbrodnie po imieniu, ale bez potępienia jak prokurator czy sędzia, ponieważ stara się spojrzeć na świat także z perspektywy swoich „antybohaterów”. Chciałoby się mieć „tak” za „tak”, a „nie” za „nie” (bo reszta od Złego pochodzi), ale życie i świat są bardziej skomplikowane, niejednoznaczne i pogmatwane.

Ta książka jest i dla Polaków i dla Niemców, myślę jednak, że każdemu opowie coś innego, podobnie jak w 1949 roku to zrobił Leon Kruczkowski, w dramacie *Niemcy*, który dzisiaj 40-latkowie będą pamiętać jako obowiązkową lekturę szkolną. Pisarz początkowo zatytułował utwór *Niemcy są ludźmi* i pod takim tytułem opublikował I akt sztuki w „Odrodzeniu”. Zmienił go jednak, by nie narzucać interpretacji, nie zawęźać problemu i w jakimś sensie pokazać teatralną typizację społeczeństwa niemieckiego tamtych lat. W Berlinie, dyplomatycznie, sztukę wystawiano pod tytułem: *Rodzina Sonnenbruchów*.

Któż nie pamięta jej bohaterów: profesora Sonnenbrucha, który nie chciał słyszeć, do czego służą wyniki jego badań, Joachima Petersa, niemieckiego komunisty, ucznia profesora, który po ucieczce z obozu szukał u niego pomocy, Willego, syna, nazistę, czy córkę, Ruth, która lubiła mocno żyć i korzystała z sezonu niemieckiego w Europie?

Świetne pióro autora powoduje, że książkę się czyta jednym tchem. Bartosz Wieliński pisze jak reportażysta, nie jak historyk, to także kwestia języka.

Polecam tę książkę każdemu, a szczególnie tym, którzy mają sumienie czyste, bo nieuczynane. Może po lekturze zadadzą sobie pytanie, czy obojętni są niewinni.

Marta Fox

Bartosza Wielińskiego, *Żli Niemcy*. Wydawca Agora SA. Warszawa 2014.

UWAGA POETA!

Przedemną dwa cienie tomiki poetyckie przygotowane przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie: *Obol* (2012) oraz *Chromając* (2013). Autor Adam Waga. Do niedawna nic mi nie mówiło to nazwisko. Okazuje się, że to pseudonim literacki Klemensa Górskiego. A mówiąc dokładniej Waga to rodowe nazwisko oraz nazwa rodzinnej miejscowości. Pierwsze wydanie *Obola* miało miejsce w 2007 roku (OW ŁośGraf), zaś w 2012 roku nastąpiło wydanie redakcyjne książki z nowelą Mariana Pilota pt. *Postanowienia końcowe*, inspirowanego wierszem *Fraszka*.

Lektura już pierwszych wierszy *Obola*, który jest debiutem książkowym (autor ur. w 1936 r.), zmusza do uwagi. I to nie dlatego, że treść ich ma charakter jakby pożegnalny, rozliczeniowy z najbliższymi osobami rodziny – z ojcem, bratem, synami... ale z powodu wyrażenia o mocy zdań ostatecznych. To rozliczenie z życiem, które powoli się kończy. Spojrzenie na nie jest wyraziste, w terminologii fotograficznej mówi się – ostre. To poezja zmuszająca wręcz do zatrzymania się, do refleksji, do przemyślenia również swojego życia. Takie wiersze może sformułować tylko ktoś, kto zdobył w życiu mądrość. Utwory pisane są językiem prostym, oszczędnym, nawet surowym. Chce się powiedzieć chirurgicznym w swej precyzji. Nie ma tu ozdobników stylistycznych. Nic nie przykrywa ich treści. Żadnej warstwy wierzchniej nie musimy zdejmować, by dostać się do cudownego miąższu prawdy – o człowieku, o jego życiu, o świecie. Taki język wzbudza moje uznanie, a nawet podziw. Miałem szczęście słyszeć wypowiedź o tej poezji p. Tomasza Burka, krytyka literackiego przecież z najwyższej półki. Z uznaniem wypowiadał swoją opinię.

Adam Waga to człowiek który z literaturą, jako krytyk, redaktor, wydawca i poezji znawca, związał bez mała całe swoje życie. Jako poeta ukrył się pod pseudonimem i postanowił zaprezentować czytelnikowi i krytykom tylko swoje wiersze.

Autor nie przyznaje się do bycia poetą. W wierszu *Adam zwycięzca* (s. 52) z tomiku *Chromając* pisze (o sobie): „Nie jest poetą. / Nigdy nie był. // Chciał zostać rolnikiem. / Uprawiać ziemię. Siał. // (...) Nigdy nie chciał być poetą. // Ta garstka wierszy niewierszy, / która ustawiła mu się w słupki, / to świadkowie jego pojedynków / z samym sobą”.

A jako ekspert od literatury tak oto w jednym z utworów podsumowuje jej obecny stan w wierszu *Do pięknej*:

Niepiękna już jesteś, / literaturo, / żalonna i pretensjonalna / jak stara ładacznicza be zasad. // Twoje wielkie gatunki wymarły / niby zwierzęta przedpotopowe. // Tragedii strzęp zmasakrowany / odrzucił pradawną kat-harsis. / Dramat zgadał się na śmierć o niczym. / Pieśń wyje przebojem w dyskotekie. / Oda stała się pośmiewiskiem głupców. / W gorset sonetu nikt już się nie wciągnie. / Nowela – bełkot pijanego lumpa. / Powieść – galareta o dowolnym bezkształcie. // Ich padliną / żywią się jeszcze wszystkie żerne bestie, / tak zwane media, / emitując niestrawne ochłapy / pośród reklam podpasek, proszków i komórek, / ple-ple-audio-teleturniejów i kretyno-seriali. // A miałaś swój czas wielki, / kiedy byłaś początkiem wszechzeczy, / nawet Bogiem. // Lecz powoli opuszczały cię / twoje pro-rectwa i konsolacje, / twoje protesty i przzymierza, / drogowaskazy i duszo-znawstwa, / wzorce zachowań i rachunki sumień. // Brzydłaś, literaturo piękna. / Szczełaś aż do stanu dzisiejszego, / kiedy nie obchodzisz nikogo / i nikt się nie chce pochylić / nad twoją agonią (ss. 45-46).

To okropna ocena, ale zdaniem poety prawdziwa. Wielu też z nas – czytelników – chyba również taką opinię potwierdzi. Rzeczywiście dzisiejsza literatura schodzi nierzadko na poziom rynsztoka. Dlatego, gdy ukazuje się książka, która wyraża dogłębną prawdę, a ponadto napisana jest nieskazitelną polszczyzną, to u porządnym ludzi wzbudza zachwyt, a u tych innych „smakosz” zdziwienie i przemilczenie.

Przemilczała też krytyka literacka znakomity tomik *Obol*. Nie dotarł zresztą do szerokiego kręgu, gdyż wydano go w mikroskopijnym nakładzie. Aż sześć lat trzeba było czekać na jego wznowienie. Z podziwem przyjął tę poezję młody recenzent Michał Szymański – doktorant w Instytucie Kultury Polskiej UW. Chwała mu za to. Nie znam opinii innego krytyka tak trafnej i dogłębnej. Od razu zauważył, iż każde w nim słowo jest na wagę złota. A o rzeczach ostatecznych poeta mówi z powagą i biblijną prostotą. To właściwie nie są wiersze, lecz słupy i drogowaskazy, mające pomóc czytelnikowi. Taką jego oceną zaciekała mnie do tego stopnia, że w trybie natychmiastowym zdobyłem i przeczytałem te książeczki.

Z jednym się tylko ośmielam nie zgodzić. Otóż moim zdaniem zbiorek poetycki *Chromając* wcale nie jest słabszy od *Obola*. Michał Szymański pisze: „Czyj to głos? Co to za ton? Gdzie się podziały egzystencjalne supły, węzły, sploty, ziejące autentyzmem – przeżyte – sprzeczności, gdzie się podziały namacalne obrazy ludzkiej ułomności, którą emanował niemal każdy wers *Obola*? Owszem, tytułowa chromość jest w tomiku obecna, ale zaledwie w charakterze spokojnie

recytowanych pojęć wyjętych z modlitewnej medytacji, w której nie o sens przeżycia chodzi, lecz o dopełnienie rytuału skromności, pognębnienie ciała. Konkretnie obrazy zostały zastąpione przez powszechniki. Religijne widzenie świata ustąpiło miejsca teologicznej retoryce. Na całkiem zasadnie postawione pytanie – co się stało? – dwie odpowiedzi przychodzą na myśl: jedna biograficzna, druga metafizyczna” (w: redakcja@dwtutygodnik.com).

Oj jest i w tomiku *Chromając* „wieloletni oddech autora” i ten sam styl jakby komunikatu zaszyfrowanego w słowach ostatecznych.

Sześć lat minęło od wydania pierwszej poetyckiej książki. Jest to czas długi. W tym okresie zrodzone (albo zachowane i przepracowane) wiersze są przecież w tej samej konwencji artystycznej, tak samo przejmujące... i tak samo mądre.

Ich tonacja nie odbiega od opublikowanych wcześniej. Jest ten sam głęboki niepokój człowieka stojącego przed nieznaną granicą wieczności. To sprawia, że w wielu utworach pobrzmiewa czy to stoicka determinacja podszyta jakby rozpaczą, czy też heroiczna wiara. Wszędzie dopada go pustka. Ale taka pustka (pokusa niewiary?), która jest męką nie do wypowiedzenia dopadała też wielu wielkich świętych, mistyków. To jest próba dla duszy, jej oczyszczenie. Jej ekspiacja.

To jest rodzaj czyścica już tu na ziemi. Niezwykły jest ten pojedyny ograniczonego człowieka z siłą sprawczą wszechświata – z Panem Bogiem.

I znów poeta w zbiorze *Chromając* sprawia wrażenie jakby coś zobaczył, czegoś dotknął. Jest to poezja o umieraniu, odchodzeniu... rejestrująca ostatnim pożegnalnym spojrzeniem świat ten nam dostępny. I z niepewnością przezuwany przyszły. To są wiersze bardzo dramatyczne.

I w tej książeczce znajdujemy wiele utworów godnych wyrzycia w skalę. Och, niech nam pisze dalsze wiersze. Niewiele jest takich w ostatnich dziesięcioleciach w naszych polskich zbiorach.

O ile uboższe byłoby konto poetyckie autora bez takich wierszy jak: *Valeas, Papa, Principium, Implikacja, Dary* oraz innych. Albo bez takiego cacka lirycznego jak ten poniżej cytowany:

* * *

Nie odrzucaj Panie,
brudnopisu mego życia.
Przepiszę je u Ciebie
na czysto.

(s. 54)

A wcześniej znajdziemy liryk podobny w swej kruchości i egzystencjalnej mądrości:

Im bardziej jestem przeciw Tobie
z buntu i niewiary,
tym bardziej jestem przy Tobie
z rozpacz bez miary.

(*Koto ratunkowe*, s. 38)

Albo wiersz o Papieżu, dziś już św. Janie Pawle II, złożony z kilku myśli, ale jakże kunsztownych! A zakończony tak oto:

Świat zbiega się na pogrzeb,
zasiada w pierwszych rzędach
do pokazowej żaloby.

Najbliższy teraz jest mi wiatr.

Może to halny z dalekiego kraju
przybył oplakać syna tamtej ziemi.

Szarpie w rozpacz stronicami Pisma
i nie znajduje słów na pożegnanie.

Zamyka Księgę.

(*Valeas, Papa*, s. 10)

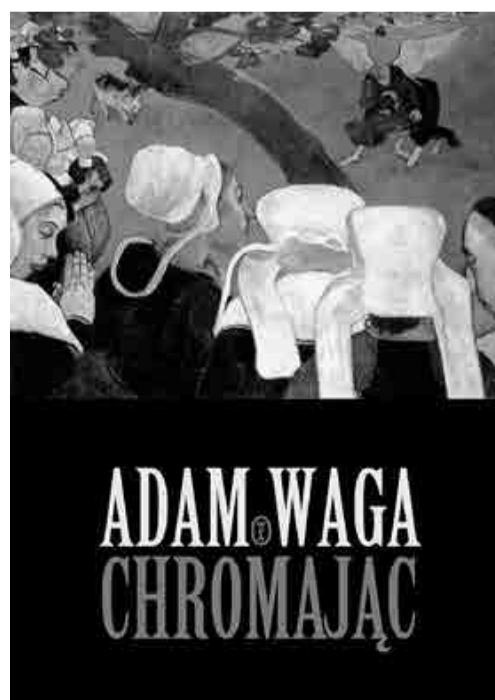
Wiele jest utworów o tej randze. Zresztą co ja mówię, wszystkie noszą znanie poety znakomitego. Wszak to ten sam autor, który na szczęście nie rozstał się z nami pierwszym tomikiem „Obol”, chociaż był on pisany w tonacji pożegnania. Do obu zbiorów chce się wracać, na nowo zapamiętywać myśli w nich zapisane.

Są w nich przemyślenia z całego życia. Są pożegnania z ludźmi najważniejszymi dla niego, nie tylko z rodziny.

Są wspomnienia z przeżywania poezji, także muzyki ważnych osobie twórców. To jest posumowanie swoich dni na ziemi.

To jest prawdziwa Poezja, a jej Autor, chociaż tego nie chce i o to się nie starał, jest zdumiewającym Poetą – z dużej litery.

ks. Janusz A. Kobierski



POETYCKI NOKAUT BŁYSKAWICY

Błyskawice dla dobrych ludzi to tom poetycki Jerzego Granowskiego. W takim momencie ważne jest, aby każdy autor podnosił sztanę oczekiwań, jakim jest druga pozycja książkowa. O ile debiut *Wstaniemy o świcie* (Wyd. Miniatura; Kraków 2011) zrobił na mnie potężne wrażenie, miałem nadzieję, że tym razem *Błyskawice*... okażą się powalające. Nie myliłem się. To był poetycki nokaut.

Gdybym chciał porównać się i rodzaj poezji zawartej w tomiku do boks, wówczas może okazać się, że każdym razem Granowski z precyzją 17 sylab wypowiada się na tematy przestrzeni, pór roku, kobiet – nie stroniąc przy tym od filozofii, kolei czy wszechstronnego żartu. Rozpoczynając cytowanie autora, znajduję przestrzeganą za pomocą metody chybił-trafił:

przesłanie Niebios
ostrzeżenie przed grzechem
to palec Boży

a następnie kierując się wskazówkami tematycznymi, na które zostały podzielone utwory, trafiam na dział odkrywca. Znajduję tu:

ciekawcy świata
przed nim wielka przygoda
Anioł Stróż czuwa

W tym momencie warto zaznaczyć, że każdą parzystą stronę z celnymi haiku zdobi zdjęcie, które jakby zapowiada, bądź odpowiada wskazanym utworom poszybować nieco dalej, nieco wyżej. Oczywiście ma to na celu sprytną wielowymiarowość, ponieważ Granowski wie, że samymi krótkimi utworami może przegadać temat, może wyjść w stronę banału w sposób niedostrzegalny. Granowski przy okazji drugiego tomiku doskonale poznał taktykę, jak w arcydelikatny sposób łamać stereotypy i konwencje. Na stronie internetowej Granowskiego www.poetycka.strefa.pl trafiłem na recenzję tegoż tomiku i nie zgodzę się tu z Izabelą Moniką Bill i Tadeuszem Lira-Słiwą, którzy piszą: „tomik Jerzego Granowskiego zawiera odwieczne przesłania: jak być dobrym człowiekiem, żyć zgodnie z kodeksem moralnym, nie ulegać złudnym wartościom i fałszywym prorokom”. W *Błyskawicach dla dobrych ludzi* nie ma bowiem metod jak nie ulegać złudnym wartościom, nie mówiąc już o fałszywych prorokach. Granowskiego nie obchodzą takie roztrząsania, ponieważ nie jest tom rozliczeń tylko spostrzeżeń, gdzie przyroda nie jedno ma imię:

małe jezioro
nartniki na powierzchni
para w uścisku



Dla człowieka, który w momencie przejścia na emeryturę wydaje skromną pozycję książkową liczy się nie tylko przyroda czy odpoczynek. Znajdziemy tu refleksję z nad jeziora ale i także kilka ciekawych metafor odnośnie kolei:

w leśnych odstępach
dyszy wąskotorówka
sarenka patrzy

czy dostrzegając niebezpieczeństwo na przejazdach kolejowych Granowski trafnie zauważa:

łoskot żelastwa
krzyż świętego Andrzeja
zmiażdżone auto

Taka filozofia to nic innego jak poetycki boks. Nie jest bowiem łatwo, za pomocą 17 sylab wypowiedzieć wojnę, a co już innego wygrać pojedynek. Tom ten, to jednoznaczny poetycki nokaut, który czytelnik może doznać za każdym razem. Często spotykam się z utworami, w których roi się o metafor, gdzie utwór nazwany szumnie wierszem ciągnie się w nieskończoność. W przypadku Granowskiego, ta dyscyplina poetycka wymusza konsekwencję. Gdyby w tomie nie było fotografii, *Błyskawice*... znacząco straciłyby na sile, a czytelnik mógłby mieć przesytną poszczególnych utworów. Tadeusz Józef Maryniak (pseud. Tamar) często publikuje bardzo krótkie formy literackie począwszy od sentencji, haiku poprzez aforyzmy aż do znużenia... Wśród prawie 40 pozycji książkowych bardzo trudno trafić na oryginalność, a cała twórczość Maryniaka zlewa się w jedno, czego nie można powiedzieć o Granowskim. On, aby trafnie zilustrować każdą parzystą stronę poprosił kilka osób o cenne fotografie, które są jak grzmoty przy błyskawicach. Tylko w ten sposób łamiąc konwencje tradycyjnego boks (czy burzy) można trafnie rozwijać temat i poetycko (bez błędzenia) trafić do serc czytelników. Tytułową błyskawicą, która zdobi okładkę tomu jest przepiękny motyl oznaczający piękność, kruchość i prawdę, że wszystko co piękne, szybko się kończy. Drugi tom poetycki Jerzego Granowskiego to przecież *Błyskawice dla dobrych ludzi*, które ja polecam każdemu.

Piotr Goszczycki

Jerzy Granowski, *Błyskawice dla dobrych ludzi*. Wyd. Studio Małych Form Graficznych, Katowice 2014.

Fundacja
ŚwiatłoLiteratury

oraz

WM
3P
WOJEWÓDZKA I MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
IM. JOSEPHA CONRADA
KORZENIOWSKIEGO
W GDANSKU

polecają:

Jan Drzeżdżon był od zarania niemalże swojej pisarskiej kariery przez część prominentnych krytyków wynoszony nad Jorge Borgesa i Maria Vargasa Llosę, przez innych natomiast lekceważony i odsądzany od czci i wiary.

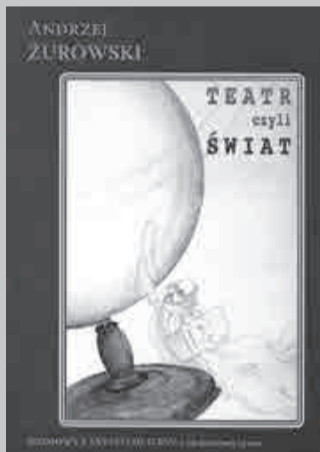
Biografia pióra Marii Jentys-Borelowskiej przynosi sugestywny obraz walki tego tak kontrowersyjnego twórcy o prawo zarówno do swojej artystycznej osobności, jak i do komunikowania się na swoich prawach z czytelnikiem.

Wielki wizjoner, dosłownie oddał życie – zmarł przedwcześnie – konstruowaniu swojego gigantycznego, oryginalnego i niezmiernie trudnego do ogarnięcia i intelektualnego rozpoznania zamysłu twórczego. Wyobraźnia autora *Twarzy Boga* bowiem, zakorzeniona w głębiach jego rodzimej kaszubskiej kultury, buduje światy, do których dostęp czytelnika jest skrajnie utrudniony. Subtelna i wnikliwa opowieść Marii Jentys-Borelowskiej przynosi klucz do labiryntów życia i twórczości Jana Drzeżdżona, bez którego zarówno czytelnicy, jak też badacze dzieła tego pisarza nie będą mogli się obejść.

Marian Pilot



Ogrody zamyśleń,
marzeń i symboli
Rzecz o Janie Drzeżdżonie
♦♦♦ Maria Jentys-Borelowska ♦♦♦



Książki do nabycia w dobrych księgarniach oraz bezpośrednio u wydawcy pod numerem telefonu 782-022-502 lub drogą mailową: kontakt@lnp-antyki.net.pl.

W odpowiedzi na liczne zapytania, uprzejmie informujemy, iż autorów zainteresowanych wydaniem własnej książki zapraszamy do kontaktu e-mailowego pod adresem joa@migotania.pl

Redakcja

Jacek Krenz

Szkicowanie: zobaczyć więcej

W moich wędrowkach używam szkicownika zamiast aparatu fotograficznego. Rejestruję krajobrazy, sceny życia miejskiego, architekturę. Często spotykamy się w grupach Urban Sketchers w różnych miastach szkicując podczas weekendów. Spotkania kończą się zazwyczaj biesiadą połączoną z oglądaniem szkicowników, a efekty publikowane są następnie w internetowych grupach.

Urban Sketching staje się coraz bardziej popularny w świecie. Urban Sketchers International, organizacja zawiązana podczas Międzynarodowego Sympozjum w Portland w 2010, skupia dziś kilkanaście tysięcy członków z 30 krajów. Podczas Sympozjum w Lizbonie miałem przyjemność być instruktorem warsztatu „The Light of Lisbon”. Kolejne sympozja odbyły się w Santo Domingo, Barcelonie i w brazylijskim mieście Paraty.

Szkicowe notatki są materializacją doświadczenia, szkicowanie pogłębia percepcję. Podczas rysowania nawiązana zostaje relacja z miejscem, niejednokrotnie też z jego mieszkańcami, zaciekawionymi tym, co robimy. Taki zapis pamiętamy znacznie lepiej i bardziej wyraziście niż po zrobieniu zdjęcia. Migawka potrzebuje ułamka sekundy, by precyzyjnie zachować całość obrazu – ale bez interpretacji. Tymczasem interpretacja jest konieczna, żeby uruchomić pamięć, powiązać chwilowe przeżycie ze wspomnieniami, koncepcjami, ideami czy wyobrażeniami, jakie nam towarzyszyły. Naszkicowana scena pozostaje w pamięci dłużej, jest pełniejsza i dużo bardziej wielowarstwowa, staje się trwałym elementem doświadczenia. Wykonanie fotografii nie ułatwia wejścia głębiej w temat, przez co niewiele

różni się od pobieżnej konsumpcji powierzchniowych obrazów. Aparat bowiem wyręcza mózg w procesie poznawania i rozpoznawania otoczenia.

Szkic z założenia powinien być szybki i spontaniczny, dynamiczny. To wymaga decyzji, dokonywania wyboru kadru in situ, a wszystko po to, aby wydobyć to, co najistotniejsze. Aby to osiągnąć, zazwyczaj musimy pominąć rzeczy drugorzędne, uprościć i skrócić naszą prywatną opowieść o miejscu. Szkicując, tylko z pozoru robimy to powierzchownie – w rzeczywistości zaś chwytamy istotę formy, zatrzymujemy nastrój chwili, podkreślamy charakter i koloryt. Takie podejście w odkrywcy sposób otwiera i poszerza nasze widzenie świata. Mój przyjaciel, prof. Janusz Jaśkiewicz, z którym razem w podróży szkicowaliśmy, jako chirurg zaczął ilustrować swoje publikacje medyczne szkicami, gdyż czytelniej od fotografii ukazują złożone aspekty planowanych operacji.

Specyficzną formą szkicowania jest tzw. blind sketching – bez patrzenia na kartkę papieru, a jedynie na szkicowany obiekt. Daje to nie tylko zabawne nieraz efekty, ale jest po prostu przydatne w sytuacjach, gdy skupienie na wykonywanym rysunku nie jest możliwe, np. podczas koncertów.

Szkicowanie przybrało u mnie formę codziennego nawyku, jak picie kawy czy lektura. W podróży tworzę obrazkowe reportaże, w Gdańsku staję się obcym we własnym mieście – wymóg uważniejszego spojrzenia sprawia, że odkrywam na nowo znajome miejsca, widzę je inaczej.

Manifest Urban Sketchers

(tłumaczenie: J. Krenz)

- Rysujemy zawsze z bezpośredniej obserwacji to, co widzimy czy to na zewnątrz czy wewnątrz.
- Nasze rysunki ukazują miejsca, gdzie mieszkamy i które odwiedzamy w podróży.
- Nasze rysunki są zapisem czasu i miejsca.
- Urban Sketcher oddaje wiernie to, co widzi.
- Używamy wszelkich dostępnych mediów i szanujemy nasze indywidualne style.
- Wspieramy się nawzajem i rysujemy razem.
- Dzielimy się naszymi rysunkami w Internecie.
- Pokazujemy świat rysunek po rysunku.

Autorzy goszczący po raz pierwszy:

Karolina Grzędziel. Urodzona w 1983 roku. Ukończyła Wydział Lekarski Collegium Medicum UJ. Pracuje w Szpitalu Uniwersyteckim w Krakowie oraz Katedrze Hist, Med CM UJ. Pisze poezję, recenzje muzyczne i filmowe oraz artykuły popularnonaukowe. Ma na koncie kilka wieczorów autorskich, z premedytacją unika konkursów.

Marta Klubowicz. Aktorka, poetka, tłumaczka. Ukończyła PWST we Wrocławiu (1985). Była aktorką Teatru Powszechnego w Warszawie. W 1991 roku wyjechała na stypendium artystyczne do Wiednia. Od 1997 grała w Teatrze Współczesnym we Wrocławiu, następnie i w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym. Mieszka w Warszawie,

współpracując z wieloma teatrami w Polsce. Jest znana z ról w teatrze telewizyjnym. Wydała cztery tomiki poetyckie. Obie pasje aktorstwo i poezję łączy w autorskich spektaklach poetyckich. W 2011 przyznano jej odznaczenie „Zasłużony dla Kultury Polskiej”.

Mirosław Słapik. Urodzony w 1955 roku. Poeta, publicysta, animator kultury, dyrektor Biblioteki Publicznej w Gołdapi, wydawca, sekretarz oddziału SPP w Olsztynie, autor licznych tomów wierszy, w tym ostatnio *Szuurga* (2008), *Dasein* (2010) i *Odległości* (2012).

Wszystkich Czytelników, Autorów oraz Przyjaciół „Migotań” zapraszamy do wsparcia finansowego naszej Gazety poprzez jej prenumeratę. Tylko dzięki Waszej pomocy będziemy w stanie przetrwać na trudnym rynku oraz drukować Wasze teksty.

Dziękujemy za pomoc!
Redakcja

Migotania

Prenumerata!

Cena „Migotań” wynosi 15 złotych (25 złotych numer podwójny), w prenumeracie 12 złotych za egzemplarz (24 złote numer podwójny)!

Prenumerata za cztery kolejne numery wynosi 60 zł. To koszt gazet wraz z przesyłką.

Aby mieć pewność, że przesyłka nie zaginie, zachęcamy do wybrania opcji przesyłki poleconej. Wówczas koszt prenumeraty to 68 zł.

Jak zamawiać? To proste! Jest na to wiele sposobów:

- 1) Zadzwoń pod numer 782-022-502 i złóż zamówienie;
- 2) Wyślij zamówienie mailem na adres: zdanowicz.karolina@migotania.pl;
- 3) Wyślij zamówienie na adres: Fundacja Światło Literatury, ul. Grunwaldzka 303, 80-314 Gdańsk.

W tytule przelewu proszę podać adres, na który ma być przesyłana prenumerata, oraz numer „Migotań”, który ma zapoczątkować prenumeratę. Prenumeratę otrzymasz po wpłaceniu odpowiedniej kwoty na konto: Bank Millennium 74 1160 2202 0000 0001 7019 5866 lub za pobraniem pocztowym (koszty pobrania ponosi prenumerator).

Migotania

W numerze rysuje Jacek Krenz



Architekt, profesor na wydziale architektury Politechniki Gdańskiej, ASP w Poznaniu, a przez ostatnią dekadę na Universidade da Beira Interior w Portugalii. Malarz, rysownik, ceramik, swoje prace prezentował na wystawach w kraju i za granicą, m.in. w Chorwacji, Danii, Holandii, Irlandii, Portugalii i Wielkiej Brytanii. Autor książek: *Architektura znaczeń* oraz *Ideogramy Architektury. Między znakiem a znaczeniem*. Projektował m.in. Kościół w Wąglikowicach na Kaszubach, Pawilon Gdański na Międzynarodowym Festiwalu Współczesnej Sztuki i Architektury Północy w Leeuwarden (Holandia) oraz Art Hotel w Sopocie. Jest współautorem dwóch gdańskich pomników: Pomnika Poległych Stoczniovców 1970 oraz Cmentarza Nieistniejących Cmentarzy. Członek założyciel Towarzystwa Akwarelistów Polskich, instruktor Międzynarodowego Towarzystwa Urban Sketchers. Mąż Katarzyny Boguckiej-Krenz, pisarki i poetki.

galeria internetowa: www.watermarks.weebly.com
blog: <http://jkrenz.blogspot.com/>

Autoportret



Fot. Damian Cyfka

W numerze fotografuje Kaja Świętochowska

Ur. w 1988 roku w Tarnowskich Górach. Ukończyła kulturę Japonii w Polsko-Japońskiej Wyższej Szkole Technik Komputerowych, pracuje w centrum kultury, a na co dzień nałogowo fotografuje. Mimo, że głównym tematem jej fotografii jest industrialny oraz Górny Śląsk, to zdecydowanie nie ogranicza się tylko i wyłącznie do tej tematyki.

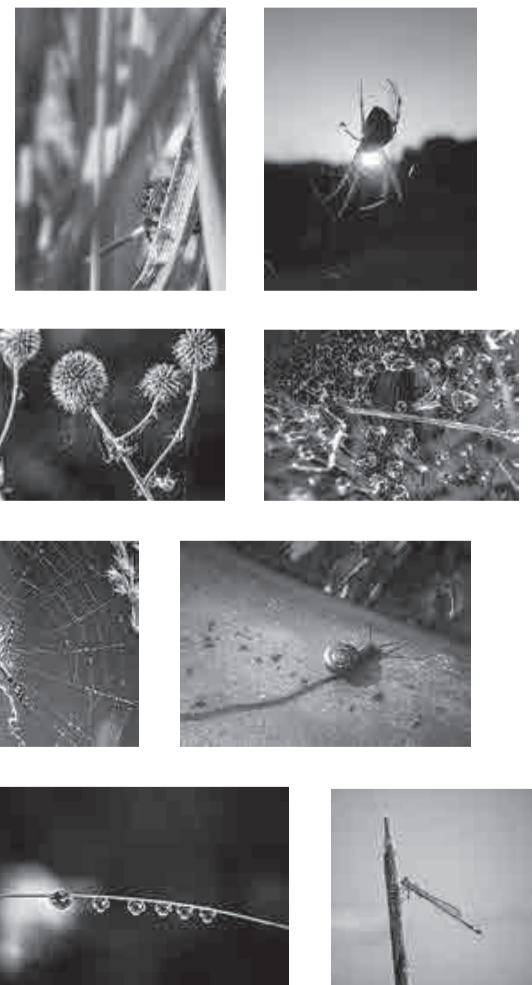
W kręgu jej zainteresowań są również zdjęcia krajobrazowe, przyrodnicze oraz makrofotografia – ulubiony rodzaj fotografii zaraz po industrialu. „Wrz z chłopakiem nie rozstajemy się z aparatami i niemal codziennie wybieramy się przynajmniej na



dwugodzinny spacer fotograficzny. To dla nas najlepszy sposób spędzania czasu i odejście od rutyny codzienności. W fotografii makro potrzebna jest również ogromna cierpliwość i wyciszenie, dlatego wybieramy miejsca z dala od codziennego zgiełku, otoczeni jedynie przez pola, łąki i kojącą ciszę”.

Kaja jest autorką bloga „O Ciup!” oraz współzałożycielką grupy fotograficznej „Karbon” – projektów związanych z dziedzictwem przemysłowym Górnego Śląska.

www.oociup.blogspot.com,
www.karbonfoto.pl



gazeta literacka

Migotania

Migotania

www.migotania.pl



ISSN 2083-2494

numer 4 (45) 2014

Redakcja:

Redaktor naczelny: **Zbigniew Joachim**

Z-ca red. nac.: **Jerzy Suchanek**

Sekretarz redakcji: **Karolina Zdanowicz**

Dział tekstów: **Agata Foltyn**

Redaktorzy: **Marta Fox (Katowice), Jan Gondowicz (Warszawa),**

Maria Jentys-Borelowska (Kraków),

Andrzej Wołosewicz (Warszawa), Bogusław Żyłko (Gdańsk).

Stale współpracują:

Anna Frajlich (Nowy Jork), Piotr Goszczycki (Warszawa),

Andrzej C. Leszczyński (Gdańsk), Artur D. Liskowacki (Szczecin),

ks. Janusz A. Kobierski (Warszawa), Adam Majewski (Gdańsk),

Grzegorz Musiał (Bydgoszcz), Jerzy Niesiołowski (Wyszembark),

ks. Jan Sochoń (Warszawa), Leszek Szaruga (Warszawa),

Olga Śmiechowicz (Łódź), Roman Warszawski (Gdynia),

Marek Wawrzkiwicz (Warszawa), Krystyna Śmiechowicz (Łódź),

Zofia Beszczyńska (Warszawa), Sławomir Majewski (Miechów),

Leszek Żuliński (Warszawa)

Opracowanie graficzne: **Gdańska Pracownia Edytorska/WIS Opcjon**

Dział fotografii: **Sybilla Storie**

Wydawca: **Fundacja Światło Literatury**

Adres redakcji: **Fundacja Światło Literatury,**

ul. Grunwaldzka 303, 80-314 Gdańsk

tel. 782-022-502

joa@migotania.pl, zdanowicz.karolina@migotania.pl

FUNDACJA



światło literatury

Migotania. Gazeta literacka sprzedawana jest w salonach Empik w całym kraju w cenie 15 zł. za pojedynczy egzemplarz (numer podwójny w cenie 25 zł.). Możliwy jest również zakup za zaliczeniem pocztowym. Łaskawe zamówienia proszę składać w Redakcji dowolną drogą. Redakcja uprzedza, iż nie odyta tekstów nie zamówionych. Staramy się odpowiadać na propozycje tekstowe, ale nie zawsze możemy to zagwarantować. W korespondencji z Redakcją prosimy używać przede wszystkim adresów e-mailowych.

W sprawie zamieszczania reklam prosimy o kontakt mailowy na adres: zdanowicz.karolina@migotania.pl



DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

WYPRASOWANIE (13)



*Dla polskiego ateizmu
głównym punktem
odniesienia
wciąż pozostaje religia.*

Trzecie Poszczekadła (2)

La nuit est plus claire que le fond de mon coeur.

Prosper Jolyote de Crébillon

15

Boski dar nic-nierobienia
cieszenia się z nic-nierobienia
najwyraźniej wśród ludzi zamiera,
skoro nawet Kartuzi i Kłoszardzi
dotknięci zostali wstrętnym świerzbem
nadaktywności.

16

W każdym człowieku drzemie Potwór
garbaty Minotaur w Zwierciadlanym Labiryncie
podejrzeń i wieloznacznych wieloznaczności.

17

Jeśli opuści nas dar łez, dar współczucia
nasze człowieczeństwo szczerze;
obróćmy się w ohydę, w sam raz dojrzałą
do likwidacji.

18

Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam:
nie mam wam nic do powiedzenia.

19

Przytupy Raskolników

Siekiera, motyka babcie w ciemie
takie jest scytyjskie plemię.
Siekiera, motyka, bimber – bładz
idiot raskolnikow brać.

20

Żeby dzieci były źle wychowane
nie trzeba dzieci źle wychowywać;
wystarczy nie wychowywać ich wcale.

21

Prędzej diabli wezmą oświatę
niżli oświata wyegzorczykuje Diabła.
Dlaczego? Dlatego, że oświata dla mas
jest diabelskim wynalazkiem.

22

– Wołodia?!...
– Czego chcesz? – mruknął Ulianow.
nie uchylając powiek
– Chcę cię zabić.
– Przecież jestem trupem.
– Chcę zabić twojego trupa.
Ulianow uśmiechnął się nie uchylając powiek.
– Ryzykujesz, synku, moje wskriesienie.

23

Kiedy już wszystkie sapiensy zostaną internowane
a to w Domach Stożka Niepełnosprawnego,
a to w Hospicjach Czubka Trudnego
a to w Szpitalach Molestowanych Tak-Czy-Siak
wtedy Wilcy zrzucą baranie skóry
i zaczną się Dance Canibalien
na melodie: Mniam – och – mniam
ludzina to jest to.

Czytam ostatnio przełożoną przez Bogdana Barana rozprawkę zmarłego przed rokiem amerykańskiego filozofa Ronald Dworkina zatytułowaną „Religia bez Boga” (Warszawa 2014), w której pojawia się interesujące i nie pozbawione podstaw w realiach naszego życia pojęcie „religijnego ateizmu”. Pisze on m.in.: „Religijni ateści nie wierzą w boga i tym samym odrzucają naukę konwencjonalnych religii oraz uzależnione od tej części zobowiązania w rodzaju powinności odprawiania obrzędów. Zgadzą się jednak, że ma obiektywne znaczenie, jak przebiega ludzkie życie, i że każdy ma wrodzoną, niezbywalną etyczną potrzebę czynienia swego życia godnym na miarę okoliczności. Zgadzą się też, że przyroda nie jest tylko sprawą cząsteczek wrzuconych razem w bardzo długą historię, lecz czymś z istoty cudownym i pięknym. Naukowa część konwencjonalnej religii nie może ugruntować części aksjologicznej, ponieważ (...) są one pojęciowo niezależne. Ludzkie życie nie może mieć znaczenia czy wartości tylko dlatego, że istnieje jakiś miłujący bóg”. Na marginesie tylko przypomnę – upominając się o należne mu w tej debacie miejsce – świecką koncepcję „kościół międzyludzkiego” wykładaną w twórczości Witolda Gombrowicza, być może dlatego właśnie uznanego za szczególnie dla ducha polskości groźnego pisarza.

I to tyle tytułem motto do moich lektur prasowych. Nie ulega bowiem wątpliwości, że kwestia relacji między wierzącymi różnych religii, w szczególności zaś katolikami, a ateistami jest jednym z tych problemów, które stanowią w całym okresie powojennym, a w ostatniej ćwierci wieku z coraz większym nasileniem, jeden ze stałych wątków naszego piśmiennictwa – od poezji poczynając (Karpowicza *Odwrócone światło* czy Miłosza *Traktat teologiczny*), na mniej lub bardziej skądinąd intelektualnie publicystyce kończąc. Kwestia ta zresztą ma też wymiar polityczny, pojawia się w dyskusjach dotyczących znaczenia takich terminów jak „państwo świeckie” czy zajmujących się sprawą umieszczenia zapisu o roli chrześcijaństwa w preambule do konstytucji i innych, także unijnych, aktów prawnych. W Polsce w większości wystąpień religia utożsamiana jest z katolicyzmem jako jedyną prawdziwą wiarą, inne wyznania traktowane są jako mniej lub bardziej groźne sekty, których działalność, gdyby ich wpływy wzrastały, może zagrozić narodowej tożsamości. Patrząc z tego punktu widzenia należałoby usunąć z podręczników informację o dziele luterskiego autora Mikołaja Reya *Żywot człowieka poczciwego*, w którym to dziele upowszechniane są typowo protestanckie wartości.

Pism katolickich bądź z katolicyzmem związanych jest w Polsce mnóstwo, od kwartalników po dzienniki. Omawia się w nich przeróżne kwestie – zarówno teologiczne (raczej sprawozdawczo, gdyż teologów z prawdziwego zdarzenia odczuwamy niedostatek), jak i praktyczne. I tak „Tygodnik Powszechny” (nr 47/2014) przynosi „Raport o stanie niewiary” pióra Anny Goc i Marcina Żyły. Oto, co piszą: Coraz więcej Polaków zaczyna głośno mówić o swojej niewierze w Boga. Niektórzy nawet, na wzór reprezentantów mniejszości seksualnych, nazywają ten trend „coming outem”. Dzieje się tak pomimo faktu, iż dla polskiego ateizmu głównym punktem odniesienia wciąż pozostaje religia – i że w ostatnich latach sporą szkodę jego wizerunkowi (głównie za sprawą agresywnych haseł antyklerykalnych) wyrządzili politycy. Kim więc są polscy niewierzący? Czy jest szansa, aby i u nas, w ślad za krajami Zachodu, pojawił się „nowy”, nie tylko reaktywny, a więc oparty wyłącznie na antyklerykalizmie, ateizm? Czy w ślad za nim nadejdzie to, czego dotąd brakowało: intelektualny spór niewierzących z wierzącymi, wykraczający poza wyliczankę zalet i wad polskiego Kościoła? Odpowiedź na to pytanie nie przychodzi łatwo. I wciąż jest obciążona przeszłością. Te stwierdzenia, w zasadzie słuszne, pomijają jednak sprawę zasadniczą. Otóż załączek takiej dyskusji pojawił się w Polsce końca lat 70., tyle że bieg zdarzeń ową dyskusję zepchnął na margines i dziś szalenie trudno do niej powrócić. Niemniej warto przypomnieć w tym kontekście wydaną w roku 1977 roku książkę Adama Michnika *Kościół, lewica, dialog* i stanowiący na nią odpowiedź znakomity tom księdza Józefa Tischnera *Polski kształt dialogu* – może zatem warto się cofnąć do tamtego czasu uznając te publikacje za początek rzeczywistego dialogu między niewierzącymi i wierzącymi...

Czytajmy jednak dalej raport Goc i Żyły: „Blisko 88 proc. polskich niewierzących było kiedyś członkami Kościoła katolickiego. Większość dorastała w religijnym otoczeniu. W nadaniach [Radosława] Tyrały [z katedry Socjologii Ogólnej i Antropologii Społecznej AGH] połowa niewierzących określiła swoich ojców jako obojętnych religijnie, niezdecydowanych lub całkowicie niewierzących. W tej samej grupie znalazło się 30 proc. matek”. I w zakończeniu: „Jednak na dokładne badania psychologiczne polskiego ateizmu – m.in. takie, które uwzględniałyby wpływ kontekstu kulturowego kraju, w którym wciąż dominuje katolicyzm – wciąż musimy poczekać. Choć odsetek osób religijnych na Zachodzie spada, może być tak, że racji nie mają ani ateści, ani część kościelnej hierarchii wieszczący nadejście „świata bez Boga”. Wiele badań wykazało np., że religijność wzrasta wraz z wiekiem, co w Polsce i innych krajach Zachodu może jeszcze wpłynąć na jej odrodzenie”. Pytaniem otwartym pozostaje –

a temu autorzy raportu nie poświęcają uwagi – jaka to mianowicie będzie religijność i czy będzie dla swego spełnienia potrzebowała oparcia o jakieś instytucjonalne struktury.

Niemniej problem istnieje i trudno go nie dostrzegać. W tym lub innym wariantcie powracają wciąż nie tylko ostrzeżenia przed skutkami odchodzenia ludzi od Kościoła, lecz także wezwania do obrony coraz bardziej zagrożonego katolicyzmu czy szerzej i podawanego szykanom lub represjom bądź wręcz brutalnym i zbrodnym atakom – chrześcijaństwu. Nie przypadkiem weekendowy numer „Rzeczpospolitej” (nr 277/2014) anonoszący blok materiałów o walce z Kościołem opatrzone zostały tytułem: „Był sobie Kościół. Zachód żegna się ze swoimi korzeniami!”. Wprowadzenie do artykułu Jakuba Kowalskiego „Europo, bój się Boga!” nie pozostawia wątpliwości o powadze zagrożenia: „Żegnamy się: nie znakiem krzyża, lecz ze swoim korzeniami. To może oznaczać tylko jedno – początek naszego końca”. Cóż, nie pierwszy raz ludzie Kościoła biją na alarm – dość przypomnieć rozłamanie jedności katolickiej Europy i wywołaną przez nie masakrę, jaką była wojna trzydziestoletnia, w trakcie której, nim wypracowano formułę „cuius regio, eius religio”, wyrżnięto jedną trzecią ludności Zachodu (ludność ziem niemieckich zmniejszyła się z 21 do 13 milionów). A jednak mimo to Europa, zmieniona radykalnie, przetrwała. To ważny kontekst dla tego artykułu. Pisze bowiem Kowalski o zjawisku określonym przez niego dziwnym mianem „chrystianofobii”: „Zwłaszcza we Francji rewolucja, wsparta lewicowymi mediami o antyklerykalnym nastawieniu zbiera swe żniwo. Na murach paryskiej świątyni wymalowano niedawno: „Jedyny Kościół, który oświeca, to ten, który płonie” – i tak jest co dzień. Skala incydentów jest straszna, czasem aż śmieszna: w styczniu religijna mozaika w domu opieki w Scaër została usunięta na życzenie laickiej rodziny jednego z podopiecznych, choć przeciwstawiali się temu wierzący pensjonariusze. Co się dziwić: chrystianofobia nie napotyka przeszkód, bo wedle świeckiego prawa religijne bluźnierstwo jest podstawą laickości państwa jako przejaw wolności słowa. Cóż więc z tego, że jesienią przedstawiciele francuskiego episkopatu rozmawiali o tym na spotkaniu z premierem Manuelem Vallsem – ten obiecał, że zajmie się sprawą i polecił informować o antychrześcijańskich incydentach. Tymczasem zbiegiem okoliczności już następnego dnia niewinniono działaczki Femenu, które półtora roku temu półnagie wtargnęły do katedry Notre Dame, gdzie półnagie łyły chrześcijan, w szczególności ówczesnego papieża Benedykta XVI. Sądzę nie dopatrzeć się w tym żadnego przestępstwa”.

Jaka więc ma być rola Kościoła w tym zmieniającym się w zatrważający dla konserwatystów sposób świecie? Jaki ten Kościół być powinien. Zastanawia się nad tym, przywołując przy okazji tradycję wypędzonych polskich arian – pierwszej „wielkiej” polskiej emigracji intelektualnej – profesor Stanisław Obirek, który w zakończeniu swego artykułu w „Gazecie Wyborczej” (nr 277/2014) zatytułowanego „Wydźmy z polskiej magmy” pisze: „W Polsce obok tradycyjnych wrogów wolności, faszyzmu i komunizmu, doszedł w czasach rodzącej się demokracji nowy, zgoła nieoczekiwany – katolicki autorytaryzm. Korzystając ze zdobytego w czasach narodowego zniewolenia zaufania społecznego, Kościół w Polsce skutecznie narzucił społeczeństwu, wymuszając decyzje na ulęgłych jego woli politykach, wiele regulacji, które budzą społeczne niezadowolenie. Taka uległość to przykład ucieczki od wolności, a może nawet odpowiedzialności. Chciałbym przypomnieć definicję sformułowaną przez lorda Actona, wybitnego historyka katolickiego. Był on jednym z głównych przeciwników papieża Piusa IX, który na Soborze Watykańskim I zmusił uczestników do ogłoszenia niefortunnego dogmatu o nieomyślności papieża. Wtedy to właśnie Acton napisał do przyjaciela, że każda władza korumpuje, a władza absolutna korumpuje absolutnie. Co ciekawe jednak, sam Acton nie zerwał z Kościołem i podobnie jak ord Newman robił wszystko, by wytłumaczyć sensowność tego dogmatu. O wolności zaś pisał: „Przez wolność rozumiem gwarancję, że każdy człowiek może czynić wszystko, co zna za swój obowiązek. Wbrew wpływom władzy, większości, zwyczajom i opiniom innych. Państwo ma obowiązek wyznaczania granic pomiędzy dobrem i złem tylko w sferze swej kompetencji”. Takie rozumienie katolickiego historyka mogą podzielać wszyscy, również niewierzący. Granicą tak rozumianej wolności jest wolność drugiego”. Aż się prosi, by Stanisław Obirek, póki jest w pełni sił twórczych, zaryzykował napisanie, wzorem krytycznej rozprawy o marksizmie pióra Leszka Kołakowskiego, dzieła zatytułowane „Główne nurty katolicyzmu”. Kompetencji mu nie brak.

KATARZYNA KRENZ

Arkusz poetycki



Fot. Zbigniew Joachimiak

1. Raport z wizyty w zakładzie dla starców i niewidomych dzieci

W imię Ojca i Syna i Ducha Jego

My, zakon braci bosych i ubogich, przyszliśmy tu i uczyniliśmy, jak postanowiono:

Oto w sercu urodzajnej krainy, w dolinie słońca, na wzgórzu oliwnego drzewa zbudowaliśmy dom, by modlić się o łaskę nieba na ziemi i snu wiecznego.

I daliśmy chleb, i dach nad głową dzieciom, co nie widziały, i starcom gasnącym co żyć już bez nas nie potrafili. Tak było, jak powiadamy, aż do dnia, gdy w cieniu czasu, który przeminął, umarła dusza domu, a wszyscy odeszli do Pana lub do innego domu.

Inwentarz pozostawionych ruchomości obejmuje: szafy biblioteczne pełne druków wypukłym pismem z przeznaczeniem dla czułych opuszków palców, w tym opisanie podróży Vasco da Gamy do Nowego Świata. Oraz sztuce z aluminium i emaliowane kubki i stoły z nadpalonymi nogami, dowód po dniach, gdy nawet miednica rozżarzonych węgla nie dawała wiotkim ciałom dość ciepła. Wannę i połamany fotel fryzjerski sztuk jeden, i korytarze długie, niegdyś szorowane w każdy piątek, a między nimi stopnie schodów, ruchome w kilku miejscach i niebezpieczne z braku poręczy. A także spróchniałe podłogi, które nie zaskrzypiały pod naszymi butami przypuszczalnie z powodu utraty poczucia bliskości.

W opuszczonej kuchni z kranu kapala woda. Na pustym patio panowała cisza, tylko pod drzewkiem pomarańczowym, w szarym piasku kąpały się wróble oszalałe od woni kwiatów i zgniłych owoców.

W kącie bezpłodnego sadu stary ogrodnik uśmiechał się do nas łagodnie, ale dość wesoło, ścinając kosą perz, kąkol i pokrzywy.

2. Cecilio Afonso: Księga ptaków

Bóg dał mi oczy, które milczą od urodzenia. W zamian moje palce nauczyły się patrzeć.

Dziś przeczytały:

Aby napić się wody zimorodek zniża lot nad rzeką lub jeziorem i uderzając brzuszkiem o powierzchnię, rozbija płynne lustro, zmienia je w lotne krople.

Na chwilę woda staje się ptakiem.

Lot zimorodka jest prostoliniowy i szybki, a zawołania ostre: w ciszy chłodnej wiosny, między zmierzchem a grząską grudą topniejącego śniegu, słychać przeciągłe "tije".

Na chwilę cisza staje się dzwonkiem.

Czasami głos ptaka przypomina też przenikliwy gwizd "tiith" lub powtarzalne "tut tut". Lecz tylko wtedy, gdy pragnie on nagle ostrzec swych braci lub ogłosić światu, że zima w końcu minęła. Zima. Tut tut.

Powróci, ale jeszcze nie teraz.

3. Abilio: Złamana łyżeczka

Tutaj wysoko w chmurach

żyją drzewa i ludzie, jak wszędzie. Zegary jasnych dni i klepsydry nocy kruszą się pod wahadłem czasu tak samo jak u was na nizinach, a metalowe serca dzwónów na wieży biją w rytmie naszej i waszej wiary. Gdy nadchodzi

pora słońca,

gaje eukaliptusów, oliwek i pinii zaczynają płonąć. Wtedy nawet dno rzeki usycha z pragnienia i domy rozpylają się, zemdłone, w drżących smugach dymu. Co rano słychać, jak bosa stopy

biegną w popłochu, na oślep. Wody!

Lecz gdy wody zabraknie, pozostaje już tylko słońce. I ogień. Poparzone ręce przywierają do pustej konwi; odtąd nawet cyna i kamień, i noc bez księżycy będą się żarzyć, gotowe w każdej chwili wzniecić płomień nienawiści.

W porze suszy

nasze noce są krótkie. Nikt w klasztorze nie śpi. Czas odmierzamy oddechami, które są szybkie i pełne niepokoju. Gorące jak krew. Wczoraj, wychodząc z refektarza, zauważyłem na podłodze złamaną łyżeczkę. Jakby spała. Albo, mała i pokorna,

czekała na akt miłosierdzia.

W porze ognia nie ma u nas nic pewnego ani trwałego – któż uwierzy, że kiedyś kwitły tu róże? Bóg milczy, a może to syk płomieni guszy jego głos. Bicie dzwónów na trwogę niesie się tu wyżej i dalej niż tam u was

na nizinach, pośród łąk i mokrych łęgów.

4. Bruno: na zielonych pastwiskach

Położyłem się i zasnąłem, i obudziłem się, albowiem Pan mnie wspomaga.

Psalm 3 (tłum. Roman Brandstaetter)

Dach w naszym domu przeciekał od czasu wielkiej wody, która wiosną roku 1911 zesłała z nieba, napełniając gliną i płynnym szkłem ogrody i doliny. Moje oczy ujrzaly jeszcze wodę, lecz potem całkiem przestały widzieć, o infekcję i uszczerbek na zdrowiu nie było wtedy trudno.

W roku ognia pierwsze spłonęły nasze księgi – kruche, podatne na dar płomienia. Niewierne. Wraz z nimi porzuciły nas dalekie horyzonty. Patio pokryło się popiołem, a ziemia spalona nie służyła wtenczas nawet dla podkowy konia – po pożarze w stajni zapanowała martwa cisza.

W roku wielkiej suszy nie mówiliśmy wiele; spragnione gardła nie łaknęły słów. Słońce umierało samotnie. Był to czas, gdy jedynie psalm sześćdziesiąty trzeci koił nasze dusze. Wołaliśmy: „Boże, Tyś jest ten, którego szukamy jak garści ziarna i łyżki strawy na tej ziemi wyschniętej i bezwodnej”.

Człowiek wiele może znieść, lecz w taką porę niebezpiecznie jest popaść w tęsknotę za chlebem i winem. Nadzieja tliła się jeno w pestce i korzeniu. Resztką sił chwaliłiśmy imię Pana, wznosząc ręce do nieba, póki nasze dusze nie nasyściły się jak sadem i oliwą. Dzięki wstawiennictwu aniołów o śmierć we śnie nie było trudno.

Nasza modlitwa o deszcz została wysłuchana i niebo otworzyło śluzę na dni czterdzieści i tyleż nocy. Pleśń pokryła ściany mojej celi, i wilgoć weszła w palce, aż całkiem straciły czucie i przestały czytać. O śmierć przed świtem z głodu i wychłodzenia było wtedy łatwiej niż o chleb nasz powszedni. Tamtego roku ziarno zgniło w spichlerzach.

Dach przeciekał do końca. Martwa cisza w naszym domu byłaby kompletna, gdyby nie to kapanie i jego echo – wilgotne i uparte. Zwawe jak żreback. Prosiłem o łaskę snu wiecznego, i wyprosiłem, i zasnąłem, bo wielkim królem jest Pan. Zaświadczam, iż prawdę powiedział psalm dwudziesty trzeci: tutaj na zielonych pastwiskach nie brak mi niczego.

5. Anselmo: 4' 33'' czyli niestała płynność wody

Po długiej zimie kamienna posadzka jest chłodna i sprzęta, napeczniała wilgocią, jeszcze młeczka. Dopiero, gdy słońce je osuszy, wtedy zaczną skrzypieć same z siebie, w dzień i w nocy, zwłaszcza w nocy.

Od rana z kranu skapnęły 433 krople; to więcej o dwadzieścia siedem niż wczoraj. Na szczęście, kapanie szybko zlewa się w jednolity szum – przypomina rzekę, zanim wyschła. Rwący nurt.

W kuchni na dole słychać brzęk miedzianych garnków. Brat Anselmo nie musi patrzeć na zegar, i bez tego wie, że do obiadu pozostały już tylko cztery minuty i trzydzieści trzy sekundy.

Mówi o tym zapach mięsa albo ryby – woda w glinianych dzbankach jest całkiem bezwonna, podobnie jak kryształki morskiej soli nie pachną, przynajmniej nie w tym domu. Woda i sól.

Gdy do obiadu pozostaną cztery minuty bez trzydziestu trzech sekund, na piętro dotrze zapach dyni i kapusty, nieco mdły, ale słodki i ciepły. Bez masła i oliwy, które zwykle oddajemy biedakom.

Cztery minuty. Trzy. Dwie. Już czas. Wstając z klęcznika, nasz brat stracił rękawem brewiarz, potem zachwiał się i zakaszłał aż sześć razy, o trzy więcej niż wczoraj. Ale to dlatego, że jest już o dzień starszy. Jak my wszyscy.

8. Ezequiel, brat Snu

W głębi korytarza nareszcie po dniach cierpienia zapadła cisza – to nasz brat odszedł tej nocy do Pana. *Requiescat in pace.*

Przyczyna zgonu: serce. Nie pękło z porwy żalu czy rozpacz – zgasło od podmuchu wieczornego wiatru. *Ramus Interventricularis Paraconalis* odmówił dalszej służby. R.I.P. Właściwości izometryczne życia i snu wiecznego ograniczyły pierwsze, by drugie stało się faktem dokonanym, Amen.

Łagodny uśmiech na twarzy Ezequiel wyraża zrozumienie: tak, czekał na życie po życiu, każdy z nas czeka, nawet jeśli o tym nie pamięta. Słyszał też, że łąki w raju nie są tak kolorowe jak te nasze w Alentejo. Nie szkodzi, on przyjmuje to z pokorą i wybacza. Raj nie musi być piękny, żeby być rajem.

Szelest płótna zgniatą ciszę jak papier i zapach lizolu dociera aż tutaj z końca korytarza, gdzie przez pół wieku mieszkał nasz brat. Opuszczoną celę trzeba będzie już wywietrzyć i pobielić. W sieni czeka już młody nowicjusz, *Dómine, exáudi orationem meam*. Mimo wszystko śmierć ma swoje dobre strony: wyzwala od bólu,

który każe krzyknąć długo i przeciągłe. *Clamor meus ad te veniat, Dómine.*

Porto / Girona, 12 czerwca 2010

RAPORT Z WIZYTY

W ZAKŁADZIE

DLA STARCÓW

I NIEWIDOMYCH DZIECI

Fundacja
ŚwiatłoLiteratury

Migotania
gazeta literacka

